

STELLA RIMINGTON



Z języka angielskiego przełożył

PIOTR KUCHARSKI





W ekskluzywnym sklepie z akcesoriami do łazienek na Regent's Park Road w północnym Londynie szczupła, ciemnowłosa kobieta wykazywała spore zainteresowanie wystawionymi wzorami kafelków.

- Czy mogę w czymś pani pomóc? - spytał młody sprzedawca, który z pewnością wolałby już zamykać, ponieważ zbliżała się siódma wieczorem.

Liz Carlyle starała się jedynie zabić czas. W tenisówkach i dżinsach od dobrego projektanta wyglądała jak jedna z tych bogatych, młodych mężatek, które wałęsały się po sklepach z wyposażeniem wnętrz i butikach położonych w tej części Londynu. Jednak Liz nie była ani bogata, ani zamężna, a już z pewnością nie wałęsała się. Była bardzo skupiona. Czekwała, aż kurczowo trzymane przez nią w lewej dłoni urządzenie zawibruje jednokrotnie - będzie to sygnał, że może udać się bezpiecznie na spotkanie do leżącej kawalek dalej kafejki. W lustrze wiszącym na ścianie sklepu widziała, jak Wally Woods, dowódca zapewniającego zabezpieczenie przed kontrobserwacją oddziału A4, również zabija czas, kupując *Evening Standard* od stojącego na rogu ulicznego sprzedawcy.

Wysłał jej już dwa impulsy oznaczające, że jej kontakt, Marcepan, dotarł do kafejki i czekał na nią. Gdy jego rozstawieni na dalszym odcinku ulicy ludzie upewnią się, że nikt nie śledził Marcepana, Wally zasygnalizuje jej zgodę.

Od strony stacji metra Chalk Farm nadszedł młody Azjata, ubrany w czarne dżinsy i bluzę z kapturem. Wally i jego oddział obserwowali go bacznie, kiedy przystanął, by zajrzeć w okna biura sprzedaży nieruchomości. Następnie ruszył dalej, przeszedł na drugą stronę ulicy i opuścił Regent's Park Road, znikając w bocznym zaułku. W tym momencie urządzenie w dłoni Liz zapulsowało jednokrotnie.

- Dziękuję panu bardzo - powiedziała Liz do sprzedawcy, wywołując tym jego ulgę. - Jutro wieczorem przyjdę tu z mężem i wtedy zdecydujemy. - Opuściła sklep, skręciła w prawo i szybko przekroczyła ulicę, bez wahania weszła do kafejki, przez cały ten czas pozostając pod uważnym spojrzeniem oddziału A4.

Wewnątrz Liz przystanęła przy kontuarze, aby zamówić cappuccino. Poczula znajome napięcie w trzewiach i przyspieszone bicie serca, zawsze towarzyszące pracy na linii frontu. Brakowało jej tego podniecenia. Przez ostatnie cztery miesiące przebywała na urlopie rekonwalescencyjnym, na który udała się zaraz po operacji antyterrorystycznej w Norfolk pod koniec zeszłego roku.

Niemal natychmiast po tym, jak lekarz z MI5 nakazał jej przerwę w pracy, udała się do domu matki w Wiltshire. W kolejnych tygodniach szybko ozdrowiała na tyle, by pomagać matce w kierowanym przez nią centrum ogrodnictwa. W wolne dni odwiedzały zabytkowe domy pozostające pod opieką National Trust i gotowały wyszukane obiady tylko dla siebie. W weekendy spotykały się czasami z przyjaciółmi z sąsiedztwa. Było miło, spokojnie i przeraźliwie nudno. Dlatego teraz, w majowy wieczór, cieszyła się, że z powrotem znalazła się na pierwszej linii działań operacyjnych.

Do pracy wróciła dopiero w tym tygodniu.

- Nie spiesz się. Urządź się spokojnie - powiedział jej Charles Wetherby.

Gdy zasiadła znów w swoim biurze w sekcji operacyjnej wydziału do walki z terroryzmem, zaczęła od sterty papierów, która narosła podczas jej nieobecności. Tego popołudnia nadeszła jednak wiadomość od Marcepana - pseudonim operacyjny Sohaila Dina - który pilnie prosił o spotkanie. Mówiąc bez ogródek, sprawa Marcepana nie należała już do obowiązków Liz. Zaraz po tym, jak odeszła, kolega Dave Armstrong przejął nie tylko jego, ale i bogatą perspektywę wiarygodnych informacji, jakich mógł dostarczyć. Jednak Dave wyjechał teraz w pilnej sprawie do Leeds, tak więc Liz jako osoba, która zwerbowała i prowadziła wcześniej Marcepana, została w oczywisty sposób wybrana na zastępstwo.

Wzięła kawę i przeszła do pogrążonej w półmroku części kafejki. Przy małym stoliku w rogu siedział Marcepan, czytając książkę.

- Witaj, Sohail! - powiedziała cicho, siadając.

Zamknął książkę i popatrzył na nią zaskoczony.

- Jane! - wykrzyknął, używając imienia, pod jakim ją znał. - Nie spodziewałem się ciebie! Dobrze znów cię widzieć!

Zapomniała, jak młodo wyglądał, lecz przecież rzeczywiście był młody. Gdy przed ponad rokiem Liz po raz pierwszy spotkała Sohaila Dina, został już przyjęty na studia prawnicze na uniwersytecie Durham. Był wtedy jeszcze przed dwudziestką. Na rok przed podjęciem studiów rozpoczął pracę w małej muzułmańskiej księgarni w

Haringey. Choć nie płacono mu zbyt wiele, miał nadzieję, że praca zapewni mu okazję do religijnych dysput z podobnymi mu, poważnie usposobionymi młodymi ludźmi. Wkrótce odkrył jednak, iż księgarnia jest punktem spotkań radykalnych islamistów - dalekich od tej wersji islamu, jaką Sohail poznał w domu oraz w miejscowym meczecie. Był zszokowany, słuchając niedbałych rozmów o fatwach i dżihadzie, a jeszcze bardziej, gdy dowiedział się, że niektórzy ze współpracowników otwarcie popierali działania zamachowców-samobójców, a nawet chętnie podejmą działania zbrojne przeciwko światu Zachodu. Wreszcie zaś uświadomił sobie, że niektórzy przychodzący do sklepiku ludzie aktywnie angażowali się w działalność terrorystyczną. To właśnie wtedy postanowił, że on sam również podejmie działanie. Niedaleko od księgarni znalazł posterunek policji i opowiedział o sprawie oficerowi Wydziału Specjalnego¹. Szybko przerzucono go dobrze sprawdzoną trasą do MI5 i jego pierwszego tamtejszego kontaktu, Liz Carlyle. Zwerbowała go i wyszkoliła na długoterminowego agenta, przekonując, by odłożył o rok rozpoczęcie studiów. W kolejnych miesiącach Marcepan dostarczył bezcennych informacji o posunięciach i działaniach ludzi, którymi interesowały się MI5 oraz policja.

- Świetnie cię znowu widzieć, Sohail - rzekła Liz. -Dobrze wyglądasz.

Marcepan odłożył książkę i nic nie mówił, wpatrywał się w nią przez okulary spokojnym, poważnym wzrokiem. Liz widziała, że się denerwował.

- Nie możesz się doczekać uniwersytetu? - spytała, chcąc go trochę uspokoić.

- Bardzo - odparł szczerze.

- To dobrze. Na pewno spiszesz się tam świetnie. I jesteśmy ci bardzo wdzięczni za to, że odłożyłeś studia – delikatnie zmieniła temat na sprawy bieżące. - Przekazałeś w swojej wiadomości, że musisz się z nami pilnie zobaczyć. Czy coś się stało?

Tym razem młody mężczyzna, choć tak naprawdę, jak pomyślała Liz, prawie chłopiec, powiedział więcej:

- Dwa tygodnie temu księgarnię odwiedził mężczyzna. Jeden z chłopaków powiedział mi, że to ważny imam przybyły z Pakistanu i wydawało mi się, że rozpoznaję jego twarz z jednej z kaset wideo, jakie sprzedawaliśmy w sklepiku. Powiedziałem to Simonowi. On z kolei powiedział, że mam się z nim natychmiast skontaktować, jeśli ten mężczyzna wróci do księgarni.

¹ Wydział Specjalny (Special Branch) to sekcja policji brytyjskiej, zajmująca się sprawami bezpieczeństwa narodowego i wykonująca czynności policyjne dla służb wywiadu brytyjskiego (przyp. tłum.).

Pod nazwiskiem operacyjnym Simon Willis występował Dave Armstrong.

- Czy widziałeś ponownie tego mężczyznę? - zapytała Liz.

Sohail Din przytaknął.

- Dzisiejszego popołudnia. Nie wszedł do sklepiku. Był na górze, wraz z trzema innymi mężczyznami. Młodymi, choć jeden z nich był starszy od pozostałych. Brytyjscy Azjaci.

- Jesteś pewien?

- Tak. Słyszałem ich rozmowę. Widzisz, zostałem wysłany na górę, żeby naprawić magnetowid. Zainstalował go Aswan - pracuje w księgarni - lecz dzisiaj miał wolne. Nie podłączył go prawidłowo do anteny.

- Co oglądali?

- Kasetę przyniesioną przez imama. Obok magnetowidu leżała cała kupka kaset, a jedna z nich była w odtwarzaczu.

Drzwi do kafejki otworzyły się i Sohail spojrzał ponad ramieniem Liz. Były to jednak tylko dwie obładowane torbami młode kobiety, które zajrzały tu, by napić się kawy po zakupach. Sohail ciągnął dalej:

- Gdy podłączyłem magnetowid do anteny, włączyłem go, by sprawdzić, czy wszystko działa. To właśnie wtedy zobaczyłem fragment oglądanej przez nich kasety.

Przerwał, zaś Liz powstrzymała zniecierpliwienie i czekała aż podejmie wątek.

- To było nagranie tego samego mężczyzny, imama. Przemawiał w języku urdu, którego nie rozumiem zbyt dobrze, ale trochę osłuchałem się w domu. Mówił o świętej wojnie i o tym, że czasami trzeba zginąć w imię swoich przekonań.

- Czy zobaczyłeś coś więcej? - spytała.

Sohail potrząsnął głową.

- Wtedy nie. Nie zostałem dłużej. Nie chciałem, by pomyśleli, że za bardzo się tym interesuję.

- Jak myślisz, dlaczego to oglądali? Przecież imam i tak tam był.

Sohail milczał przez chwilę, po czym powiedział:

- Długo się nad tym zastanawiałem. Przyszło mi do głowy, że może przyjechał tu, by nauczać tych mężczyzn. Może by ich przygotować.

- Przygotować?

- Sądę, że przygotowywał ich do misji - dodał szybko Sohail. - Być może misji samobójczej. Mówili o takich rzeczach w księgarni.

Liz była zaskoczona. Wyglądało to na dość dramatyczny wniosek. Znała Marcepana jako spokojnego i zrównoważonego, teraz zaś wydawał się przerażony i nadmiernie podniecony.

- Dlaczego tak uważasz? - spytała spokojnie.

Nagle Sohail sięgnął pod stół i wyciągnął z plecaka małą papierową torbę. Przesunął ją po blacie.

- Oto dlaczego.

- Co tam jest? - zapytała.

- Przyniosłem kasetę. Imam zostawił ją razem z innymi nagraniami. Poszedłem na górę i obejrzałem ją zanim zamknęliśmy księgarnię.

Liz szybko włożyła kasetę do torby, zadowolona, że Sohail ją przyniósł, lecz również przerażona ryzykiem, jakie podjął.

- Dobra robota, Sohail - powiedziała - lecz czy nie zorientują się, że zniknęła?

- Na górze było wiele kaset. I jestem pewien, że nikt nie widział, jak tam wchodziłem.

- Trzeba będzie ją szybko zwrócić - rzekła stanowczo. - Ale powiedz mi najpierw, w jakim wieku byli ci trzej mężczyźni?

- Ci młodzi byli mniej więcej w moim wieku. Trzeci miał gdzieś pod trzydziestkę.

- Mówiłeś, że byli Brytyjczykami. Zauważyłeś coś wyjątkowego w ich akcentach?

- Ciężko powiedzieć. - Zastanawiał się przez chwilę. - Poza tym starszym. Sądzę, że przyjechał z północy.

- Rozpoznałbyś ich ponownie?

- Nie jestem pewien. Woląłem nie przyglądać im się zbyt uważnie.

- Oczywiście - powiedziała uspokajająco Liz, bo widziała, że wzrok Sohaila wciąż wędruje ku drzwiom. - Czy masz jakiś pomysł, dokąd ta trójka mogła pójść?

- Nie, ale wiem, że wrócą.

Liz poczuła, jak przyspiesza jej puls.

- Jak to? Kiedy?

- O tej samej porze w przyszłym tygodniu. Aswan spytał, czy ma znieść odtwarzacz. Ale właściciel powiedział, żeby się nie trudził, bo znów będzie potrzebny w czwartek. To dlatego sądzą, że są szkoleni. Mają do obejrzenia szereg kaset. Przechodzą swego rodzaju kurs.

- Skąd wiesz, że to będą ci sami mężczyźni?

Sohail zastanawiał się przez moment.

- Ze sposobu, w jaki to mówił. „Zostaw to”, powiedział, „będą tego znowu potrzebowali w przyszłym tygodniu”. Mówił „potrzebowali” w taki sposób, że mogło mu chodzić wyłącznie o tych samych mężczyzn.

Liz zastanowiła się nad tym. Mieli więc trochę czasu, aby zorganizować operację, zanim grupa spotka się na nowo, choć nie było go wiele. Rozmyślała przez chwilę, starając się zdecydować, co teraz ma zrobić.

- Powiedz, czy mógłbyś się ze mną spotkać późniejszym wieczorem? Chciałabym skopiować tę kasetę i zabrać parę fotografii, które byś przejrzał. Fotografii ludzi. Mógłbyś to zrobić?

Sohail przytaknął.

- Powiem ci więc, dokąd pójść. - Podała mu adres na jednej z anonimowych uliczek na północ od Oxford Street i kazała powtórzyć. Następnie powiedziała: - Pojedź metrem do Oxford Circus i pójdz na zachód. Wiesz, gdzie jest John Lewis? - Sohail skinął głową. - A więc w taki sposób dostaniesz się do tego domu. Upewnimy się, czy nikt cię nie śledzi, a jeśli nie będziemy zadowoleni, ktoś zaczepi cię na ulicy i zapyta o godzinę. Spytają cię dwa razy i jeśli tak się stanie, nie idź do umówionego miejsca. Idź prosto, złap autobus i wróć do siebie. Gdybyś zaś wpadł na kogoś, kogo znasz, przygotuj sobie wymówkę, co tam robisz.

- To łatwe - rzekł Sohail. - Powiem, że szukałem płyt w sklepie HMV na Oxford Street. Mają otwarte do późna.

Liz spojrzała na zegarek.

- Teraz jest wpół do ósmej. Spotkam się tam z tobą o dziesiątej.

- Czy od teraz znów będziesz moim kontaktem? - spytał.

- Zobaczymy - powiedziała delikatnie, bo tak naprawdę sama jeszcze nie wiedziała. - To nie ma tak naprawdę znaczenia. Wszyscy pracujemy wspólnie.

Skinął głową, lecz w jego oczach było coś, co Liz z początku wzięła za zwyczajne podniecenie, a dopiero później rozpoznała w tym lekki strach. Uśmiechnęła się do niego uspokajająco.

- Świetnie się spisujesz. Bądź po prostu bardzo ostrożny, Sohail.

Odpowiedział niepewnym uśmiechem, lecz oczy mu spochmurniały.

- Jeśli w którymś momencie poczujesz, że coś ci grozi, musisz nam natychmiast powiedzieć - dodała. - Zastosuj procedurę alarmową. Nie oczekujemy po tobie, że będziesz się pakował w niepotrzebne niebezpieczeństwo.

Wiedziała, że to puste słowa. Oczywiście musiał być zagrożony, w takich operacjach ryzyko było czymś nieuniknionym. Nie po raz pierwszy Liz kwestionowała swój udział w subtelnej psychologicznej grze, jaką było prowadzenie agenta: ostrzeganie go, żeby był ostrożny; potwierdzanie niebezpieczeństwa, w jakim był; zapewnianie go, że będzie dobrze chroniony; zachęcanie, by zdobywał potrzebne informacje. Jedynym usprawiedliwieniem były szkody, jakim próbowała przeciwdziałać, lecz gdy w grę wchodził Marcepan, równowaga wydawała się trudna do utrzymania.

Sohail powiedział jednak stanowczo:

- Zrobię wszystko, co będę mógł.

Liz była wzruszona, lecz jego słowa nie zdołały zdjąć z niej brzemienia winy. Był taki młody, a jednocześnie taki odważny. Jeśli ci mężczyźni w księgarni pragnęli się z radością wysadzić w powietrze, nie chciała myśleć, co z równą radością zrobiliby Sohailowi. Niemal mimowolnie potrząsnęła głową i odwróciła się.



Liz złapała taksówkę przy końcu Primrose Hill i kazała kierowcy wieźć się do restauracji Atrium na Millbank. Stamtąd piechotą miała już niedaleko do Thames House, masywnego, ciężko osadzonego budynku na północnym brzegu Tamizy, w którym mieściła się kwatera główna MI5. Był to dobry moment na przejazd przez West End. Godziny szczytu już się skończyły. Zmierzające do kin tłumy znalazły się już u celu. Puby promieniowały światłem i ciepłem, które w normalnych okolicznościach mogłyby ją skusić. W przeciągu dwudziestu minut od rozstania z Marcepanem stała już przy swoim biurku.

Miała sporo do zrobienia, zanim będzie mogła wrócić do Sohaila Dina. Trzeba było skopiować kasetę, potwierdzić ustalenia w sprawie bezpiecznego domu, wezwać świeży oddział A4, by zastąpić schodzącego ze służby Wally'ego Woodsa.

Usiadła przy biurku, żeby pomyśleć. Czy istniało bezpośrednie niebezpieczeństwo? Jeśli tak, będzie musiała skontaktować się z Charlesem Wetherbym, jedzącym swym zwyczajem kolację wraz ze swym odpowiednikiem z MI6, Geoffreyem Fane'em. Jeśli Marcepan miał rację, niebezpieczeństwo istniało, ale nie bezpośrednio. Postanowiła odwlec decyzję, póki znów się z nim nie spotka, po czym sięgnęła po telefon i zadzwoniła do sekcji śledczej. Odebrała będąca na nocnej zmianie Judith Spratt.

Judith była jej starą przyjaciółką. Wstąpiły do Służby w tym samym dniu ponad dekadę temu i już od sześciu lat obie pracowały w wydziale do walki z terroryzmem. Jednak, podczas gdy Liz dzięki swym talentom zaczęła prowadzić agentów, niezwykle umiejętności analityczne Judith oraz wyczulenie na szczegóły zrobiły z niej doskonałego śledczego. Z uporem graniczącym z obsesją śledziła wraz ze swą ekipą wszelkie skrawki informacji, jakie docierały do wydziału walki z terroryzmem, uzupełniające to, co dostarczali agenci prowadzący. Pozostawali w stałym kontakcie z kolegami z drugiej strony oceanu, dzieląc się tropami, dokonując identyfikacji, tworząc powiązania. Sekcja śledcza była ostatnią deską ratunku całej

działalności antyterrorystycznej w Thames House, służyła do wysnuwania sensu z niepasujących do niczego informacji.

Tak więc to właśnie do Judith udała się teraz Liz po akta brytyjskich Azjatów podejrzanych o zaangażowanie w działalność terrorystyczną. Liz szybko streściła jej wszystko, co powiedział Marcepan, lecz nie pasowało to do niczego, nad czym Judith pracowała aktualnie ze swą ekipą. Ściskając otrzymany od Judith dobrze zamknięty, wielki, skórzany segregator, Liz zjechała windą do garażu w podziemiach i wsiadła do jednego ze stojących tam anonimowych samochodów służbowych. Miała do dyspozycji jeszcze trzy kwadranse, pojechała więc z powrotem na północ, przez Regent Street do Oxford Circus, a później skręciła w ciche uliczki pełne wspaniałych niegdyś, osiemnastowiecznych domów, dziś mieszczących gabinety lekarzy, stomatologów, psychiatrów oraz innych specjalistów służących bogatym mieszkańcom i gościom Londynu. W końcu skręciła pod łukiem, wjeżdżając między kiepsko oświetlone mniejsze domy, dawniej będące stajniami dla tych większych. Gdy nacisnęła klakson, otworzyły się drzwi garażowe i wjechała prosto do małego, oświetlonego garażu.

Nad garażem znajdował się ciepły, wesoły salon, umeblowany kilkoma mocno zużytymi sofami, pokrytymi czymś, co agenci prowadzący nazywali „perkalami z Ministerstwa Robót Publicznych”. Całości wyposażenia dopełniał kwadratowy stół z kilkoma krzesłami z bliżej niezidentyfikowanego drewna, zmaltretowany stolik kawowy oraz oprawiona w ramę kopia obrazu. Bezpieczne domy nie posiadały zbyt wielu udogodnień. Były do bólu funkcjonalne, utrzymywano je w stałej gotowości do użycia, w kuchni znajdowało się wszystko to, co potrzebne do zrobienia kawy i herbaty, lecz nie było tam ani śladu żywności. Kwadrans później, gdy Liz wciąż wyjmowała na stół wyciągniętą z segregatora kolekcję zdjęć, zadzwonił telefon.

- Dziewięćdziesiąt sekund - powiedział głos z drugiej strony. - Czysto.

Otworzyła drzwi w chwili, w której rozległ się dzwonek i wprowadziła Marcepana po schodach.

- Chciałbyś się czegoś napić? Może kawy albo herbaty?

Sohail powoli i poważnie potrząsnął głową. Nic nie mówił, lecz rozglądał się uważnie po otoczeniu.

- Jadłeś coś? - spytała w nadziei, że tak.

- Niczego teraz nie potrzebuję - powiedział.

- No dobrze, a więc zacznijmy. Chcę, żebyś nie spieszył się z oglądaniem, lecz nie zastanawiaj się zbyt nad nimi. Zwykle liczy się pierwsze wrażenie.

Zdjęcia pochodziły z rozmaitych źródeł. Najlepsze były kopiami fotografii dołączanych do wniosków o paszporty i prawa jazdy. Reszta pochodziła głównie z obserwacji. Wykonano je z oddali ukrytymi aparatami i były zdecydowanie gorszej jakości. Sohail nie spieszył się, przyglądał się uważnie każdemu zdjęciu, zanim z żalem potrząsał głową. O jedenastej, gdy byli dopiero w połowie, Liz przyszło do głowy, że rodzice Sohaila zaczną się martwić, jeśli wbrew swym zwyczajom wróci tak późno.

- Chyba powinniśmy zrobić sobie przerwę - oznajmiła. - Mógłbyś przejrzeć resztę jutro? - Skinął głową, zaś ona powiedziała: - A więc spotkajmy się ponownie tutaj. Może być o wpół do ósmej? Przyjdź w taki sam sposób, jak dzisiaj. - Popatrzyła na niego. Wyglądał na bardzo zmęczonego. - Powinieneś pojechać do domu taksówką. Zaraz ją wezwę.

Poszła zadzwonić. Po powrocie rzekła:

- Wyjdź stąd za dziesięć minut. Opuść rejon stajni, skreć w lewo i wtedy ulicą nadjedzie taksówka. Gdy się zbliży, zapali światła. Kierowca wysadzi cię kilka przecznic od domu.

Popatrzyła na młodego mężczyznę i nagle poczuła troskę, niemal matczyną czułość. Szkoda, że nie udało mu się jeszcze zidentyfikować żadnego z trzech podejrzanych. Nie była jednak przygnębiona. Już dawno nauczyła się, że sukces w jej fachu wymagał czasu i cierpliwości, poza tym zwykle przychodził nagle i niespodziewanie.



Maddie wróciła już do Belfastu, gdy Molly, jej matka, zatelefonowała do niej z wieściami od lekarza. Można było jedynie próbować zmniejszyć ból. Sean Keaney miał umrzeć w domu.

Znalazła się więc znów w małym ceglanym domku, w którym jej ojciec i matka przeżyli ponad czterdzieści lat, stojącym tuż przy Falls Road w Belfaście. Domku równie skromnym i bezbarwnym, jak budynki stojące w rzędzie obok niego. Tylko bardzo uważny obserwator zauważyłby niezwykłą grubość drzwi frontowych lub to, że malowane okiennice zaopatrzone były w stalowe wzmocnienia.

Dowiedziawszy się, że śmierć Seana Keaneya jest nieunikniona, rodzina zgromadziła się niczym karawana osadników ustawiająca wozy w kształt koła dla obrony przed napaścią. Było to jednak przerzedzone koło, pomyślała Maddie. Jedna z córek zmarła przed dwoma laty na raka piersi, zaś jedyny syn - oczko w głowie ojca - został zastrzelony piętnaście lat temu, gdy próbował ominąć zorganizowaną przez armię brytyjską blokadę drogową. Teraz pozostały tylko ona i starsza siostra, Kate.

Maddie przyjechała tylko dlatego, że poprosiła ją o to matka. Gdy była małą dziewczynką, niechęć odczuwana przez nią wobec ojca była równie wielka, jak miłość względem matki. Kiedy dorosła, nawet i ta miłość przygasła z powodu frustracji, jaką wywoływała w niej bierność matki w obliczu dominującego charakteru męża. Maddie nie mogła po prostu pojąć, dlaczego matka dobrowolnie zrezygnowała ze swych niezwykłych cech - muzykalności, miłości do książek, typowego dla urodzonych w Galway poczucia humoru - tylko dlatego, że jej mąż Sean żądał, aby to Walka pozostawała zawsze na pierwszym miejscu.

Maddie wiedziała, że miara poświęcenia jej ojca sprawie irlandzkiego nacjonalizmu wzbudzała swoisty podziw. To jednak tylko zwiększało w niej niechęć i złość na nieczułość, z jaką traktował rodzinę. Nigdy nie była jednak pewna, co według niej zasługiwało na większą pogardę - on sam, czy też reprezentowany przez niego ruch. Gdy tylko mogła, oddaliła się od jednego i od drugiego - w wieku osiemnastu lat

wyjechała, by studiować prawo w University College w Dublinie i później została, by tam pracować.

Chodziło też o przemoc - oczywiście i przed nią Maddie uciekała. Nigdy nie zaprzętała sobie myśli liczeniem znanych jej osób, które zostały ranne lub zastrzelone. Byli też inni, po prostu zwyczajni ludzie, którzy mieli pecha i znaleźli się w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie. Uznała, że nigdy nie da się przestać liczyć. Ojciec obsesyjnie strzegł tajemnic swego „życia zawodowego”, jednak gdy rodzina Keaneyów słuchała w wiadomościach o każdej przeprowadzonej przez IRA „operacji” - to eufemizm określający eksplozje, strzelaniny i śmierć - w zapadającej wokół nich ciszy wybrzmiewała nie niewinność, lecz znajomość rzeczy. Nic nie mogło uciszyć ciężaru śmierci, którą dzieciństwo Maddie poprzebijane było niczym jakaś groteskowa, zmasakrowana tarcza do rzutek. Zwłaszcza śmierci jej brata, urodzonego i wychowanego na republikanina, a zabitego, zanim zdołał sobie uświadomić, że jego życie może przybrać zupełnie inny obrót.

A teraz spędzała niezliczone godziny razem z matką i siostrą, wypijając kolejne filiżanki herbaty w małym salonie na dole, podczas gdy w łóżku na górze, pod wpływem silnych środków usmierających, leżał jej ojciec. Poprzez rozległą sieć towarzyszy, współników i przyjaciół rozniosły się wieści, że Sean Keaney ucieszy się, mogąc po raz ostatni gościć tych, którzy służyli wraz z nim, odkąd pod koniec lat sześćdziesiątych rozpoczęły się Kłopoty. Nigdy nie było nawet mowy o wezwaniu księdza, bo choć Keaney urodził się jako katolik, jedyną wyznawaną przez niego religią była twarda jak skała wierność Irlandzkiej Armii Republikańskiej.

Goście byli dobrze znani rodzinie. Kieran O'Doyle, Jimmy Garrison, Seamus Ryan i nawet Martin McGuinness, który pojawił się pewnego razu późnym wieczorem, przychodząc pod osłoną mroku, by jego wizyta pozostała niezauważona - cała długa lista działaczy ruchu republikańskiego. Dla umierającego byli dawnymi weteranami walki zbrojnej.

Wielu miało za sobą pobyt w więzieniu z powodu udziału w zabójstwach lub zamachach bombowych i teraz cieszyli się wolnością tylko dzięki warunkom amnestii zagwarantowanej przez porozumienie wielkopiątkowe. Podczas swej długiej kariery paramilitarnej Keaney zdołał uniknąć wyroków kryminalnych, jednak podobnie jak większość odwiedzających, w latach siedemdziesiątych internowano go na ponad rok w celach więzienia Maze.

To Maddie pokazywała gościom drogę na górę, ponieważ matkę męczyło nieustanne wchodzenie i schodzenie po schodach. Stojąc przy łóżku, próbowali rozmawiać o niczym z mężczyzną, którego znali jako Dowódcę. Maddie widziała jednak, że stan Keaneya wzbudzał w nich szok - niegdyś był postawnym człowiekiem, teraz jednak nieuleczalna choroba uczyniła z niego mały, skurczony cień poprzedniej postaci. Większość dawnych wspólników wyczuwała jego zmęczenie i skracala wizytę, kończąc ją nieskładnymi, lecz szczerymi pożegnaniem. Na dole przystawali, by porozmawiać chwilę z Molly i siostrą Maddie, Kate. Czasami, jeśli byli szczególnie bliscy Keaneyowi, wypijali szklaneczkę whisky.

Maddie dostrzegała, że nawet tak krótkie odwiedziny wysącały gasnącą energię ojca i poczuła ulgę, gdy nikt już nie pozostał na sporządzonej przez nie liście gości. Wtedy pojawiła się kolejna prośba ojca, jeszcze bardziej zdumiewająca dlatego, że została wypowiedziana po nocy takich boleści, iż wydawało się, że mężczyzna nie doczeka ranka.

- On chce się zobaczyć z Jamesem Maguirem! - oznajmiła, gdy zebrały się z siostrą i matką na śniadanie w małej kuchni na dole.

- Chyba nie mówisz poważnie - powiedziała Kate z niedowierzaniem.

Nawet pod ochronnym parasolem irlandzkiego nacjonalizmu James Maguire i Sean Keaney nigdy nie żyli ze sobą dobrze, ich koegzystencja była w najlepszym wypadku napięta. Wzajemną antypatię łagodziło jedynie oddanie wspólnej sprawie.

- Myślałam, że majaczy po morfinie, ale prosił już dwa razy. Nie wiem, co powiedzieć. Nie możemy chyba odrzucić prośby naszego umierającego ojca, prawda?

Siostra popatrzyła na nią ponuro.

- Pójdę na górę i zamienię z nim słówko. Coś musiało mu się pomylić. - Kiedy jednak wróciła, miała jeszcze surowszą minę. - Zdecydowanie nalega. Spytałam dlaczego chce się zobaczyć z Maguirem, a on powiedział: „To nie twoja sprawa. Po prostu przyprowadź go do mnie”.

Tak więc jeszcze tego samego dnia, mniej więcej na godzinę przed porą, o której Keaneyowie pijali herbatę, rozległo się pukanie do drzwi. Do domu wszedł wysoki, szczupły mężczyzna i choć był w podobnym wieku co umierający na górze człowiek, nie było w nim widać śladu kruchości. Nie wykazywał skromności widocznej w byłych towarzyszach Seana Keaneya, nie uściskał też dłoni żadnej z kobiet. Kate opowiedziała później Maddie, że gdy zabrała go na górę, znalazła ojca pogrążonego we

śnie i sądziła już, że dziwaczne spotkanie z długoletnim wrogiem w ogóle nie dojdzie do skutku. Kiedy jednak odwróciła się do gościa, mężczyzna rzekł pewnym głosem:

- Witaj, Keaney.

- Wejdz, Maguire - polecił słaby głos i Kate zobaczyła, że ojciec otworzył oczy. Uniósł kościstą dłoń, by ją odesłać, choć nie robił tego przy innych gościach.

Na dole Maddie czekała we frontowym salonie wraz z matką i siostrą, rozdarta pomiędzy ciekawością a niedowierzaniem. Zegar tykał i słyszały niski, basowy pomruk głosów na górze, najpierw przez pięć, potem dziesięć, wreszcie piętnaście minut. W końcu po półgodzinie usłyszały otwierające się drzwi sypialni i odgłos kroków na schodach. Maguire opuścił dom, nie przystając nawet, by choć zdawkowo się pożegnać.

Ojciec był tak wyczerpany, że Maddie nie mogła się zmusić, by zapytać o gościa i zostawiła go, żeby spał. Jej siostra była mniej cierpliwa i zaraz po herbacie udała się na górę, zdecydowana poznać powód, dla którego ojciec wezwał Maguire'a. Na dół wróciła jednak jednocześnie rozczarowana i zrozpaczona. Kiedy bowiem piły herbatę, ich ojciec, Sean Keaney, zmarł we śnie.



Charles Wetherby, dyrektor wydziału do walki z terroryzmem, przebywał w biurze od wpół do ósmej. Zeszłego wieczoru, zaraz po tym, jak wrócił do domu z kolacji z Geoffreyem Fane'em z MI6, Liz przekazała mu przez telefon informację o swym spotkaniu z Marcepanem. Na dziewiątą rano Wetherby zwołał nadzwyczajne spotkanie Komitetu ds. Walki z Terroryzmem, wspólnego organu MI5, MI6, GCHQ², policji metropolitalnej³ oraz Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Po raz pierwszy powołano go na polecenie premiera po zamachu na Twin Towers w Nowym Jorku 11 września 2001 r., aby zapewnić sprawną i pozbawioną wewnętrznej rywalizacji współpracę wszystkich rządowych agencji i departamentów zaangażowanych w walkę z terroryzmem zagrażającym Zjednoczonemu Królestwu. Na podstawie dostępnych informacji komitet uznał, iż możliwe jest zagrożenie najwyższego stopnia, wymagające natychmiastowego działania. Uzgodniono, że MI5 będzie dalej badać informacje uzyskane od Marcepana, przekazując pozostałym swoje postępy i w razie potrzeby, wykorzystując wspólne zasoby.

Teraz była już jedenasta i Wetherby kierował spotkaniem operacyjnym odpowiednich sekcji MI5. Sala odpraw znajdowała się w środku Thames House. Wychodziła na dziedziniec wewnętrzny, lecz nie posiadała okien na świat zewnętrzny. Była przestronna, wokół długiego stołu ustawiono w niej kilka rzędów krzeseł, zaś na jednym z krańców pomieszczenia stał ekran oraz reszta sprzętu technicznego. Pomimo swych rozmiarów, sala była zatłoczona i Liz wciśnięto pomiędzy Judith Spratt a oschłego Reggiego Purvisa, z Yorkshire kierującego A4, sekcją obserwacyjną, której oddziały zapewniały wczoraj Liz i Marcepanowi ochronę przed kontrobserwacją.

² Centrala Łączności Rządowej (Government Communications Headquarters) to brytyjska agencja wywiadowcza, której zadaniem jest zbieranie i analiza informacji pochodzących z rozpoznania radiotechnicznego i radioelektronicznego (przyp. tłum.).

³ Policja metropolitalna (Metropolitan Police) to siły policyjne aglomeracji londyńskiej (przyp. tłum.).

Oprócz nich obecna była też niewielka armia krzepko wyglądających osobników w koszulach z krótkimi rękawami, głównie byłych wojskowych. Byli członkami A2, sekcji odpowiedzialnej za „opluskwanie i włamy” - instalację ukrytych urządzeń podsłuchowych i kamer, obecnie dokonywaną wyłącznie na podstawie nakazu. Liz wiedziała, że byli oni ekspertami w wykorzystaniu umiejętności wymaganych do tego ryzykownego, szargającego nerwy fachu. Pozostałe miejsca zajmowali koledzy Judith Spratt z sekcji śledczej; „Techniczny Ted” Poyser, główny konsultant we wszystkich kwestiach związanych z komputerami; Patrick Dobson z biura Dyrektora Generalnego, odpowiedzialny za kontakty z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, a także Dave Armstrong, który właśnie wrócił z Leeds. Nawet z pewnej odległości Liz dostrzegła, że przydałaby mu się maszynka do golenia, czysta koszula i dobrych parę godzin snu.

Liz знаła i lubiła większość swych kolegów, nawet Reggiego Purvisa, który choć małowówny i uparty, doskonale radził sobie w swoim fachu. Jedyne wyjątek od reguły pojawił się pod koniec spotkania i z głośnym stukotem zasiadł na jedynym wolnym krześle. Michael Binding wrócił przed rokiem z wyjątkowo długiego pobytu w Irlandii Północnej i teraz jako główny pchlarz i włamywacz kierował A2. Binding traktował wszystkie swe koleżanki z irytującą mieszaniną galanterii oraz protekcyjności i Liz znosiła to jedynie dzięki silnej samokontroli.

Tego poranka gwoździem programu było nagranie Liz i Marcepana. Większość obecnych widziała już znaczną część zawartości kasety przy różnych okazjach - w telewizji, czy też na ekstremistycznych stronach internetowych. Mimo to odczuwali szok na widok bezmiaru wrogości zawartej w brutalnych scenach, zawziętości przekazu, przekraczającego wszelkie granice językowe i kulturowe i głoszącego, że obowiązkiem niektórych jest nienawidzić i niszczyć wszystkich z powodów pozostających poza kontrolą którejkolwiek ze stron.

W całym tym rozgardiaszu krwi i przemocy, noży podryznających gardła, krzyków, strachu, eksplozji i pyłu, nie było nic bardziej złowieszczonego, bardziej lodowato okrutnego, niż obraz mężczyzny w białej szacie i z czarną brodą, siedzącego na macie i przemawiającego opadającym i wznoszącym się niczym odgłos syreny alarmowej głosem, w języku niezrozumiałym dla większości obecnych. Mimo to jego przekaz, pełen nienawiści, dialektyki i nieugiętości, był aż nadto czytelny. Z faktu, że jego sylwetka pojawiała się pomiędzy różnymi scenami przemocy, wynikało jasno, iż jego słowa miały ilustrować różne punkty doktryny lub metody, prowadzące jednak

do tego samego celu: śmierci. W końcu obraz zamigotał przez dłuższą chwilę i kaseta zatrzymała się. Wetherby przerwał wywołaną szokiem ciszę.

- Mężczyzna w białej szacie to imam, którego nasz agent Marcepan widział wczoraj w księgarni w Haringey. Za jakąś godzinę będziemy dysponować pełną transkrypcją tekstu, jednak sedno tego, co mówił wydaje się dość jasne. Judith?

Judith została krótko wprowadzona w sens przez jednego z tłumaczy z urdu, którzy pracowali nad przejętym przekazem. Zerknęła do notatek.

- Nawoływał do pospolitego ruszenia. Wszyscy prawowierni powinni chwycić za miecz i tak dalej, wymierzając go w amerykańskiego Szatana i jego złych sojuszników. Ci, którzy rozpoczną walkę, powinni z radością przywitać śmierć, ponieważ zostaną pobłogosławieni w innym świecie. To było ostatnie zdanie. Ciekawe jest jednak to, że nie była to zwyczajowa tyrada. Zaaranżowano to według mnie na kształt swoistego wykładu, którego punkty ilustrowane były różnymi scenami przemocy. To tak w skrócie.

- Chcesz powiedzieć, że był to rodzaj instruktażowego wideo? - spytał Dave Armstrong.

- Tak. Coś w tym stylu. Na pewno nie było to tylko kazanie.

- To pasowałyby do zeznania Marcepana - skomentowała Liz.

- Podobnie jak fakt, że widownia liczyła trzy osoby - rzekła Judith. - To idealna liczebność grupy. Zapewnia maksymalne bezpieczeństwo, poza tym każdy z członków może obserwować pozostałych.

- A skąd pochodziły klipy wideo? - zapytał ktoś.

- Scena podrywania gardła była na pewno morderstwem Daniela Pearla, amerykańskiego reportera - odpowiedział Wetherby. - Pozostałe mogły zostać nakręcone gdziekolwiek, zapewne w Iraku. Jeśli musimy to wiedzieć, pewnie pomoże nam w tym tłumaczenie.

Odwrócił się do kogoś na końcu stołu, kogo Liz nie rozpoznawała. Był to mężczyzna o szerokich ramionach, schludnie ubrany w dobrze dopasowany garnitur oraz szkarłatny krawat, z przyjazną i lekko kanciastą twarzą. Niewiele mu brakuje do ideału przystojniaka, zauważyła w myślach.

- Tom - rzekł Wetherby. - A co z tym imamem? Wiemy, kim jest?

Mężczyzna nazwany Tomem odpowiedział miękkiem głosem. Liz pomyślała z ironią, że jego akcent znany był jako brytyjska angielszczyzna, „właściwy angielski”, jak nazywała to jej matka.

- Nazywa się Mahmud Abu Sajed. Kieruje medresą w Lahore. I owszem, jest nauczycielem, jak zasugerowała Judith. Jednak jego medresa jest znana jako jedna z wylęgarni radykalizmu. Sam Abu Sajed urodził się w pobliżu granicy afgańskiej. Jego rodzina ma silne powiązania z talibami. Jest wyjątkowym dogmatykiem, nawet jak na radykała. - Przerwał na chwilę. - Sprawdźmy to w Biurze Imigracyjnym, lecz najprawdopodobniej przyjechał pod innym nazwiskiem. Mogę się założyć, że nigdy dotąd nie był w Wielkiej Brytanii. Angielscy studenci zawsze podróżowali do niego do Lahore. Jeśli jest tutaj, to sądzę, że szykuje się coś naprawdę ważnego.

Przez chwilę panowała cisza, po czym ubrany w ciężką tweedową marynarkę, zaczerwieniony Michael Binding wychylił się z krzesła i zamachał ołówkiem, aby przyciągnąć uwagę Wetherby'ego.

- Poczekaj, Charles. Czuję, że coś za bardzo wybiegamy do przodu. W A2 mamy teraz spore problemy logistyczne. Ten imam może i jest podżegaczem, ale w swoim świecie jest zapewne szanowanym osobnikiem. Czy to naprawdę takie niezwykle, że młodzi muzułmanie chcą posłuchać, jak mówi albo, że zbiera się wokół niego garstka uczniów? Może po prostu chcą posiedzieć u jego stóp. W Irlandii Północnej...

Liz przerwała, starając się nie brzmieć na nadmiernie niecierpliwą:

- Nie takie było wrażenie Marcepana, a jak na razie jego przeczucia okazały się w przynajmniej dziewięćdziesięciu procentach słuszne. To nagranie nie było wykładem teologicznym. Marcepan uznał, że ci ludzie przygotowują się do misji, a ja popieram tę opinię.

Binding oparł się z powrotem na krześle, wyglądając na zirytowanego, drapiąc się ołówkiem po nosie. Wetherby uśmiechnął się ponuro.

- Komitet przyjął, że w świetle tych wydarzeń może istnieć konkretne zagrożenie - powiedział. - I ja też tak uważam. Musimy w tym momencie przyjąć robocze założenie, że ci trzej młodzi ludzie przygotowują pod nadzorem imama jakąś zbrodnię i byliśmy świadkami warunkowania, czy też nawet utwierdzania zamiarów, mającego zapewnić, by do końca nie zrezygnowali ze swych planów. Póki nie mamy informacji świadczących, że jest inaczej, musimy zakładać, iż szykuje się atak na nasz kraj. - Przerwał. - I to atak o wyjątkowej sile - dodał po chwili.

Wydawało się, jakby salę ogarnął lekki chłód. Jeśli nie wykryje się zamachowca-samobójcy przed rozpoczęciem misji, praktycznie nie da się go powstrzymać. Trzej zamachowcy-samobójcy mogą sprawić, że sytuacja stanie się trzykrotnie trudniejsza. Przynajmniej jednemu musi się udać. Wciąż nie wiadomo

było dokładnie, co się szykuje, lecz Liz zdała sobie sprawę, że Marcepan przynajmniej dał im jakąś szansę.

- Operacja będzie prowadzona przez sekcję śledczą, a dowodzić nią będzie Tom Dartmouth - odezwał się znów Wetherby. - Kryptonim to POLOWANIE NA LISA. Dave, będziesz dalej prowadził Marcepana. To ty spotkasz się z nim dziś wieczorem.

Liz poczuła nagły ciężar w trzewiach. Poczowała, jak rumieni się z rozczarowania. Dave Armstrong spoglądał na nią z sympatią, lecz była w stanie przywołać na wargi jedynie cień uśmiechu. Jej przymusowy urlop nie był jego winą. Przejął Marcepana na uczciwych warunkach, zanim agent stał się „gwiazdą”. Było logiczne, że będzie go dalej prowadził. Nie licząc poczucia rozczarowania, ciężko jej było analizować własne uczucia. Chodziło o coś związanego z Marcepanem - jego wrażliwość, jego bezradność, niemal o jego *zasady*. W tak wielu kwestiach był jej obcy. Pochodził z innej kultury, z zupełnie odmiennego środowiska, a jednak jego zasady były identyczne, jak jej. Czy w pełni rozumiał niebezpieczeństwo, w jakie wchodził? Nie była w stanie tego stwierdzić. Było coś niemal naiwnego w sposobie, w jaki im się oddał. W milczeniu przygryzła wargi. Wetherby znów zaczął mówić. Niemal nienawidziła tej jego rzeczowej manieri, pewnego tonu głosu:

- Aktualny cel to dowiedzieć się więcej - rzekł. - Nie osiągniemy żadnej wyraźnej przewagi, wchodząc już teraz. Nagranie niczego nie dowodzi. Na nikogo nic nie mamy. Naszym pierwszym krokiem musi być obserwacja sklepu. Chciałbym tam też mieć podsłuch i ukryte kamery, tak szybko, jak tylko możemy. Patrick, zajmiesz się nakazem?

Patrick Dobson skinął głową.

- Przekażę to do biura ministra spraw wewnętrznych. Wiem, że jest w Londynie, więc powinno pójść szybko. Mam nadzieję, że do szóstej. W przeciągu godziny będę potrzebował pisemnego wniosku.

Tom przytaknął.

- Judith, proszę cię, byś się tym zajęła. Wetherby odwrócił się do Bindinga.

- Przepraszam, Michael. Tak to już jest. Jeśli dostaniemy nakaz, chcę, by twoi chłopcy weszli do akcji jutrzejszej nocy. Możecie to zrobić?

Binding pokiwał powoli głową.

- Zapewne możemy to zrobić, jeśli Marcepan naszkicuje plan wnętrza budynku. Oczywiście wcześniej będziemy potrzebować wyników obserwacji A4: kim są kluczowe osoby, o której wychodzą, gdzie mieszkają, kto ma klucze. Nie chcemy, by

coś nam zakłóciło pracę. Porozmawiam też z Wydziałem Specjalnym. Tom, musisz mi powiedzieć, ile będę mógł im przekazać.

- Porozmawiamy o tym zaraz po zebraniu - przytaknął Tom.

Reggie Purvis popatrzył na Liz.

- O czwartej zrobię odprawę dla oddziałów A4. Mam nadzieję, że ty i Dave zdołacie przyjść na spotkanie. Potrzebujemy otrzymanych od Marcepana informacji na temat terenu i ludzi.

Liz spojrzała na Dave'a i skinęła głową. Wetherby zebrał papiery.

- Spotkamy się ponownie jutro w moim pokoju. Chcę raportów sytuacyjnych od przedstawicieli każdej z sekcji. Judith, proszę o notatkę ze spotkania. Przekaż ją Tomowi i niech on rozprowadzi ją dalej.

Gdy obecni zaczęli się zbierać, Wetherby zawołał Liz:

- Moglibyśmy zobaczyć się w moim biurze, powiedzmy o dwunastej? Wcześniej muszę wykonać szybki telefon.

Gdy Liz opuściła salę, Dave Armstrong dogonił ją i odprowadził do schodów.

- Dziękuję, że zastąpiłaś mnie wczoraj wieczorem - powiedział.

- Żaden problem - odparła. - Jak poszło na północy?

Dave pokręcił głową.

- Wiele hałasu o nic - rzekł, drapiąc się po szczeciniastym podbródku. - Przyszędłem prosto tutaj. Nawet jeszcze nie byłem w domu. Ale przynajmniej ta sprawa wydaje się konkretna.

Zeszli po schodach na czwarte piętro.

- Powiedz mi - poprosiła Liz - kim jest ten cały Tom? Nigdy wcześniej go nie widziałam. Jest nowy?

- Tom Dartmouth - odpowiedział Dave. - I nie, nie jest nowy. Był w Pakistanie, po 11 września przydzielili biedaka do tamtejszego MI6. Mówi po arabsku. Powinienem był was przedstawić, ale nie sądziłem, że się nie znacie. Chyba wrócił, gdy chorowałaś. Polubisz go, to miły facet. Zna się na rzeczy.

Popatrzył na Liz przez chwilę i na jego twarzy powoli pojawił się uśmiech. Szturchnął ją wesoło łokciem.

- Nie podniecaj się za bardzo. Słyszałem, że jest jakaś pani Dartmouth.

- Nie bądź śmieszny - powiedziała Liz. - Tylko jedno ci w głowie.



I dąc korytarzem na spotkanie z Wetherbym, Liz czuła jednocześnie trwogę i niecierpliwość. Od powrotu do pracy widziała się z nim tylko przelotnie, kiedy wyszedł jej na spotkanie pierwszego poranka, ponieważ później musiał pędzić na spotkanie w Whitehall. Kiedy przydzielił Marcepana z powrotem Dave'owi Armstrongowi czuła się bardzo rozczarowana, choć w głębi serca nie zaskoczyło jej to. Teraz miała jednak nadzieję, że będzie miał dla niej coś równie ważnego. Bóg jej świadkiem, że raczej nie będzie brakować roboty - dzień wcześniej jeden ze starych wyg w wydziale do walki z terroryzmem powiedział jej, że nawet u szczytu nasilenia zamachów bombowych IRA w Londynie życie w Thames House nie było aż tak szalone.

Gdy weszła do pokoju, Wetherby stał przy biurku. Gestem wskazał jej, by usiadła, ona zaś nie po raz pierwszy pomyślała o tym, jak mało tak naprawdę wie o tym mężczyźnie. W swym schludnie wyprasowanym garniturze i wypastowanych półbutach na niskim obcasie z łatwością mógłby wtopić się w dowolną grupę dobrze ubranych mężczyzn. Uważny obserwator zauważyłby jednak jego oczy. Były osadzone w niewyróżniającej się, trochę nierównej twarzy i widać w nich było czujność, która mogła błyskawicznie przejść w rozbawienie lub chłód. Niektórzy ludzie niewłaściwie odczytywali jego łudzaco łagodne zachowanie, lecz Liz wiedziała z doświadczenia, że za spokojnym wyglądem kryły się przenikliwy intelekt i determinacja. Dawniej Liz wiedziała, że jest dla niego ważna i to nie tylko z powodu swych zdolności śledczych. Ta zawodowa więź pozostawała jednak chłodna i przenikała ją subtelna ironia, zupełnie jakby znali się lepiej w jakimś innym życiu.

- Gdy byłem małym chłopcem, miałem irlandzką nianię, która gdy byłem wzburzony, miała zwyczaj pytać mnie, czy nie wychodzę z siebie. To śmieszne wyrażenie, ale odpowiednie. A co z tobą? - spytał Wetherby.

Uśmiechał się, lecz zachowywał czujność, zaś Liz, odpowiadając, spoglądała mu prosto w oczy:

- Naprawdę nie musisz się o mnie martwić.

- Słyszałem, że byłeś u mamy. Wszystko z nią w porządku?

- Tak, jest dobrze. Martwi się, że brak deszczu zmarnuje młode krzewy. - Liz przerwała, po czym spytała grzecznie: - A co z Joanne? Poprawiło się? - Żona Wetherby'ego cierpiała na wyniszczającą chorobę krwi, która uczyniła z niej pół-inwalidkę. Liz pomyślała jakie to dziwne, że zawsze pytał ją o matkę, zaś ona jego o żonę, choć nigdy nie poznali obiektów swych trosk.

- Raczej nie - odrzekł Wetherby, marszcząc brwi i potrząsając lekko głową, jakby chciał odrzucić od siebie nieprzyjemną myśl i ciągnąć dalej. - Chciałem się z tobą zobaczyć, bo mam dla ciebie przydział.

- Związany z operacją? - zapytała z nadzieją.

- Nie bardzo - odparł Wetherby. - Choć chciałbym, abyś pracując nad tym, pozostała w sekcji i angażowała się w jej działania. To przydział zastępczy, choć istotny.

Cóż mogło być istotniejszego niż samobójczy atak zagrażający Wielkiej Brytanii? Nagle zaczęła się zastanawiać, czy nie była to degradacja. Wydawało się to jedynym wytłumaczeniem.

- Czy nazwisko Sean Keaney coś ci mówi?

Liz zastanawiała się przez moment.

- Człowiek z IRA? Oczywiście. Ale on chyba nie żyje?

- Tak, zmarł w zeszłym miesiącu. Przed śmiercią poprosił o spotkanie z jednym ze swych dawnych towarzyszy, człowiekiem o nazwisku James Maguire. Było to dziwne, ponieważ ci dwaj nigdy się ze sobą nie dogadywali. Keaney był zwolennikiem przemocy, podobnie jak większość członków IRA, ale był również skłonny do rozmów - w latach siedemdziesiątych brał udział w sekretnych rozmowach z Williem Whitelawem. Jednak Maguire zawsze twierdził, że nawet rozmowy z Brytyjczykami były równoznaczne ze zdradą. Kiedyś zasugerował nawet, że Keaney mógł dla nas pracować.

Liz podniosła pytająco brew.

- Odpowiedź brzmi: nie - rzekł Wetherby. - Keaney nigdy dla nas nie pracował.

- Przerwał i roześmiał się krótko. - W przeciwieństwie do Maguire'a, choć był on tak wyjątkowym dogmatykiem, że nikt go nigdy nie podejrzewał. Poza Keaneyem. To

dlatego, gdy Keaney wiedział już, że umiera, chciał się zobaczyć z Maguirem. Chciał się upewnić, że to, co mu powie, dotrze do nas. I dotarło.

Wetherby znów przerwał i wyglądał na zamyślonego.

- Na początku lat dziewięćdziesiątych Tymczasowa Rada IRA wpadła w paranoję, że przeniknęli do niej brytyjscy informatorzy. Keaney wpadł na pomysł, by odwrócić role - postanowił infiltrować nas. I tuż przed śmiercią powiedział Maguire'owi, iż udało mu się umieścić w szeregach brytyjskich służb bezpieczeństwa kartę atutową.

- Kartę atutową? Masz na myśli kreta?

- Tak, właśnie to mam na myśli.

- Co chciał powiedzieć, mówiąc o brytyjskich służbach bezpieczeństwa? O którą służbę mu konkretnie chodziło?

- Nie sprecyzował tego. Być może sam tego nie wiedział, lecz nawet jeśli wiedział, nie przekazał tego Maguire'owi. Jedyne, o czym poinformował Maguire'a, to to, że owa karta atutowa poszła do Oxfordu i że to właśnie tam została - bądź został - zwerbowana przez sympatyka IRA. Najprawdopodobniej przez dona⁴, choć być może nie. Chodzi o to, że według Keaneya kret zdołał wstąpić do służb bezpieczeństwa. Jednak mniej więcej w tym samym okresie rozpoczęły się rozmowy pokojowe, zakończone porozumieniem wielkopiątkowym. Keaney uznał, że operacja z wtyczką nie była warta ryzyka. Tak więc, według Keaneya, ten agent nigdy nie został przebudzony.

- Dlaczego Keaney przemówił teraz? Minęło niemal piętnaście lat.

Wetherby wyjął wargi.

- Gdy przyłapano IRA na zapluskwieniu Stormont⁵, niemal zniweczyło to cały proces pokojowy, Keaney powiedział, że obawiał się, iż ujawnienie infiltracji wywiadu brytyjskiego przez IRA znów odsunie proces, tym razem być może na dobre. Wszelkie przecieki o naszych informatorach w IRA zawstydzaly IRA, lecz tak naprawdę potwierdzały jedynie to, co wszyscy i tak już od dawna podejrzewali. Gdyby jednak im udało się zinfiltrować nas, wieści mogłyby mieć katastrofalny skutek.

- Wierzysz w to? - spytała Liz.

- Chodzi ci o powód Keaneya, by mówić o tym teraz? Po prostu nie wiem. Obawiam się, że skoro już go nie ma, nie możemy go o to zapytać.

⁴ Don - nauczyciel akademicki w Wielkiej Brytanii (przyp. tłum.).

⁵ Stormont - parlament Irlandii Północnej (przyp. tłum.).

- Czy to możliwe - Liz zapytała z wahaniem - że Keaney mógł to sobie wszystko wymyślić? No wiesz, ostatni cios wieloletniego wroga, wymierzony rządowi Jej Królewskiej Mości?

- Możliwe - powiedział Wetherby. - Jednak jeśli jest choćby szansa na to, że powiedział prawdę, nie możemy jej zignorować. Jeśli rzeczywiście członek któregoś ze służb wywiadowczych zgodził się szpiegować dla IRA... i najwyraźniej wstąpił właśnie w tym celu...

- Lecz nigdy nie został przebudzony.

- Nie - rzekł Wetherby. - Jednak sama ewentualność jest już dostatecznie katastrofalna, ktoś taki jest zdolny do wszystkiego. Musimy dowiedzieć się więcej na ten temat, Liz. Nie możemy tego zignorować.

Liz od razu wiedziała, że miał rację. Skoro mieli już wyznaczenie Keaneya, należało pójść za ciosem. Aż się wzdrygnęła na myśl, co mogłoby się stać, gdyby w ręce polityków lub mediów dostała się informacja, że nie podjęli żadnego działania. Nie była w stanie nawet pomyśleć o perspektywie kolejnego Burgessa czy Macleana, albo, co gorsza, Philby'ego lub Blunta⁶, wyzierających z pierwszych stron wszystkich tabloidów. Zaś gdyby MI5 zignorowało całą sprawę, reputacja Służby runęłaby w gruzach.

- A więc musimy przeprowadzić śledztwo w tej sprawie. I chcę, żebyś ty to zrobiła.

- Ja? - spytała Liz, niezdolna ukryć zaskoczenia. Wiedziała już, że weźmie udział w tej sprawie, ale żeby prowadzić śledztwo? Nie podchodziła do swej pracy z fałszywą skromnością, lecz wciąż spodziewała się, że dowodzić będzie raczej jakiś starszy oficer. Może więc sprawa nie była jednak tak istotna, jak to sugerował Wetherby.

- Tak, ty.

- Ale Charles - powiedziała lekko nerwowo Liz - nie mam doświadczenia w kontrwywiadzie i bardzo słabo znam Irlandię Północną.

Wetherby potrząsnął głową.

- Przedyskutowałem to już z dyrektorem generalnym. Na razie ma to zostać w naszych rękach. Na pewno nie chcemy, by maczał w tym palce ekspert na temat Irlandii Północnej. Potrzebuję dobrego śledczego, kogoś z twoim drygiem, kto nie jest

⁶ Guy Burgess, Donald Maclean, Kim Philby, Anthony Blunt - nazwiska brytyjskich wywiadowców szpiegujących dla ZSRR (przyp. tłum.).

znany w Irlandii Północnej, lecz posiada jakąś wiedzę na temat tego miejsca. Byłaś tam przez jakiś czas, chyba kilka miesięcy, prawda? – Liz przytaknęła. - Nie dość długo, by cię wciągnęło - dodał Wetherby.

Liz poczuła nagle, że jej to raczej pochlebia.

- Jeśli nie wiemy, czy celem było MI5, co z innymi służbami?

- Rozmawiałem z Geoffre'yem Fane'em - powiedział, mając na myśli równego rangą zwierzchnika w MI6. - Obydwaj zgodziliśmy się, że najprawdopodobniej służbą docelową było MI5. Fane rozmawiał z C⁷ i aktualnie nie mają najmniejszej ochoty na wewnętrzne śledztwo. W końcu przejęliśmy Irlandię Północną od MI6 w latach osiemdziesiątych, zaś według Keaneya kret dołączył na początku lat dziewięćdziesiątych. Raczej celowałiby w MI5. Tak więc Fane zgodził się, że zaczniemy od skupienia się tutaj. Chce, by ktoś brał udział w śledztwie, by go informował. - Popatrzył bez wyrazu na Liz, która wiedziała, że choć Wetherby doceniał zawodowe zdolności Fane'a, nie do końca mu ufał. - Będzie to jednak ktoś młodszy. Ty dowodzisz. Będziesz potrzebowała przykrywki dla rozmów, jakie przeprowadzisz, gdy już dostaniesz listę... - przerwał na chwilę, poszukując odpowiedniego słowa, po czym powiedział: -... kandydatów. Jeśli będziesz na nowo wypytywać o pewne osoby, musimy mieć po temu dobry powód, inaczej wszystko się wyda i kret zostanie ostrzeżony. Zgodziliśmy się z dyrektorem generalnym, że przykrywka będzie następująca: parlamentarna komisja bezpieczeństwa i wywiadu martwi się, że nie dość często przeprowadza się weryfikację członków służb wywiadowczych. Uważają, iż powinno się tego dokonywać częściej. Dyrektor generalny postanowił więc, by celem eksperymentu przeprowadzić weryfikację na próbie losowej, aby przekonać się, czy przyniesie to cokolwiek użytecznego. Tak właśnie powiesz, jeśli ktoś zapyta cię, dlaczego wypytujesz o jego kolegów. Do prywatnych spotkań powinnaś wykorzystywać narożną salę konferencyjną, zarezerwowałem ją już do twojego wyłącznego użytku. W pozostałych przypadkach korzystaj ze swego normalnego pokoju. Dla wiadomości twoich kolegów, wciąż jesteś w wydziale do walki z terroryzmem. Sądzę, że to chyba wszystko na teraz, ewentualne szczegóły możemy ustalić później. Czy masz jakieś pytania?

- Tylko jedno. Chciałabym porozmawiać z kontrolerem Maguire'a.

Wetherby uśmiechnął się smutno.

- Obawiam się, że to niemożliwe - rzekł. - To był Ricky Perrins.

⁷ C - określenie szefa brytyjskiego wywiadu MI6 (przyp. tłum.).

- Och, nie. - Perrins zginął w wypadku samochodowym trzy tygodnie wcześniej, była to jedna z pierwszych rzeczy, o których Liz dowiedziała się po powrocie do pracy. Szczególnie smutne było to, że osierocił dwoje małych dzieci, a młoda wdowa spodziewała się trzeciego.

- Na pewno powinnaś zerknąć do jego raportu. Być może będziesz chciała porozmawiać z Maguirem, lecz nie sądzę, by udało ci się wyciągnąć z niego wiele więcej. Wydaje mi się, że skoro powiedział już Ricky'emu, co miał do powiedzenia, nie chce mieć już z nami do czynienia.



Zaniepokoił ją trzech znajdujący się na ulicy mężczyźni. Doris Feldman przywykła do tego, że do sklepiku po drugiej stronie wciąż wchodzi i wychodzą wszyscy ci dziwni młodzi ludzie - jakże dziwnie się ubierali, nie mogła się do tego przyzwyczaić - jednak byli oni równie punktualni, jak zegarek i o wpół do ósmej wieczorem zawsze było już cicho.

Doris zajmowała małe mieszkanie w Haringey, nad sklepem z artykułami żelaznymi, którego była właścicielką i który prowadziła. Jak lubiła mawiać, urodziła się i wychowała w Londynie, choć chętnie przyznawała, że jej ojciec był cudzoziemcem, który jako nastolatek przyjechał z Mińska z torbą na ramieniu, pełną nędznych błyskotek. Z początku prowadził na rynku stoisko, na którym sprzedawał kwiaty, później awansował do owoców i warzyw, zaś gdy zacisnął pasa i zaoszczędził tyle, by otworzyć własny interes, postanowił zająć się wyrobami żelaznymi. „W gwoździach są pieniądze”, jak zwykł mawiać nawet w tych latach, gdy za pensa można było dostać choćby i dziesięć gwoździ.

Doris nigdy nie wyszła za mąż i odziedziczyła sklep po śmierci rodziców. Nie oznaczało to nic więcej, niż tylko trochę towarów w magazynie i długie godziny pracy niezbędne do tego, by je sprzedać. Rozwój sklepów samoobsługowych stanowił niemal wyrok śmierci dla jej malutkiej placówki, lecz w tej gęsto zabudowanej i niezbyt zamożnej części północnego Londynu nie wszyscy posiadali samochód, zaś jej długie godziny otwarcia oraz encyklopedyczna wiedza na temat towaru, jaki trzymała w pudełkach, szufladach i na półkach sklepiku, przyciągały wystarczającą ilość klientów, by utrzymać bilans na plusie. „Pani Feldman, jest pani jak Selfridges⁸ na Capel Street”, powiedział jej kiedyś jeden z klientów i spodobało jej się to.

To wszystko nie pomagało jednak zasnąć. Dlaczego było tak, że najpierw z nastaniem siódmej, a następnie ósmej dekady życia zamiast coraz mniej, miała coraz

⁸ Brytyjska sieć sklepów wielobranżowych (przyp. tłum.).

więcej problemów z przetrwaniem nocy? W okolicach drugiej nad ranem zaczynała się powoli wybudzać, póki jej umysł nie stawał się czysty jak lza. Najpierw wierciła się i obracała, potem zapalała światło, włączała radio, gasiła światło, znów wierciła się i obracała, wreszcie dawała za wygraną i wstawała z łóżka. Zakładała szlafrok i grzała wodę w czajniku, podczas gdy jej kotka Esther (niemal równie stara jak Doris, przynajmniej w kocich kategoriach) spała jak dziecko w koszyku stojącym przy piecu.

To właśnie, dlatego tej piątkowej nocy... piątkowej? Co też jej chodziło po głowie? Była już sobota, trzecia rano - Doris Feldman siedziała w fotelu, grzejąc kubkiem dłonie i spoglądając przez okno na ulicę. Jakże zmieniła się okolica, choć co dziwne, było chyba ciszej niż kiedyś. Gdy była dzieckiem, mieszkało tu wielu jej podobnych, emigrantów z Rosji i Polski, wymieszanych z Irlandczykami, którzy czasami się sprzeczali, zwłaszcza w weekendowe wieczory, gdy spędzili za dużo czasu w pubie. Potem, po wojnie, przyszli kolorowi. Wielu z nich było porządnymi ludźmi, lecz na Boga, jakież robili hałas, grali muzykę, tańczyli i wiedli życie na ulicy.

I wreszcie niedawno zaczęli wprowadzać się Azjaci, naprawdę najdziwniejsi z nich wszystkich. Cisi, dobrze się zachowywali, koniec pracy oznaczał dla nich zamknięcie kiosków z gazetami, a nie wyjście na wieczór do pubu. Na pewno wiele się modlili, już dawno przywykła do tego, że w najdziwniejszych porach mężczyźni chadzali do meczetów. Nie mieli nic przeciwko zamykaniu swych sklepików w środku dnia. Inaczej jednak było z tą księgarnią po drugiej stronie ulicy - zawsze ktoś tam był. Jak dzień długi, ludzie wchodzili i wychodzili ze środka, choć chyba nie kupowali za wiele książek.

A jednak nocą sklep był zamknięty i nigdy w całym budynku nie było widać śladu życia. Tak więc, gdy tej piątkowej nocy sączyła herbatę z kubka, wyprostowała się nagle, widząc, że na ulicy pojawiło się trzech mężczyzn zbierających się przy frontowych drzwiach księgarni. Ubrani byli w ciemne stroje, dżinsy i wiatrówki, jeden z nich miał skórzaną kurtkę. Nie było widać ich twarzy. Jeden z nich wskazał na tył budynku, inny potrząsnął głową, po czym dwóch stanęło po obu stronach trzeciego, który przycisnął się do drzwi. Co on tam robił, grzebał w zamku? Nagle Doris ujrzała, jak drzwi otwierają się i w następnej chwili cała trójka wślizgnęła się do środka, szybko zamykając za sobą wejście.

Doris siedziała w szoku, zastanawiając się przez chwilę, czy naprawdę widziała tych mężczyzn, czy też ich sobie tylko wyobraziła. Nonsens, powiedziała sobie, moje ciało się starzeje, ale nie dostaję jeszcze świra. Nigdy nie rozmawiała z właścicielem

księgarni, nie знаła nawet jego imienia, lecz ktoś włamał mu się właśnie do sklepu. A może nie, może to byli przyjaciele. Nie wyglądało jednak na to. Była pewna, że o tej porze nocy nie mogło to być nic dobrego. Nie zdziwiłaby się, gdyby to były jakieś ciemne sprawy, jak to u wielu tych młodych mężczyzn. Aż wzdrygnęła się na tę myśl, po czym wstała i w równym stopniu z poczucia obowiązku, jak i z troski wykręciła na telefonie 999.

We wnętrzu sklepu trzech mężczyźni nie tracili czasu. Dwóch weszło na górę i upewniwszy się, że zasłony są zaciągnięte, przy pomocy latarek znaleźli wreszcie w suficie kwadratową klapę prowadzącą na strych. Stanąwszy na krześle, jeden z mężczyzn pchnął klapę i przy pomocy drugiego podciągnął się, po czym odebrał od niego małą skrzynkę z narzędziami. Trzymając nisko latarkę, aby przypadkowo nie posłać światła na zewnątrz, człowiek na strychu sprawdzał belki, póki nie trafił na taką, która rozciągała się bezpośrednio nad rogiem leżącego poniżej dużego pomieszczenia. Po minucie zaczął wiercić. Musiało to trochę zająć, ponieważ, aby zachować ciszę, używał ręcznej wiertarki.

Nagle jego stojący pod klapą kolega powiedział do niego z naciskiem:

- Odezwał się Wydział Specjalny. Miejscowy komisariat odebrał telefon od sąsiadki z drugiej strony ulicy. Widziała, jak wchodzimy.

- Cholera. Co zamierzają zrobić?

- Chcą wiedzieć, czy już tu skończyliśmy. Wciąż mamy czas, by wyjść zanim wyślą samochód.

- Nie. Potrzebuję jeszcze przynajmniej dziesięciu minut.

- Dobra. Powiem im.

Odszedł, zaś mężczyzna na strychu wrócił do wiercenia. Przebił się właśnie przez belkę i zamierzał umieścić w wywierconym otworze mikroskopijną kamerę, gdy wrócił jego towarzysz.

- Wysłali już samochód, ale wiedzą, że tu jesteśmy. Pójdą porozmawiać z tą sąsiadką, która dzwoniła. Najwyraźniej to jakaś starsza kobieta.

- Dobrze. To nie powinno być większym problemem.

Dziesięć minut później, starannie uprzątnąwszy wywiercony pył i zabezpieczywszy wywiercony otworek szpachlówką, mężczyzna zeskoczył na dół i, wszedłszy na krzesło, zamknął klapę.

- Skończyłem z górą. Jeszcze coś trzeba zrobić?

Jego kolega potrząsnął głową.

- Założyłem dwa mikrofony. Jeden w sęku w rogu, a drugi z tyłu magnetowidu.

- Sprawdziłeś je z Thames?

- Tak, słyszą je głośno i wyraźnie. Idziemy.

Zeszli na dół i zgarnęli trzeciego towarzysza, który zainstalował tam trzy urządzenia podsłuchowe, jedno po wewnętrznej stronie drzwi frontowych do sklepu, drugie w małym biurze właściciela, zaś trzecie w magazynie na zapleczu. Teraz nawet najcichszy szept na każdym z pięter zostanie usłyszany w Thames House.

Po drugiej stronie ulicy Doris Feldman zalała gorącą wodą torebkę z herbatą dla miłego, młodego policjanta, który zadzwonił do jej drzwi. Wiedział wszystko o dziwnych sprawkach po drugiej stronie, a nawet zasugerował, że może im się przydać jej pomoc. Nie widziała, jak te same trzy sylwetki wyślizgują się przez frontowe drzwi księgarni i znikają w mroku nocy. Jednak Doris nie musiała się już tym martwić.



Peggy Kinsolving tylko raz spotkała dotąd Geoffreya Fane'a. Rozmawiał z nią na kursie wstępnym, gdy przed około rokiem wstępowała do MI6. Niezbyt pamiętała już, co wtedy powiedział, lecz z jej pamięci nie umknęła jego wysoka, przypominająca czapkę sylwetka oraz chłodny uścisk dłoni.

Drugie spotkanie było krótsze, lecz lepiej zapamiętała, co podczas niego mówił. Oznajmił, że na miesiąc czy dwa oddelegowuje Peggy do MI5 w związku z przydziałem tak ważnym, iż będzie musiała podpisać specjalną deklarację poufności. Więcej dowie się, gdy dotrze do Thames House. Fane pragnął podkreślić jedną rzecz: by nie zapomniała, komu jest winna lojalność.

- Tylko niech ci się tam za bardzo nie spodoba - powiedział jej stanowczo. - Nie spojrzelibyśmy na to przychylnym wzrokiem.

Pozbawiło to jej nowy przydział aury ekscytacji, choć Henry Boswell, jej bezpośredni przełożony - miły, przyjazny człowiek, czekający już na emeryturę - robił co mógł, by ją rozchmurzyć:

- To wspaniała okazja - powiedział o jej tymczasowym przejściu na drugą stronę rzeki, lecz wyczuwała, że nie miał pojęcia, o co chodziło.

Peggy nie mogła przestać zastanawiać się, dlaczego, skoro było to tak istotne zadanie, Fane sam jej nie wtajemniczył w szczegóły. I dlaczego (Peggy była szczerą wobec samej siebie) delegowali do MI5 kogoś tak młodego. Nie mogła pozbyć się myśli, że być może MI6 uznało, iż nie potrzebuje już jej umiejętności, albo też, że być może była po prostu pionkiem w jakichś osobistych układach między obiema służbami.

Jednak nie, naprawdę miała do wykonania zadanie. Następnego dnia w Thames House Charles Wetherby rozmawiał z nią przez ponad pół godziny. Był przyjazny i wydawało jej się, że odpowiedział bardzo szczerze na wszystkie jej pytania. Wetherby był obdarzony niezwykłą umiejętnością: potrafił rozmawiać z kimś tak

młodym jak Peggy w taki sposób, jakby była mu równa. Po odprawie u niego nie miała już żadnych wątpliwości, co do powagi oczekującej na nią sprawy.

Wyjaśnił, że Peggy będzie współpracować z Liz Carlyle, doświadczonym, jak powiedział, i niezwykle utalentowanym śledczym, szczególnie dobrze potrafiącym oceniać ludzi. Liz będzie dowodzić ich dwuosobową drużyną i podlegać bezpośrednio jemu. On zaś będzie informował Geoffreya Fane'a o postępach. Gdy Wetherby wytłumaczył jej sytuację, Peggy zaczęła rozumieć, dlaczego ją wybrano. Będzie podążać za papierowym tropem i wspomagać Liz w śledztwie. Zdecydowanie miało to dla niej sens. Znała i kochała świat druku, faktów, danych, informacji - niepotrzebne skreślić, pomyślała

Peggy - i to właśnie on pozwalał zabłysnąć jej umiejętnościom. To była jej domena. Potrafiła wyizolować informacje, które innym wydawałyby się pozbawione znaczenia i sensu, a później, niczym prymitywny jaskiniowiec dmuchający na iskrę, tchnąć w nie życie. Peggy dostrzegała las tam, gdzie inni widzieli tylko drzewa.

Peggy Kinsolving była wstydlivym, poważnym dzieckiem z piegami i w okrągłych okularach. Wesola ciotka nazwała ją kiedyś Molem Książkowym Bobbity i tak się to do niej przykleiło w rodzinie, że odkąd skończyła siedem lat, wszyscy wołali na nią Bobby. Zabrała tę ksywkę do szkoły, jednego z niewielu pozostałych w rejonie Midlands liceów ogólnokształcących, a później do Oxfordu. Pod koniec wymagających ciężkiej pracy trzyletnich studiów z łatwością osiągnęła dobry wynik z angielskiego i żywiła nieśmiałe ambicje akademickie. Rodzina nie miała jednak dość pieniędzy, by utrzymać ją do zrobienia doktoratu, opuściła więc Oxford, nie mając większego pojęcia, co robić dalej. Na tym etapie życia Peggy była pewna jedynie dwóch rzeczy: po pierwsze, jeśli starasz się jak możesz i trzymasz się tego, wszystko się dobrze ułoży, po drugie zaś, nie gódź się z niczym, czego nie lubisz. Z tego powodu z pełnym przekonaniem wróciła do imienia Peggy.

Z braku lepszego pomysłu Peggy rozpoczęła pracę w prywatnej bibliotece w Manchesterze. Uznała, że przez połowę czasu będzie pomagać czytelnikom, zaś reszta będzie należała do niej. Skoro jednak jej usługi wykorzystywało przeciętnie tylko pięć osób dziennie, mogła spokojnie zajmować się własnymi badaniami nad życiem i twórczością dziewiętnastowiecznego reformatora społecznego i pisarza z Lancashire. Dlaczego tak szybko straciła zapal? Po pierwsze, temat okazał się płytszy niż oczekiwała, nie natrafiła na wystarczającą ilość faktów, by zaspokoić swój ogromny

głód szczegółów. Po drugie, mijające dni były przygnębiająco samotne, a nie potrafiła znaleźć sposobów na spędzanie wieczorów. Przypominająca pannę Haversham bibliotekarka rzadko zamieniała z nią choć słowo i umykała do domu zaraz po zamknięciu biblioteki. Z owej samotności wyłoniło się narastające przekonanie, że jakkolwiek ciekawy świat znajdowałyby w książkach i rękopisach, to co widziała, unosząc głowę znad stronic, wydawało się znacznie bardziej obiecujące, gdyby tylko znalazła sposób, aby się do tego dostać.

Wiedziała, że musi odejść i oczywistą alternatywą wydawał się Londyn, gdzie dzięki swym umiejętnościom dostała się na rozmowę o pracę, a następnie otrzymała stanowisko asystentki w Bibliotece Narodowej. Jednakże kliniczna, przygnębiająca atmosfera nowoczesnych czytelni była dla niej jeszcze trudniejsza do zaakceptowania niż napięcie wypływające z pracy z panną Haversham i chyba już nigdy nie będzie wiedziała, jak dalej potoczyłoby się jej życie, gdyby do biblioteki nie zajrzał pewnego dnia stary znajomy z college'u i nie powiedział jej o wyspecjalizowanym departamencie rządowym, który poszukiwał badaczy.

I to właśnie dlatego w wieku dwudziestu pięciu lat, wciąż w okrągłych okularach i z piegami, Peggy zasiadła w sali konferencyjnej w Thames House obok Liz Carlyle. Przed nimi stały na stoliku na wpół puste filiżanki z kawą oraz talerzyk ciasteczek, a także kilka stert segregatorów, które Peggy zgromadziła już po sześciu dniach pracy.

Choć z początku Peggy podchodziła do Liz z pewnym dystansem, od początku ją polubiła. Poprzednia szefowa Peggy w bibliotece, choć sama była kobietą, wydawała się gardzić nią z powodu zarówno płci, jak i wieku. Liz była jednak młodsza, Liz była grzeczna, a przede wszystkim, Liz była bezpośrednia. Peggy od początku czuła, że są drużyną, a podział obowiązków był oczywisty. Liz będzie się skupiać na rozmowach, zaś Peggy zajmie się badaniami.

Pierwsze dni spędziła w Wydziale B, czyli personalnym, czytając akta, robiąc notatki, planując łowy, choć niezajomość systemu katalogowania utrudniła jej to bardziej niż się spodziewała. Następnego dnia Liz wybierała się do Rotterdamu i poprosiła Peggy, by przed wyjazdem wtajemniczyła ją w postępy. Przekazała Liz pierwsze ze spodziewanych wielu, bardzo wielu dokumentów. To początek, pomyślała Peggy. Co jednak, jeśli w stogu siana nie ma żadnej igły?

Liz była zaskoczona. Tylko pięcioro pracowników MI5 uczęszczało do Oxfordu w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych i знаła troje z nich. Nie było to może takie

dziwne, skoro byli mniej więcej w jej wieku. Znów popatrzyła na otrzymaną od Peggy listę:

Michael Binding
Patrick Dobson
Judith Spratt
Tom Dartmouth
Stephen Ogasawara

Peggy dobrze się spisała, pomyślała Liz. Potrzebowała bardzo niewiele czasu, by przyzwycząić się do zupełnie obcego środowiska.

- Znam Michaela Bindinga - oznajmiła. - I Judith Spratt. - Przyjaciółka, niemal dodała, lecz powstrzymała się. - Toma Dartmoutha dopiero co poznałam, niedawno wrócił z Pakistanu. Był tam na jakiś czas oddelegowany do MI6. Podobnie jak ty, tyle, że na odwrót. Zaś Patrick Dobson był na spotkaniu, w którym uczestniczyłam wczoraj. - Oddała Peggy listę. - Czym Dobson się właściwie zajmuje?

Peggy znalazła jego akta.

- Jego zadaniem są specjalne kontakty z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych w kwestiach operacyjnych. Ukończył teologię w Pembroke College. - Liz jęknęła, zaś Peggy zanosła się niespodziewanie serdecznym śmiechem. Dzięki Bogu, że ma poczucie humoru, pomyślała Liz. Peggy ciągnęła dalej: - Jest żonaty. Dwoje dzieci. Aktywnie działa w miejscowym kościele.

Liz powstrzymała kolejne jęknięcie i próbowała nie wywrócić oczyma.

- No dobrze. Jeszcze Stephen Ogasawara. Co masz na niego?

Peggy znalazła kolejne akta.

- Studiował historię w Wadham. Później - to niezwykle - wstąpił do armii. Sześć lat w Królewskim Korpusie Sygnałowym. Służył w Irlandii Północnej - powiedziała, robiąc znaczącą pauzę. - Jak sugeruje nazwisko, ma japońskiego ojca. Jednak urodził się w Bath.

- Czym się teraz zajmuje?

- Nie pracuje tu już.

- Naprawdę?

- Odszedł trzy lata temu.

- Dokąd poszedł? Do prywatnej firmy ochroniarskiej? - Liz pomyślała, że przy takim połączeniu doświadczenia wojskowego i wywiadowczego Ogasawara robił zapewne niezłe pieniądze jako konsultant w Iraku. Choć może nie żyć dość długo, by się nimi nacieszyć.

- Nie do końca - rzekła Peggy. - Tutaj mam informację, że pracuje teraz jako menedżer trupy tanecznej w King's Lynn.

- Jakże egzotycznie - powiedziała Liz, powstrzymując uśmiech.

- Czy mogę skreślić go z listy? - spytała Peggy.

- Tak - odparła Liz, lecz zastanowiła się ponownie. - Właściwie lepiej nie. Na pewno możesz go jednak umieścić dość nisko. - Zerknęła na zegarek. - Masz sporo do roboty, gdy będę w Rotterdamie - Liz wskazała na segregatory.

- Pomyślałam, że jeszcze raz sprawdzę ich aplikacje o przyjęcie do MI5. I przejrzę fakty w późniejszych załącznikach.

- Tak, możesz też sprawdzić podstawowe dane. I przeczytaj ich referencje. - Liz znów popatrzyła na zegarek, tym razem z lekką nerwowością. - Uważam, że musimy zobaczyć się z jak największą ilością osób polecających. Szukaj wszystkiego na polu osobistym, co może wydawać się niezwykle. No i oczywiście wszelkich powiązań z Irlandią.

Gdy Liz wstała od stolika, Peggy spytała:

- Czy nie masz nic przeciwko temu, bym zapytała, z kim zamierzasz się zobaczyć w Rotterdamie?

- Nie mam - powiedziała Liz. Już wcześniej doszła do wniosku, że skoro mają ze sobą ściśle współpracować, musi być w stanie powiedzieć Peggy wszystko. - Będę się widzieć z człowiekiem o nazwisku James Maguire. To on był naszym źródłem opowieści o tym, że IRA umieściła kartę atutową w naszych służbach bezpieczeństwa. Oficer, któremu przekazał tę wiadomość, nie żyje, więc poza nami i kretem Maguire jest jedyną osobą na świecie, która o tym wie.

- Sądzisz, że może nam pomóc?

Liz zastanawiała się przez chwilę.

- Być może. Pytanie brzmi: czy pomoże? Nie chciał się ze mną spotkać.

- A więc życzę powodzenia - rzekła Peggy.

- Dzięki - odparła Liz, wydymając wargi. - Mam przeczucie, że będę go potrzebowała.



Woda w Starej Przystani w Rotterdamie miała kolor morskiej zieleni i chlupotała o burty przycumowanych u jednego jej krańca łodzi i małych holowników. Była połowa maja, zmierzchało, panowała łagodna temperatura, a słaby deszcz padał lekko na twarz. Liz popatrzyła na wodę, relikwiarz czasów, kiedy ta przystań była głównym miejskim portem. Rotterdam został zrównany z ziemią w czasie wojennych bombardowań i teraz jego zabudowa była niemal w całości nowoczesna, mieszkańcy postanowili nie rekonstruować miasta w kształtach sprzed 1939 r., lecz zamiast tego zbudować je na nowo. Rezultaty były słynne pod względem architektonicznym, lecz nie było zbyt miło na nie spoglądać, zaś ten prawdziwie stary fragment miasta był swoistym sanktuarium, odmianą od wszechobecnej nowości.

Kafejka po drugiej stronie przystani znajdowała się na parterze starego budynku z ciemnej cegły. W środku oświetlały ją lampy ścienne rzucające ciepły, pomarańczowy blask, zaś jedyne źródło światła w ogródku stanowiły świece. Choć Maguire'a mogła zidentyfikować jedynie na podstawie nieostrych zdjęć, Liz była pewna, że nie znajdował się pośród klientów kawiarni. Coś jednak poruszyło się w mroku, jakby ktoś skradał się, i nagle go dostrzegła. Wysoka postać, tak szczupła, że aż wychudzona, szła powoli w kierunku kafejki przeciwną stronę przystani. Miał na sobie spodnie w kolorze khaki oraz długi płaszcz zwisający luźno z wyściełanych poduszkami ramion, zaś pod pachą niósł zwiniętą gazetę.

Liz dała mu pięć minut na zajęcie miejsca, po czym obeszła szybko przystań i wkroczyła do kawiarni. Zauważyła go przy stoliku w rogu, a gdy mężczyzna podniósł wzrok i skinął głową, Liz usiadła naprzeciwko niego, odkładając płaszcz na puste krzesło.

- Witam, panie Maguire - powiedziała. - Jestem Jane Falconer.

Mężczyzna o nazwisku Maguire nie przywitał się, stwierdził jedynie szorstko:

- Mam nadzieję, że była pani ostrożna po drodze. Zdecydowanie była. Liz nie przyleciała na małe rotterdamskie lotnisko, lecz do Amsterdamu, gdzie ruszyła standardową turystyczną trasą - taksówką do Rijksmuseum, potem wycieczka po domu Anny Frank i lunch na świeżym powietrzu w bistro położonym przy kanale, w pobliżu placu Dam. Później wsiadła w pociąg do Rotterdamu i - w tej kwestii była szczególnie ostrożna - bez żadnej asysty przeszła się do Starej Przystani. Westchnęła w duchu nad tym, ile to wszystko pożerało czasu.

Liz czuła, że jej słaba znajomość tej prowincji stawiała ją w lekko niekorzystnej sytuacji. Maguire przywykł do kontaktów ze starymi północnoirlandzkimi wygami, jak Ricky Perrins czy Michael Binding. Wszyscy byli mężczyznami i wszyscy byli weteranami ciasnego, lecz niezwykle skomplikowanego świata tego konfliktu. Liz nie była nawet w stanie udawać, że zna wszystkie jego szczegóły i niuanse.

Ale przecież nie musiała, powtórzyła sobie w duchu, uznając, że swą niewiedzę mogła równie dobrze wykorzystać jako przewagę. Nie działała w tradycyjnych ramach tamtego miejsca, ponieważ wszystko się zmieniło. Zamierzała odwoływać się do Maguire'a na gruncie osobistym. Pytanie brzmiało, czy był w stanie na to odpowiedzieć, czy też będzie uważał swój wkład za zakończony, skoro w Irlandii Północnej panował już swoisty pokój.

- Byłam ostrożna - zapewniła go.

Nie wyglądał na uspokojonego.

- Wydawało mi się, że wyraziłem się jasno, mówiąc wszystko co wiedziałem pani koledze, Robowi Petchowi - rzekł, używając pseudonimu operacyjnego Ricky'ego Perrinsa.

- Jestem tego pewna - odparła Liz - jednak Rob nie żyje. - Wiesz przecież dobrze o tym, pomyślała Liz. Sama mu to powiedziała, gdy do niego zadzwoniła, próbując zorganizować to spotkanie.

- Jestem pewien, że złożył raport na temat tego, co powiedziałem - nie ustępował Maguire.

Liz skinęła potwierdzająco głową, lecz zaraz powiedziała stanowczo:

- Chciałam usłyszeć tę opowieść bezpośrednio od pana. Gdyby przypadkiem Rob pominął coś, co mogłoby okazać się pomocne.

- Pomocne w czym? Mówiłem mu, że karta atutowa Keaneya, kimkolwiek ten człowiek był, nigdy nie została użyta. Naprawdę nie rozumiem, czego pani ode mnie

chce. - Zaczął podnosić głos. Liz rozejrzała się nerwowo za kelnerem, który zaraz podszedł - wysoki, wąsаты mężczyzna w białym fartuchu.

- *Kaffe?* - spytała Liz, starając się przypomnieć sobie te dziesięć słów, jakie znała po niderlandzku.

Kelner popatrzył na nią z kiepsko ukrywanym rozbawieniem.

- Białą czy czarną, proszę pani? - powiedział doskonałym angielskim.

Zupełnie jakby byli w Savoyu.

- Białą proszę - rzekła z uśmiechem.

Zapomniała już, że Holendrzy są w zasadzie dwujęzyczni, że słuchali programu *Today*, oglądali wiadomości na ITV i czytali więcej anglojęzycznych powieści, niż wszyscy mieszkańcy Londynu razem wzięci. Jedna z uniwersyteckich przyjaciółek Liz mieszkała przez sześć miesięcy w Amsterdamie i nigdy nie czuła potrzeby, by nauczyć się choć słowa po niderlandzku, taki dryg mieli tubylcy do angielskiego.

Maguire wciąż wyglądał na złego. Liz postanowiła wykorzystać interwencję kelnera, aby zmienić temat.

- Czy Rotterdam jest pana ulubionym miejscem?

Maguire wzruszył ramionami, by pokazać swą obojętność, lecz po chwili niechętnie zaczął mówić:

- To tutaj chciałbym się przenieść, jeśli kiedyś zostanę spalony. Rob mówił jednak zawsze, że lepiej, aby to było gdzieś dalej. Oczywiście zakładając, że nie dorwą mnie wcześniej.

Popatrzył na Liz i oboje wiedzieli, o co mu chodziło. Przed nastaniem pokoju każdy bez wyjątku informator, którego IRA zdołała wykryć i pojmać, był mordowany.

- Czemu Holandia? - zapytała Liz, pragnąc skłonić go do mówienia.

- Wyglądam chyba trochę na Holendra - powiedział. - Czuję, że dobrze się tutaj wtapiam.

Miał rację, doszła do wniosku Liz, spoglądając na jego rysy: rumiane policzki, rzędnące piaskowe włosy, niebieskie oczy. Maguire mógł uchodzić za starszego wykładowcę miejscowego uniwersytetu. Potrzebował jedynie fajki.

- To dlatego chciał pan się tutaj spotkać?

- Tylko częściowo. - Stanowczym wzrokiem popatrzył na przystań. - Mam nadzieję, że nie zabiliby mnie, gdyby teraz dowiedzieli się, że rozmawiamy, albo gdyby wiedzieli, że przez lata rozmawiałem z pani kolegami. Ale ogólnie wydawało się bezpieczniej spotkać poza Irlandią.

Liz chciała go powstrzymać przed rozmową o niebezpieczeństwie. Chciała pobudzić jego ciekawość, a nie strach. Zmusić go do myślenia, powiedziała sobie w duchu, zainteresuj go.

- Niech pan mi powie - rzekła - co według pana stało się z osobą zwerbowaną przez Keaneya?

- Chodzi pani o to, czy uważam, że wciąż tam jest? - niemal pogardliwie powiedział Maguire.

- Między innymi, owszem - Liz rzekła z nieśmiałością, której wcale nie czuła. Nie pozwól mu przejąć kontroli nad rozmową, powiedziała sobie. - Zakładając, że opowieść Keaneya jest prawdziwa.

- A czy to ma znaczenie? - spytał z irytacją Maguire. - Nie dałoby się przecież wyrządzić żadnych szkód, prawda? Jeśli naprawdę umieszczono kreta, ciężko stwierdzić, co mógłby on dać Keaneyowi i jego kumplom.

Przerwał, gdy zauważył, że Liz potrząsa głową. Popatrzył na nią i widać było, że ciekawość wygrywa w nim z pogardą.

- Gubi pan sens - Liz powiedziała ostro. Uznała, że nie ma powodu, by się przypochlebiać. - Keaney zapewne nigdy nie spodziewał się, że jego kret bezpośrednio pomoże IRA. W końcu nie mógł mieć pewności, że kiedykolwiek będzie w ogóle pracować w Irlandii Północnej, prawda?

- Sprawa była subtelniejsza. Keaney znalazł zapewne kogoś, kto dopiero wchodził. Kogoś z wyraźnymi ambicjami, z potencjałem, by zabrnąć daleko w organizacji. Najprawdopodobniej absolwenta Oxfordu, który z biegiem czasu byłby w stanie wyrządzić wielkie szkody. Nie sądzę, by celem była bezpośrednia pomoc dla IRA, lecz raczej pokrzyżowanie w ten czy inny sposób planów Brytolom.

Maguire wyglądał na zaintrygowanego, lecz wyraźnie nie chciał się do tego przyznać. Zamiast tego postanowił się spierać:

- Nie mogę uwierzyć, że Irlandia jest teraz na szczycie listy priorytetów. Wojna się skończyła. Jakie to ma więc znaczenie? Sądziłem, że uganiacie się raczej za imamami, nie za Irlandczykami.

Liz wzruszyła ramionami.

- W tym oczywiście problem. W tym, że wszystko się ignoruje w czasach, jakie nastąpiły po 11 września. A później całość zaczyna się na nowo. Zdarzało się tak już wcześniej wiele razy.

- Myśli pani, że kret może być aktywny? Nawet dziś? - Wbrew sobie, Maguire wyglądał teraz na zainteresowanego.

Liz znów wzruszyła ramionami.

- Nie ma powodu sądzić, by taka osoba pragnęła zawieszenia broni, nie uważa pan?

Kelner przyniósł Liz kawę i gdy czekali, aż odejdzie, Maguire wydawał się wahać.

- Nie wierzę w to - oznajmił w końcu, spoglądając nieprzyjaźnie na Liz. - Zresztą w każdym razie, to wasz problem. Przekazałem wiadomość Keaneya, tak jak o to prosił. I to koniec, jeśli chodzi o moją rolę. Nie obchodzi mnie, co z tym dalej zrobicie.

- Miałam nadzieję, że będzie pan w stanie pomóc - powiedziała cicho Liz, po czym skupiła się na mieszaniu kawy, gorącej pomimo warstwy gęstej śmietanki.

- A co niby mógłbym zrobić? - zapytał z oburzeniem Maguire. - Nawet gdybym chciał?

- Pomóc nam dowiedzieć się, kogo zwerbował Keaney.

- Dlaczego sądzi pani, że byłbym w stanie to zrobić?

- Może nie jest pan w stanie - przyznała Liz. - Jednak znajduje się pan w lepszej pozycji niż my, by się tego dowiedzieć. Według pana, Keaney powiedział, że kret został zwerbowany w Oxfordzie. Musi istnieć jakaś więź między Keaneyem a uniwersytetem, lecz niekoniecznie oczywista dla nas.

- Keaney nienawidził mojej śmiałości.

- Tak, ale *znał* go pan. My nie mogliśmy się zbliżyć. Przynajmniej może pan spróbować.

- Dlaczego nie użyjecie któregoś ze swoich? - dodał uszczypliwie. - Jestem pewien, że możecie w nich przebierać. Wykorzystajcie kogoś, komu Keaney ufał.

- Nie mogliśmy tego zrobić, nie mówiąc mu o krecie. Zbyt wielkie ryzyko. Na pewno pan to widzi.

Maguire zignorował ją. Nagle spytał:

- A co będę z tego miał?

Nawet nie trudziła się odpowiedzią. Nigdy nie prosił o pieniądze i nie sądziła, by teraz chciał zapłaty. Był to po prostu sposób na odrzucenie jej prośby.

- W czym bym pomógł, może mi to pani powiedzieć? - kontynuował Maguire. - Sytuacja zupełnie się zmieniła. Kimkolwiek była ta osoba, nie może zrobić nic, by

wam zaszkodzić, albo by pomóc IRA. Świat ruszył naprzód. Wojna się skończyła. Po co więc mnie potrzebujecie? Poza tym, że chcecie zamknąć akta.

Liz wzięła głęboki oddech. Instynkt podpowiadał jej, że jedynym sposobem, by zyskać wsparcie Maguire'a, było przejść na jego fale.

- Wie pan równie dobrze jak ja, panie Maguire - powiedziała - że wojna się nie skończyła. Osiągnęła po prostu inną fazę. Nie muszę dawać panu wykładu na temat historii IRA. Albo natury zdrady - dodała. Zobaczyła, że Maguire wzdrygnął się. - Każdy ma swoje powody i niemal zawsze zdrada jest jednocześnie lojalnością. Liczy się jednak natura sprawy, wobec której jesteśmy lojalni. To dlatego musimy znaleźć tę osobę. Jej sprawa, czymkolwiek jest w chwili obecnej, nie jest naszą sprawą. Ani też pańską, panie Maguire. To niedokończona sprawa. I nie mówię o aktach.

Znów wzruszenie ramion, pozornie obojętne, lecz tym razem Liz widziała, że Maguire myślał. W końcu przemówił i po raz pierwszy zamiast złości usłyszała w jego głosie patos:

- Ale nie widzicie, że ja jestem już skończoną sprawą? Po prostu chcę, by mnie zostawiono w spokoju.

I zanim Liz zdążyła odpowiedzieć, wstał. Nie mówiąc ani słowa, rzucił na stolik kilka euro i odszedł. Liz upiła kolejny łyk kawy, teraz już chłodniejszej. Niemal z rozpaczą popatrzyła na pieniądze, które zostawił Maguire. I pomyśleć, że wierzyła, iż mogło ją to dokądś doprowadzić.



Dennis Rudge siedział za kierownicą taksówki zaparkowanej między innymi samochodami pośrodku Capel Street. W dłoni trzymał kubek z herbatą, a o deskę rozdzielczą opierał egzemplarz *Sun*. Nastawione na stację Magic FM radio grało cicho łagodny pop, czasem przerywany głosem, który przechodniom wydawał się wiadomościami o korkach ulicznych. Z miejsca, w którym siedział miał dobry widok na księgarnię i na sklep Doris po drugiej stronie ulicy. Pozostawał w kontakcie wzrokowym z Maureen Hayes i Lebertem Johnsonem, siedzącymi kawałek dalej przy stoliku w ogródku pubu Red Lion. Lebert, trzymający przed sobą szklankę z czymś brązowym, rozwiązywał krzyżówkę w *Daily Mail*. Maureen piła wodę mineralną, robiła na drutach i słuchała czegoś przez słuchawki, zapewne swego iPod'a. Z drugiej strony Alfa 4 i Alfa 5 siedzieli w brudnym Peugeocie 307, kłócąc się głośno, gdy tylko ktoś przechodził. Dalsi członkowie A4 zaparkowali strategicznie w bocznych uliczkach, a kilka kolejnych samochodów krążyło po okolicy.

W salonie Doris Feldman, tuż nad jej sklepem z artykułami żelaznymi, Wally Woods siedział wygodnie rozparty w fotelu Doris, zaś wiekowa kotka Esther dzieliła jego kolana z potężną lornetką.

Telefon Doris na policję przed pięcioma dniami o trzeciej nad ranem okazał się błogosławieństwem. Jak zawsze w przypadku potajemnych wejść A2, Wydział Specjalny został z wyprzedzeniem poinformowany o operacji. Słyszając od mundurowego o telefonie Doris na numer 999, szybko odezwali się do działu kontroli A2, żeby przedyskutować z nimi, co robić. Przede wszystkim należało uspokoić dzwoniącą i jedną z opcji było wyjaśnienie jej po prostu, że widziane przez nią „włamanie” było zupełnie niewinne: wywaliło bezpieczniki i właściciel wysłał przyjaciół, by je wymienili, czy coś w tym stylu. Ludzie z Wydziału Specjalnego byli dobrzy w wymyślaniu wiarygodnych historyjek. Gdyby jednak w ciągu dnia

wspomniała o weekendowych wydarzeniach właścicielowi księgarni, skutki mogłyby okazać się katastrofalne.

Postanowili więc zaryzykować i o wpół do czwartej w sobotni poranek oficer z Wydziału Specjalnego zasiadł w salonie Doris Feldman, popijając herbatę i w jak najbardziej pozbawiony konkretów sposób wyjaśniając jej, iż po drugiej stronie ulicy dzieją się dziwne rzeczy, które chciałby odkryć wraz z kolegami. Tu czy tam wspomniał o 11 września albo o islamskim fundamentalizmie i Doris ochno obiecała, że nie puści pary z ust. Co ważniejsze, z radością pozwoliła korzystać ze swojego mieszkania, które okazało się doskonałą lokalizacją na nieruchomy punkt obserwacyjny. To właśnie dzięki temu Wally Woods siedział teraz w jej fotelu, zaś znajdujący się przy sąsiednim stole kolega odpowiadał za komunikację. Siedział jak pajak w środku sieci, dysponując łącznością z ludźmi na ulicy i świetnym widokiem na księgarnię.

Całą operację koordynował z Thames House Reggie Purvis. Wraz z kilkoma kolegami kontrolował drużyny A4 oraz całą komunikację z Pokoju Operacyjnego, jednocześnie ignorując Dave'a Armstronga, siedzącego niecierpliwie obok nich. Z tyłu przechadzał się nerwowo tam i z powrotem Tom Dartmouth, zaś Wetherby zaglądał od czasu do czasu do pokoju, aby sprawdzić postępy.

W mieszkaniu Doris Wally Woods nadal siedział, czekając cierpliwie. Tuż przed trzecią po południu przed księgarnią zajechała taksówka. Kierowca, młody mężczyzna z Bliskiego Wschodu, wysiadł od strony ulicy i obszedł samochód, by otworzyć drzwi od strony pasażera. Po chwili z taksówki wysiadł znacznie starszy człowiek. Ubrany był w długi biały kaftan, zaś na głowie miał przetykaną złotą nitką białą czapkę. Gdy ruszył powoli w stronę księgarni, młodzieniec podbiegł i przytrzymał mu otwarte drzwi.

- Lis Jeden przyjechał i jest teraz w środku - powiedział Wally, a jego człowiek przy stole powtórzył to natychmiast do mikrofonu.

- Wszystkie drużyny w gotowości - w Thames House powiedział Reggie Purvis.

- Lis Jeden jest w środku. Powtarzam, Lis Jeden jest w środku.

W bezpośredniej bliskości sklepu nic istotnego się nie zmieniło, choć Dennis Rudge dopił kawę, a Maureen odłożyła robótkę. A4 byli gotowi na wszystko, co mogło

się zdarzyć, co jedynie zwiększało napięcie, ponieważ nie można było zrobić nic poza oczekiwaniem.

W Thames House w Pokoju Operacyjnym pojawiła się Judith Spratt. Była wysoką kobietą o delikatnych rysach i zawsze wyglądała tak, jakby niezależnie od okoliczności potrafiła bez wysiłku zachować elegancję.

- Był telefon - powiedziała do Dave'a Armstronga i Toma Dartmoutha. - Do księgarni. Nie trwał długo.

- Kto to był? - spytał Tom Dartmouth.

- Ciężko powiedzieć. Odebrał właściciel, a dzwoniący spytał, czy jest Raszid. Pytał po angielsku.

- Kim, u diabła, jest Raszid? - zapytał Dave.

Judith wzruszyła ramionami, jakby mówiła: „a skąd mam to wiedzieć?”.

- Właściciel powiedział, że w sklepie nie ma nikogo o tym imieniu. Wtedy dzwoniący rozłączył się.

- Czy wiemy, kto dzwonił? - spytał Tom. - Coś wyszło na podsłuchu?

- Z mikrofonów nic. Żadnych odgłosów Lisa Jeden. Tylko zwykłe gadki i stukanie filiżanek z kawą. Ale właśnie przyszedł trop. Numer jest z Amsterdamu. Zajmę się tym zaraz. Dajcie mi dziesięć minut. - Podniosła słuchawkę.

W biurze AIVD⁹ w Amsterdamie Pieter Abbink sięgał właśnie po telefon, gdy ten zadzwonił. Podniósł go szybko i powiedział rzeczowo:

- Abbink.

- Pieter, tu Judith Spratt. Z Londynu.

Abbink roześmiał się głośno.

- Właśnie łapałem za telefon, żeby do ciebie zadzwonić.

- A co chciałeś?

- Tutaj w Amsterdamie obserwujemy jeden dom. W środku są niedobrzy ludzie. Ostatnio było tam sporo pogawędek. Trochę przez internet, trochę przez telefon. Ktoś z domu zadzwonił właśnie pod londyński numer i zamierzałem poprosić cię, żebyś sprawdziła co to za miejsce.

⁹ Algemene Inlichtingen- en Veiligheidsdienst - holenderska Generalna Służba Wywiadu i Bezpieczeństwa (przyp. tłum.).

- To islamska księgarnia w północnym Londynie. A także miejsce spotkań pewnych ludzi, których chcielibyśmy zlokalizować. Zamierzali pokazać się dzisiaj, ale się spóźniają.

- Wiesz, kim są?

- Nie i na tym polega problem. Jeden z naszych widział ich raz, ale nie mamy żadnych nazwisk. Choć twój dzwoniący pytał o Raszida.

Abbink zachichotał.

- To bardzo pomocne, zupełnie jakby pytać się o Jana tu w Holandii.

- Wiem. Ale wygląda na to, że jest jakaś więź z Holandią.

- Sprawdzimy w bazie danych, nie martw się. A może po prostu wyślę ci dokumentację zdjęciową?

- Czytasz mi w myślach, Pieter. Właśnie po to do ciebie dzwoniłam.

Do trzeciej trzydziści Wally Woods już trzy razy powiedział Thames House, że mężczyźni nie pokazali się, zaś do czwartej Reggie Purvis skupiał się na utrzymaniu swych drużyn w gotowości. Odesłał Maureen i Leberta Johnsona taksówką Dennisa Rudge'a, zaś kłócącej się parze polecił, by przejechała się po okolicy. Gdy imam opuścił w końcu księgarnię, jego odejście zostało przywitane z ulgą przez drużyny A4, które zwinnie ruszyły za nim.

Jednak odjazd imama oznaczał, że trzech młodzi mężczyźni nie zjawią się. Purvis mimo to nie odwoływał swych ludzi, czekał z nadzieją aż do szóstej po południu, kiedy to personel udał się do domu, zamykając księgarnię. Wally Woods zostawił fotel koledze - jego zmiennik miał się pojawić o ósmej wieczorem - i wrócił do Thames House. Jedynym tropem pozostał imam. Boże, pomyślał przebywający wciąż w Pokoju Operacyjnym Dave, proszę, zaprowadź nas do niego.

Godzinę później Charles Wetherby, który dołączył do Toma Dartmoutha i Dave'a Armstronga w Pokoju Operacyjnym, z rozczarowaniem, (choć nie do końca z zaskoczeniem) dowiedział się, iż Abu Sajed został odwieziony prosto na lotnisko Heathrow, gdzie zgłosił się do odprawy na lot do Frankfurtu, pierwszy etap podróży do Lahore.

Wydawało się, że z obojętnością przyjął przejście do klasy klubowej. Ochrona nie zwróciła szczególnej uwagi na niesioną przez niego torbę, bez problemu przeszedł też przez odprawę paszportową.

Jego jedyny zgłoszony bagaż - stara, lecz solidna walizka Samsonite - spotkał się z większym zaciekawieniem. Zwinnie wyciągnięto go z pasa transmisyjnego wiozącego bagaże wychodzące i został pieczołowicie sprawdzony przez dwóch starszych celników oraz oficera Wydziału Specjalnego. Szukali wszystkiego, co mogłoby wskazać tożsamość oraz miejsce pobytu trzech młodych mężczyzn, którzy nie pokazali się po południu w księgarni.

Niczego nie znaleziono. Właściwie jedyny dowód, że imam odwiedził Anglię, leżał w schludnej kupce na samym dnie walizki. Niezależnie od tego, co udało się osiągnąć Mahmudowi Abu Sajedowi w czasie pobytu, zdołał znaleźć czas, by w sklepie Marks & Spencer na Marble Arch zakupić sześć par nowych bokserek.



Miało lśniących iglic wydawało się Liz dość rozbudzone. Niebo miało kolor ciemno-błękitnej emalii, a temperatura osiągnęła niemal letnią wartość ponad dwudziestu stopni. Wraz z ledwo dyszącą Peggy Kinsolving wspinały się po drewnianej klatce schodowej teatru Sheldonian. Trudno było uwierzyć, że ceremonie wręczania dyplomów wciąż odbywały się na małej powierzchni tego dziwnego, starego budynku. Jak powiedziała Peggy, Christopher Wren zbudował go, mając zaledwie trzydzieści jeden lat.

Dotarłszy na szczyt, Liz i Peggy stanęły w malowanej drewnianej wieżyczce i popatrzyły na zupełnie inny Oxford, niż zatłoczony, niemal klaustrofobiczny świat widziany z poziomu gruntu. Wieże kościołów i iglice college'ów wystawały niczym pociski, tworząc poszarpaną, historyczną linię horyzontu.

Spoglądając w dół, Liz obserwowała grupki turystów kłębiących się na chodnikach Broad Street - albo po prostu Broad, jak nazywała ją Peggy. Samochody parkowały w schludnym szeregu w szerokiej części ulicy, zaś kilka innych sunęło ostrożnie dalej z mizerną nadzieją na wolne miejsce, zanim zawracały, ponieważ koniec ulicy zagrażały ciężkie słupki.

Popatrzyła na księgarnię Blackwell's, w której jeszcze przed kilkoma minutami buszowały z Peggy. Liz pomyślała, że taka krótka przerwa była dobrym pomysłem. Przyjechały samochodem Liz, po tym jak zabrała Peggy z mieszkania po mniej porządnej stronie Kilburn, jakie dzieliła z dwiema przyjaciółkami z college'u. W niezłym tempie ruszyły w przeciwnym kierunku niż zmierzające do Londynu samochody, następnie przedarły się przez ogłupiający labirynt jednokierunkowych ulic i zatrzymały się na rozległym parkingu po zachodniej stronie centrum Oxfordu. Przeszły obok starego więzienia, teraz wiodącego nowy żywot jako luksusowy hotel, i weszły w uliczkę, która dzięki frontonom sieci sklepowych nie odróżniała się od siebie podobnych w innych miejscach Anglii. Później skręciły jednak w ciemny, wąski zaułek pełen dickensowskich domów o wystających belkach, rzucających długie cienie.

Jeszcze jeden zakręt i znalazły się przy Pembroke College, swym pierwszym przystanku.

Według Peggy, która wkuwała pilnie dzień wcześniej, była to budowla z siedemnastego wieku ze średniowiecznymi fragmentami. Choć była mniej znana niż jej imienniczka w Cambridge, do jej słynnych wychowanków należeli pisarze Thomas Browne, Samuel Johnson oraz ostatnio Michael Heseltine.

Portier skierował ich przez stary dziedziniec z małym prostokątem przystrzyżonej trawy. Okna w przeciwległej ścianie ozdobione były doniczkami z wczesnie kwitnącym geranium. Weszły na kolejny dziedziniec i tam, pod ścianą starszej części college'u, znajdowała się mała rzeźba siedzącej kobiety, składającej ręce w modlitwie lub żalu. To kiepski znak, pomyślała Liz, rozmyślając o zbliżającej się rozmowie. Nie była zbyt religijna w tradycyjnym sensie tego słowa i z lekką nerwowością zastanawiała się, jaką rolę odegra w spotkaniu teologia.

Kapelan Hickson okazał się ogromnym mężczyzną z wielkim piwnym brzuchem i gęstą, kręconą brodą. Bardziej wyglądał na braciszka Tucka, niż na ascetycznego teologa, którego Liz się spodziewała. Pochodził z północy, był wesoły i zaskakująco bezbożny, przywitał się wylewnie z Liz oraz Peggy, zanim zaproponował im kawę, lub - „jako że słońce stało już wysoko” - kieliszek sherry.

Obie wybrały kawę i siedząc na niewygodnych krzesłach, trzymały poplamione kubki z neską, podczas gdy kapelan zaciekle poszukiwał herbatników. Rozmowa mogła się rozpocząć dopiero po kilku minutach poszukiwań, gdy wreszcie udało mu się je znaleźć. Zasiadł z radosnym łupnięciem na kanapie, stawiając w zasięgu talerzyk z ciasteczkami czekoladowymi. Do tego czasu Liz nabrała już wyraźnego wrażenia, iż dla kapelana Hicksona strawa materialna była ważniejsza od modlitwy.

Liz zaczęła od wyjaśnienia, że ich wizyta jest czystą formalnością, uaktualnieniem wcześniejszej weryfikacji. Jeszcze w Londynie martwiła się, czy osoba duchowna zechce mówić swobodnie o życiu osobistym dawnego studenta, zwłaszcza, że szczególnie chciała poznać wątpliwe moralnie aspekty tegoż życia. Kapelan z ochotą mówił jednak o młodym Patricku Dobsonie.

- Brał wszystko bardzo poważnie i pracował niezwykle ciężko. Nie ma w tym nic złego - dodał z serdecznym śmiechem, sugerującym coś przeciwnego. - Jednak izolowało go to trochę od innych. Czasami zachowywał się niemal jak ktoś w średnim wieku.

- A więc nie było w nim nic szalonego? - Liz spytała z lekkim uśmiechem.

- Zdecydowanie nie. Z każdej strony był modelowym obywatelem. - Porwał ciasteczko z talerza. - Wstąpił do Młodych Konserwatystów, wszystkie kolacje jadał w Hallu i unikał pokus. W jego życiu nie było kobiet, choć muszę przyznać, że nie z powodu niechęci z jego strony. Po prostu nie wywoływał większego zainteresowania u piękniejszej płci. To zabawne, jak coś takiego się zdarza, czyż nie?

- W jaki sposób poznał go ojciec tak dobrze? - spytała Liz, lekko zaskoczona tym bardzo osobistym portretem Dobsona.

- Często przychodził do kaplicy. Co tydzień, czasami też w środy. - Skrzywił się lekko. - To może zabrzmieć dość dziwacznie z mojej strony, ale uważałem go za trochę nazbyt religijnego, jeśli wiedzą pani, co mam na myśli. To nieczęste u chłopców w tym wieku, szczególnie w Oxfordzie.

- Czy spowiadał się ojcu?

Po raz pierwszy kapelan wyglądał na zaskoczonego.

- Mnie? Och nie. Widzi pani, między nami było coś w rodzaju różnic klasowych.

- Naprawdę? - zapytała Liz.

Jeśli dobrze pamiętała, Dobson nie miał zbyt arystokratycznego pochodzenia. A może Hickson sugerował, że on takowe miał? Ciężko jej było w to uwierzyć, gdy spoglądała na tego pożerającego herbatniki wielkoluda.

- Widzi pani, młody Patrick pochodził z klasy robotniczej. Dzięki swemu niezaprzeczalnie sporemu umysłowi zdołał uzyskać stypendium w niezależnej szkole. Tam wykształcił nie tylko umysł, lecz także - kapelan pokiwał palcem, a Liz widziała, że zaczynał się dobrze bawić - nad wyraz rozwinięte poczucie awansu społecznego.

- Rozumiem - odparła Liz, ukrywając rozbawienie.

- W Oxfordzie te aspiracje poszły dalej. Lubił przez większość czasu nosić sweter - kontynuował Hickson, niemal wesoło akcentując początkowe „s” - a czasami zakładał nawet swój stary szkolny krawat. W niedziele można go było ujrzeć w tweedowym garniturze w kratkę, w jakim, jak to kiedyś komuś powiedział, chadzali „dżentelmeni na wsi”. - Hickson popatrzył na Liz z błyskiem w oku. - Teraz może sobie pani wyobrazić, jak uwielbiali to jego koledzy.

- Czy chodziło o wspomniane przez ojca różnice klasowe? - spytała Peggy, która do tej pory się nie odzywała. Wyglądała na zdezorientowaną.

- Och, zacznijmy od tego, że nie było żadnych różnic. Obydwaj byliśmy równie pospolici jak gnój - kapelan rzekł z serdecznym uśmiechem. - Rzecz w tym, że ja wciąż

jestem. To zaskakujące, że wciąż mnie tu trzymają. Przypuszczam, że to forma poprawności politycznej. - I tym razem roześmiał się tak głośno, że aż kanapa się zatrzęsała.

Wychodząc kilka minut później, po tym jak odmówiła kolejnej kawy bądź sherry, Liz zastanawiała się, czy odmalowany przez kapelana kpiący portret Dobsona dostarczał rzeczywistych powodów do troski. Dobson był najwyraźniej poważnym, lekko kujonowatym studentem, tak bardzo skupiającym się na zamazywaniu śladów swego pośledniego pochodzenia, że paradoksalnie bardziej się tym wyróżniał, niż dopasowywał. Liz niepokoiłi ludzie zakładający maskę kogoś innego, niż byli - tweedowy garnitur w kratkę, też coś - ponieważ jeśli byli zdolni opierać swe życie na jednym kłamstwie, co mogło ich powstrzymać przed opieraniem go na kolejnych?

Jednocześnie było jej niemal żal kogoś tak wyraźnie niepewnego samego siebie, choć rozbawiła ją satyryczna opowieść kapelana. W końcu, jak pomyślała, przypominając sobie własne nieszczęśliwe nastoletnie lata, gdyby społeczne niedopasowanie w okresie dorastania miało być podstawą do podejrzeń, Liz byłaby pierwszą podejrzaną w tym śledztwie.

Później skierowały się do Somerville College, gdzie spotkały starą nauczycielkę Judith Spratt, elegancką intelektualistkę Isabellę Prideaux, która zbliżała się już chyba do wieku emerytalnego. W swym pokoju na parterze, o wielodzielnych drzwiach wychodzących na ogromny dziedziniec, Isabella zdała krótkie i pochwalne sprawozdanie na temat studenckich czasów Judith. Wydawała się wiedzieć, gdzie wylądowała jej była uczennica. „Zachowuje kontakt”, powiedziała, dodając z dumą: „jak zresztą większość moich studentów”.

Spotkały się o wpół do pierwszej. Po półgodzinie wiedziały już co trzeba i Liz zaczęła się wymawiać, sądząc, że udadzą się gdzieś wraz z Peggy, by zjeść kanapkę. Poczula więc lekki wstyd, gdy okazało się, że oczekiwano po nich pozostania na lunch. Peggy popatrzyła pytająco na Liz, lecz wyglądało na to, że nie zdołają się wykręcić w żaden uprzejmy sposób, poszły więc do małej jadalni w pobliżu dużego hallu.

Rozmowa na temat Judith Spratt nie mogła już tutaj występować w menu, jako że siedziały otoczone nauczycielami college'u. Większość z nich była mężczyznami - ku zaskoczeniu Liz, ponieważ jej pogląd na Somerville został uformowany dzięki „Gaudy Night” Dorothy Sayers. Po długim elaboracie na temat piękna kwarków, wygłoszonym przez siedzącego obok niej wykładowcę fizyki, Liz cieszyła się, mogąc

uciec wraz z Peggy i ich gospodynią na kawę we wspólnej sali nauczycielskiej, gdzie udało im się zająć cichy kącik wyłącznie dla siebie.

- Przykro mi z powodu profesora Burrella - panna Prideaux powiedziała do Liz, która uświadomiła sobie, że musi jej chodzić o jej sąsiada przy lunchu. - Gdy go słucham, równie dobrze mógłby mówić w urdu.

Gawędziły jeszcze przez chwilę, po czym, akurat gdy Liz i Peggy miały się zbierać, panna Prideaux wypaliła znienacka:

- Równie przykro było mi słyszeć o Ravim.

- Liz nadstawiła uszu.

- Tak? - spytała.

- Wiem, że to brzmi staroświecko, ale naprawdę sędzę, że te międzyrasowe małżeństwa są zawsze bardziej nietrwałe. - Gdy Liz nic nie odpowiedziała, panna Prideaux zarumieniła się lekko, być może martwiąc się, że wyjdzie na rasistkę lub nietaktowną, bądź też jedno i drugie naraz. Demonstracyjnie popatrzyła na zegarek. - O mój Boże, ja tu plotkuję, a studentka w ostatnim stadium hysterii czeka na mnie w sprawie swojej pracy z języków anglosaskich.

Kiedy stały, podziwiając widok rozpościerający się ze szczytu Sheldonian, Peggy spytała Liz:

- O co chodziło pannie Prideaux, gdy mówiła, że przykro jej z powodu Ravięgo? Liz wzruszyła ramionami.

- Nie jestem pewna. Ravi jest mężem Judith Spratt. Nazywa się Ravi Singh. Judith używa w pracy panieńskiego nazwiska.

- Tego się domyśliłam - rzekła Peggy. - Co on robi?

- Jest biznesmenem, pochodzi z Indii. Już długo są małżeństwem, poznali się chyba w Oxfordzie. Jest czarujący.

- Och, a więc go znasz?

- Trochę. Byłam u nich parę razy na kolacji.

Peggy skinęła głową.

- To trudne, czyż nie? W aktach Judith nie ma nic na temat zmiany jej stanu cywilnego.

Liz westchnęła. Sądziła, że to nieunikniony efekt uboczny śledzenia kolegów.

- Więc lepiej się upewnijmy. Mam nadzieję, że to nic takiego. - Zanotowała sobie jednak w pamięci, aby następnego dnia porozmawiać z Wydziałem B¹⁰.

Ich ostatnia rozmowa miała miejsce w Merton College, do którego doszły wąską alejką biegnącą z High. Nagle gwar głównej ulicy zmienił się w niemal średniowieczny spokój. Gdy skręciły na nierówny bruk Merton Street, Liz ujrzała mały kościelny dziedziniec ze ścieżką wytyczoną wspaniałymi drzewami wiśniowymi. Wyobraziła sobie, że ten widok mógł się nie zmienić od ostatnich pięciuset lat.

Nazywał się Hilary Watts. Dla mnie *profesor* Watts, pomyślała Liz, ponieważ wydawał się oczekiwać takiego szacunku. Był staroświeckim arabistą, z pewnością silnie powiązany z Ministerstwem Spraw Zagranicznych - uczył na letnich kursach w MECAS, słynnym Centrum Studiów Arabskich na wzgórzach rozpościerających się nad Bejrutem, oraz nauczał dalszych krewnych jordańskiego króla Husajna, gdy przyjechali do Oxfordu, aby nadać swemu wykształceniu ostateczne szlify.

Przez wiele lat służył też za łowcę talentów dla MI6, zanim ta przeszła na system otwartej rekrutacji. Uczył Toma Dartmoutha na studiach podyplomowych i MI5 poprosiło go o referencje, gdy jego były student złożył do nich papiery. Referencje, tchnące dawnymi czasami sieci starych kumpli i prozaicznością prywatnej szkoły, rozciągały się na trzy linijki, zapisane na odwrocie pocztówki z Akademii w Wenecji: *Rozsądny chłopak. Dobre języki. Wystarczająco sprytny do służby krajowej.*

„Służby krajowej” - był to niegdyś w Szóstce dominujący pogląd na temat MI5. Nic więc dziwnego, że Watts nie wstał, gdy zapukały wraz z Peggy do drzwi, lecz jedynie zawołał stanowczo: - Wejść.

Po wejściu kobiety znalazły się w ciemnym pokoju o wysokim stropie i z osadzonym w przeciwległej ścianie szerokim oknie o murowanych słupkach, które z powodu zasłon - grubego aksamitu, bardzo potrzebującego prania - wpuszczało bardzo niewiele światła. Profesor siedział w starym fotelu o wypłowiałych obiciach. Przed nim znajdowało się małe, odsłonięte okienko, przez które spoglądał na bujną trawę boiska na Christ Church Meadow.

- Proszę usiąść - powiedział, wskazując na długą kanapę narożną dochodzącą do jego fotela.

¹⁰ Wydział B (B Branch) - dział personalny MI5 (przyp. tłum.).

Zasiadły posłusznie, acz ostrożnie, i Liz przyjrzała się mężczyźnie, który dalej spoglądał na łąkę. Miał sędziwą, lecz wytworną twarz o długim, pokrytym żyłkami orlim nosie, wysoko sklepionych kościach policzkowych i małych, przenikliwych oczach w kolorze jaskrawego błękitu. Przekrzywił głowę na bok i przyjrzał się im obu.

- Proszę pań - powiedział krótko - do czego mógłbym się wam przydać?

Liz zauważyła, że trzymał w dłoni fajkę, którą teraz uniósł, demonstracyjnie wystukując zawartość cybucha. Kawalki popiołu spadły mu na grube spodnie i strząsnął je z irytacją, gdy Liz wyjaśniała, że przyjechały tu, by spytać go o Toma Dartmoutha.

- Och, Tom - rzekł. - Utalentowany chłopak. Przyszedł do mnie, by nauczyć się języka, choć i tak był już w nim dobry.

Z tymi słowy skinął głową i pyknął leniwie z fajki. Liz spytała go łagodnie:

- Czy znał go pan jako studenta?

Watts z wyraźnym wahaniem wysunął ustnik spomiędzy warg.

- Nie uczę studentów - odparł, potrząsając głową. - Ale Mason z Balliol powiedział, że młody Dartmouth uzyskał najlepszą ocenę końcową z PPE¹¹ na swoim roku.

- Czy w Tomie było coś szczególnego? Cokolwiek, co zapamiętałby pan jako niezwykle?

- Wszyscy moi studenci są niezwykli - powiedział rzeczowo.

Peggy zerknęła z ukosa na Liz. Liz nie mogła się powstrzymać przed podziwianiem wiary w siebie tego dinozaura. Powiedział to w taki sposób, że nie zabrzmiało chełpliwie.

- Jestem o tym przekonana - przyznała spokojnie Liz. - Jednak zastanawiałam się, czy nie zapamiętał pan czegoś szczególnego na temat Toma.

Tym razem Watts z ochotą wyciągnął fajkę.

- Jedynie to, że był rozczarowaniem - rzekł ostro.

- Czemu? - zapytała zaskoczona Liz.

- Sądziłem, że ma zadatki na świetnego arabistę. Mógłby bez wysiłku zrobić doktorat. Teraz trzeba go mieć, by ubiegać się o stanowisko uniwersyteckie.

Czy o to chodziło? - zastanawiała się Liz. Watts złościł się na Toma, ponieważ ten porzucił świat akademicki?

¹¹ PPE (Philosophy, Politics and Economics) - popularne studia interdyscyplinarne łączące elementy filozofii, polityki i ekonomii (przyp. tłum.).

- Czy to było wielkim rozczarowaniem?

- Co? - z wyraźną irytacją zapytał Watts. - To, że nie chciał uczyć? Nie, nie chodziło o to. Bóg mi świadkiem, że na tym świecie nie brak wykładowców.

Wyglądał na lekko urażonego, jakby rozpamiętywał jakąś zniewagę, a Liz postanowiła go nie naciskać. Część jej chciała jednak powiedzieć temu nedorzecznemu relikтови dawnych czasów: „No, dawaj. Opowiedz nam, jak to Tom Dartmouth - *najlepsza ocena końcowa na roku, utalentowany chłopak, jeden z nas itd. itp.* - zawiódł ciebie, swojego mentora”.

Nie musiała jednak czekać długo. Z żalem, który wydał się Liz zupełnie nieszczerzy, Watts rzekł powoli:

- Zaaranżowałem mu spotkanie z moimi przyjaciółmi w Londynie. - Po raz pierwszy popatrzył bezpośrednio na Liz, lecz jego oczy były zamglone, pozbawione zainteresowania. - Z pani odpowiednikami.

Szóstka, pomyślała Liz. Oczywiście miejsce dla arabisty z aspiracjami.

- Co się stało? - spytała, odkrywając, że ten staroświecki weteran irytował ją równie mocno, jak ona najwyraźniej irytowała jego. Dzięki Bogu, że okiennice się otworzyły, pomyślała, zastanawiając się nad względną przejrzystością świata wywiadu w obecnych czasach.

Tym razem Watts nie spieszył się z odpowiedzią, jakby chciał nauczyć Liz, że to nie ona tak naprawdę kontrolowała tę rozmowę. W końcu powiedział:

- Chłopak nie był zainteresowany. Z początku pomyślałem, że oznacza to, iż chce wstąpić do służby zagranicznej i rozpocząć właściwą karierę dyplomatyczną. Ale nie, ani trochę. „O co więc chodzi”, zapytałem go. „O pieniądze?” Mógłbym to zrozumieć. Zarobiłby fortunę, pomagając jakiemuś bankowi zapuścić korzenie na Bliskim Wschodzie. Ale nie chodziło też o to.

Watts przerwał, jakby wzburzyły go wspomnienia. Gdy znów się odezwał, trzymał w ustach fajkę, więc dosłownie cedził słowa.

- Powiedział mi, że chce pracować dla was. Na froncie domowym, jak to ujął. Powiedział, że chce zajmować się bezpośrednio kwestiami bezpieczeństwa. Spytałem go, czy naprawdę pracował tak ciężko i zrobił tak wiele po to, aby zostać jakimś cholernym policjantem.

Ni stąd, ni zowąd Peggy wtrąciła się po raz drugi tego dnia:

- Co Tom odpowiedział?

Watts obrócił się i obrzucił Peggy pogardliwym spojrzeniem, oburzony jej impertynencją. Protekcyjny stary piernik, pomyślała Liz. Dostałby zawału, gdyby wiedział, że Peggy jest z Szóstki.

Gdy się odezwał, w jego głosie rozbrzmiewała wyraźna nuta złości:

- Roześmiał się i powiedział, że nie zrozumiał. - Po minie Wattsa widać było wyraźnie, że nie mógł sobie wyobrazić poważniejszego grzechu.



Do Londynu wróciły wczesnym wieczorem. Liz odwiozła Peggy i pojechała prosto do domu. Spojrzała bez entuzjazmu na lichą zawartość lodówki i uznała, że nie jest głodna. Na automatycznej sekretarce mrugała lampka, więc niechętnie postanowiła odtworzyć wiadomości, mając nadzieję, że to nikt z biura. Była zmęczona i ponad wszystko pragnęła kąpieli, dużej wódki z tonikiem oraz łóżka.

Głos w telefonie był słaby i lekko niepewny. Liz, wciąż rozpamiętująca rozmaite dzisiejsze spotkania, potrzebowała kilku chwil, by uświadomić sobie, że to jej matka. Mówiła o przedszkolu, o tym jak zatłoczyło się nagle po długiej, jednostajnej zimie.

Następnie jej głos zmienił się, brzmiał niemal sztucznie lekko, jakby chciała szybko załatwić mniej przyjemny temat. „Dzwonił Barlow”, powiedziała matka, a Liz nadstawiła uszu. Był jej lekarzem rodzinnym. „Przyszły te badania i chce, żebym zajrzała. Co za nudziarz”. Nastąpiła chwila przerwy. „No dobrze, zadzwoń do mnie, kochanie, gdy będziesz mogła. Teraz wprawdzie wychodzę, ale będę jutro wieczorem”.

Nie była to dobra wiadomość. Jej matka była niechętną pacjentką, zachodzącą do lekarza tylko wtedy, gdy zawiodło wszystko inne - kamienny spokój, gorący grog, zwykły stoicyzm. Barlow musiał nalegać, by przyszła się z nim zobaczyć, co było niepokojące.

Liz naląła sobie wódki na uspokojenie. Sięgała właśnie do kurków przy wannie, gdy zadzwonił telefon.

Był to Dave Armstrong.

- Cześć Liz, gdzie byłaś? - spytał. - Szukałem cię cały dzień.

- Robiłam coś dla Charlesa - powiedziała. Nie chcąc szerzej wyjaśniać, zmieniła temat: - Coś się ruszyło ze zdjęciami?

- Jeszcze nie, ale będą następne.

- Co z naszym przyjacielem?

- Na razie w porządku. - Szansa, że niewłaściwe osoby mogłyby podsłuchać ich rozmowę, była bliska zeru, lecz jak wszyscy w ich fachu, żywili wrodzoną nieufność względem telefonów.

- Próbowałem cię znaleźć - rzekł Dave - żeby powiedzieć ci, iż musiałem zobaczyć się z kontaktem w Islington. Chciałem ci zaproponować, że kupię ci najlepsze indyjskie jedzenie na świecie. Oferta wciąż aktualna.

- Och, to miło z twojej strony - odparła - ale ledwo udaje mi się trzymać otwarte oczy. Byłabym okropnym towarzystwem. Przełożmy to na inny raz.

- Nie ma problemu - z typową dla siebie wesołością powiedział Dave. - Do zobaczenia na farmie.

Liz poszła zajrzeć do wanny. Owszem, była zmęczona, choć innym razem i tak dołączyłaby do Dave'a, bo zawsze lubiła jego towarzystwo. Dziś jednak martwiła się o matkę i nie potrafiłaby się dobrze bawić.

Wchodząc do łazienki, pomyślała, że musi coś z nią zrobić. Gdy kupiła mieszkanie, nierozsądnie uznała, że wytapetuje łazienkę w kolorze jaskrawej cytryny i teraz tapeta wyraźnie wyglądała na wypłowiałą. Co gorsza, połączenie codziennej porcji gorącej pary i niewielkich rozmiarów pomieszczenia sprawiło, że papier zaczął się łuszczyć. Zauważyła, że jeden plamisty fragment tuż nad kurkiem zwisał luźno.

Wróciła myślami do Dave'a. Był jej bliskim przyjacielem, choć nigdy nie było między nimi niczego więcej oprócz przyjaźni - i nigdy nie będzie. To zabawne, na pierwszy rzut oka Dave wydawał się doskonałym kandydatem do związku. Nie był może intelektualistą, lecz był bystry, zabawny i, a jakże, przystojny. Nie miewał huśtawek nastrojów, nie narzekał i wydawał się posiadać dożywotnią prenumeratę „Potęgi Pozytywnego Myślenia”. Nawet, jeśli Liz myślała czasami, że był nazbyt przekonany, iż świat jest jego ostrygą, przynajmniej zawsze z radością robił jej miejsce w swej skorupie.

Usiadła i przekręciła kurek z gorącą wodą, dopóki z powierzchni nie uniosła się chmurka pary, wtedy zakręciła kran i znów się położyła, relaksując się. Gdyby nie Dave, komu mogłaby się zwierzać? Nikomu, zdała sobie sprawę, ponieważ w jej życiu nie było obecnie żadnego wyjątkowego mężczyzny, co stwierdziła beznamiętnie, bez rozczarowania czy żalu.

Oczywiście byłoby miło mieć kogoś na tyle bliskiego, by dzielić się z nim różnymi rzeczami - zwłaszcza tymi złymi, trudnymi, jak wyniki badań matki. Ale nie chcesz przecież robić tego z byle znajomym, pomyślała. W jej doświadczeniach zwierzanie się zawsze prowadziło do napięć, tworzyło swoistą sztuczną intymność, wykraczającą poza przyjaźń. Niektóre kobiety wydawały się sobie z tym radzić - udawało im się to przez cały czas - lecz do jej osobowości to nie pasowało. Natomiast „partner” (okropne słowo, pomyślała Liz, lecz nie przychodziło jej do głowy nic lepszego) był właśnie po to, by się z nim dzielić takimi rzeczami.

Chlup. Woda prysnęła jej na palce u nóg. Zobaczyła, że fragment tapety poddał się i postanowił dotrzymać jej towarzystwa w wannie.



Nienawidzę wstawać tak wcześnie, pomyślała Liz. Było dopiero piętnaście po dziewiątej, a ona już znajdowała się pośrodku Morza Irlandzkiego. Jak dotąd, podróż była zwyczajowym koszmarem - zatłoczone metro, potem frustrujące oczekiwanie na Heathrow, ponieważ lot z Belfastu był opóźniony. Nigdy nie wiadomo, co na siebie włożyć, gdy wstajesz tak wcześnie, dumiała Liz. Wybrała nowy lniany żakiet - dość ryzykownie, jak na tę porę roku i podróż w zatłoczonym samolocie. Len zawsze dobrze wyglądał na wieszaku, lecz po półgodzinie noszenia potrafił przybrać formę pogniecionej szmaty. Na szczęście mogła powiesić żakiet na haczyku przed swoim siedzeniem w samolocie i miała sporą nadzieję, że dotrze na miejsce w rozsądnym stanie.

Gdy wyjrzała przez okno i ujrzała, jak wyrastająca znad Walii chmura ustępuje miejsca błękitnemu niebu, poprawił jej się nastrój. Być może ta podróż okaże się mimo wszystko bardziej produktywna i przyjemniejsza, niż się spodziewała.

Gdy ujrzała tłumy kłębiące się wokół pasa transmisyjnego z bagażami, cieszyła się, że wzięła tylko torbę podręczną. Dzięki temu pierwsza znalazła się przy kontuarze, gdzie przy pomocy prawa jazdy wystawionego na nazwisko Falconer wypożyczyła samochód Renault 5.

Przejechała rogatkami miasta, by uniknąć maruderów z godziny szczytu. Lubiała prowadzić, choć w porównaniu z jej Audi, Renault wydawało się pozbawione mocy, musiała je więc forsować, ponieważ nie chciała spóźnić się na spotkanie z doktorem Liamem O'Phelanem, wykładowcą studiów irlandzkich na Uniwersytecie Królewskim w Belfaście.

Dziwnie było wrócić do Belfastu po dziesięciu latach. Dzięki Bogu, że nie muszę już sprawdzać, czy nikt nie śledzi mojego samochodu, albo też czy ktoś nie podłożył pod niego bomby, pomyślała. Kiedy była tu ostatnio w niepewnych czasach, obydwa zachowania pozostawały na porządku dziennym.

Wróciła myślami do swego pierwszego przydziału, kilku miesięcy poświęconych Północnej Irlandii. Większość czasu spędziła w Thames House, lecz złożyła trzy krótkie wizyty w Belfaście. Pamiętała, jaka była nerwowa za pierwszym razem, gdy wskutek telewizyjnych migawek z opancerzonymi samochodami i szalącymi tłumami, przy których dorastała, spodziewała się scen przemocy. Najgorsza część kłopotów należała już jednak wtedy do przeszłości. Wtedy, gdy tu przebywała, w połowie lat dziewięćdziesiątych, Północna Irlandia była już bliska pokoju. Owszem, czasami ekstremiści kogoś zabijali, lecz mimo to panowało kruche zawieszenie broni.

Nie to, żeby nie było mnóstwa innych okazji do konfliktu, zadumała się Liz, aczkolwiek łagodniejszego rodzaju, pomiędzy północnoirlandzkim biurem, sekcjami wywiadowczymi MI5, wywiadem wojskowym, a także Królewską Policją Ulsteru i jej Wydziałem Specjalnym. Przeszła szybki kurs na temat zasad zbierania informacji wywiadowczej w Północnej Irlandii. Musiałam szybko dorosnąć, myślała teraz, przypominając sobie, że gdy otrzymała zadanie prowadzenia informatora niskiego szczebla, odkryła, iż próbuje go jej podwędzić oficer Wydziału Specjalnego KPU. Nie potrzebowałam wiele czasu, by przeciągnąć go na swoją stronę, pomyślała z satysfakcją.

Pojechawszy na północ od Stranmillis Road, obok bujnie rozkwitającego ogrodu botanicznego, Liz zaparkowała na cichej, wysadzonej drzewami uliczce odchodzącej od University Road. Okolice uniwersytetu były oazą spokoju, szanowaną przez obie zwaśnione strony. Przeszła na skos przez prostokątny trawnik, otoczony późnogotyckimi wiktoriańskimi budynkami, które spoglądały z zazdrością na studentów rozłożonych na trawie z książkami i pławiących się w słońcu, co jak na maj było dość dziwnym, nietypowo letnim widokiem. Poczowała lekkie ukłucie. Wszystko to było takie znajome i takie beztroskie.

Po kilku nieudanych próbach znalazła w końcu Instytut Studiów Irlandzkich, stojący w rzędzie szarych wiktoriańskich domów. Liam O'Phelan miał gabinet na pierwszym piętrze.

Z niemal pedantyczną dokładnością podał czas, kiedy będzie mógł się z nią zobaczyć (11. 45 przed południem), lecz gdy znalazła jego pokój i zapukała do drzwi, nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Z korytarza rozległ się jednak głos:

- Już idę.

Z akt otrzymanych od Peggy Liz wiedziała, że O'Phelan miał czterdzieści dwa lata, lecz rzednące włosy i zmarszczki sprawiały, że wyglądał starzej. Miał na sobie jasnozieloną tweedową marynarkę i flanelowe spodnie. Widziała wiele wersji takich marynarek na mężczyznach w średnim wieku, którzy zachodzili do centrum ogrodniczego jej matki, lecz ta miała piękny krój i nie wyglądała tak, jakby kiedyś znalazła się bliżej niż na kilometr od ogrodowej szopy.

- Doktor O'Phelan.

- Zgadza się - powiedział, wyciągając suchą, miękką dłoń. Popatrzył na nią przenikliwymi, niebiesko-zielonymi oczyma. - A to zapewne panna Falcon. Mój ulubiony ptak drapieżny.

- Tak naprawdę Falconer¹² - sprostowała.

- Jeszcze lepiej - odparł, otwierając drzwi.

Zaskoczył ją bogaty, niemal zmysłowy wystrój pokoju. Nie spodziewała się czegoś takiego w tym ponurym budynku. Na jednym końcu stał fałszywy kominek z białego marmuru, zaś drewniana podłoga pokryta była orientalnymi chodnikami w odcieniach czerwieni i niebieskości. Ściany ozdobiono obrazami, litografiami i grafikami, wśród których rozpoznawała portrety Yeatsa i Joyce'a.

O'Phelan wskazał Liz jeden ze stojących na środku pomieszczenia wyściełanych foteli.

- Proszę usiąść - powiedział formalnie - a ja zrobię kawę.

Kiedy zabrał się do przygotowań, Liz wyjęła swoje papiery i popatrzyła w notatki, które nakreśliła zeszłej nocy. Nigdy nie trzymała się żadnego ustalonego porządku pytań, wolała, by rozmowa rozwijała się w sposób naturalny, lecz chciała się upewnić, że otrzyma odpowiedzi na wszystkie swe pytania.

O'Phelan przyniósł tacę z dwiema filiżankami i spodkami z chińskiej porcelany, umieszczając ją na małym stoliku między fotelami. Siadając, przełożył powoli jedną nogę przez drugą i pociągnął łyk gorącej kawy, zaś Liz przyglądała mu się dyskretnie. Miał proste włosy w kolorze piasku, lekko krzywe zęby i wąski, prosty nos. Zupełnie jak młodszy Peter O'Toole, uznała.

- Przyjechała pani tutaj po to, by porozmawiać ze mną o jednym z moich starych studentów, jak mniemam. - Miał staranny akcent, bez śladu chrapliwego ulsterskiego warkotu.

- To prawda. O Michaelu Bindingu.

¹² Falcon - ang. sokół, falconer - sokolnik (przyp. tłum.).

- I jest pani z Ministerstwa Obrony. - Przyglądał jej się uważnie.

- Tak. Napisał mu pan referencje, gdy ubiegał się o pracę w ministerstwie.

Pamięta go pan?

- Bardzo dobrze - oznajmił O'Phelan. Podniósł palec wskazujący, jakby zamierzał wygłosić oświadczenie. - Byłem promotorem jego pracy, jednak niedługo. Zmienił promotora, gdy opuściłem Oxford, aby przyjechać tutaj.

- Czy to normalna praktyka?

- Co? Że tu przyjechałem? - Roześmiał się lekko na to celowe nieporozumienie.

- Tak naprawdę, to zależy. W jego przypadku sądzę, że zapewne chciał zmiany. Ja chciałem na pewno.

- Nie dogadywaliście się?

O'Phelan wzruszył ramionami.

- Nieszczególnie, lecz nie o to chodziło. Nie zgadzałem się z całym jego podejściem.

- Do pracy? - Gdy O'Phelan przytaknął, spytała z zaciekawieniem: - O czym była?

- O Charlesie Stewarcie Parnellu.

- A co konkretnego na temat Parnella?

Wydawał się zaskoczony jej zainteresowaniem.

- Jego przemowy polityczne. Jak odzwierciedlały politykę epoki i vice versa. Typowe rzeczy. To były tylko studia policencjackie.

- Ale mówił pan, że nie podobało się panu obrane przez niego podejście.

- Owszem, uważałem je za zupełnie niewłaściwe. Oczywiście należę do szkoły historyków, których Conor Cruise O'Brien nazwał niegdyś „Fenianami”¹³ intelektualistami”. Parnell jest dla mnie pierwszym i najważniejszym z irlandzkich nacjonalistów.

Wydawał się delectować swoimi słowami, jakby mentalnie akcentował wypowiedziane zdania.

- Binding postrzegał go jedynie w kontekście brytyjskiej demokracji parlamentarnej - ciągnął dalej. - Wydawał się uważać, że gdyby Parnell miał na tyle szczęścia, by urodzić się Anglikiem, dokonałby wielkich rzeczy. Po drugiej stronie Morza Irlandzkiego.

- Podczas gdy pan sądzi, że Parnell był wielki sam w sobie.

¹³ Fenianie - określenie dziewiętnastowiecznych irlandzkich nacjonalistów (przyp. tłum.).

Liz czekała na jego odpowiedź.

- Absolutnie - odrzekł i po raz pierwszy w jego głosie pojawił się entuzjazm. - Jednak fundamentalny problem, jaki miałem z Bindingiem, nie polegał na tym, że mieliśmy odmienne zdania. Chodzi mi o to, że gdybym uczył jedynie osoby, które się ze mną zgadzają, nie byłbym zbyt zajęтым człowiekiem. Nie, to raczej... jak mógłbym ująć to grzecznie?... po prostu nie był zbyt dobry.

Rozwodził się nad tym jeszcze przez kilka minut, wyjaśniając łagodnym głosem, że Bindingowi kiepsko szły badania, ani nie myślał, ani nie pisał jasno, a więc, w skrócie, nie posiadał podstawowych umiejętności intelektualnych, jakich można oczekiwać po studencie podyplomowym uniwersytetu w Oxfordzie.

Było to oczernianie pierwszej klasy, wypowiedziane tonem tak wyraźnego żalu, że Liz potrzebowała chwili, by dostrzec kryjącą się za tym zjadliwość. Nawet O'Phelanowi ciężko było utrzymać fasadę ostentacyjnej uprzejmości i skończył miażdżąco:

- Z szokiem dowiedziałem się, że jego praca została zaakceptowana.

- Rozumiem - powiedziała neutralnie Liz. Podniosła ołówek ze stołu. - Chciałam też pana zapytać o jego życie osobiste.

- Proszę pytać, lecz nie jestem pewien, czy będę mógł pani pomóc. Nie znałem go szczególnie dobrze. Byłem u św. Antoniego, a on był w innym college'u, chyba Oriel. W każdym razie w jednym z mniejszych.

- Wie pan, czy miał wielu przyjaciół?

O'Phelan potrząsnął głową.

- Nie wiem.

- A dziewczyny?

Znieruchomiał i uśmiechnął się lekko.

- Miał dziewczyny, niejedną.

- Naprawdę?

- Tak. Czasami czekały na niego, gdy przychodził się ze mną zobaczyć. Stało się tak kilkakrotnie i były przynajmniej dwie różne dziewczyny. Pamiętam, jak pomyślałem: „*Takie oddanie*”.

Liz uśmiechnęła się uprzejmie.

- Czy należał do klubów albo uprawiał sport?

O'Phelan rozłożył ręce, by wyrazić lekkie zakłopotanie.

- Obawiam się, że czegoś takiego bym nie wiedział.

- A co z polityką? Czy interesował się nią?

O'Phelan wyglądał na zamyślonego.

- Tak szczerze mówiąc, to owszem. Przynajmniej bardziej niż większość moich uczniów. Uwielbiał wyklócać się o głupstwa, lubił cytować mi *Daily Telegraph*, zupełnie jakby to było bezstronne źródło.

- A więc był konserwatystą?

- Tak. Ale w wielu aspektach ja też nim jestem. Nie zgadzaliśmy się w kwestii Irlandii. Przynosił jakieś anglo-protestanckie bzdury i cytował mi je, zapewne tylko po to, by mnie zirytować. Zwykle mu się udawało.

Po jeszcze kilku pytaniach Liz demonstracyjnie zerknęła na listę, lecz O'Phelan opowiedział już jej wszystko, co chciała wiedzieć o Bindingu.

Zastanowiła się przez chwilę i sięgnęła dłonią do aktówki, wyciągając z segregatora kolejną kartkę papieru.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym przeczytać panu kilka nazwisk. Są to ludzie, którzy przebywali w Oxfordzie mniej więcej w tym samym czasie co Binding. Zastanawiam się po prostu, czy znał pan kogoś z nich.

Zaczęła powoli wyczytywać nazwiska pozostałych podejrzanych z listy, jednocześnie obserwując kątem oka reakcje O'Phelana. Siedział jednak nieruchomo, z beznamiętną twarzą i dłońmi na kolanach.

Kiedy już niemal kończyła, podskoczył nagle.

- Proszę mi wybaczyć na chwilę - powiedział. - Chyba ktoś jest pod drzwiami. - Podszedł do nich, otworzył je i wystawił głowę: - Ryan, to już nie potrwa długo.

- Przepraszam bardzo - powiedział po powrocie i usiadł.

Liz przeczytała ostatnie nazwisko z listy:

- Stephen Ogasawara.

O'Phelan potrząsnął głową. Uśmiechnął się przepaszająco.

- Obawiam się, że żadne z tych nazwisk nic mi nie mówi. - Znów uniósł palec wskazujący, tym razem jakby chciał się poprawić. - To nie oznacza, że ich kiedyś nie znałem. Jak powie pani każdy nauczyciel, studenci przychodzą i odchodzą. Po prostu nie da się zapamiętać wszystkich nazwisk.

- To najzupełniej zrozumiałe - rzekła Liz. - Cóż, dziękuję panu bardzo za poświęcony mi czas.

- Żaden kłopot - odparł O'Phelan i wstał razem z Liz, po czym odprowadził ją do drzwi. - Proszę dać mi znać, jeśli jeszcze w czymś będę pomocny - powiedział, otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. - Chyba młody Ryan już zniknął.



Tym razem to jemu przypadło zamknięcie sklepu, a jako że był czwartek, dopiero o wpół do ósmej wyłączył światła, po raz ostatni przeszedł się po trzech pomieszczeniach parteru, aby przypadkiem nie zamknąć kogoś pogrążonego w lekturze, po czym zatrzasnął drzwi frontowe i przekreślił klucz w dwóch zamkach Chubb.

Minął dokładnie tydzień, odkąd do sklepu przyszedł imam. Sohail celowo pozostał wtedy w magazynie, dokonując inwentaryzacji, bo obawiał się, że za bardzo będzie po nim widać napięcie. Ku jego zaskoczeniu, Abu Sajed nie udał się na górę, lecz niemal przez godzinę pozostawał w biurze obok głównego pomieszczenia. Nikt do niego nie dołączył, a gdy stamtąd wyszedł, zrobił to tylko po to, by opuścić sklep i wsiąść do oczekującej taksówki.

Co poszło nie tak? Czemu ci trzej młodzi mężczyźni nie pokazali się? Sohail wyteżzał umysł, starając się dojść, czy coś mogło mu się pomylić. Ale nie, był pewien, że wyznaczono spotkanie pomiędzy imamem a trzema młodzieńcami. Mimo to, niczym niezaspokojony głód gryzła go niepewność, dlaczego do niego nie doszło i czuł, że mocno zawiódł Jane, Simona oraz ich nienazwaną służbę wywiadowczą, którą na pewno musiało być MI5.

Czy było możliwe - i na tę myśl aż poczuł przyływ adrenaliny - że wykryto obserwatorów? Przecież musieli gdzieś tam być. On sam wypatrywał jakichkolwiek oznak zewnętrznej obserwacji, najpierw po drodze do i z pracy, a później w porze lunchu, gdy rozglądał się, idąc do parku, by zjeść tam kanapkę. Choć patrzył uważnie, niczego nie dostrzegł.

Dlaczego więc imam miałby podejrzewać, że coś było nie tak? Albo właściciel sklepu, który zachowywał się wobec Sohaila tak jak zwykle - z lekką rezerwą, lecz i z sumienną uprzejmością? To raczej Aswan, kolega Sohaila, był ostatnio obiektem uwagi właściciela - gdy spytał, czy ma przynieść z góry magnetowid, właściciel zareagował z irytacją, mówiąc, że powinien zadawać mniej pytań, a więcej słuchać.

Czy było jednak możliwe, i na tę myśl zaczął odczuwać jeszcze większe zdenerwowanie, że z jakiegoś powodu podejrzewano, iż Sohail nie jest tym, za kogo chce uchodzić? Cichym, oddanym, poważnym młodzieńcem, ciężko pracującym, by pomóc rodzinie? Próbował zachować rozsądek. W końcu ten obraz nie był pozorem, naprawdę taki był, i nie istniał żaden powód, by ktokolwiek mógł uważać inaczej.

Czekał na autobus przez niemal kwadrans, a później musiał stać przez połowę drogi do domu. Zwykle udawało mu się znaleźć miejsce siedzące i wtedy czytał. Teraz znajdował się w połowie tomu *Angielskie delikty. Opis przypadków*. Choć posiadał dobry powód, by odłożyć studia o rok, nie chciał, by cały ten czas poszedł na marne. Podobała mu się precyzja i sucha zwięzłość książki. Była niemal teoretyczna w swej abstrakcyjności, lecz w przeciwieństwie do literatury islamskiej, jaką był otoczony w ciągu dnia, angielskie prawo wydawało się niezdolne do wypaczeń w rękach fanatyków.

Zastanawiał się, jakby to było znów wieść zwyczajne życie. Nie musieć się martwić o to, co się mówi, albo o wyraz twarzy. Znów studiować w środowisku, w którym odmienność opinii można wyrażać w sporze, a nie przemocą. To właśnie pochwała przemocy najbardziej go niepokoiła w ludziach, z którymi pracował, ich niedbała akceptacja, a nawet uznanie dla śmierci, jak gdyby życie było czymś nierzeczywistym, jakby istoty ludzkie były zaledwie symbolami.

Nie, Anglia także bynajmniej nie była wolna od przemocy. Brytyjska Partia Narodowa niemal zdobyła mandat w radzie dzielnicy, w której mieszkał wraz z rodzicami. On sam był już dwukrotnie ścigany przez białych młodzików wykrzykujących rasistowskie wyzwiska, zaś raz został obrabowany z pieniędzy przez dwóch pijaków, nie dalej niż dwieście metrów od domu. Tacy ludzie przynajmniej łamali jednak prawo, nie mogli twierdzić, że prawo było po ich stronie.

Jak to miał w zwyczaju, wysiadł z autobusu kawałek wcześniej, mógł więc przejść się trochę, zanim dotrze do domu. Matka przygotuje mu późną kolację, a jego młodsza siostra wykąpie się i będzie się szykować do spania.

Zapadał zmrok i Sohail przyspieszył kroku, idąc główną drogą dzielnicy, po czym skręcił w boczną uliczkę. U jej końca znajdowała się długa alejka, biegnąca między magazynem z jednej, a zapleczem szeregu sklepów z drugiej strony. Była kiepsko oświetlona i trochę niepokojąca - jego młodsza siostra bała się nią iść nawet w świetle dnia - lecz skracała drogę do domu o pięć minut, skręcił więc w nią bez wahania. Gdy szedł pospiesznie naprzód, przez chwilę wydawało mu się, że ktoś idzie

za nim, lecz odwróciwszy się ujrzał jedynie długi cień magazynu, rzucany przez odległą latarnię. Nie bądź taki nerwowy, powiedział sobie, po czym znów pomyślał o tym, jak zawiódł Jane i Simona. I możliwe - wiedział, że brzmiało to pompatycznie, lecz było prawdziwe - również i kraj.

Wciąż czuł rozczarowanie, gdy podniósł wzrok i ujrzał zbliżającą się sylwetkę. Poczul natychmiastowy niepokój, lecz uspokoił się, gdy zobaczył, że ta osoba również ma ciemną skórę. Kiedy zaś mężczyzna podszedł bliżej, Sohailowi wydało się, że widzi w nim coś znajomego. Tamten uśmiechnął się - nawet w mroku Sohail widział jego zęby - i zawołał: - Sohail!

Sohail zaczął odruchowo uśmiechać się w odpowiedzi, przekonany, że to mimo wszystko przyjaciel. I nic dziwnego, że twarz niskiego mężczyzny wydała mu się znajoma. Już wiem, pomyślał Sohail, to ten mały gość, który nie zjawiał się po raz drugi w księgarni. Ale co on tutaj robił?



To mi się podoba, pomyślała Liz, meldując się w Culloden Hotel. Akry ogrodów, centrum odnowy biologicznej, basen oraz restauracja na planie rozety - zdecydowanie wykraczało to poza jej zwyczajowe miejsca zakwaterowania, ale znalazła świetną ofertę w internecie i, wbrew swym zwyczajom, postanowiła opłynąć w luksusy.

Szkoda, że nie uda mi się tym nacieszyć, pomyślała, idąc na górę. Zamówiła kanapkę do pokoju, zrzuciła buty i otworzyła laptopa. Gdy ładował się system, zadzwoniła na pocztę głosową w Thames House, lecz nie było żadnych wiadomości.

Liz zastanawiała się, czy Marcepanowi udało się zidentyfikować kogoś na zdjęciach przysyłanych z Holandii, lecz zmusiła się do zaprzestania spekulacji - to już nie twój interes, powiedziała sobie stanowczo, skupiając się na spisanu rozmowy z O'Phelanem.

Coś było nie tak w tym mężczyźnie. Co właściwie? Odegrał starannie wyreżyserowane przedstawienie, ale no właśnie - przedstawienie. Jednak dlaczego? Czy to dlatego, że po prostu gardził wszystkim i wszystkimi związanymi z siłami bezpieczeństwa? Wyczuwała, że coś więcej kryje się za fasadą wesołości i lekko pretensjonalnym zachowaniem, czuła to. Pieczołowicie zaplanował wywierany przez siebie efekt, przez cały czas dając jej tylko to, co chciał, aby wiedziała.

Tak, rozmowa była przedstawieniem. Liz dostrzegła, że był mężczyzną o silnych przekonaniach. Pamiętała, z jakim żarem w głosie mówił o Parnellu. Z pewnością musiał wywierać potężny wpływ na wrażliwych studentów. Choć wyglądało na to, że nie wywarł go na jej koledze, Michaelu Bindingu.

Liz umówiła się na kolację z Jimmym Fergussem, starym znajomym z Wydziału Specjalnego KPU i ekspertem w dziedzinie lojalistycznych organizacji

paramilitarnych. Zadzwoiła do niego z Londynu, by wiedział, że przyjeżdża na jego teren, a propozycja kolacji wyszła z jego inicjatywy.

Czekając na niego w holu, zerknęła na miejscową wieczorną gazetę i zobaczyła, że prominentny republikanin przyznał się, iż był agentem sił bezpieczeństwa. Zastanawiam się, co się za tym kryje, pomyślała Liz. Dziesięć lat temu nikt nie odważyłby się przyznać publicznie do czegoś takiego, bojąc się, że znajdą go martwego na granicy, z workiem na głowie.

Dostrzegła Fergusa po drugiej stronie holu. Był postawnym mężczyzną o ospowatej twarzy i wyrażającym pewność siebie uśmiechu, który Liz zawsze uważała za zaraźliwy. W życiu prywatnym Fergus był niezłym kawałem chłopca, w Belfaście mówiło się na takich „myśliwiec” - był żonaty tak wiele razy, że gdy pytano go o aktualny stan cywilny, lubił odpowiadać, że jest akurat „pomiędzy rozwodami”. Nigdy niczego nie było pomiędzy nim a Liz, i nigdy nie będzie, choć Fergus zawsze lubił się do niej rytualnie przystawiać.

Pochodził z protestanckiej rolniczej rodziny z Antrim, „jak jeden mąż szczerych bigotów”, jak kiedyś oznajmił. Jako że poznała go przed dekadą, odkryła, że jego zawadiactwo pełniło w większości funkcję ochronną - pancierz narosły wokół bystrego intelektu. Był także dyskretny, co oznaczało, że będzie się dziś mogła przed nim wygadać, oczywiście w rozsądnych granicach, wysondować go, a jeśli okaże się to przydatne, poprosić go o pomoc.

- No proszę, po jakich miejscach się rozbijasz - rzucił kokietujące tocząc się w jej stronę i wskazując na ozdobne lobby hotelowe, pełne marmurowych kolumn, paneli ściennych i kandelabrow. - Zastanawiałem się, czy nie zaprosić cię na kolację w twoim hotelu - powiedział - ale gdy usłyszałem, który to, postanowiłem, że pójdziemy do miejsca, w którym jest trochę więcej lokalnego kolorytu.

Wsiedli do jego starego niebieskiego rovera i pojechali do modnie odnowionego pubu o dużych, otwartych salach, drewnianych podłogach i ceglanym kominku. Gdy weszli do środka, uderzył ich hałas muzyki i ochrypłych głosów. Nie da się tu porozmawiać, pomyślała Liz. Z reakcji, jaką wywołał Fergus widać było wyraźnie, że należał do stałych bywalców tego miejsca.

- Miej wiarę - powiedział, gdy przeciskali się przez część barową do cichszego stolika w położonej z tyłu alkowie.

Przy drinkach zaczęli wspominać, co działo się u nich w międzyczasie. Ostatnim razem widzieli się przed czterema laty, kiedy to Fergus wybrał się do

Londynu. Liz pracowała wtedy w wydziale przestępczości zorganizowanej, choć niedługo później została przeniesiona do wydziału walki z terroryzmem.

Fergus uniósł brew.

- Czy to nie ironiczne, że gdy tylko tutaj życie się uspokoiło, u was zrobiło się gorąco?

- A więc - rzekła Liz - skoro nie ścigasz teraz UVF¹⁴, nad czym pracujesz?

- A kto mówi, że nie ścigam UVF? - odparł, szczerząc zęby. - Ci sami ludzie, inne zbrodnie. Mordowanie katolików, wymuszenia, prostytutka i hazard. Tak naprawdę nic specjalnego.

Gdy kelner przyniósł im zamówienia, Fergus spytał, co robiła w Irlandii Północnej. Liz opowiedziała mu swą przykrywkową opowieść o nowych procedurach weryfikacyjnych.

- Zostałam przysłana na rozmowę z kimś, kto przed piętnastu laty dał referencje jednemu z moich kolegów - powiedziała z nadzieją, że jej ton sugerował zupełnie zbędne czynności biurokratyczne.

Fergus wyszczerzył zęby.

- Cieszę się, że nie tylko my mamy upierdliwych szefów - rzekł. - Z kim się widziałaś?

- Z wykładowcą z Królewskiego. Wykorzystaliśmy go jako referenta dla jednego z jego studentów. Przez jakiś czas uczył historii na Oxfordzie, a potem dziesięć lat temu przyjechał tutaj, aby wykładać na studiach irlandzkich. Ma silne poglądy. Gdyby tylko Irlandia słuchała Parnella, kraj byłby dziś zjednoczony.

Fergus zaniósł się pustym śmiechem i zaczął kroić polędwicę.

- Pewnie uważa, że Gerry Adams się sprzedał. Brzmi jak tacy, których mój ojciec zwykł określać „kanapowymi Fenianami”. Jak się nazywa?

Liz nachyliła się w jego stronę, zanim odpowiedziała:

- Liam O'Phelan.

- Słyszałem o nim - rzekł w zadumie. - Czy on nie pochodzi z Dublina?

- Nie wiem o nim za dużo - przyznała Liz. - Lecz sądzę, że nie był ze mną szczery.

- Na temat swojego byłego ucznia?

¹⁴ UVF (Ulster Volunteer Force) - Oddziały Ochotników z Ulstern, protestancka organizacja paramilitarna w Irlandii Północnej (przyp. tłum.).

- Nie, to brzmiało prawdziwie. W przeciwieństwie jednak do paru innych rzeczy. - Nie chciała wchodzić w zbytnie szczegóły na temat rozmowy.

Fergus nadział frytkę i wpatrywał się w nią przez chwilę, zanim odpowiedział:

- Mogę sprawdzić, czy mamy jego akta. To możliwe. W pewnym momencie, gdy narosły akty przemocy, bardzo się interesowaliśmy Królewskim.

- Mógłbyś? Byłabym wdzięczna.

- Pewnie - rzekł swobodnie - korzystaj ze mnie, póki możesz. Nie będę tego robić wiecznie.

Czy Fergus zamierzał odejść? Wydawało się to nie do pomyślenia. Liz powiedziała to, opierając się na krzesło i spoglądając na niego z tklwym sceptycyzmem.

- Jestem starszy niż myślisz - odparł Fergus. - Tej jesieni stuknie mi dwadzieścia pięć lat.

- A co będziesz dalej robić? - spytała Liz. Nie mogła wyobrazić go sobie w Antrim, niosącego świętą pszenicę.

Fergus wzruszył z lekkim smutkiem ramionami, a Liz zaczęła żałować, że zapytała. Wyjaśnił już niewesoło, że znów jest samotny i wiedziała o jego żalu, iż nigdy nie miał dzieci.

- Widziałam w gazecie, że kolejny były agent przyznał się do współpracy - zauważyła, pragnąc zmienić temat.

- Na pewno będą następni - powiedział poważnie Fergus. - Ciężko jest teraz niektórym ludziom, którzy podczas Kłopotów działali jako tajni współpracownicy, osobowe źródła informacji, agenci, czy jakkolwiek chcesz ich nazwać. Ciężko dla nas, dla was, a szczególnie dla armii. Gdy polityka zbliżyła do siebie starych wrogów, stanęły przed nimi trudne decyzje do podjęcia. Częściowo obawiają się, że i tak zostaliby ujawnieni, bo coraz więcej informacji wychodzi na jaw dzięki śledztwom, wolności mediów i tak dalej. Zapewne tak nie będzie, ale nie są tego pewni. U niektórych z nich występuje, jak sądzę, pewien kryzys sumienia. Pragną, by rozumiano co robili i dlaczego - w końcu nie postrzegają siebie jako zdrajców. Uważają, że będzie to ich własny wkład w pokój i chcieliby zostać za to w jakiś sposób docenieni. Ujawnienie się to niebezpieczna droga, lecz niektórzy i tak się na nią zdecydują, nawet jeśli proces pokojowy ich nie ochroni.

- Nie wszyscy mieli takie szczytne cele - rzekła Liz. - Niektórzy z nich pracowali dla nas ze znacznie bardziej samolubnych pobudek, takich jak pieniądze. Nie sądzę, by tacy mieli się kiedykolwiek odezwać.

- Owszem, masz rację. Tyle, że oni gdzieś indziej dadzą upust swym żalom.

- W każdym razie - powiedziała Liz - wojna wywiadów się przecież nie zakończyła, prawda? Infiltracja paramilitarnych musi być teraz łatwiejsza. Jak wielu katolików jest w Wydziale Specjalnym?

- Więcej niż przedtem - odparł Fergus, dodając cynicznie: - tyle, że to nic nie mówi. Nowe zasady rekrutacyjne wymagają stosunku pół na pół w siłach policyjnych Irlandii Północnej. Możesz sobie wyobrazić, jak popularne to jest wśród moich kolegów. Jednak infiltracja była problemem nawet w czasach, gdy nie było u nas żadnych katolików, tyle, że wtedy miała miejsce ze strony lojalistów.

- Spójrz, jak większość w Wydziale Specjalnym, jestem najpierw policjantem, a dopiero potem protestantem. Czasami komuś odwracają się jednak priorytety. Oczywiście były przecieki do lojalistycznych paramilitarnych. Gdy się to dzieje, powstają wielkie szkody. Jednak największą szkodą jest wywoływany przy tym brak zaufania. Szkodą dla reputacji policji, jeśli chcesz to ująć w ten sposób. Wasze szczęście, że nie macie tego problemu.

- Skąd wiesz, że nie mamy? - rzekła Liz. - Kiedyś na pewno mieliśmy. Pamiętasz Philby'ego i Anthony'ego Blunta?

Fergus powiedział już jednak swoje i teraz przywoływał kelnera.

Po kolacji Fergus odwiózł Liz z powrotem do Culloden. Siedzieli w barze na kanapie z miękkiego czerwonego aksamitu, podczas gdy Fergus sączył dużą brandy i wyjaśniał, co stało się z żoną numer trzy. Po jakimś czasie Liz poprosiła o rachunek, wyjaśniając, że ma wylot wcześniej rano.

- Nie sądzę, żebyś chciała pomocy przy pakowaniu? - powiedział Fergus, gdy wyszli do holu.

Liz roześmiała się.

- Nigdy się nie poddajesz. - Ucisnęli sobie ręce, pocałowała go w policzek i pożegnała się, dodając: - Nie zapomnij o O'Phelanie, dobrze?

Idąc do windy, ziewnęła potężnie, lecz gdy dotarła do swego pokoju, jej wzrok był czujny i bystry.

Dwie godziny później Liz wciąż jeszcze nie spała, siedziała przy biurku w swym pokoju. Obok niej stała nietknięta szklanka wody mineralnej z barku, zaś śledcza spoglądała w zadumie na zrobione przez siebie notatki.

Zapisała raczej spekulacje niż fakty, lecz były one niepokojące i zainspirowane niedbałą wzmianką Fergusa na temat infiltracji północnoirlandzkiego Wydziału Specjalnego. „Wasze szczęście, że nie macie tego problemu”, powiedział.

Ale co z kretem? Nie pierwszy raz zastanawiała się, czego IRA spodziewała się po wtyczce. Zakładając nawet, że zostałyby przydzielony do wydziału walki z terroryzmem, być może nawet do sekcji Irlandii Północnej, co konkretnie miałyby robić?

Co *mógłby* robić, pracując samotnie wewnątrz MI5? Cóż, przede wszystkim mógłby informować IRA o tożsamości informatorów w jej szeregach. Tak właśnie robili Philby i Blake podczas zimnej wojny. Mógł ich ostrzegać, gdyby jakaś operacja była spalona i że grozi im aresztowanie, a co więcej, mógł informować organizację, że jakaś operacja nie była spalona.

Liz mogła sobie jednak wyobrazić coś jeszcze bardziej szkodliwego. Umieszczony w odpowiednim miejscu kret byłby w stanie przekazywać starannie dobrane informacje, które pomagałyby IRA w organizacji druzgocącego ataku. Nawet gdyby informator nie skupiał się na północnoirlandzkich terrorystach i nie był w stanie w bezpośredni sposób pomagać swym mocodawcom, mógłby fabrykować fałszywe informacje, które marnotrawiłyby tylko cenne zasoby i narażały na szwank wiarygodność służb bezpieczeństwa. Wystarczy tylko pomyśleć o irackim dossier i o szkodach, jakie wyrządziło całemu brytyjskiemu wywiadowi.

Czy jednak to wszystko nie było li tylko akademickim gdybaniem? W okresie działalności Seana Keaneya nie było żadnych terrorystycznych działań IRA, które mógłby wspomagać kret. MI5 nie straciło zaś żadnego informatora. Jego reputacja nie została narażona na szwank. Czy oznaczało to więc, że kret po prostu wycofał się ze sprawy, że nigdy nie został przebudzony? Być może po cichu opuścił służbę.

Próbowała wyobrazić sobie sytuację z punktu widzenia kreta. Szpieg jest przygotowany i gotowy do działania, lecz od jego mocodawców przychodzi wiadomość: już cię nie potrzebujemy. Albo jeszcze gorzej, nie ma żadnej wiadomości.

Co by wtedy czuł? Jakże frustrujące by to było? Czy nasz przyjaciel kret ochoczo zaakceptowałby rozkaz i resztę dekady poświęciłby na lojalną służbę dla MI5?

Czy byłby po prostu jednym z nich, nieróżniącym się od pozostałych?

Nie wydawało się to prawdopodobne.

Liz przełknęła łyk ciepłej wody mineralnej. Czas spać, pomyślała. Szczotkując zęby, rozmyślała o tym, że nie w ostatnich dziesięciu latach nie wskazywało, by kret dokonał czegokolwiek dla IRA. Co jednak, jeśli zrobił coś innego?

Ułożyła nadmiernie wypchane poduszki, rozebrała się i położyła do łóżka. Czy kret mógł zostać umieszczony w MI6? Nie sądziła. Na pewno pierwotny pomysł polegał na tym, by ulokować go w MI5, by mógł przeszkadzać służbie w działalności wymierzonej przeciwko IRA. Pozostawał fakt, że pierwotny werbunek kreta miał irlandzkie korzenie - to Sean Keaney wpadł na pomysł umieszczenia szpiega. Jak się jednak okazało, ów pomysł stracił swą wartość, niczym wycofywana z obiegu waluta.

Leżała i znów rozmyślała niespokojnie o O'Phelanie. Co takiego było w tej rozmowie, że tak ją dręczyło? Nie chodziło tylko o wrażenie, że nie mówił prawdy. Było w tym coś więcej.

Dlaczego nie skupiła się na tym wcześniej? Było to oczywiste: wiedziała o tym od początku. Gdy O'Phelan podniósł się, podszedł do drzwi i odezwał się do Ryana, studenta rzekomo oczekującego na korytarzu, nie odpowiedział mu żaden głos. A to dlatego, że oczywiście *w korytarzu nikogo nie było*.

O'Phelan wstał, żeby odwrócić od siebie uwagę. Aby ukryć swą reakcję na coś, co powiedziała. Cóż takiego omawiali, że został zmuszony do takiego wybiegu? Niczego nie omawiali, uświadomiła sobie, odczytywała mu nazwiska z listy. To właśnie to zaniepokoiło O'Phelana, zaniepokoiło na tyle, by spróbował ją zdekoncentrować.

O'Phelan znał jedno z nazwisk.

Zamknęła oczy, lecz jej umysł wciąż przetrwał wszystkie dzisiejsze obrazy. Była jednak zbyt zmęczona, by skupić się na którymś z nich. Zacznie od nowa rankiem.

I dopiero wtedy sobie przypomniała. Zapomniała zadzwonić do matki.



Następnego poranka, o 9. 18, gdy Liz skończyła kawę w jadalni Culloden Hotel i szykowała się do wymeldowania oraz jazdy na lotnisko, obserwator z mieszkania Doris Feldman zadzwonił do Dave'a Armstronga. Siedział on przy swoim biurku w Thames House, pisząc raport na temat nieudanej wyprawy na północ.

- Marcepan się nie pokazał - powiedział obserwator.

- Może się spóźnia - rzekł Dave, zirytowany tym, że przeszkodzone mu w środku zdania. Pisanie raportów było dla niego najgorszym aspektem pracy.

- Dotąd nigdy się nie spóźniał. Uznaliśmy, że będziesz chciał wiedzieć.

- No dobrze - odparł z nagłą czujnością Dave, ponieważ uświadomił sobie, że to co słyszy jest prawdą. Sohail zawsze był punktualny. - Zadzwoń do mnie za dziesięć minut i powiedz, czy się pokazał.

Do dziesiątej rano dzwonili jeszcze trzykrotnie. Wciąż nie było śladu Marcepana. Mocno już zaniepokojony Dave postanowił zadzwonić do Sohaila na komórkę. W normalnych okolicznościach wahałby się to uczynić, z obawy, że chłopak nie będzie sam. Śledczy próbował walczyć z zaciśniętym żołądkiem, w nadziei, że wszystko to jest jedynie fałszywym alarmem.

Nie było. Rozległ się sygnał i jakiś mężczyzna powiedział:

- Halo?

Anglik, jak zauważył Dave, z akcentem Estuary. Dave spytał cicho:

- Czy mogę mówić z Sohilem?

- Tu Policja Metropolitalna. Proszę się zidentyfikować.

Wylądowawszy na Heathrow, Liz przed zejściem do metra kupiła *Evening Standard*. Do centrum Londynu jechało się czterdzieści pięć minut, lecz dysponowała miejscem siedzącym, czymś niespotykanym w porannym zgiełku.

Nieustannie rozmyślała o O'Phelanie. To, że ją okłamał, jeśli faktycznie to zrobił, nie musiało oznaczać, że werbował dla IRA i nie mogła uwierzyć, że chciałby zwerbować Michaela Bindinga. Pogarda dla byłego studenta była jednym z tych elementów rozmowy, jakie uważała za całkowicie autentyczne.

Co jednak, jeśli O'Phelan naprawdę miał prawdziwie ekstremistyczne poglądy, na wpół ukryte pod szacownym intelektualnym płaszczykiem? Był lekko przerysowany. Mógł być na tyle pewny siebie, że aż apodyktyczny. Weźmy dziesiętnastoletniego studenta żywiącego skrytą urazę oraz rewolucyjne ciągoty. Połączenie go z O'Phelanem mogło skutkować katastrofą.

Otworzyła *Standard* i przejrzała strony z wiadomościami. Czowała się tak, jakby nie było jej tu znacznie dłużej, niż tylko dwadzieścia cztery godziny, lecz wszystko wydawało się nużąco znajome: protesty sprzedawców z powodu podatku od przeludnienia, opóźnienie w budowie nowego stadionu Wembley, parlamentarzysta aresztowany za jazdę pod wpływem alkoholu w zapuszczonej części południowego Londynu. Nagle na piątej stronie ujrzała coś, co przykuło jej uwagę:

ZABÓJSTWO NA TLE RASOWYM W TOTTENHAM

Martwy mężczyzna znaleziony tego poranka w zaułku w Tottenham był ofiarą brutalnego ataku. Ciało, należące podobno do młodego Azjaty, zostało wczesnym rankiem odkryte przez przechodnia w zaułku odchodzącym od Cresswell Crescent, w okolicy znanej z napięć rasowych. W miejscowej społeczności szczególną aktywność wykazuje Brytyjska Partia Narodowa (BPN). Według policji, dwudziestokilkuletnia ofiara miała na sobie niebieską wiatrówkę, dzinsy i turystyczne buty. Nazwisko zostało utajnione do momentu poinformowania jego krewnych.

Jak mówi Omar Singh, miejscowy radny z Partii Pracy, „To zabójstwo wykazuje wszelkie oznaki morderstwa na tle rasowym. W ciągu ostatnich lat ataki na młodych azjatyckich mężczyzn stały się codziennością, a ten przypadek wygląda na kulminację wzrostowej tendencji przemocy rasowej”. BPN odmawia komentarza w tej sprawie.

- Wszystko w porządku, dziecko? - Liz podniosła wzrok i zobaczyła, że starszy mężczyzna z naprzeciwka pochyła się z troską w jej stronę. Uświadomiła sobie, że od kilku minut wpatruje się nieobecny wzrokiem w tę samą stronicę.

Kiedy ostatnim razem widziała Sohaila Dina w bezpiecznym domu w Devonshire Place, miał na sobie niebieską wiatrówkę, dzinsy i turystyczne buty.



Wetherby siedział przy biurku, wpatrując się przez okno w rozbłyszczone słońcem Tamizę, lecz po jego twarzy nie było można poznać, aby ów widok sprawiał mu przyjemność. Jedyłą oznaką jego gniewu i frustracji było niespokojne postukiwanie ołówkiem o kupkę papierów. Czekał na Toma Dartmoutha, którego wezwał do biura. Wetherby zwykł zarządzać swym personelem raczej za pośrednictwem konsultacji i porad, niż poleceń, lecz gdy sytuacja się pogarszała, brał na siebie odpowiedzialność. Wydawał wtedy niepodlegające dyskusji rozkazy.

Sytuacja zaś pogorszyła się w ogromnym stopniu. Śmierć agenta była najgorszym koszmarem dla każdego wywiadu. Agentów werbowano za pomocą perswazji, pochlebstw, a czasami obiecując pieniądze. Niektórzy agenci, jak na przykład Marcepan, oferowali swe usługi z poczucia lojalności wobec państwa. W zamian obiecywano im ochronę. Taki był układ. Jeśli Służba łamała swą stronę umowy, zwłaszcza w przypadku tak młodego człowieka jak Marcepan, było to zawodowe niepowodzenie najgorszego możliwego stopnia.

- Czy wiemy, kiedy to się stało? - spytał Wetherby, zaraz, gdy Dartmouth wszedł.

- Najwyraźniej zeszłej nocy - odparł Dartmouth, siadając ostrożnie.

- Rozumiem - powiedział Wetherby, wstając i podchodząc do okna. Wiosenne słońce ustąpiło nagle miejsca gwałtownej, silnej ulewie. Rzeka i niebo złąły się w jedno, zasłaniając płynącą środkiem nurtu barwę.

Odwrócił się z powrotem do Dartmoutha, który wyglądał na zmęczonego i zdenerwowanego, nie było w nim śladu zwyczajowej schludności.

- A jak to się stało? - zapytał Wetherby.

- Na pierwszy rzut oka wygląda to jak atak o podłożu rasistowskim - rzekł Dartmouth.

- Combat 18¹⁵?

- Niewykluczone. Nie mamy żadnych śladów, policja zresztą też nie. - Zawahał się. - To mógł być szalony członek BPN, są silni w tamtej okolicy. Niemal zdobyli miejsce w ostatnich wyborach do lokalnej rady.

- Ale? - spytał Wetherby, dostrzegając wymowną pauzę Dartmoutha.

- Cóż - Dartmouth powiedział z lekką oschłością - podejrzenie komuś gardła nie jest powszechną metodą morderstwa w tym kraju.

- Więc?

Dartmouth milczał przez chwilę.

- Sądzę, że powinniśmy założyć, iż to morderstwo jest powiązane z naszym śledztwem.

- Chcę, aby włożono w to jak największy wysiłek, Tom. Musimy się dowiedzieć, co się stało. - Tom przytaknął. - I informuj mnie o wszystkim - rzekł Wetherby. Przerwał na chwilę, po czym zapytał: - Czy ktoś rozmawiał z Liz Carlyle?

- Sądzę, że jest spodziewana zaraz po lunchu.

Wetherby popatrzył na Dartmoutha. Był inteligentnym człowiekiem, to oczywiste, i nie tylko z powodu swego doskonałego dyplomu. Wrócił z Pakistanu z własnego wyboru - ktoś mógłby go winić, że chciał wrócić po czterech trudnych latach, jakie nastąpiły po 11 września? Geoffrey Fane powiedział, że spisywał się tam znakomicie. Jednak ciężko było go przejrzeć. Wetherby nie dostrzegł w nim jeszcze żadnych śladów uczuć.

- Ktoś musi jej powiedzieć, że Marcepan nie żyje - rzekł Wetherby. - To powinienem być ja, lecz za pół godziny muszę się zobaczyć z ministrem spraw wewnętrznych. Muszę wyjaśnić podłoże śmierci Marcepana. Gdzie jest Dave Armstrong?

Dartmouth westchnął lekko.

- Udał się wraz z policją, aby porozmawiać z rodzicami Marcepana. - Milczał przez minutę, po czym powiedział cicho: - Ja powiadomię Liz, Charles. W końcu to moja operacja.

Wetherby skinął głową. Znowu popatrzył przez okno, wyglądając na pogrążonego w myślach. Po chwili kontemplacji odwrócił się do Dartmoutha.

¹⁵ Combat 18 - zbrojne skrzydło brytyjskiej organizacji neonazistowskiej „Blood and Honour” („Krew i Honor”) (przyp. tłum.).

- Chyba nawet musisz to zrobić - rzekł decydująco. Dartmouth zmrużył lekko oczy, zaś Wetherby kontynuował, wydając szereg szybkich rozkazów:

- Teraz jest to sprawa policji, popełniono morderstwo. Powiedz im, żeby zajęli się ludźmi z księgarni. Musimy z nimi porozmawiać. Musisz być ostrożny. Może któryś z nich będzie mówić, lecz wątpię, by wiedzieli zbyt wiele. Jeśli Abu Sajed kieruje tym wszystkim z Pakistanu, mogą mu udostępnić sklep na zasadzie grzecznościowej i nie mieć pojęcia, kim są ci trzej pozostali. Mówiłeś, że Szóstka obserwuje Abu Sajeda na miejscu. Daj im znać, co się stało. Wszelki kontakt ze Zjednoczonym Królestwem, jakkolwiek niewinny by się wydawał, powinien być nam zgłaszany. Skontaktuj się z Holendrami i sprawdź, czy ich operacja coś dała.

Przerwał na chwilę, myśląc usilnie i marszcząc w skupieniu brwi.

- Zanim dzień się skończy, chcę spotkać się z tobą, Dave'em i Judith Spratt. - Zastanawiał się przez sekundę, po czym dodał: - Sądzę, że Liz Carlyle też powinna przyjść.

Dartmouth wyglądał na zaskoczonego.

- Wydawało mi się, że przydzielono jej inne zadanie.

- Owszem - powiedział zwięźle Wetherby - lecz była kontrolerką Marcepana przed Dave'em i może nam podrzucić jakieś przydatne pomysły.

Westchnął i pociągnął za mankiety koszuli, dopóki nie wystawały z rękawów marynarki na szerokość centymetra. Poprawił węzeł krawata i wstał.

- Idę się przejść. - Wetherby wiedział, że po informacji o śmierci Marcepana wszyscy kontrolerzy agentów znajdują się w paskudnym nastroju. Musiał okazać im teraz swoje wsparcie.

- Pozostaje problem - dodał, podchodząc do drzwi. - Straciliśmy ogniwo łączące nas z grupą z księgarni.

- Wiem - rzekł spokojnie Dartmouth, wstając do wyjścia. Po raz pierwszy Wetherby stwierdził, że jego chłodna niewzruszoność nie okazuje się pomocna.



Liz zadzwoniła do Peggy Kinsolving z Belfastu zaraz po spotkaniu z O'Phelanem i o ósmej trzydzieści następnego ranka Peggy siedziała w autobusie jadącym z dworca Victoria do Oxfordu.

Dziś z ochotą podążała papierowym śladem - w tym była najlepsza - choć cieszyła się, że Liz pragnie jej obecności podczas niektórych rozmów. Peggy mogła się od niej wiele nauczyć.

Była pod wrażeniem tego, w jaki sposób Liz dopasowywała swoje podejście do rozmówców. Niektórych wyciskała jak pomarańcze, innym pochlebiała, jeszcze innych zachęcała. Nawet ci, którzy z początku zamykali się jak małża w swojej skorupie, jakieś trzydzieści albo czterdzieści minut później otwierali się.

Jednak dziś Peggy skupiała się na czymś zupełnie odmiennym. Po telefonie od Liz zabrała się za Liama O'Phelana i wygrzebała fakty. Gdy autobus minął High Wycombe i skierował się w stronę skarpy Chilterns, przypomiwała sobie w myślach to, co odkryła.

Urodził się w 1964 r. w Liverpoolu, miał irlandzką matkę i angielskiego ojca, który zostawił rodzinę, gdy Liam miał dziesięć lat. Wrócili wtedy z matką do Irlandii, do Sandycove, na przedmieściach Dublina. Otrzymał stypendium z University College Dublin, gdzie nieźle mu szło - miał doskonałe wyniki końcowe z historii i otrzymał nagrodę imienia De Valery (cokolwiek to było, pomyślała Peggy, notując sobie w pamięci, by się tego dowiedzieć).

Jego rozprawa doktorska, *Parnell a angielski establishment*, została opublikowana przez Oxford University Press. Otrzymał stanowisko młodszego asystenta w college'u św. Antoniego w Oxfordzie, lecz zrezygnował po dwóch latach, by objąć stałą posadę w Instytucie Studiów Irlandzkich na Uniwersytecie Królewskim w Belfaście. Był kawalerem.

Tak wyglądał szkielet, a teraz Peggy miała nadzieję, że Oxford pozwoli okryć kości ciałem. Autobus zsunął się z Headington Hill, po czym z powodu zwiększonego ruchu zwolnił przy Plain, aż wreszcie przejechał przez Magdalen Bridge i zatrzymał się naprzeciwko Queen's Lane, gdzie Peggy wysiadła. Dzień był dość mglisty i miasto okrywał rzadki opar. Było ciepło, tak więc po przejściu High Street Peggy zatrzymała się i ściągnęła płaszcz przeciwdeszczowy. Chętnie napiłaby się kawy, lecz czekało ją poważne zadanie, a chciała przed wieczorem wrócić do Londynu.

Jej karta biblioteczna wciąż była ważna, poszła więc prosto do New Bodleian, kwadratowego potworka z żółtego kamienia, zbudowanego w latach trzydziestych na rogu tuż obok księgarni Blackwell's.

Do pierwszej po południu przejrzała pięć roczników *Oxford Gazette*, *Oxford Today* i *Oxford Magazine*, szukając jakichkolwiek odniesień do O'Phelana, lecz jej wyćwiczone oko niczego nie znalazło.

Tyle w kwestii publikacji oficjalnych. Wiedziała, że na najciekawsze znaleziska można się natknąć w zakamarkach wydawnictw niskonakładowych. Poprosiła więc o archiwalne egzemplarze Cherwella, gazetki studenckiej, która w trakcie roku akademickiego ukazywała się co drugi tydzień i ciężko by już było znaleźć coś bardziej nieoficjalnego. Nie zajęło jej to wiele czasu. Za dwadzieścia druga na przedostatniej stronie wydania z 4 kwietnia 1991 r. ujrzała wykaz zatytułowany „Wykłady”. Były to zajęcia nadobowiązkowe, od bardzo wzniosłych (Antonia Fraser mówiąca w Sheldonian o Marii Stuart), do niezbyt wzniosłych („Muzyka punk i ja: osobista historia” w New College JCR).

W połowie listy znajdował się nagłówek wieńczący cotygodniową serię wykładów dawanych w teatrze Old Fire Stadion, pod wspólnym tytułem „Rozmowy o walce”. Cztery funty od osoby, wino i piwo dostępne po odczycie, wszyscy mile widziani. Wymieniono trzy następne wykłady. „Walka górników” laburzystowskiego parlamentarzysty, „Seksualność i seksizm” byłego wydawcy Spare Rib oraz „Tytuł zostanie podany” Liama O'Phelana, wykładowcy u św. Antoniego i pisarza.

Świetny tytuł, pomyślała kwaśno Peggy, czując, jak radość ze znalezienia nazwiska O'Phelana umyka z niej w obliczu „Tytułu, który zostanie podany”. Zapewne i tak nie miałyby to znaczenia. Zważywszy na jego życiorys, bez wątpienia mówił o Parnellu. A jednak drażniło ją to. Nie lubiła białych plam, zwłaszcza w prowadzonych przez siebie badaniach.

Wyjaśniła swój problem asystentce, pomocnej kobiecie w okularach i czarnej koszulce, wyglądającej na jej rówieśniczkę.

- Mówi pani, że sprawdzała w *Cherwellu*. A co z *Gazette*?

- Nic tam nie ma.

- A *Oxford Magazine*?

- Też nie miałam szczęścia.

Młoda kobieta wzruszyła ramionami.

- Obawiam się, że nie wiem, co zaproponować. Widzi pani, jeśli to nie był oficjalny wykład, to nie mam pojęcia, gdzie jeszcze mogłaby pani zajrzeć. Być może wydali plakat, ale my ich nie kolekcjonujemy.

Peggy podziękowała kobiecie i wstała do wyjścia.

- Oczywiście zawsze jest jeszcze *Daily Doings* - powiedziała kobieta po namyśle. - Ale to tak naprawdę nie publikacja. Wątpię, by ktoś trzymał egzemplarze archiwalne, a już na pewno nie tak dawne.

Peggy dobrze to pamiętała: każdego dnia pojawiała się ogromna jednostronicowa plachta, wymieniająca wszystko, co możliwe, od pokojów do wynajęcia po rowery na sprzedaż. Koncerty, występy, wieczorki poetyckie - wszystkie dostawały swoje miejsce na niemal metrowym arkuszu.

- Czy oni wciąż mieszczą się na Warnborough Road?

- Tak sędzę. To dziwny dom.

Było za dwie drugą. Peggy stała przed biblioteką, zastanawiając się, czy zrobić sobie przerwę na lunch w King's Arms, czy też wyruszyć w długi i zapewne bezcelowy spacer do północnego Oxfordu.

Wygrał obowiązek, czy też ściślej rzecz biorąc, Liz. Przypomniała sobie rozmowę telefoniczną z Belfastem. „Musimy dowiedzieć się więcej o O'Phelanie. Wszystko może być pomocne”, powiedziała Liz. W uszach Peggy wciąż rozbrzmiewało słowo „wszystko”, tak więc dwadzieścia minut później, spocona od wiosennego słońca i szybkiego marszu po Woodstock Road, agentka przeszła przez piwniczne drzwi wysokiego wiktoriańskiego domu z żółtej i pomarańczowej cegły.

Znalazła się w dużym, niskim pomieszczeniu, pośrodku którego stały dwa sosnowe stoły kuchenne pokryte stertami papierów, brudnych filiżanek po kawie i sztucców. Stojąca pod przeciwległą ścianą laserowa drukarka wypluwała z siebie strony, które bez żadnego nadzoru spadały na podłogę.

- Jest tu ktoś? - spytała niepewnie Peggy, kiedy zaś nikt nie odpowiadał, zawołała bardziej energicznie.

Po chwili otworzyły się drzwi i pojawił się młody mężczyzna, tak wysoki, że niemal ocierał się głową o sufit. Zerknąwszy na Peggy, rzekł do niej z amerykańskim akcentem:

- Nie martw się, masz kupę czasu. Zamykamy numer dopiero o piątej.

Peggy wyjaśniła, że nie chce zamieszczać ogłoszenia, po czym opowiedziała, czego szuka.

- Hmm - odparł - a jak daleko wstecz szukasz? Jeśli to było zeszłej jesieni, to jest szansa, że gdzieś tutaj pęta się jeszcze jakiś egzemplarz.

Peggy przełknęła głośno ślinę.

- Tak naprawdę to było piętnaście lat temu.

Amerikanin roześmiał się głośno.

- Przykro mi - powiedział, wskazując ręką na bałagan. - Nie ma szans. Przestrzeń, wszędzie przestrzeń i ani kawałka do wykorzystania. Mamy tylko dwa pokoje - dodał.

- Rozumiem - odpowiedziała Peggy, żałując, że nie zdecydowała się jednak na lunch. - Nie sądzę, żebyście mieli kopię cyfrową?

Pokręcił odruchowo głową, lecz nagle przerwał i otworzył usta w wyrazie objawienia.

- Zaczekaj minutkę. Koleś, który to wszystko zorganizował, uwielbiał komputery. Powiedział mi, że pierwszy sprzęt kupił w 1979 r. Zapewne był to pierwszy edytor tekstu na uniwersytecie.

- Czy zachowywał dyskietki od tamtego czasu?

- No właśnie. Zachowywał. Są w pokoju obok. Wejdz zobaczyć.

W następnym pokoju, który był jeszcze mniejszy i jeszcze bardziej zagracony, Amerykanin zaczął grzebać w dolnej części kredensu i wyciągnął duże, sklezione taśmą klejącą kartonowe pudło. Rozciął je nożem technicznym, ukazując mizmasz dyskietek i rolek taśmy magnetycznej.

Peggy spojrzała sceptycznie na tę kolekcję.

- To wszystko jest dość starannie oznaczone. Niesamowite, zważywszy, jak to się wtedy robiło - spoglądając na dyskietki, powiedział chłopak. - Tutaj - rzekł, podnosząc jedną z nich. - To jest 1990. - Pogrzebał jeszcze głębiej. - A to 91 i... 92.

- To cudownie - powiedziała zaskoczona swym szczęściem Peggy.

- Jest tylko jeden problem - oznajmił, odkładając dyskietki z powrotem do pudła i odsuwając je pod ścianę.

- Co takiego? - spytała Peggy.

- Nie uda ci się niczego z nich odczytać. Wszystkie są niekompatybilne z dzisiejszym sprzętem. Przykro mi.

Serce jej zamarło, lecz nagle pomyślała o „Technicznym Tedzie” Poysersze, pracującym w Thames House specjalście od wszystkiego, co związane z elektroniką.

- Posłuchaj - powiedziała - czy mogłabym mimo to pożyczyć jedną z nich? Mam przyjaciela, który jest prawdziwym komputerowym magikiem. Ma mnóstwo starego sprzętu. Może zdoła mi pomóc.

Amerikanin nie spodziewał się tego.

- Cóż, tak naprawdę to nie jest moja własność i nie mogę tego pożyczać - rzekł z wahaniem.

- Proszę - błagała Peggy, zastanawiając się, co Liz zrobiłaby w takiej sytuacji. - Proszę - powtórzyła. - Sam powiedziałeś, że nikt nie jest w stanie ich odczytać. Jeśli nie przydają się nikomu, kto tu siedzi, czy nie mogę po prostu pożyczyć jednej z nich? Obiecuję, że oddam. - Widziała, że się łamał, dodała więc: - Zostawię depozyt, jeśli to w czymś pomoże.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę i wreszcie namyślił się.

- Eee tam... - rzekł, zaś Peggy nie potrafiła ukryć rozczarowania. Przynajmniej, póki nie dodał: - W porządku. Nie musisz zostawiać depozytu.

O piątej po południu Peggy była już na drugim piętrze Thames House, konsultując się z „Technicznym Tede” Poyserszem.

Biuro Teda zasługiwało raczej na miano graciarni, było pozbawioną okien przestrzenią, choć nawet określenie „przestrzeń” było przesadne. Na ścianach piętrzyły się wysoko urządzenia, wszędzie poupinano kable, a w środku tego wszystkiego siedział Ted, skulony na taborecie, niczym pająk czający się w bardzo skomplikowanej pajęczynie.

Ted miał długie, farbowane na czarno włosy i nosił złoty koleczyk, kiedy zaś Peggy spoglądała na niego przez migoczące światło monitorów, jego rysy wydawały się niepokojąco rozmazywać i materializować. W całym pomieszczeniu unosił się lekki zapach dymu. Ted palił, dopóki w całym Thames House nie ogłoszono zakazu palenia i zamiast dołączyć do innych nałogowców w przeznaczony dla palaczy przerażającej

dusznej klitce, zupełnie rzucił papierosy. Teraz jego popielniczka pękała w szwach od opakowań po słodyczach. Jednak aromat nikotyny jakoś nigdy go nie opuścił.

Ted patrzył na Peggy bez entuzjazmu, dopóki nie ujrzał dyskietki, którą trzymała w dłoni.

- Co my tu mamy? - spytał. - Koszmar z przeszłości?

Instynktownie zacisnęła dłoń na swym znalezisku.

- Czy potrafisz to odczytać? - zapytała, jakby mogła ją wypuścić jedynie pod tym warunkiem.

- Pozwól mi zobaczyć - powiedział, wyciągając rękę.

Peggy podała mu dyskietkę. Obejrzał ją z podziwem w skupieniu. W końcu wymruczał:

- A może wypijesz sobie filiżankę herbaty w kantynie? To zajmie chwilę.

Gdy wróciła po kwadransie, nigdzie nie było widać dyskietki. Ted siedział przed terminalem, który wydawał się podłączony do tuzina różnych znajdujących się na blacie procesorów.

- Gdzie, u diabła, to znalazłaś? - spytał. - Przyniosłaś mi prawdziwy zabytek z historii komputerów osobistych.

- To długa historia. Ale mam nadzieję, że jest tu coś, czego szukam. Powinno być mnóstwo wykazów.

- Możliwe - powiedział Ted - ale sądzę, że są też kody do drukarki. Masz tutaj dyskietkę z komputera North Star, z okolic 1980 r. Miał 64 kilobajty RAM-u.

Ted spojrział na swój terminal, wypełniony ciasnymi kolumnami liter i liczb.

- Pliki na dyskietce są zapisane w edytorze tekstu zwanym PeachText, zaś sama dyskietka ma rozmiar pięć i jedna czwarta cala, jednostronna, o pojedynczej gęstości zapisu. Ma 360 kilobajtów, co odpowiada mniej więcej pięćdziesięciu tysiącom słów. Nieźle, jak na lata osiemdziesiąte.

Oszczędź mi szczegółów, pomyślała Peggy, a przejdź do rzeczy. Ted wyczuł chyba jej zniecierpliwienie, ponieważ okręcił się na obrotowym krześle i powiedział z mogącą doprowadzać do szału rzeczowością:

- Wątpię, czy w całym Zjednoczonym Królestwie znalazłaby się dziś choć jedna maszyna, która potrafiłaby w normalny sposób odczytać tę dyskietkę. - Zrobił minę, po czym rzekł wysokim tonem: - „Zapis jest cyfrowy, więc przetrwa na wieki”. Absolutna bzdura. Formaty zmieniają się przynajmniej dwa razy na dekadę. Dwie dekady i jesteś zgubiona.

- Naprawdę? - rzekła z irytacją.

Chętnie podzielała zachwyty Teda nad dyskietką, lecz chciała także poznać jej zawartość. I to szybko.

- Pewnie chciałabyś wiedzieć, czy potrafię odczytać to cholerstwo.

- Tak - powiedziała z naciskiem.

Uśmiechnął się, pokazując zaskakująco zdrowo wyglądające zęby.

- Odpowiedź brzmi: nie, nie potrafię. - A kiedy Peggy zrobiła załamaną minę, wymierzył w jej stronę palec. - Ale odczytam.



Liz nie była w stanie usiedzieć spokojnie. Tom Dartmouth bez przerwy mówił o Marcepanie, lecz już po kilku pierwszych minutach przestała słuchać. Nie miała jej nic do powiedzenia. Zresztą dlaczego to on z nią rozmawiał? Nie znał Sohaila. Marcepan był jej agentem - to ona go zwerbowała i prowadziła, a niemal zaraz po tym, gdy go oddała, pozwolili go zabić. Ufała jej. Obiecała, że będzie się nim opiekować i nie zrobiła tego. Musiała porozmawiać z Charlesem. Dlaczego nie było go tutaj? Dlaczego oddał Marcepana Dave'owi? Nie winiła Dave'a. Był jej przyjacielem i dobrze wykonywał swoją pracę. Jednak w jakiś sposób ktoś nie zadbał o Sohaila. I teraz chłopak już nie żył.

Wszystkie te myśli krążyły jej po głowie, gdy Tom wciąż mówił, siedząc za biurkiem w drogim granatowym garniturze. Mówił spokojnym, rozsądnym głosem, który coraz bardziej działał Liz na nerwy.

- Nie mogę odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania - rzekł. - Nie dlatego, że nie chcę, lecz dlatego, że sam nie znam odpowiedzi. - Popatrzył prosto na nią, niemal z chłodem, choć jego oczy nie były nieprzyjazne.

- Ale dlaczego nie przydzielono mu kontroobserwacji? Zwłaszcza po tym, jak ci trzech mężczyźni nie pokazali się? - Na kolanach trzymała mocno zaciśniętą lewą pięść.

- Pomyśleliśmy o tym - odparł Dartmouth - ale nie było żadnego powodu sądzić, iż istniała jakakolwiek więź pomiędzy ich nieobecnością a Marcepanem. Uwierz mi, Dave bardzo starannie omówił to z nim następnego dnia.

Liz przyznała mu rację. Ochrona Marcepana za pomocą kontroobserwacji mogłaby zwiększyć ryzyko, zamiast je zmniejszyć, w końcu zawsze istniało niebezpieczeństwo zauważenia.

Ale co w takim razie im umknęło? A może sugerował, że nie istniało nic, co mogłoby im umknąć?

- Czy chcesz mi powiedzieć, iż wierzysz, że to było morderstwo na tle rasowym?
- spytała, starając się ukryć w głosie irytację.

- Nie, oczywiście, że nie. I wyraźnie daliśmy do zrozumienia metropolitalnym, że wyjątkowo się tym interesujemy. Wydział Specjalny zorganizował zbiórkę nagrań ze wszystkich kamer telewizji przemysłowej na obszarze kilometra kwadratowego od miejsca morderstwa. Sprawdzamy okoliczne stacje metra, przesłuchujemy konduktorów i zawiadowców stacji. A także kierowców tamtejszych autobusów. Jeśli którykolwiek z tamtych trzech był w okolicy, mam nadzieję, że ich zauważymy.

Liz przytaknęła.

- Czy Sohail zdążył spojrzeć na holenderskie zdjęcia, zanim został zabity?

Tom potrząsnął głową.

- Nie. Dave miał spotkać się z nim dziś w bezpiecznym domu.

- Mój Boże - powiedziała bliska leż Liz.

Liz musiała wydostać się z budynku. Nic w dotychczasowej pracy nie wpłynęło na nią bardziej niż śmierć Marcepana, lecz ani jej, ani nikomu innemu nie przyjdzie nic z tego, jeśli będzie okazywała swoje zdenerwowanie. Poszła wzdłuż Millbank, dopasowując się nastrojem do zmoczonych chodników i rynsztoków, gdzie woda zbierała się w długich, poznaczonych plamami oleju kałużach, rozpryskiwanych wszędzie dookoła przez przejeżdżające samochody.

Morderstwo Sohaila Dina było dla Liz takim osobistym ciosem, że dopiero po opadnięciu szoku ujrzała rzeczywiste rozmiary katastrofy. Jego śmierć skutecznie odcięła ich od trójki z księgarni, a dopóki nie uda się ich znaleźć, może zginąć o wiele więcej niewinnych osób. Ciężko jej było oddzielić zdenerwowanie z powodu Sohaila Dina od zamartwiania się katastrofą, jaka mogła teraz nastąpić. Odnalezienie zabójców Sohaila było teraz kluczową sprawą, jeśli mieli uniemożliwić im wprowadzenie w życie ich szalonych planów.

Na szerokich frontowych schodach Täte skręciła, by wrócić do Thames House. Furgonetka z lodami znów otworzyła się po deszczu i sprzedawca uśmiechnął się do niej. Miał na sobie białą koszulę i czerwony szalik, wyglądał tak, jakby został żywcem przeniesiony z weneckiej gondoli.

- A może Cornetto? - zaintonował do Liz głosem brzmiącym jak Puccini ze Stepney, lecz Liz jedynie skrzywiła się w jego stronę.

Gdy znalazła się z powrotem w budynku, zatrzymała się przy narożnym pokoju konferencyjnym, w nadziei, że będzie pusty, lecz zastała w nim pracującą na laptopie Peggy.

- Och, Liz - powiedziała. - Dave Armstrong cię szuka.

- Dzięki - odparła z westchnięciem Liz. - Chyba wiem dlaczego. - Następnie, próbując się pozbierać, spytała: - Jak ci idzie?

- Właśnie wróciłam z Oxfordu.

Wydawała się wahać, więc Liz spytała:

- Udało ci się coś znaleźć?

- Jeszcze nie wiem. Czekam na wiadomość od Technicznego Teda.

- Dobrze - rzekła Liz. - Pójdę poszukać Dave'a.

Oxford i kret IRA wydawali się nieistotni.



Irwin Patel nigdy nie chciał kamer. Jak to wyjaśniał swojej żonie Satindzie, „Co dobrego przyjdzie z tej rzeczy? Wiem, który z tych chłopców wsuwa sobie paczki chrupek pod kurtkę. Nie potrzebuję kamery, żeby ich zidentyfikować. I potrafię powiedzieć, kiedy pijacy próbują wsadzić butelkę z winem do torby. Zakładając, że uda mi się nawet przyłapać ich na gorącym uczynku, czy naprawdę sądzisz, że policja poświęci czas, aby obejrzeć film z drobnej kradzieży? To nierealne”.

Jednak Satinda nalegała: „To nie o to chodzi, Irwin”, powiedziała stanowczo tonem, z którym już dawno nauczył się nie dyskutować. Gdy się spotkali, była piękną, więc zapewne musiała uznać go za obiecującego. Jak znosiła niepowodzenia jego kariery? To proste, pomyślał smutno: przejęła inicjatywę i teraz to ona podejmowała decyzje.

Nigdy nie chciał podlegać stereotypom, lecz był inteligentnym człowiekiem i wiedział, że tak właśnie jest. Jego rodzice byli Afrykanami z Ugandy, wygnanymi ze swego kraju przez Idi Aminę, gdy Irwin miał zaledwie pięć lat. W Anglii zmienili dzieciom imiona. Irwin było mieniem angielskim i chrześcijańskim. Spodobało im się, choć nie zdawali sobie sprawy, że zachowanie nazwiska Patel i tak będzie wszystko zdradzać.

Mimo to jego nazwisko i tak nie miałoby większego znaczenia, gdyby Irwinowi się powiodło, jak dzieciom tak wielu innych emigrantów, i gdyby stał się prawnikiem lub lekarzem. W szkole szło mu ciężko i zaledwie na dwanaście miesięcy przed tym, jak zniósł je laburzystowski rząd, zaważył egzaminy kończące podstawówkę, musiał więc ponieść stosowne konsekwencje. Niemal trzydzieści lat po przyjeździe rodziców, wciąż prowadził ten sam sklep z gazetami, który jego ojciec kupił i prowadził przed laty. Owszem, miał większy asortyment i sprzedawał czasopisma wyższej klasy, lecz Irwin był aż nadto świadom, że jest to tylko jeden z tysięcy sklepików w całej Brytanii, jakie znajdują się w posiadaniu mężczyzn o nazwisku Patel.

„Celem kamer”, oznajmiła Satinda, „jest odstraszenie. Nie jest istotne, czy zarejestrują sprawcę. Mają za zadanie powstrzymać od kradzieży”.

I właśnie na tym skończyła się dyskusja. Zapłacił więc miejscowej firmie ochroniarskiej Steinman & Son, która zjawiała się, by zainstalować kamerę, a ulegając namowom Satindy, opłacił u nich nawet serwisowanie. A rezultat? Kolejne godziny nagrań, które z łatwością mógł przejrzeć w pomieszczeniu na zapleczu, kiedy tylko zechciał. Nie trudził się jednak tym, bo jaki miało sens oglądanie bez przerwy tych samych trzech rządów półek i tych samych klientów dzień po dniu kupujących te same rzeczy - bochenek krojonego białego chleba, paczkę herbatników, pintę mleka?

Nie krył więc zaskoczenia, kiedy rankiem zjawił się u niego miejscowy policjant. Zwykle przychodzili raz czy dwa razy w tygodniu po papierosy albo paczkę miętówek Polo, czasami wdając się przy tym w pogawędki na temat ostatniego meczu Arsenalu czy też dywagacje, kiedy zostanie ukończony remont jezdni na High Street. Dzisiaj jednak ten konstabl był służbowo, z notatnikiem, ołówkiem i ponurą miną na twarzy.

- Dobry - powiedział. - Muszę zamienić słówko na temat pana telewizji przemysłowej. Działa, prawda?

Irwin przytaknął ostrożnie. Zawsze uważał policję za sojuszników, nawet jeśli nie do końca pewnych, lecz starał się prosić ich o jak najmniej, zaś oni nigdy dotąd o nic nie prosili jego.

- Potrzebne nam wszystkie pańskie nagrania z ostatnich dziesięciu dni - oznajmił rzeczowo policjant. - Proszę - dodał po namyśle.

- Z przyjemnością - rzekł Irwin, zastanawiając się, jak właściwie ma to zrobić. Będzie musiał poprosić swego syna Oscara, gdy ten wróci ze szkoły. Oscar znał się na takich rzeczach, miał nawet własny komputer w pokoju nad sklepem, który dzielił z siostrą. - Czego szukacie?

Konstabl wzruszył ramionami.

- Psy nie pytają, psy robią, co się im każe.

Roześmiał się krótko, a Irwin pomyślał, że grzecznie będzie pośmiać się razem z nim.

- Czy może być dziś wieczorem? - spytał.

- Tylko jeśli sam dostarczy je pan na posterunek. Staram się zebrać je wszystkie dzisiaj.



Po spotkaniu u Wetherby'ego Liz uznała, że nie ma już po co zostawać dłużej i postanowiła wrócić do domu. Gdy drzwi windy na czwartym piętrze zaczęły się zamykać, ktoś włożył w nie rękę i rozsunęły się na nowo. Do środka wszedł Tom Dartmouth i uśmiechnął się do Liz ze znużeniem. Ona też była wyczerpana. Wydawało się niezwykle, że rozpoczęła dzień w Belfaście całkowicie skupiona na Liamie O'Phelanie, zaś odkąd przyleciała do Londynu, nie myślała o niczym innym poza Sohailem. Chciała wrócić do swego mieszkania i spróbować jakoś poukładać dzisiejsze wydarzenia.

- Co za dzień - powiedział, luzując jedną ręką krawat. - Zwłaszcza dla ciebie. Masz ochotę na drinka?

Zostało to powiedziane niedbale, lecz ciepło. Wciąż była zła, lecz już nie na Toma. Miała wręcz do siebie pretensje za to, że tak na niego napadła po południu.

- Czemu nie? - powiedziała i zerknęła na zegarek, choć nie miała żadnych planów na wieczór.

Poszli do baru w nowym hotelu ze stali i szkła w pobliżu Thames House, miejsca znacznie porządniejszego niż puby, które zwykle służyły pracownikom MI5 za wodopoje.

- Nie mam nic przeciwko Compton Arms - wyjaśnił Tom - lecz sądzę, że tu będzie trochę ciszej.

W barze było pełno dobrze sytuowanych biznesmenów, co stanowiło odmianę od niechlujnej zgrai pracowników służby cywilnej i dziennikarzy, nawiedzającej puby w okolicach Horseferry Road i Westminster. Miała na sobie lniany żakiet, w którym pojechała do Belfastu i z ulgą dostrzegła, że w dobrym stanie przetrwał dwudniową wyprawę, mogła więc czuć się dość wygodnie. Po raz pierwszy widziała Toma w sytuacji innej niż spotkanie zawodowe czy szaleńcza gonitwa wcześniejszych godzin i dopiero teraz zauważyła, jak bardzo był atrakcyjny. Był wysokim mężczyzną, mierzył

trochę ponad metr osiemdziesiąt i miał szerokie ramiona, lecz smukłe, a nie napakowane mięśniami. Dzięki resztkom opalenizny, lekkiemu granatowemu garniturowi, jasnemu krawatowi, jakiego mógłby mu pozazdrościć każdy prezenter telewizyjny, obracała się za nim niejedna kobieca głowa.

Liz zamówiła wytrawne białe wino i dopiero, gdy rzuciła się na stojącą przed nimi miskę z ciasteczkami ryżowymi, uświadomiła sobie, jak bardzo jest głodna. Jej ostatnim posiłkiem było śniadanie w Culloden Hotel. Nie była pewna, czy Tom postrzegał to wyjście w kategoriach służbowych, czy też jako sposobność do towarzyskiej pogawędki.

- Chciałem spytać cię o Marcepana - spytał zaraz, gdy zjawily się drinki. - Wiem, że Dave prowadził go, gdy byłaś na urlopie, ale ty znałaś go dłużej. - Wziął ciasteczko z szybko opróżniającej się miseczki i zaczął żuć je w zadumie. - Jeśli w historii Marcepana było coś, za czym warto by podążyć, to ty będziesz o tym wiedzieć.

- Ciągle wyteżam myśli.

- Oczywiście - powiedział. - Zastanawiałem się nad jego przyjaciółmi. No wiesz, być może powiedział, któremuś coś, czego nie powinien. Nawet najlepsi agenci czują czasami potrzebę, by się komuś zwierzyć.

- Był prawdziwym samotnikiem - rzekła Liz. Upiła łyżeczek wina. - To jedna z rzeczy, jakie ustaliliśmy, gdy został zwerbowany. Nie miał najlepszego przyjaciela, ani nawet naprawdę bliskich kumpli, choć miał normalne kontakty z kolegami ze szkoły. Większość z nich teraz studiuje. - Załamał jej się lekko głos. - Tak jak i on zamierzał... - Spuściła na chwilę wzrok, by się otrząsnąć. Nie cierpiała okazywać emocji przy kolegach.

- Wiem, że to dla ciebie trudne - powiedział z sympatią.

- Dla Dave'a też - odparła dość szorstko, po czym przypomniała sobie, że Tom starał się być miły, a poza tym nie było w tym jego winy. Po chwili dodała: - Czy coś podobnego zdarzyło ci się kiedyś w Pakistanie?

- Tak, raz - przyznał - i zdarzało się też kolegom. To zawsze jest okropne. Najgorzej było według mnie z Pakistańczykiem o imieniu Fahdi. Był pod ogromnym wpływem świata Zachodu, chyba chodził do college'u w Teksasie. Pracował jednak w Lahore i miał krewnych na granicy afgańskiej.

- Jak imam - rzekła Liz.

- Tak, tyle że Fahdi był zdecydowanie po naszej stronie. Był pewien, że jego wiejscy kuzyni pomagali Bin Ladenowi. Było to już po tym, jak Jankesi zgubili go w

jaskiniach pod koniec wojny afgańskiej. Muszę przyznać, że byłem sceptyczny, w końcu każdego dnia otrzymywaliśmy koło dwudziestu doniesień, że ktoś go zauważył, a żadne się nie potwierdzało, lecz Fahdi był całkowicie pewien swoich informacji. Wyposażyliśmy go więc, wszywając nadajnik GPS w dno jego plecaka.

Tom przerwał i pociągnął duży łyk drinka.

- Co się stało? - spytała Liz.

- Dwa tygodnie później otrzymaliśmy wiadomość o przechwyceniu sygnału. Dochodził tuż z za pakistańskiej granicy z Afganistanem. Posłaliśmy tam małą grupę SAS wraz ze wsparciem z amerykańskich Sił Specjalnych. Udali się tam nocą, spodziewając się walki, bo w okolicy roilo się od Talibów i Al-Kaidy. Zlokalizowali źródło sygnału GPS w dolinie i helikopter wylądował na wzgórzu ponad nią. Kiedy jednak SAS zszedł w dół wzgórza, nie było tam nikogo.

- A co z sygnałem?

- Powinienem być powiedzieć, że nie było tam nikogo żywego. Znaleźli ciało Fahdiego, przybitego za ręce do ziemi. W jego ustach był nadajnik, wsadzony tam jak cukierek. Wciąż działał, gdy ludzie z SAS go wyjęli.

- To straszne - powiedziała Liz.

- Najbardziej dręczyło mnie to, że dałem mu się przekonać. Uważałem, że to zdecydowanie zbyt niebezpieczne, ale on nalegał. Nie powinienem był pozwolić mu grać pierwszych skrzypiec, to było moje zadanie. - Popatrzył na Liz. - A więc chyba wiem, przez co przechodzisz.

Wzruszyła ramionami.

- Czuję się dobrze.

Poprosił o rachunek, a gdy kelner go przyniósł, nalegał, że zapłaci, choć Liz proponowała, by każdy płacił za siebie.

- Nonsens - rzekł. - Pamiętaj, to ja cię zaprosiłem.

Gdy wyszli z hotelu, Liz zatrzymała się i wskazała w stronę przeciwną do Thames House.

- Idę tędy do metra. Dzięki za drinka.

- Podwieźć cię? - spytał Tom. - Dziś jestem samochodem.

- Nawet nie wiesz, gdzie mieszkam - powiedziała stanowczo Liz. - Być może musiałbyś zboczyć kawał drogi.

- Kentish Town, prawda? Dave Armstrong wspomniał mi o tym kiedyś.

Dlaczego Dave Armstrong rozmawiał o niej z Tomem Dartmouthem? Nie wiedziała, czy powinno jej to pochlebiać, czyją zdenerwować. Miło było jednak się z nim napić, a podwiezienie oszczędzi jej czasu - choć i tak nie miała za wiele do roboty dziś wieczorem. Samotna kolacja, wiadomości w telewizji, obowiązkowe pięć minut lektury, zanim wyłączy lampkę przy łóżku i spróbuje zasnąć.

- Jeśli to naprawdę nie problem - rzekła - byłoby świetnie.

Z początku oboje milczeli w samochodzie, Tom prze-ciskał się przez wieczorny ruch w pobliżu dworca Victoria. W końcu odezwał się:

- Chyba oscyluję pomiędzy uwielbieniem możliwości niezależnej jazdy, a ideą, że powinno się zakazać samochodom wjazdu do centrum Londynu.

- Proponuję kompromis. Zakaż wszystkim poza sobą - zasugerowała Liz, a Tom roześmiał się, kierując w stronę Hyde Park Corner.

Jest o wiele bardziej zrelaksowany niż w pracy, pomyślała, lecz nie udaje przy tym kogoś innego - niektórzy z jej kolegów byli niczym Jekyll i Hyde, rozdarci schizofrenią pomiędzy pracą a życiem prywatnym.

- Dorastałeś w Londynie? - spytała. Nie wiedziała zbyt wiele o Tomie, poza faktami z jego życiorysu: szkoły, do których chodził, przedmioty, jakie studiował w Oxfordzie, nazwisko panięskie jego matki.

- Tak, w Kensington. - Zerknął na nią. - Wtedy klasa średnia wciąż mogła jeszcze tam mieszkać.

- A potem Oxford - powiedziała cicho.

Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, po czym skinął głową.

- To prawda. Zrobiłem licencjat, a potem kolejny dyplom. Ze studiów arabistycznych.

- Musiało ci nieźle iść, skoro mogłeś zostać.

- Jakoś mi poszło na egzaminie końcowym. Mój nauczyciel był równie zaskoczony jak ja.

- Mogłeś zdobyć niezłą posadkę w City.

Zamyślił się nad tym.

- Być może. Ale bankowość nigdy mnie tak naprawdę nie pociągała.

- Więc dlaczego zgłosiłeś się do MI5? Można by pomyśleć, że skoro studiowałaś arabystykę, byłbyś oczywistym kandydatem do Szóstki.

- Och, nie wiem. Piątka robi prawdziwe rzeczy - powiedział z lekko lekceważącym śmiechem, który uznała za uroczy. W pracy wydawał się tak pewny

siebie, że przyjemnie było dowiedzieć się, iż nie zawsze traktuje swą osobę tak poważnie. - A teraz twoja kolej - rzekł, przyspieszając na żółtym świetle przy Southampton Row.

Liz pochwałała ten manewr, ponieważ nienawidziła nie-pewnych kierowców.

- Od jak dawna jesteś w Służbie?

- Niemal piętnaście lat.

- Nie ma mowy - odparł. - Jesteś zdecydowanie za młoda.

- Pochlebstwa donikąd cię nie doprowadzą - oznajmiła Liz.

- Cóż, z pewnością nie doprowadzą mnie do Kentish Town - rzekł Tom, gdy zatrzymali się na światłach i rozejrzeli się zdezorientowany.

Przez następnych dziesięć minut Liz koncentrowała się na dawaniu wskazówek, dopóki nie uświadomiła sobie nagle, że zaraz skrecają w jej ulicę, zaś wieczór zakończy się, przynajmniej w części dotyczącej Toma Dartmoutha. I pomyśleć, powiedziała sobie, że przed odlotem do Belfastu naprawdę posprzątała mieszkanie do takiego stopnia, że dało się w nim przyjmować gości, co rzadko się zdarzało, gdy miała tyle na głowie w pracy.

Zastanawiała się, czy powinna zaprosić go do środka. Wciąż żałowała wybuchu złości po południu i naprawdę cieszyło ją jego towarzystwo. Uznała, że nie dowiedziała się o nim zbyt wiele, lecz wydawał się nie tylko atrakcyjny, ale i sympatyczny.

Przed jej domem podjechał na puste miejsce parkingowe i nie wyłączył silnika. Liz powiedziała z wahaniem:

- To miło, że odwiozłeś mnie do domu. Twoja rodzina musi na ciebie czekać.

Wyglądał na zdezorientowanego.

- Rodzina?

- Myślałam, że jesteś żonaty. - Liz nie widziała powodu, by udawać nieśmiałą.

- Kto ci to powiedział?

- Dave Armstrong, rzecz jasna - odrzekła. - A któż by inny?

Potrząsnął z niedowierzaniem głową.

- Miał rację co do Kentish Town, lecz nie miał co do mnie. *Byłem* żonaty, to prawda. Ale jestem rozwiedziony.

Powiedział to beznamiętnie, nie okazując ani śladu emocjonalnego brzemienia, tak często niesionego przez rozwodników - niektórzy byli zgorzkniali, inni wciąż zakochani w byłych żonach, paru cieszyło się jak uczniaki uwolniwszy się od jędz, o

których aż za często pragnęli opowiadać. Jaką ulgą było nie słyszeć tego w głosie Toma, jedynie suche i rzeczowe stwierdzenie faktu.

I częściowo dlatego Liz znów zaczęła się zastanawiać, czy nie zaprosić go do środka. Czemu nie? Przecież nie oznaczałoby to, że rzucała się na niego, wcale nie miała tego na myśli. Miło byłoby jednak poznać go lepiej, zobaczyć, co jeszcze kryło się za fasadą profesjonalizmu i kompetencji. Już niemal chciała spytać go, czy wpadnie na kawę, kiedy popatrzył demonstracyjnie na zegarek.

- Słuchaj, lepiej już pojedę i dam ci się wyspać. Mi też zresztą by się to przydało. Ostatnie dwa tygodnie nie robię nic poza pracą.

Skinęła głową, czując lekkie rozczarowanie, choć w głębi ducha wiedziała, że również jest wyczerpana i powinna wcześniej położyć się spać. Po chwili dodał jednak wesoło:

- Kiedy wiem już, jak tu trafić, może moglibyśmy to kiedyś powtórzyć?

- Co? - spytała kokieteryjnie. - Znów podwieziesz mnie do domu?

- Czemu nie? - powiedział. - Jeden z moich wujków był szoferem. Jestem pewien, że odziedziczyłem część jego genów.

Liz była lekko zaskoczona, uważała bowiem, że Tom był nieodrodnym synem klasy średniej.

- Czy kiedykolwiek byłeś w Heath? - zapytał.

- Czasami latem - odparła. - Jest tam miło i rześko wieczorami. A dlaczego pytasz? - spytała z zaciekawieniem.

- Jako mały chłopiec jeździłem tam z ojcem. Miał absolutnego fioła na punkcie latawców, lecz zupełnie nie potrafił ich puszczać. Całymi godzinami próbowaliśmy poderwać je z ziemi. - Roześmiał się lekko, jakby przypominał sobie niezdarność ojca.

- Pewnej soboty mój ojciec przyniósł do domu nowy latawiec, mówił, że to coś wyjątkowego. Była jesień i od razu pojechaliśmy do Hampstead Heath, ponieważ słońce już wcześniej zachodziło. Wiatr wiał niezwykle silnie, był jak wichura w filmach marynistycznych. Latawiec był mniej więcej dwukrotnie wyższy ode mnie i byłem pewien, że nigdy nie zdołamy poderwać go z ziemi. Jakoś się nam jednak udało. A później latał *godzinami*. - Przez chwilę wydawał się pogrążony we wspomnieniach. Gdy wrócił na jawę, obrócił się i uśmiechnął do Liz.

- Co robiłeś w północnym Londynie? - spytała.

- Och, kiedyś tu mieszkaliśmy. Choć wtedy nie było tu tak arystokratycznie. - Wskazał na drogę. Sąsiedzi Liz byli prawnikami, nauczycielami, księgowymi - klasa robotnicza z jej ulicy już dawno przeprowadziła się w tańsze okolice.

- Wydawało mi się, że mówiłeś, iż dorastałeś w Kensington.

- Tak było - przytaknął - lecz dopiero po śmierci ojca. - Uśmiechnął się tęsknie. - Został potrącony przez samochód w drodze do domu. Gdy moja matka ponownie wyszła za mąż, przeprowadziliśmy się do Kensington. Chyba można powiedzieć, że za drugim razem bardziej jej się poszczęściło. - To również powiedział lekko, lecz pod zasłoną kpiarstwa Liz wyczuwała szczerą wrogość.

Pożegnali się i Tom zaczął z odjazdem, dopóki Liz nie otworzyła drzwi do domu i nie pomachała mu. Gdy weszła do mieszkania i zapaliła światło, pokiwała głową, doceniając nietypową w tym miejscu schludność. Tom nie wie, co przegapił, Liz pomyślała wesoło, ponieważ za trzy lub cztery dni mieszkanie wróci do swego normalnego stanu, czyli na wpół kontrolowanego chaosu.

Zrzuciła buty, naląła kieliszek sauvignon ze stojącej w lodówce otwartej butelki i usiadła w wygodnym fotelu. Zdała sobie sprawę, jak bardzo polubiła tego wieczoru Toma Dartmoutha, choć nie z powodów, jakie mógłby podać zewnętrzny obserwator.

Tak, wyglądał dobrze w swoisty szorstki sposób, który bez wątpienia wprawiał niektóre kobiety w omdlenie. Tak, doskonale spisywał się w pracy, był rzeczowy, lecz przy tym wyrafinowany, dobrze wykształcony, lecz nie zanudzał cię na śmierć gratisowymi pokazami erudycji.

Ale żadna z tych rzeczy nie wykrzeszała z Liz zbyt wielu iskier. To, co uderzyło ją na płaszczyźnie osobistej, nie miało nic wspólnego z jego cechami zawodowymi czy wykształceniem. Najbardziej ujęło ją ironiczne, rzeczowe poczucie humoru Toma - zwłaszcza fakt, że potrafił delikatnie dworować sam z siebie. I wydawał się robić co tylko może, aby pokazać, że nie jest tak napuszony, jak jego życiorys. Podobał jej się sposób, w jaki powiedział, że „jakoś mu poszło” na egzaminie końcowym, choć wiedziała przecież od Wattsa, skostniałego mertońskiego dona, że miał najlepszy wynik na roku. Nie bał się też przyznać do porażek, jak w przypadku agenta Fahdiego, którego stracił w Afganistanie, czy też ujawnić, jak bardzo je odczuł.

Teraz jednak Liz poruszało coś więcej niż tylko skromność i poczucie humoru. Pod swobodnymi manierami Toma wyczuła głęboki, przyczajony smutek, zagrzebany tam przez niego dawno temu. Nosi w sobie ranę, pomyślała Liz, tak samo jak weteran wojenny mógłby nosić w ciele odłamek od szrapnela. Z jakiegoś powodu sądziła, że

Tom nie mówił często o swym ojcu i pochlebiało jej, że została w ten sposób wyróżniona.

Nie daj się ponieść za daleko, powiedziała sobie, świadoma faktu, że w jej życiu nie było w tym momencie nikogo bliskiego. Mimo to Tom Dartmouth zaintrygował ją trochę i zastanawiała się, ile minie czasu, zanim znów zaoferuje jej swoje szoferskie usługi. Mam nadzieję, że szybko, uznała, kończąc wino i decydując się na wczesne pójście do łóżka. Następnie roześmiała się, bo wyobraziła sobie siebie w pracy, stojącą przy windzie na czwartym piętrze z podniesionym kciukiem, niczym autostopowiczka, ale znacznie bardziej wybredna, co do ewentualnego kierowcy.



Trzy dni później Rose Love, młodsza pracowniczka działu śledczego, przysłała do Pokoju Operacyjnego, aby zobaczyć się z Judith Spratt. Judith lubiła pierwszoroczną rekrutkę i starała się dodawać jej otuchy, bo choć Rose skończyła z dobrym wynikiem York University i była uderzająco piękną młodą kobietą, była też bardzo niepełna siebie. Pomimo tego, że mężczy koledzy zwracali na nią sporą uwagę, miała problemy z asertywnością nawet w sytuacjach, w jakich powinna reagować. Teraz też Rose odezwała się do Judith głosem ledwie wykraczającym poza szept:

- Przepraszam, że panią niepokoję, ale chodzi o materiał z kamery przemysłowej.

- Tak - rzekła głośno Judith, nie mogąc powstrzymać zniecierpliwienia.

Pewnie zdarzył się jakiś kolejny problem, dysk wykasowany przez sklepikarza czy niedatowany materiał dostarczony przez ochronę supermarketu. Już chciała wydać Rose polecenie, by po prostu postąpiła z tym według swego uznania, lecz zmusiła się, by zachować cierpliwość i wysłuchać dziewczyny.

- Myślę po prostu, że być może... nie jestem pewna... ale możliwe, że coś mamy.

W ustach Rose równało się to praktycznie z deklaracją pewności, tak więc Judith natychmiast się skupiła.

- Pokaż mi - rzekła, podnosząc się z krzesła.

Dziesięć minut później Judith zawołała Toma Dartmoutha do pokoju na dole i oboje spoglądali na monitor, gdy Rose przewijała nagranie w zwolnionym tempie.

- Tam! - zawołała ostro Judith i ekran zastygł.

Obraz nie był zbyt wyraźny, lecz widać było dobrze trzy sylwetki stojące przy kasie w przedniej części sklepu, gdzie z odległości niewiele ponad dwóch metrów uchwyciła je kamera umieszczona wysoko na ścianie nad zegarem reklamowym

Lucozade. Byli to wyglądający na młodych mężczyźni, Azjaci - wrażenie to dawało połączenie cery i ubioru. Żaden z nich nie spoglądał w kamerę, ani też na Irwina Patela, który obsługiwał jednego z nich. Zegar wskazywał 20. 24.

- Wybaczcie - powiedział przepaszająco Tom Dartmouth - ale lepiej będzie, jeśli mi wszystko wyjaśnicie. Nigdy nie byłem w tym dobry, to wszystko wygląda dla mnie jak obraz z USG.

- Mężczyzna przy kasie. Sądzymy, że może pasować do jednego z holenderskich zdjęć. - Judith podała mu odbitkę, która w przeciwieństwie do stopklatki na ekranie miała wysoką rozdzielczość i była wyraźna. Przedstawiona na niej twarz należała do przystojnego młodzieńca o azjatyckich rysach, na wpół mężczyzny, na wpół chłopca, który bardzo starał się zapuścić wąsy, miał lekko niepoprawny dolny zgryz i szeroki uśmiech.

- Zidentyfikowali go jako Raszida Khana. Ma dziewiętnaście lat i pochodzi z Wolverhampton.

- No dobrze - rzekł Tom, szacując te informacje - ale skąd wiecie, że to on? - Roześmiał się autoironicznie. - Nie chciałbym zabrzmieć na politycznie niepoprawnego, lecz jak mi życie miłe, nie byłbym w stanie określić, który to z tych trzech.

- Spójrz jeszcze raz - powiedziała Judith. - Mężczyzna przy kasie. Widzisz w nim coś niezwykłego?

Tom spojrzał uważniej na ekran.

- Nie jest zbyt wysoki, prawda?

Judith przytaknęła.

- Konkretnie metr pięćdziesiąt sześć. Przynajmniej zgodnie z wnioskiem paszportowym Raszida Khana. Ale to nie wszystko, przyjrzyj się uważnie jego twarzy.

- Tom uczynił to posłusznie. - Takie same wąsy, czy raczej próba ich zapuszczenia. Tak samo lekko wystające górne zęby.

- Nie mogę powiedzieć, bym to widział - odparł Tom.

Nagle odezwała się Rose Love:

- To bardzo trudne - oznajmiła, po czym wydawała się znów pograżać w nieśmiałości, póki coś nie kazało jej kontynuować: - Jeśli ogląda się takie rzeczy przez kilka godzin dziennie, wszystko wydaje się znacznie wyraźniejsze. Jak zdjęcia z USG, o którym pan wspomniał. Rodzice uważają, że są równie czyste jak błoto, lecz dla

położnika są idealnie wyraźne. - Skończywszy, zaczerwieniła się i umilkła, zaś Judith popatrzyła na nią, przyjemnie zaskoczona tym wtrętem.

Tom podniósł ręce w geście udawanej kapitulacji.

- To wy jesteście ekspertkami. Jeśli mówicie, że materiał pasuje do zdjęcia, to musimy to zaakceptować.

- My sądzimy, że pasuje - powiedziała Judith. - Żadnej gwarancji.

- Oczywiście - rzekł Tom. - Jednak zakładając, że macie rację, kim u diabła jest Raszid Khan?

- Nie mamy żadnych tropów połączonych z tym nazwiskiem - odparła Judith. - Zaraz po tobie widzę się z Dave'em Armstrongiem - dodała, bo choć identyfikacja podejrzanych mogła należeć do jej obowiązków, ich odnajdywanie należało już do innych osób.

Z początku Irwin Patel myślał, że policjant wrócił do sklepu, aby oddać mu zabrane przed tygodniem nagranie z telewizji przemysłowej. Tym razem towarzyszył mu jednak mężczyzna w szarej kurtce z kapturem.

- Możemy zamienić słówko? - spytał policjant. - Na zapleczu pana sklepu?

- Oscar - zawołał Irwin i gestem wskazał synowi, by stanął za kasą, sam zaś zaprowadził dwóch mężczyzn do małego magazynku, który służył też za biuro, czy raczej za miejsce, w którym Irwin i jego rodzina spędzali przerwy w pracy.

- Słucham panów - uprzejmie, lecz lekko nerwowo powiedział Irwin.

Przemówił mężczyzna w kurtce:

- W materiale, jaki od pana otrzymaliśmy, znaleźliśmy zdjęcia kogoś, kim się interesujemy. - Podał Irwinowi odbitkę z migawki przechwyconej z nagrania i sklepikarz przyjrzał jej się uważnie.

- Czy pamięta pan, jak obsługiwał tego mężczyznę?

Irwin myślał usilnie. Chciał pomóc, lecz zapewne połowa jego interesów polegała na obsłudze klientów, których nigdy później już nie widział.

- Nie - oznajmił w końcu.

- A mężczyzn z tyłu?

Irwin wpatrywał się przez jakiś czas w fotografię. Mundurowy spytał go niecierpliwie:

- Czy pamięta pan podobną trzyosobową grupę? Byli tu zapewne w zeszły poniedziałek, jeśli może to w czymś pomóc.

Irwin miał ochotę powiedzieć, że cała jego azjatycka klientela wygląda dla niego podobnie, ale zamiast tego rzekł:

- Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że każdego dnia obsługuję ponad pięćdziesięciu Azjatów poniżej trzydziestki. Niektórzy przychodzą sami, niektórzy z przyjacielem, a jeszcze inni - popatrzył wymownie na policjanta - przychodzą z dwoma przyjaciółmi. Nie rozpoznaję żadnego z tych mężczyzn.

Konstabl stęknął, lecz mężczyzna w skafandrze wydawał się niezrażony.

- A co z tym mężczyzną? - spytał, podając Irwinowi kolejne zdjęcie. Była to ta sama fotografia, którą Judith Spratt wyciągnęła z około pięciuset przysłanych przez Holendrów ledwie kilka dni temu.

Nie wiadomo, czy spowodowała to jakość zdjęcia, czy też widok en face, lecz tym razem twarz Irwina rozjaśniła się.

- Widziałem tego mężczyznę! - wykrzyknął. - Tutaj w sklepie.

- Czy rozmawiał pan z nim?

Irwin wzruszył ramionami.

- Musiałem rozmawiać. Był klientem. Ale zapewne tylko mówiłem, że mu dziękuję, albo, że tu ma resztę. Nic więcej. Nie pamiętam jego głosu - powiedział, martwiąc się nagle, że tego się spodziewali.

- Nic nie szkodzi. Ale czy pamięta pan może, co kupował? - spytał mężczyzna ubrany po cywilnemu.

- Tak się składa, że pamiętam - powiedział Irwin. - Kupił bibułki do skrętów, no wie pan, do papierosów. Pamiętam to, bo był bardzo niski. Niewiele ponad metr pięćdziesiąt - dodał, dumny z własnego metra siedemdziesięciu. - Pamiętam, jak chciałem mu powiedzieć, że palenie hamuje wzrost.

Na te słowa nawet poważny mundurowy roześmiał się. Popatrzył na mężczyznę obok siebie. Nie był pewien, czy jest on z Wydziału Specjalnego, czy też skądś wyżej, ale nie był taki zły - powiedział, żeby mówić do niego Dave. Dave zaś wyglądał na szczęśliwego.



Uwaga panny Prideaux, że „bardzo przykro było jej słyszeć o Ravim”, dręczyła Liz od tamtego dnia w Oxfordzie. Uważała Judith Spratt za swą przyjaciółkę, lecz Judith nie mówiła jej o żadnych problemach z mężem.

Liz zawsze dobrze dogadywała się z Ravim Singhem, przystojnym zeuropeizowanym sikhem, który zarabiał mnóstwo pieniędzy w banku inwestycyjnym w City. Ich małżeństwo zawsze wydawało się tak szczęśliwe, że Liz zastanawiała się, czy przypadkiem Ravi nie choruje.

W normalnych okolicznościach Liz nie przyszłoby nawet do głowy wściubić nosa w sprawy małżeńskie koleżanki, jednak Judith znajdowała się na liście podejrzanych. Gdy spytała w Wydziale B, czy Judith wspominała coś ostatnio o Ravim - o jakiegokolwiek zmianie sytuacji w jej prywatnym życiu, do czego była przecież zobowiązana - nadeszła odpowiedź, że nie. Liz zamarło serce. Będzie musiała sama ją zapytać.

I tak już się kiepsko czuła. Zeszłego wieczoru zatelefonowała do matki, która kilka godzin wcześniej miała się widzieć z doktorem Barlowem w sprawie wyników badań.

Telefon w Bowerbridge wydawał się dzwonić godzinami, a Liz już miała się poddać, gdy matka wreszcie odebrała.

- Witaj, kochanie - powiedziała. - Byłam w ogrodzie i zrywałam ostróżki. Są piękne w tym roku. Powinnaś przyjechać, zanim przekwitną.

Jakże typowe dla priorytetów matki, pomyślała Liz, czując córczyną mieszaninę uczucia i irytacji.

- Co mówił Barlow?

Matka milczała przez chwilę, co było jej zwyczajową reakcją na bezpośredniość córki.

- To nic takiego straszego, Liz.

- To dobrze - rzekła, starając się brzmieć raczej na ucieszoną, niż zniecierpliwioną. - Powiedz mi, co mówił.

- Cóż, wygląda na to, że może być problem. Chce, żebym poszła do szpitala na zabieg operacyjny.

- Jaki zabieg operacyjny, mamó?

- Znaleźli coś rosnącego i chyba chcą się dowiedzieć, co to. Biopsja? - Powiedziała to z wahaniem, jakby wymawiała łacińską nazwę odmiany róży.

Tylko moja matka, pomyślała Liz, potrafi mówić w taki sposób, że w jej ustach „nowotwór” brzmi jak zjawisko przyrodnicze.

- Kiedy to będzie?

- W następną sobotę. Nie powinno potrwać długo.

Przyjmą ją na noc, pomyślała Liz, i natychmiast powiedziała, że przyjedzie w piątek. Protesty matki nie trwały długo i Liz mogła stwierdzić po jej głosie, że odczuła ulgę, ale także, że się bała.

Teraz zaś, siedząc przy biurku, poczuła nagle, jak do oczu napływają jej łzy. Obudziła się w nocy, myśląc o Marcepanie, o polowaniu na kreta, które wydawało się prowadzić donikąd, o szalejących na wolności terrorystach, a wreszcie o wynikach matki. A teraz, na domiar tego wszystkiego, będzie musiała jeszcze porozmawiać z Judith, jako że znajdowała się ona na liście. I jakby dzięki zrządzeniu losu, wpadła na nią na korytarzu późnym rankiem, gdy szła do Peggy, aby sprawdzić jej postępy. Judith, jak zwykle elegancko ubrana, w płową spódnicę i kremowy kaszmirowy sweterek, wydawała się spieszyć. Nie zatrzymała się, gdy Liz przywitała się z nią.

- Masz sekundkę, Judith? - Liz zawołała za nią.

Przyjaciółka zwolniła, choć językiem ciała wyrażała wielkie napięcie.

- Przykro mi, Liz. Trochę się spieszę.

- Dobra - powiedziała Liz i już zamierzała spytać ją, kiedy znajdzie chwilę, aby porozmawiać, gdy jak spod ziemi wyrósł Dave Armstrong. Klepnął Liz wesoło w ramię.

- Czy Peggy cię znalazła? Wydaje się czymś bardzo podekscytowana.

- Właśnie idę się z nią zobaczyć. Zaczekaj sekundkę - dodała i odwróciła się z powrotem do Judith. Ta oddaliła się już jednak, spiesząc korytarzem. Cholera, pomyślała Liz, ganiąc się za to, że nie okazała więcej zdecydowania. Ona też wyraźnie nie chce ze mną rozmawiać. Cholera!

Znalazła Peggy w sali konferencyjnej.

- Dave mówił, że chciałaś się ze mną zobaczyć.

- Złamaliśmy to - oznajmiła podniecona Peggy.

- Co takiego? - spytała Liz.

- Techniczny Ted. W końcu się przez to przebił. Spójrz. - Pchnęła w jej stronę małą kupkę laserowych wydruków.

Liz usiadła i przerzuciła pierwsze strony, zaskoczona widokiem czegoś, co wyglądało na bezbarwną masę wykazów i ogłoszeń z jakiegoś biuletynu.

- Na co ja właściwie patrzę?

- Przepraszam - rzekła Peggy. - Przerzuć na następną stronę. Zakreśliłam odpowiedni fragment.

Gdy Liz przewróciła kartkę, Peggy wyjaśniła:

- To wykład, jaki Liam O'Phelan dał w Oxfordzie.

- „Od Bostonu do Belfastu: brudna wojna Brytanii w Północnej Irlandii i za granicą”, dr L. O'Phelan, College św. Antoniego, 20. 30.

Liz poczuła, jak przyspiesza jej puls, lecz nie dlatego, że podniecenie Peggy Kinsolving było zaraźliwe. Liz wyczuwała, że jej młodsza koleżanka była tak podekscytowana dlatego, że Techniczny Ted zdołał odczytać dyskietkę - która nabrała takiego znaczenia tylko z tego powodu, że jej zawartość okryta była tajemnicą. W procesie śledczym często zdarzały się tego typu problemy, pomyślała Liz: im większa tajemnica pozostawała do odkrycia, tym większego znaczenia nabierała.

Czuła jednak, że jest to coś, czego tropem warto podążać. Temat wykładu O'Phelana sugerował jego zainteresowanie współczesnymi stosunkami politycznymi w Irlandii, a przecież nie było o tym mowy w jego górnolotnym historycznym wywodzie na temat Charlesa Stewarta Parnella. Wskazywał również na jego silnie republikańskie i antybrytyjskie stanowisko. Mógł zmienić swe poglądy albo przynajmniej złagodzić je w ciągu lat, jakie upłynęły od oxfordzkiego wykładu do dnia dzisiejszego, lecz Liz wątpiła, czy zmiękłyby w większym stopniu.

- Dobra robota - powiedziała Liz do Peggy i mówiła to szczerze, ponieważ uznała, że będzie musiała znów porozmawiać z O'Phelanem i zgłębić to jego zainteresowanie „brudną wojną”. Musiało to jednak poczekać na swoją kolej. Najpierw sprawdzi, co Jimmy Fergus wyszperał na temat tego szczerwanego, inteligentnego dona z Królewskiego. Miała też jeszcze inne ważne sprawy do załatwienia.

Zdała sobie sprawę, że za wyjątkiem Toma Dartmoutha, nie rozmawiała jeszcze bezpośrednio z żadnym podejrzanym z listy.



Po raz drugi w tym miesiącu Dave Armstrong znalazł się w Wolverhampton. Jazda nie powinna była zająć więcej niż dwie godziny, przynajmniej przy stylu prowadzenia Dave'a, jednak zator u styku M6 i M42 sprawił, iż minęły niemal trzy, zanim Dave mógł zasiąść w McDonalddie wraz z miejscowym oficerem Wydziału Specjalnego. Zeszłego wieczoru Dave, który lubił uważać się za dość sprawnego, oglądał w telewizji film dokumentalny na temat efektów żywienia się w McDonalddie i teraz patrzył z fascynacją, jak oficer wcina Big Maca, duże frytki oraz czekoladowego shake'a. Dave ograniczył się do czarnej kawy, tak gorącej, że przy pierwszym łyku poparzył sobie język.

Człowiek z Wydziału Specjalnego stłumił beknięcie i powiedział:

- Wciąż nie do końca rozumiem, w jaki sposób chce pan to załatwić. Trzymam w gotowości uzbrojonych oficerów, lecz przez telefon mówił pan, że lepiej to zrobić „delikatnie”.

- Czy wiemy, kto jest w domu?

- Nie całkiem. To rodzinny dom. Ludzie o nazwisku Khan. Szanowana para - on jest przedstawicielem handlowym w firmie zaopatrującej restaurację. Jego żona pracuje na pół etatu w pralni. Troje dzieci, same nastolatki. Dwóch chłopców i dziewczynka. Pana chłopak jest najstarszy, lecz z tego, co wiemy, nie opuścił jeszcze domu.

Dave zaplanował już, co zrobi. Wchodząc do domu Raszida Khana, z pewnością nie zamierzał ryzykować życiem własnym ani żadnego z oficerów. Był także świadom, ile szkód może wyrządzić podejście siłowe. Jeśli rodzina Raszida przebywała w domu, niezbyt prawdopodobna wydawała się możliwość, że obecność policji spowoduje zbrojną reakcję, przynajmniej nie od razu, albo też, że Raszid wysadzi się w powietrze, gdy tylko uświadomi sobie, iż policja stoi pod jego drzwiami, lecz Dave nie zamierzał podejmować ryzyka.

- To nie jest niewinna sprawa, ale zamierzam zacząć od zwykłego zapukania do drzwi. Chcę ukrytego wsparcia, uzbrojonego i przygotowanego na kłopoty, lecz mają nic nie robić, póki nie zobaczą, jak wygląda początkowa reakcja.

- A kto będzie pukać do drzwi?

- Ja - powiedział Dave.

Zadzwoił do drzwi i czekał. Był nieuzbrojony i nie mógł przestać myśleć, jak bezradny będzie, jeśli odpowie mu ktoś z bronią. Poczł zaskoczenie, gdy drzwi otworzyła nastoletnia dziewczynka w szkolnym mundurku.

- Tak? - zapytała bojaźliwie. Była pora podwieczorku i Dave zastanawiał się, kto jeszcze może być w domu.

- Jestem z Zakładu Ubezpieczeń Społecznych - rzekł Dave - i chciałem zamienić słówko z Raszidem Khanem. To tylko rutynowe sprawdzenie jego roszczeń. Czy go zastałem?

Jej zaskoczenie wydało się Dave'owi szczere.

- Nie, a co? Czy ma kłopoty?

- Czy w domu jest twój ojciec albo matka?

Dziesięć minut później ojciec Raszida czuł coraz większe oszołomienie.

- Czy jest pan pewien, że szuka pan właśnie naszego syna? - spytał po raz kolejny.

- Obawiam się, że tak - odparł cierpliwie Dave.

- To nie ma sensu. To nie może być syn, którego wychowałem. Wszystkim się z nami dzielił.

- Wszystkim? - zapytał Dave, który nie dowiedział się od żadnego z rodziców niczego, co tłumaczyłoby frustrację ich syna. Uważali, że Raszid zdobywał w Holandii doświadczenie zawodowe, a później zamierzał udać się na uniwersytet.

- Wszystkim - powtórzył butnie ojciec.

- A więc dlaczego nie wie pan, gdzie się on teraz znajduje?



Jechał do Wokingham z niezwykłą ostrożnością, pilnie obserwując ograniczenia prędkości i bacznie wypatrując fotoradarów. Zatrzymał się przy parkomacie w centrum miasta i wziął taksówkę z pobliskiego postoju. Adres, który podał kierowcy, należał do posiadłości leżącej na obrzeżach. Z początku jedynie odburkiwał coś nawijającemu wesoło taksówkarzowi, lecz gdy ten i tak nie przestawał gadać, przyjął wyraźny akcent z West Country i zwierzył się, że kibicuje Taunton Town. Jak przypuszczał, skłoniło to wreszcie kierowcę do milczenia. Gdy dotarli pod Avon Circle Crescent numer 17, pasażer wysiadł, pozostawiając kierowcy niewarte wspomnienia dziesięć procent napiwku.

Adres nie był ostatecznym celem pasażera. Zaczekał, aż taksówka odjedzie, po czym przeszedł na koniec Crescent, obok nowo zbudowanego placu zabaw dla dzieci i dotarł do Somerset Drive oraz szeregu nowych ceglanych domków, z których każdy miał płachetek trawy z przodu i mały ogródek z tyłu.

Pod numerem 48 skręcił gwałtownie i już miał nacisnąć dzwonek, gdy drzwi otworzyły się same. Wsunął się bez przywitania do środka i stanął w korytarzu.

- Gdzie są pozostali dwaj?

- Na górze, oglądają telewizję. Chcesz się z nimi zobaczyć?

- Nie. Zostaw ich.

Gość usiadł na kanapie, lecz nie zdjął płaszcza. Gestem wskazał Baszirowi Siddiqui, by usiadł naprzeciwko niego na jedynym w tym pokoju krześle.

- Dokonali przełomu. Sprawdzili nagrania z kamer telewizji przemysłowej w okolicach zaułka, w którym rozwiązaście kwestię kolesia z księgarni; na filmie ze sklepu spożywczego znaleźli jednego z was. Raszida.

- Skąd wiedzieli kto to? - spytał oszołomiony Baszir. - Raszid został wybrany po części dlatego, że nigdy nie był notowany w Zjednoczonym Królestwie.

- Jeden ze współników Abu Sajeda zadzwonił z Holandii tego dnia, w którym mieliście być w Holandii. Rozmowa została namierzona i ludzie z holenderskiej

bezpieki przysłali zdjęcia. Na jednym z nich był Raszid, a gdy porównali je z nagraniami z kamer, dopasowali jedno do drugiego.

Baszir jęknął. Nie chciał wchodzić tamtego wieczoru do żadnego sklepu, ale Raszid nalegał. Obawiając się, że niski mężczyzna wpadnie w szal, Baszir zgodził się niechętnie.

- Posłuchaj - rzekł gość. - Nie chcę wnikać, kogo winić i za co. Teraz jest ważne, żebyś wysłuchał bardzo uważnie tego, co mam do powiedzenia.

Wpatrywał się stanowczo w Baszira, nie mrugając oczyma, dopóki Baszir nie odpowiedział spojrzeniem i nie przytaknął. Następnie rzekł:

- Nie ma powodu sądzić, że są na waszym tropie. Owszem, wiedzą o Raszidzie, ale nie mają pojęcia, gdzie go szukać. Zakładając, że nie popełnicie żadnych kolejnych głupich pomyłek, nie mają jak się dowiedzieć.

- Co mam zrobić?

- Nic nie rób. Właśnie przez to, że coś robiliście, niemal zostaliście schwytani. Siedzicie na tyłku. Od tego czasu koniec komunikowania się ze światem zewnętrznym - zwłaszcza z Abu Sajedem albo którymś z jego współników. Zostawcie to mnie, rozumiesz? Żaden z was nie powinien kontaktować się z nikim, chyba że będzie chodziło o kontakt ze mną. - Podniósł wzrok ku sufitowi.

- Nieważne, jak bezpiecznie się oni czują, ani za jak ostrożnych się uważają, nie pozwól im się z nikim komunikować. Żadnych komórek, żadnych esemesów, nawet żadnych kawiarenek internetowych. Czy to jasne?

Baszir znów przytaknął, ponieważ nie miał problemów z wypełnianiem rozkazów Anglika. W końcu był to Anglik, który go zwerbował. Nie Abu Sajed, czy jakiś inny imam. Spytał z wahaniem:

- Czy możemy opuszczać dom?

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

- Tak. Sąsiedzi mogliby uznać za dziwne, że żaden z was nie wchodzi ani nie wychodzi. Ale nie wszyscy trzej naraz. I trzymaj Raszida z dala od centrum miasta.

- Czy mam mu powiedzieć, że został zidentyfikowany?

- Jak to przyjmie?

Baszir pomyślał o tym wieczorze, kiedy polowali na chłopaka z księgarni, o tym jak widoczne było podniecenie Raszida, nawet jeśli miał tylko odwrócić uwagę ofiary. Potrząsnął głową.

- Sądzę, że bardzo by się wystraszył. Mógłby wpaść w panikę.

Anglik skinął głową.

- A więc sam sobie odpowiedziałeś. - Podniósł się i uściskał Baszirowi dłoń. -
Jeśli uda wam się tylko zachować spokój, wszystko będzie dobrze. Nie musicie już
długo czekać.



Patrick Dobson spędzał kilka dni w domu. Złamał sobie nadgarstek, gdy przycinając wistarię, spadł z drabiny w ogrodzie. Liz uznała, że zamiast czekać, aż wróci do pracy, odwiedzą go z Peggy w domu. Z doświadczenia wiedziała, że można było się o kimś wiele dowiedzieć, oglądając jego dom i miała nadzieję, że podróż nie okaże się stratą czasu.

Po drodze Peggy i Liz niemal zablądziły, lądując w niekończącym się labiryncie alejek i zaułków, otoczonych wielkimi podmiejskimi domami o rozległych, bujnie rozkwitających ogrodach.

Gdy dotarły wreszcie do rezydencji Dobsonów, zbudowanego w latach trzydziestych i naśladującego styl Tudorów domu z brunatnej cegły o szczytach i dźwigarach z białego gipsu, Peggy powiedziała:

- Nie zdawałam sobie sprawy, że w MI5 tak dobrze płacą.

W przypadku Peggy czasami ciężko było odróżnić niewinność od ironii, lecz tym razem jej cierpki ton nie zostawiał cienia wątpliwości.

Liz roześmiała się.

- Chyba wkrótce się dowiesz - rzekła - że gospodarstwo domowe Dobsonów ma inne źródło utrzymania.

Patrick Dobson nie miał jeszcze czterdziestki, lecz jego dom dziwnie pasował do kogoś w średnim wieku. To, co Dobson nazywał wyniośle swym salonem, miało w sobie sztywność zupełnie niepasującą do niestarego przecież oficera MI5. Ściany były wyłożone dębem, a wewnątrz znajdował się duży fałszywy kominek w stylu elżbietańskim oraz okna witrażowe. Sofa, na której usiadły Liz i Peggy, była pokryta perkalem i miękka jak poduszka, krzesła zrobiono z mahoni, zaś dywan miał kolor spłowiałej szalwii. Na ścianach wisiał miszmasz portretów rodzinnych i akwareli przedstawiających dziewiętnastowieczne sceny kolonialne - procesja słoni przechodzących w Delhi przed radzą czy ręcznie kolorowana mapa Cesarstwa Pekin.

- Co za piękny pokój - powiedziała z podziwem Peggy Kinsolving.

Jeśli lubi się takie rzeczy, pomyślała złośliwie Liz. Dobson podziękował Peggy za komplement, dodając:

- To był dom rodziców mojej żony. Jej ojciec pracował w Służbie Kolonialnej. Żona odziedziczyła go po ich śmierci.

To sporo wyjaśnia, pomyślała Liz. Wiedziała z akt o jego teściu. Był oficerem okręgowym w Ugandzie. Dzięki Bogu, powiedziała sobie w myślach, że nie musimy dowiadywać się, dlaczego żyje w takim przepychu. W Waszyngtonie mieszkał agent CIA, który twierdził, że bogaty styl życia funduje mu zamożna żona, lecz jak się okazało, sponsorem było KGB. Nie sądziła, by Patrick Dobson znajdował się w podobnej sytuacji.

Dobson usiadł schludnie wyprostowany w wygodnym fotelu naprzeciwko nich. Był niskim mężczyzną o okrągłej twarzy i jasnych, zaczesanych do tyłu włosach. Miał na sobie niebieski blezer, szare flanelowe spodnie oraz coś przypominającego szkolny krawat i wyglądał w tym wszystkim jak uosobienie grzeczności. Tyle, że sztywne.

Liz uznała, że lepiej uderzyć na całej linii, inaczej zagubią się w próbach, jakie Dobson będzie podejmować, aby na nowo napisać swą przeszłość.

- To nie powinno zająć wiele czasu, Patrick - powiedziała wesoło, aby sytuacja stała się mniej formalna.

Omówili nagie fakty z jego życiorysu - chłopięce lata w południowym Londynie, szkołę (oraz stypendium w Alleyn's School w Dulwich), okres spędzony w Oxfordzie, a zaraz po nim wstąpienie do MI5. Dobson z początku dawał jedynie krótkie odpowiedzi, lecz stopniowo coraz bardziej się rozkręcał, zwłaszcza gdy dotarli do jego aktualnej posady w biurze dyrektora generalnego. Mówił o tym z takim ożywieniem, wyjaśniając, jakimi wspaniałymi perspektywami dysponuje we wszystkich operacjach służby, że przez ponad pięć minut Liz nie była w stanie zadać choć jednego pytania.

Właśnie chciała przerwać, kiedy wyręczyło ją pukanie do drzwi. Do pokoju weszła kobieta z tacą, na której stał dzbanek z kawą, filiżanki, spodeczki oraz talerz z ciasteczkami. Była ubrana tak, jakby wybierała się na elegancki lunch, w buty na wysokich obcasach i kwiecistą sukienkę.

- Ach, Tereso. Oto koleżanki, o których ci mówiłem.

Skinęła uprzejmie głową i podeszła z tacą. Dobson dokonał prezentacji, lecz było oczywiste, że jego żona nie chce z nimi zostać.

- Nie będę przeszkadzać - rzekła z wymuszonym uśmiechem, spoglądając jedynie na męża. - Właśnie wychodzę do kościoła, aby zająć się kwiatami przed lunchem Instytutu Kobiet.

- Oczywiście, kochanie. Do zobaczenia później.

Liz siedziała z kawą, zbita z tropu. Czowała, że jeśli nie weźmie spraw w swoje ręce, zaraz zagubi się w tym bezpiecznym świecie przedmieść.

- Gdybym mogła wrócić do czasu, jaki spędziłeś w Oxfordzie - powiedziała. - Z tego co wiem, jako student byłeś bardzo religijny.

Po raz pierwszy wyczuła, jak Dobson nadstawił uszu.

- Tylko jak na standardy pozostałych studentów - odparł defensywnie. - Chodziłem co tydzień do kaplicy. Wciąż chodzę, choć teraz do kościoła. Moja żona również tam uczęszcza. Nie sądzę, by było w tym coś wyjątkowego. A ty?

- Oczywiście, że nie - odparła łagodnie Liz. - Mój kuzyn jest diakonem, a jedna z jego córek czeka na święcenia. - Technicznie rzecz biorąc, mąż jej kuzynki był diakonem, zaś powołanie ich córki przetrwało tylko do chwili, aż udało jej się znaleźć chłopaka, lecz Liz nie zamierzała tego mówić Dobsonowi.

Rozluźnił się lekko.

- Przypuszczam, że widziałyście się z kapelanem w Pembroke. Gdy składałem aplikację o pracę, powiedział, że pytano go o mnie. Jak się teraz miewa?

- Dobrze. Przynajmniej zrobił na mnie takie wrażenie - jakkolwiek zgryźliwie Hickson nie wypowiadałby się o swym byłym uczniu, Liz cieszyła się, mogąc przyznać, że się z nim widziała.

- Był trzeźwy?

Liz popatrzyła niewzruszenie na Dobsona.

- Gdy rozmawialiśmy, owszem, był.

- To pewna odmiana - powiedział Dobson, odzyskując pewność siebie. Nie tknął swej kawy.

Liz uśmiechnęła się dyplomatycznie.

- Powiedział, że w Oxfordzie byłeś Młodym Konserwatystą.

- Byłem sympatykiem - odparł Dobson, wzruszając ramionami. - Nie powiesz mi chyba, że to też jest niezwykle? - Po raz pierwszy w jego głosie pojawiła się nuta złości.

Liz wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. To zapewne ja byłam niezwykła. Na uniwersytecie byłam trochę lewicowa - powiedziała tonem zwierzenia. - Byłam zaskoczona, że przesłam weryfikację. - Roześmiała się. - To nie były lata sześćdziesiąte, mogę cię zapewnić, lecz mimo to okres był dość polityczny. Wszyscy przejmowali się Palestyńczykami. - Zrobiła pauzę. - I oczywiście Irlandią.

Jednak Dobson nie złapał haczyka.

- W moich czasach najważniejsze były podwyżki czynszu - rzekł cierpko.

- Rozumiem.

Peggy nie brała do tej pory udziału w rozmowie, pracowicie robiła notatki. Teraz po raz pierwszy podniosła wzrok.

- Ale masz w sobie irlandzką krew, prawda? - spytała błyskotliwie.

Dobson popatrzył na nią chłodno.

- Sądzę, że jedna z moich babć była Irlandką - rzekł powoli.

- Czy wyemigrowała tutaj?

- Wyemigrowała? Co za wielkie słowo... Ona raczej powiedziała, że przyjechała tu do pracy. Chodziło o to - powiedział, dystansując się od wypowiedzianych słów - że pozostawała „w służbie” w Galway u angielsko--irlandzkiej rodziny. Gdy przeprowadzili się z powrotem do Londynu, przyjechała z nimi. Poznała mojego dziadka i poślubiła go.

Po chwili dodał wymownie:

- Był Anglikiem. Posiadał szereg garaży w południowym Londynie. - Liz uznała, że podzielił się tym z nimi, aby nie powstała w ich głowach myśl, iż dziadek również mógł pozostawać „w służbie”.

- Chyba miałyby sporo do opowiedzenia - wypaliła Peggy. Liz, która doceniła już umiejętność, z jaką Peggy potrafiła ciągać ludzi za języki, siedziała tylko i obserwowała. - Czy znałeś swoją babcię? - spytała Peggy.

- Trochę - odrzekł niechętnie. - Zmarła, gdy byłem chłopcem.

- Pewnie musiała tęsknić za Irlandią - powiedziała z sympatią Peggy. - Czy kiedyś tam wróciła?

- Sądzę, że czasami wracała. - Zawahał się niemal niezauważalnie. Liz uznała, że szacował ile już wiedziały i czego mogą się dowiedzieć. Zdziwiłby się, pomyślała Liz, myśląc o tym, jak dzień wcześniej Peggy z dumą pokazała jej drzewo genealogiczne rodziny Dobsona po kądzieli. Miało niemal bizantyjską złożoność, jego

gałęzie rozpościerały się niczym araukaria. To właśnie dlatego Liz zasugerowała Peggy, aby zapytała o rodzinę.

- Tak naprawdę - przyznał Dobson - raz nawet z nią pojechałem. Do Connemary. To stamtąd pochodziła.

- Masz tam wciąż rodzinę? - Liz spytała tak niedbale, jak tylko umiała, starając się nie wywołać reakcji obronnej.

Dobson wzruszył ramionami.

- Raczej tak. To była typowo irlandzka rodzina, moja babcia była jedną z siedmiorga dzieci.

- Nazwisko panińskie twojej babci to O'Hare, prawda? - wtrąciła Peggy.

Dobson zaczął przytakiwać, lecz przerwał nagle.

- Skąd to wiesz?

Peggy zignorowała go i kontynuowała, spoglądając w notatki:

- Zaś jej najstarszy brat nazywał się Sean, prawda? - Nie czekała na odpowiedź.

- Przed wojną przeprowadził się na północ, do Londonderry. Jeśli dobrze zrozumiałam, był od niej trochę starszy. Miał dwóch synów, starszy nazywał się Kieran, i on z kolei miał jednego syna - Patricka. Takie samo imię jak twoje. I jest on, można powiedzieć, twoim kuzynem drugiego stopnia.

Dobson zachowywał całkowite milczenie, dopóki Peggy nie skończyła. Następnie, ignorując ją, popatrzył na Liz. Nie była w stanie stwierdzić, czy w jego oczach widać strach, czy złość.

- I? - spytał neutralnie.

- Cóż - powiedziała rzeczowym tonem Liz - twój kuzyn drugiego stopnia został skazany i spędził dwanaście miesięcy w Maze. Osoby wstępujące do MI5 proszone są o zgłoszenie wszelkich krewnych, którzy zostali skazani za przestępstwo, spędzili jakikolwiek czas w którymś z więzień Jej Królewskiej Mości, albo też zostali oskarżeni o działalność wywrotową. A jednak w twoim formularzu nie było ani słowa o Patricku O'Hare. Czy mógłbyś mi powiedzieć dlaczego?

Na zewnątrz Dobson zachował robiący wrażenie spokój.

- Czy to do czegoś zmierza? - spytał cicho.

- Musimy być dokładne - rzekła stanowczo.

Dobson wyglądał na zirytowanego.

- Nic nie wiem o tym kuzynie. Skąd miałbym wiedzieć? Na Boga, miałem pięć lat, gdy to się stało.

- Oczywiście - powiedziała Liz i szybko przeszła do kolejnego pytania, ku zdumieniu Peggy.

- I co o tym myślisz? - spytała Liz, gdy wyjechały na M3. Peggy doceniała komfort jazdy Audi, lecz troszkę niepokoił ją zygzakowaty sposób, w jaki Liz prowadziła.

- Nie wierzę, że nie wiedział o swoim kuzynie.

- Dlaczego?

Peggy zastanawiała się nad tym. Dobsonowi nie podobało się żadne z pytań na temat irlandzkich korzeni jego matki. Z początku Peggy brała to za snobizm - zapewne świńska farma w Galway nie harmonizowała z człowiekiem, który przywykł do wygodnego fotela w Surrey. Wprawdzie z wahaniem, ale jednak potwierdził swe pochodzenie. Zaprzeczając przy tym, by wiedział cokolwiek o swym kuzynie z IRA.

A Liz wycofała się. Dlaczego?

- Czy nie zaskoczyło cię, że nie wiedział o swym kuzynie? - Peggy spytała niepewnie.

- Więż wydaje się dość odległa - rzekła Liz, wpatrując się w autostradę.

- Czyżby? - Peggy zapytała ze szczerym zaskoczeniem, ponieważ miała rozległą rodzinę i znała ją dobrze, aż za dobrze, jak często sądziła, gdy musiała iść na kolejne wesele, chrzciny czy zlot rodzinny. - Wydawało mi się, że wszyscy znają swych kuzynów drugiego stopnia.

- Niekoniecznie - spierała się Liz. - Zresztą przy wstępowaniu do Służby najważniejsza jest najbliższa rodzina. Nie musiał deklarować swego kuzyna drugiego stopnia, nawet jeśli o nim wiedział.

- Nieważne - rzekła Peggy, obstając przy swoim. - Wciąż myślę, że mijał się z prawdą.

Liz uśmiechnęła się, zerkając w lusterko wsteczne.

- Tak naprawdę, to ja również - powiedziała.

- Serio? - Peggy była zdziwiona. Być może Liz bawiła się w adwokata diabła.

- Nie, nie sądzę, by powiedział prawdę - odparła Liz, wjeżdżając na M4 i przemykając zwinnie na szybki pas. - Ale to nie ma nic wspólnego z jego drzewem genealogicznym.

- Więc z czym?

- Dobson powiedział, że miał pięć lat, gdy jego kuzyn został internowany.

Przerwała, zmieniając pas, a Peggy dokonała w myślach szybkich obliczeń. Patrick Dobson urodził się w 1968 r., a jego kuzyn imiennik trafił do Maze w 1973 r.

- Ale Dobson naprawdę miał pięć lat - rzekła Peggy, po czym wstrzymała oddech, starając się nie zakrztusić, gdy Liz przyspieszyła, wyprzedzając wielką ciężarówkę.

- W to nie wątpię - rzeczowo stwierdziła Liz. - Jednak internowania ciągnęły się przez cztery lata. Skąd więc Dobson wiedział, w którym roku jego kuzyn został umieszczony w Maze? Ja mu nie powiedziałam, ty też nie. A jednak przypomnij sobie dokładnie jego słowa. Nie powiedział „Byłem tylko dzieckiem, gdy ten nieznany mi człowiek został zamknięty”. Mówił bardzo konkretnie: „Miałem pięć lat, gdy to się stało”. - Uśmiechnęła się krzywo do Peggy. - A więc ja też mu nie wierzę. Nie wiemy jednak teraz, czy skłamał celowo, czy też po prostu dlatego, że wstydził się swoich przodków.



Raszid nie wiedział nic o ostrzeżeniu Anglika, o tym, że jego tożsamość została odkryta, a Baszir nie podzielił się z nim swoimi niepokojami, choć wyraźnie dał do zrozumienia Raszidowi oraz trzeciemu spiskowcowi, że nie mogą się z nikim kontaktować.

Raszid podporządkowałby się temu bez wahania, gdyby nie martwił się o swą siostrę Jasmine. Miała szesnaście lat i łatwo było ją zranić. Przez ostatnie dwa lata, odkąd bardziej zaangażował się w islam, starał się ją chronić, zaczął się bardziej o nią niepokoić, gdy weszła w wiek dorastania, a jeszcze bardziej, gdy zaczęła przyjaźnić się z chłopcami, zwłaszcza Anglikami. Nawet jeśli rodzice nie zdawali sobie z tego sprawy, to Raszid wiedział, że Jasmina była piękną dziewczyną.

Uwielbiała swego starszego o trzy lata brata, lecz niełatwo mu było na nią wpływać. Miała bardzo towarzyskie usposobienie, a jej zainteresowania bardzo różniły się od wyznawanych przez niego zasad religijnych.

Nie miał skrupułów przed porzuceniem tak gwałtów-nie domu, ponieważ rodzice zniknęli już z jego mentalnej galaktyki. Nie nienawidził ich, o nie. Było mu ich żal, widział bowiem w jaki sposób, jako pierwsza generacja wyrosła w obcym społeczeństwie, stracili wszelkie poczucie swego pochodzenia i wiary. Nie mogli też zostać w pełni zaakceptowani w nowym „domu”, stwierdzał z pewną goryczą.

Pomyślał o młodzieńcu z księgarni, którego zabił Baszir. Jaki był z niego muzułmanin, skoro pracował dla zachodnich panów? Nie miał wstydu? Nie dostrzegał, że zdradza swą wiarę, swych braci w islamie?

Raszid nie dokonał sam morderstwa - było to zrozumiałe, ponieważ z powodu niskiego wzrostu mógłby mieć kłopoty z szybkim dokończeniem sprawy. I wiedział, że zbyt by się bał. Nie był z natury skłonny do przemocy. Baszir chyba to wyczuwał, ponieważ dość często powtarzał mu, iż jego instynktowna awersja wobec przemocy czyni z niego bardzo silnego człowieka, pragnącego podejmować się gwałtownych czynów w imię Allacha.

Posłużył więc za przynętę, odwrócił uwagę chłopca fałszywie przyjaznym powitaniem, zaś Baszir wyskoczył spod ledwo widocznych drzwi na zaplecze biegnącego wzdłuż zaułka magazynu i, podbiegłszy szybko, raz ale mocno dźgnął chłopaka z księgarni u podstawy kręgosłupa. Następnie Raszid stanął na straży, a Baszir otoczył ręką szyję osuwającej się już ofiary i przytrzymał ją, jednym gwałtownym ruchem podciął gardło.

Teraz było już wczesne popołudnie, zmówili w salonie południowe modły i zjedli lunch składający się z zupy oraz chleba. Baszir powiedział mu, że może wyjść.

- Nie idź za daleko - rzekł. - I trzymaj się z dala od sklepów.

- Oczywiście - odparł Raszid i w przeciągu pięciu minut łapał już autobus jadący do centrum Wokingham. Wysiadł zaraz, gdy tylko dotarł do okolicy rojącej się od sklepów i na następnej ulicy znalazł taki, w którym sprzedawano telefony komórkowe. Kupił najtańszy model oraz kartę przedpłaconą za dziesięć funtów.

Tuż przy sklepie znajdował się zaułek prowadzący na małe podwórze i tam spróbował wykręcić numer, lecz nie było sygnału, a gdy spojrzął na zegarek uświadomił sobie, że wyszedł z kryjówki już przed niemal godziną. Wkrótce Baszir zacznie się martwić. Wrócił na przystanek autobusowy i czekał niecierpliwie ponad dziesięć minut. Nie chciał stamtąd dzwonić, bo w kolejce stało kilka osób.

Wreszcie autobus przyjechał. Wysiadł jeden przystanek wcześniej i szedł szybko. Potrzeba zatelefonowania do Jasminy była już w nim znacznie silniejsza niż myśl, że powinien już wrócić. Zaczął biec, a gdy znalazł się o przecznicę od Somerset Drive, zatrzymał się przy jakimś płocie i wybrał numer na komórkę Jasminy. O wiele bardziej martwił go gniew Baszira niż policja. Czuł się całkowicie bezpieczny, bo wiedział, że w każdej chwili mógł wyrzucić telefon i nie można go było wyśledzić. Baszir robił tak zawsze, gdy dzwonił do punktu kontaktowego.

- Jasmina?

- Raszid, czy wszystko w porządku?

- Tak, Jasmino.

- Ale gdzie jesteś?

- To nieważne, nie mogę ci powiedzieć. Ale wszystko w porządku. To dlatego dzwonię. Żebyś się nie martwiła. Powinienem wrócić do domu już za kilka tygodni.

- Jesteś pewien? - głos Jasminy wyrażał zaskoczenie, a Raszid zastanawiał się dlaczego. - Czy to bezpiecznie dzwonić? - dodała.

- A dlaczego nie? - spytał.

- No bo... - zaczęła, lecz umilkła.

- Powiedz mi, Jasmino.

- No dobrze, ale nie możesz powiedzieć tacie. Nawet o tym, że rozmawialiśmy. Szukał cię mężczyzna. Mówił, że jest z Zakładu Ubezpieczeń Społecznych, ale to chyba nieprawda. Tata był później bardzo zdenerwowany.

Raszid poczuł, jak przyspiesza mu puls, a prawa dłoń, w której trzymał telefon, drżała mu tak mocno, że musiał ją przytrzymać lewą. Przechodząca kobieta popatrzyła na niego dziwnie, a on odwrócił się, by uniknąć jej wzroku.

- Dlaczego mi tego nie powiedziałaś? - spytał ze złością.

- Ale Raszidzie, nie wiedziałam, jak się z tobą skontaktować. Odszedłeś bez ostrzeżenia. Nawet nie wzięłeś swojego telefonu.

Wiedział, że to prawda i próbował się uspokoić, nie chciał złościć się na Jasmine. Poza dwoma towarzyszami w małym domku była jego jedyną sojuszniczką. Wiedział, że rodzice nigdy by nie zrozumieli, zapewne pomagali policji jak tylko mogli. A jego młodszy brat był za młody, nie miał nawet czternastu lat.

- Czy wiesz, czego chciał ten mężczyzna?

- Tak, Raszidzie. Chciał ciebie.

W Thames House trop pojawił się natychmiast na monitorach. Na biurku Judith Spratt zadzwonił telefon.

- Mamy rozmowę do Wolverhampton, którą właśnie namierzamy. Pomyślałem, że będziesz chciała jej posłuchać - powiedział do niej Lawrence, młodszy specjalista od transkrypcji.

Było już tak wiele fałszywych alarmów - szereg tajemniczych telefonów do ojca rodziny Khanów, które okazały się sekretnymi ustaleniami dotyczącymi urodzin jego żony - że Judith już się bała nadmiernie ekscytować.

- Czy to do domu? - spytała ostro.

- Nie. To na komórkę siostry, choć A4 mówi, że jest w domu. Sądzymy, że to jej brat.

- No to dawaj najszybciej jak możesz - powiedziała Judith, wbrew sobie czując się przekonana.

Pięć minut później Lawrence przyszedł z transkrypcją rozmowy. Judith przejrzała ją szybko wraz z Tomem Dartmouthem, który do niej dołączył.

- Skąd był telefon? - spytał Tom.

- Pracujemy nad tym. To była komórka, zapewne jednorazówka - wyjaśnił Lawrence.

Tom popatrzył na Lawrence'a.

- Z jaką dokładnością możemy go namierzyć? Lawrence wzruszył ramionami.

- Nie potrafię w tej chwili powiedzieć. Cztery, może pięć kilometrów?

- W każdym kierunku?

Lawrence przytaknął, a Tom zaklął lekko.

- To cholernie wielki obszar. Chyba, że jest w Highlands albo w północnej Walii. Jeśli jest w mieście, może tam mieszkać jeden Bóg wie ile tysięcy ludzi.

- Dzięki, Lawrence - powiedziała Judith i mężczyzna wyszedł. Później będzie wychwalać jego szybkość, lecz teraz musiała wraz z Tomem ustalić czym konkretnie dysponowali i co musieli zrobić dalej. Spojrzała na Toma, którego zaczynała wbrew sobie lubić. Mówiąc ogólnie, wolała sama kontrolować sytuację, a szefowie sekcji częściej wchodzili jej w drogę niż pomagali. Tom był jednak inny, stał z boku. Niemal się izolował, choć oferował rady, gdy został o to poproszony i zawsze zachowywał spokój. Pasowało to Judith.

- Dave miał nadzieję, że rodzina będzie siedzieć cicho - powiedziała do niego. - Najwyraźniej rodzice byli zupełnie oszołomieni, gdy powiedział im, co zamierza ich syn. Obiecali całkowitą współpracę. Jednak siostra okazała się słabszym ogniwem. Teraz dzięki niej ten cały Raszyd wie, że go szukamy.

- To nie takie złe - rzekł spokojnie Tom. - Jeśli potrafił tak wszystko spaprąć, gdy myślał, że jest bezpieczny, to miejmy nadzieję, że spaprze jeszcze bardziej, gdy będzie czuł się ścigany.



Dave Armstrong był zmęczony. Zgłosił się na ochotnika, by wraz z Wydziałem Specjalnym sprawdzić agencje wynajmu w Wokingham i teraz tego żałował. Mógł być w Londynie i pracować przy biurku, albo gawędzić z Rose Love, tą piękną nową dziewczyną z sekcji śledczej, która niedawno przyznała, że nie, nie ma chłopaka i tak, zastanowi się nad zjedzeniem kiedyś z Dave'em kolacji, choć nie za szybko, ponieważ była bardzo zajęta w pracy. Zawsze wydawała się taka poważna, że zaskoczyło go to spuszczenie z tonu. Rose była młodszą i ładniejszą wersją Liz Carlyle, a teraz Dave żywił nadzieję, że być może okaże się również bardziej podatna na jego wdzięki. Wiedział, że jakkolwiek mocno by się nie starał, Liz nigdy nie będzie go uważała za kogoś więcej niż tylko dobrego przyjaciela, kolegę i partnera do sparingów.

Pomyślał o Liz, gdy skończył rozmowę z czwartą agencją wynajmu. Co ona takiego robiła? Nigdy nie było jej widać przy biurku i nie zjawiała się na większości ostatnich spotkań grupy operacyjnej POLOWANIE NA LISA. Dlaczego pracowała w narożnej sali konferencyjnej na trzecim piętrze wraz z tą całą Peggy z MI6? Czy została oddelegowana? Do czego? Ktoś wspominał o aktualizowaniu weryfikacji, lecz wydawało się to dość nieprawdopodobnym zajęciem dla Liz. Coś kombinowała, lecz cokolwiek to było, nie zamierzała mu powiedzieć.

Spoglądając na swą listę, Dave zauważył z ulgą, że została mu już do odwiedzenia tylko jedna agencja i na szczęście znajdowała się w zasięgu marszu piechotą od czwartej. Zostawił więc samochód i ruszył nowymi ulicami przedmieścia Wokingham - według niego podobnego do Milton Keynes bez planu zagospodarowania przestrzennego i drzew.

Szedł zwindniczo szybko. Miał niecały metr osiemdziesiąt wzrostu, lecz był chudy, miał długie nogi i włosy dość potargane jak na standardy Thames House. Z tego powodu wyróżniał się pośród statecznego starszego personelu Służby, lecz pasował do ludzi na ulicach, na których spędzał tak wiele czasu. Nawet gdy nie przebywał na dworze, czuł się lepiej w kurtce niż w garniturze i niezbyt go

interesowało, jak te zamięłowania mogły wpływać na jego dalszą karierę. Teraz wyglądał jak ktoś anonimowy, i to właśnie lubił.

O piątej piętnaście małe schludne biuro firmy Hummingbird Lettings szykowało się do zamknięcia. Recepcjonistka już wyszła i Dave znalazł się sam w dużym pomieszczeniu z czterema pustymi biurkami. Nagle ktoś zaczął gwizdać i do środka wszedł mężczyzna w średnim wieku, trzymający filiżankę z herbatą. Był chudy i miał kościstą twarz, siwiejące włosy oraz ciemne okulary lecznicze. Widok Dave'a tak go zdziwił, że rozlał trochę herbaty.

- Już zamykamy - powiedział automatycznie.

Dave uśmiechnął się szeroko.

- Jestem Simon Willis - rzekł. - Dzwoniłem wcześniej.

- Och tak - powiedział mężczyzna. - Pan z... policji.

- Tak właśnie - oznajmił wesoło Dave. - Zajmę panu tylko chwilkę.

Usiedli przy biurku i mężczyzna przedstawił się jako Richard Penbury, lecz nie uścisnęli sobie dłoni. Wyglądał na zniechęconego, jakby przeżył długi i nieobfitujący w zyski dzień.

- A więc w czym mogę pomóc? - spytał Penbury, wyraźnie dając do zrozumienia, że nie uważa tego za zbyt możliwe.

- Prowadzę dyskretne dochodzenie - rzekł Dave, starając się zabrzmieć jak najbardziej oficjalnie - dotyczące wynajmu nieruchomości jednemu, być może dwóm, a może nawet trzem młodym Azjatom. To może być mały dom albo średnie lub duże mieszkanie.

Mężczyzna zaczął potrząsać głową, zanim jeszcze Dave skończył zdanie. Kolejny ślepy zaułek, pomyślał Dave, zastanawiając się, ile czasu zajmie mu powrót do Londynu. Powiedzmy, że godzinę - nie, o tej porze dnia raczej półtorej. Mógłby zadzwonić do Rose po drodze i spróbować umówić się z nią w Compton Arms. Potem kolacja, a jeszcze później być może...

Wrócił na ziemię i usłyszał, jak Penbury mówi:

- Nie, nie było nic takiego. Większość moich wynajmów w tym roku była kontynuacjami albo długoterminowymi wynajmami nieruchomości, jakie ludzie zakupili w celach inwestycyjnych. Wie pan, drugie domy, które wynajmują, aby pokryć koszty hipoteki, zanim nieruchomość zwróci się i będzie ją można sprzedać. Tak przynajmniej wygląda teoria, choć ostatnio nie jest to takie proste. Wiele osób się sparzyło, a tak między nami, obecnie najbardziej liczą się najemcy bezterminowi.

Dlaczego między nami? - pomyślał z pewną irytacją Dave, nie wierząc zbyt w dokonaną przez pana Penbury'ego analizę najnowszych trendów na rynku wynajmów. Paradoksalnie skłoniło go to jednak nie do zakończenia rozmowy, lecz do kontynuowania nacisków:

- Niech pan przez chwilę pomyśli, panie Penbury, zwłaszcza o nowych najemcach. Jest pan pewien, że nie było wśród nich żadnych Azjatów? To nie musieli być mężczyźni.

Pan Penbury z miejsca odrzucił i to.

- Żadnych Azjatów. Jestem przekonany. W okolicy mieszka ich trochę i wypożyczaliśmy nieruchomości zarówno im, jak i w ich imieniu, lecz nie ostatnio. I jestem tego pewien - dodał stanowczo.

- Niech pan pozwoli, że zapytam w ten sposób: proszę wrócić myślą do wszystkich wynajmów, jakich dokonał pan w ostatnich sześciu miesiącach. Czy w którymś z nich było coś niezwykłego? Cokolwiek, co przychodzi panu na myśl, nawet jeśli wydaje to się trywialne. - Widząc na twarzy pana Penbury'ego znajomy już widok, wskazujący na nadciągające szybko „nie”, Dave dodał szybko: - Proszę, panie Penbury, to bardzo istotne, inaczej bym pana nie niepokoił. Proszę dobrze pomyśleć.

I pan Penbury zaczął myśleć, choć powoli i niechętnie. Po długim okresie zastanowienia powiedział wreszcie:

- Jest jedna nieruchomość, która była trochę niezwykła. Dom na Somerset Drive. Mieszkała tam właścicielka, lecz przeprowadziła się do Devon i teraz my opiekujemy się domem w jej imieniu. Ktoś wynajął go tej zimy na krótki okres, sześć miesięcy. Zwykle nie zrobilibyśmy tego - dodał - lecz cóż mogę powiedzieć? Lepiej sześć miesięcy niż nic.

- Kto go wynajął?

- Mężczyzna, ale był biały. Opłacił całe sześć miesięcy z góry. Nie jest to niespotykane, ale nie powiedziałbym, że normalne.

- I? - spytał Dave, jako że nie brzmiało to na tyle dziwnie, by utkwiło w pamięci Penbury'ego.

- Cóż, rzecz w tym, że dom nie był używany. Kiedy sprawdzałem ostatni raz - wie pan, tylko po to, by upewnić się, że wszystko jest w porządku - nie było nikogo w środku. Pytałem nawet sąsiadów i powiedzieli, że nie widzieli nikogo, odkąd właścicielka się wyprowadziła.

- Kiedy to było?

Pan Penbury zastanawiał się przez chwilę.

- Jakież trzy tygodnie temu.

- Czy mógłbym zobaczyć informacje dotyczące wynajmu?

Gdy pan Penbury się zawahał, Dave rzekł uprzejmie:

- Jeśli pan woli, mogę zdobyć nakaz. Ale oszczędzi nam to wielu kłopotów, jeśli po prostu pokaże mi pan dokumenty.

Pan Penbury skinął głową i wstał, by podejść do stojącej w rogu szafy na akta. Po minucie wrócił z dokumentami. Dave przejrzał je szybko, bez specjalnej nadziei na uzyskanie zbyt wielu informacji. Gdyby miał to być trop prowadzący do zamachowców, wykorzystane nazwisko Edward Larrabee raczej nie byłoby prawdziwe.

- Proszę mi powiedzieć - spytał - czy zna pan nazwiska tych sąsiadów, z którymi pan rozmawiał?

- Tak się składa, że znam - powiedział pan Penbury, po raz pierwszy wyglądając na zadowolonego. - Ta kobieta gra w badmintona z moją żoną. Nazywają się Dawntonowie. Wydaje mi się, że on ma na imię Trevor.

- Dziękuję - rzekł Dave. - Gdyby mógł mi pan zrobić kopię - powiedział, oddając umowę wynajmu - byłbym bardzo wdzięczny.

Penbury kiwnął ze zrezygnowaniem głową.

- Rozgrzeję tylko maszynę - powiedział, wstając i kierując się na zaplecze.



Podrzucając córkę do szkoły, Maddie Keaney podjechała swym małym formem do centrum Dublina i zostawiła go w garażu w pobliżu Liffey, gdzie wraz z innymi współnikami z firmy prawniczej miała miejsce parkingowe. Miała drobną figurę i była schludnie ubrana w konserwatywną szarą spódnicę i białą bluzkę. Idąc szybko w pełnym blasku słońca w stronę Connolly Street, Maddie dołączyła do mieszaniny pracowników biurowych, studentów, osób robiących zakupy oraz - jako że była już późna wiosna - amerykańskich turystów, zwiedzających najśłynniejszą arterię komunikacyjną miasta.

Na tych, którzy krytykowali Dublin, użalając się nad jego nowym komercjalizmem albo nad zniszczeniem kolejnego georgiańskiego placu, Maddie reagowała niczym rodowita dublinianka. Nie była nią jednak i podziwiała nie zalety Dublina, lecz prosty fakt, że nie był Belfastem.

Miasto narodzin zostawiła tak szybko, jak tylko mogła, przyjechała na południe wbrew życzeniom rodziców, by studiować prawo w dublińskim University College. Po zrobieniu dyplomu (niezłego, dzięki ciężkiej pracy) oraz aplikacji, zaproponowano jej krótkoterminową z początku posadę w dublińskiej firmie radcowskiej. Tego poranka, gdy wchodziła do wiktoriańskiego budynku z szarego kamienia, w którym mieściły się biura firmy Gallagher & O'Donnell, uświadomiła sobie, że pracuje dla nich już od piętnastu lat.

Co skłoniło ją, by uciec z Belfastu przy pierwszej nadarzającej się okazji? Jej ojciec - nawet niedawna śmierć Seana Keaneya nie zdołała uczynić rysy na pancerzu czystej wrogości, jaki wciąż nosiła niczym mentalną zbroję. Odczuwała tę antypatię, odkąd sięgała pamięcią.

Dotarłszy do pracy, Maddie pojechała trzeszczącą starą windą na trzecie piętro. Zatrzymała się w zewnętrznym biurze, w którym siedziała Caitlin O'Hagan, niechętna do pomocy sekretarka, którą dzieliła z innym współnikiem.

- Dzień dobry - powiedziała Maddie. - Co jest dla mnie dzisiaj?

Caitlin przyglądała farbowane na blond włosy, wydeła wargi i niechętnie spojrziała w rozłożony na biurku terminarz.

- Za kwadrans przyjdzie się z panią zobaczyć pan Murphy.

- Czego chce? - Maddie specjalizowała się w aktach przenoszenia własności, pracowała głównie z kilkoma dużymi deweloperami. Rzadko zdarzał jej się nowy klient.

- Nie wiem - powiedziała Caitlin. - Mówił, że była pani mocno polecana.

- Przez kogo?

- Nie pomyślałam, żeby zapytać - rzekła Caitlin, zirytowana, że tak wiele się od niej wymaga.

Maddie poświęciła następnych dziesięć minut na rozmowy telefoniczne - do byłego męża w sprawie alimentów (znów spóźnionych), a potem do właściciela georgiańskiego domu, który ubiegał się o pozwolenie planistyczne, by przerobić go na mieszkania. Gdy skończyła, zabrzączał telefon i Caitlin poinformowała ją, że klient czeka na nią w recepcji. Gdy Maddie wyszła na spotkanie, natknęła się na wysokiego, niezgrabnie poruszającego się mężczyznę, który odłożył Irish Timesa i powoli podniósł się z krzesła.

Wyglądał jakby miał pod siedemdziesiątkę, może nawet więcej. Stanowił wyraźny kontrast z jej w przeważającej mierze młodą i wyraziście ubraną klientelą, ponieważ na gruby sweter i koszulę miał narzucony długi płaszcz, zwisający niczym ciężka kurtyna, z wystającymi poduszkami na ramionach.

Maddie spostrzegła, że jej dłoń zniknęła w jego dłoni, wielkości sporej zwierzęcej łapy. Popatrzyła w ziemistą, ogorzałą twarz, która wyglądała jakby zbyt dużo widziała w życiu.

W tym mężczyźnie było coś znajomego, lecz nie potrafiła go umiejscowić w swoim życiu a jego nazwisko też nie wywoływało żadnych skojarzeń. W końcu jednak Murphy nie było zbyt nietypowym nazwiskiem w Dublinie.

Wprowadziła mężczyznę do swego biura i zamknęła drzwi.

- Napije się pan herbaty lub kawy?

- Nie napiję się - powiedział, siadając.

Miał niski i miękki głos.

Maddie zerknęła zza biurka na mężczyznę i ułożyła przed sobą notatnik oraz ołówek. Złożyła dłonie i przywołała na twarz zawodowy uśmiech.

- W czym więc mogę panu pomóc, panie Murphy?

- Maguire - rzekł powoli mężczyzna. - James Maguire.

Wtedy Maddie zrozumiała, dlaczego wydawał się jej znajomy. Widziała go jedynie raz czy dwa - wysoką, ciężko poruszającą się postać wspinającą się po schodach za jej siostrą, a potem opuszczającą dom w Belfaście bez słowa pożegnania. Zapamiętała jednak płaszcz.

Poczuła, że zaczyna się trząść, choć nie była w stanie określić powodu. Nie dzieliła z ojcem wrogów, podobnie jak nie podzielała jego poglądów, lecz wiedziała, kim byli. Stąd jej zaskoczenie w dniu, w którym Maguire przyszedł zobaczyć się z ojcem, w dniu, w którym ojciec umarł. Cóż więc ten mężczyzna robił tu teraz, w dodatku pod fałszywym nazwiskiem? Poczuła chłód, spoglądając ponad biurkiem na wroga ojca. Czy miała w końcu nadejść chwila, która dręczyła ją przez całe dzieciństwo? Wizja wizyty, zamaskowanych ludzi wdzierających się do domu, wyciągających broń i strzelających do niej i rodziców siedzących wieczorem przed telewizorem niczym zwyczajna rodzina? Tylko, że zwyczajni ludzie nie dorastali, spodziewając się w każdej chwili tego wezwania, tego pukania do drzwi.

Obserwowała gościa, zastanawiając się, co może zrobić i przez cały czas starała się przezwyciężyć panikę. Czy zawołać Caitlin z przedsionka? Ten mężczyzna dopadłby ją, zanim sekretarka wstałaby w ogóle zza biurka.

Podnieść słuchawkę i wykręcić numer Gardy¹⁶? Zanim Maddie zaczęłaby dzwonić, wyciągnąłby broń. Pomyślała o swej córce i poczuła, jak drży ze strachu, niczym grzechotka w pustym pudełku. Słodki Jezu, pomyślała, nie chcę tak umierać.

I nagle twarz mężczyzny skrzywiła się niczym podniszczona skóra, formując delikatny uśmiech.

- Proszę się nie niepokoić - powiedział, musiał bowiem dostrzec strach w jej oczach. - Nie byłem pewien, czy zgodziłaby się pani ze mną spotkać, gdybym użył prawdziwego nazwiska.

Maddie potrzebowała chwili, by się pozbierać.

- A więc, panie Maguire, czego chce pan ode mnie?

- Chodzi o pani ojca - powiedział bez ogródek. - Być może pamięta pani moją wizytę w dniu, w którym zmarł. Poprosił, żebym przyszedł.

Popatrzyła na niego w milczeniu.

- Poprosił mnie o coś. Jednak widzi pani, jestem skrupowany, bo nie wiem wystarczająco wiele.

¹⁶ Garda Síochána - siły policyjne Republiki Irlandii (przyp. tłum.).

- Wątpię, czy mogę panu pomóc - odparła wciąż drżącym głosem. - Trzymałam się z dala od spraw ojca.

Maguire wpatrywał się w nią przez chwilę, jakby starając się ją ocenić.

- Chciał, abym skontaktowałam się z pewnym profesorem, którego znał. Sympatyzującym ze sprawą, rozumie pani.

Maddie wzruszyła ramionami.

- Jak mówiłam, nie wnikałam w sprawy ojca.

Maguire zignorował to.

- Ten człowiek był Irlandczykiem, ale sądzę, że spędził jakiś czas w Oxfordzie.

Maddie roześmiała się chrapliwie.

- To nie brzmi zbyt prawdopodobnie. Mój ojciec nie był wykształconym człowiekiem, panie Maguire.

Popatrzył na nią bez przekonania.

- Wyraził się bardzo jasno. Jego ostatnim życzeniem było, abym skontaktowałam się z tym mężczyzną. Inaczej bym przecież pani nie kłopotał, prawda, panno Keaney?

Maddie poczuła, jak irytacja wygrywa w niej z resztkami niepokoju. Dlaczego ten człowiek wciągał ją w jakieś brudne sprawy, które zgodził się wykonać dla jej ojca? Nie życzyła sobie w swym życiu żadnych takich machlojek.

- Dlaczego nie spytał pan mojego ojca, gdy się pan z nim widział? - zapytała.

- Moja droga - powiedział Maguire, nieświadomy, jak bardzo Maddie zjeżyła się na te słowa. - Pani ojciec był ledwo przytomny, gdy się z nim widziałem. - Strząsnął z siebie minę psa, który coś zbroił i popatrzył na nią uważnie. - Nie jestem pewien, czy sam w tym stanie pamiętał nazwisko. Jedyłą rzeczą, jaką do mnie powiedział, było: „Zapytaj Kirsty Brien”. Zna ją pani, prawda?

- Była moją najlepszą przyjaciółką - rzekła bezbarwnie Maddie, czując, jak zamiera jej serce. Starła się myśleć o swej byłej najlepszej przyjaciółce ze spokojem, lecz było to trudne.

Poznały się w University College Dublin i przez jakiś czas były nierozłączne, pomimo wszelkich dzielących je różnic. Kirsty była wysoka, zaś Maddie niska, Kirsty była blondynką, zaś Maddie szatynką, Kirsty była uderzająco piękna, natomiast Maddie - wiedziała to, nikt nie musiał jej mówić - była w najlepszym razie „niezła”.

A przede wszystkim Kirsty była zaangażowana politycznie, podczas gdy Maddie nienawidziła nawet tego słowa. Miała poglądy lewicowe w niemal każdej możliwej sprawie, od nacjonalizacji przemysłu po Palestynę, od kary śmierci po pomoc dla

Trzeciego Świata, lecz podstawą wszystkich jej przekonań była wizja zjednoczonej Irlandii. Pracowała bez wytchnienia, by ją osiągnąć - demonstrując, pisząc petycje, organizując bojkoty. Kirsty była tak często nazywana nową Bernadette Devlin, że chyba sama w to uwierzyła.

Nie miałyby to jednak żadnego znaczenia dla ich przyjaźni, gdyby pewnego razu podczas przerwy wiosennej Maddie nie zabrała najlepszej przyjaciółki do swego rodzinnego domu.

Natychmiast zaiskrzyło pomiędzy nią a Seanem Keaneyem. Łączyło ich oczywiście poświęcenie Walce, lecz było w tym też coś więcej. Sean podziwiał żarliwego ducha młodej Kirsty, jej determinację i to, co lubił nazywać „charakterkiem”. Wszystko to pozostawało w kontraście wobec pilności, stateczności i dość znacznych osiągnięć jego córki, którą guzik obchodziło, czy Irlandia zostanie kiedyś zjednoczona, czy też nie.

Nie było nic niezdrowego w bliskości ojca i jej najlepszej przyjaciółki, nawet w najbardziej cierpkich chwilach nie przyszłoby to Maddie do głowy. Było gorzej. Sean

Keaney nie był dla Kirsty jedynie dobrotliwą postacią - o nie, pomyślała gorzko Maddie, był podziwianą ojcowską postacią. Nie mogła zapomnieć Kirsty tego, że zajęła miejsce, którego Maddie nie chciała.

- Proszę - powiedział szorstko Maguire, jak gdyby było to obce słowo w jego słowniku. - To ważne. - Worki pod oczyma sprawiały, że wyglądał wyjątkowo smutno. - To nie zrani już teraz pani ojca.

- Dlaczego nie porozmawia pan z Kirsty Brien zamiast ze mną? Powie panu to, co chce pan wiedzieć.

Maguire potrząsnął znów swą wielką głową, jakby zupełnie nie zrozumiała, o co mu chodziło.

- Próbowałem, lecz nie chciała się ze mną widzieć.

- Czy wyjaśnił jej pan, że widział mojego ojca przed śmiercią? I że poprosił pana o coś?

- Oczywiście - rzekł po prostu Maguire, jakby to pytanie go obrażało. - Ale nie przełamało to lodów.

Miało to sens. Kirsty potrafiła być twarda jak skała w swych przekonaniach, podobnie jak Sean Keaney.

- Co więc chce pan wiedzieć? - spytała, już drżąc na myśl o telefonie do byłej najlepszej przyjaciółki. Ostatnim razem widziała ją po dziesięcioletniej przerwie, po drugiej stronie grobu Seana Keaneya.

- Chcę wiedzieć, kim jest ten naukowiec.

Nic nie powiedziała.

- Niech pani posłucha - rzekł. - Wie pani, że pani ojciec i ja nie zgadzaliśmy się ze sobą. Być może i pani nie zawsze się z nim zgadzała.

- Być może nie - przyznała, dodając cierpko: - ale nie oznacza to, że mam ochotę zgadzać się z panem.

Uśmiechnął się lekko, niemal ze smutkiem.

- To możliwe. Ale wszyscy zgadzamy się teraz co do jednej rzeczy: bitwa się skończyła. Walki się skończyły. Pani ojciec o tym wiedział i ja o tym wiem. To, czego chciał ode mnie, nie uczyni nikomu krzywdy. Dzięki temu wojna zakończy się na dobre, a nie rozpocznie na nowo.

Maddie popatrzyła na niego sceptycznie.

- Nawet gdybym mogła zaakceptować to, co pan o nim mówi, skąd mogę wiedzieć, że mówi pan prawdę?

- Nie może pani - rzekł bez ogródek. - Jedyne, co pani może zrobić, to popatrzeć temu staremu człowiekowi prosto w twarz. Sądzę, że wtedy będzie już pani wiedzieć.

Zrobiła to i zauważyła, że nie cofnął wzroku. Po chwili spytał:

- Czy pomoże mi pani?

- Proszę mi dać minutę - powiedziała, spoglądając na biurko. Wstała. - Zaparzę kawę. - Potrzebowała czasu, by zebrać myśli.

Tej ostatniej wiosny na uniwersytecie w Dublinie bardzo rzadko widywała Kirsty. Częściowo była to jej wina - już wtedy zdecydowała, że zostanie w Republice

i chciała uzyskać dobrą ocenę na dyplomie. Rozmowy o pracę w dublińskich firmach prawniczych szły jej dobrze, lecz kiepska ocena mogła położyć kres jej planom. Pracowała dzień i noc, ucząc się do egzaminów końcowych.

Kirsty też była zajęta, jednak na swój własny sposób. Skumała się ze studentem podyplomowym, starszym, przystojnym, lecz zbyt rzucającym się w oczy. Maddie uważała to za dziwne, bo nie wyglądał na takiego, który interesowałby się dziewczynami. W przeciągu kilku tygodni on i Kirsty stali się jednak nierozłączni. Wszystko robili razem.

Wszyscy przyznawali, że chłopak jest błyskotliwy, lecz przy tym arogancki. Zdobył właśnie posadę młodszego badacza w Oxfordzie i miał ją objąć w następnym roku. Maddie zastanawiała się, czy ich związek przetrwa na odległość, choć prawdę mówiąc, nie była pewna, czym właściwie był ów związek.

I pewnego sobotniego wieczoru zmęczona nauką Maddie wpadła na Kirsty przy siedzibie Związku Studenckiego. Spontanicznie postanowiły pójść razem, jak za dawnych czasów, do nowo otwartej winiarni w Golden Mile. Maddie wypła trzy Tomy Collinsy i wreszcie zebrała się na odwagę, by spytać Kirsty o jej nowego przyjaciela.

- No i jak?

- Jak co? - zapytała Kirsty, jej wzburzenie wzmocniło jeszcze spożycie Bayleysa z lodem.

- Sypiasz z nim czy nie?

Kirsty zaczęła śmiać się tak głośno, że siedzący przy sąsiednich stolikach ludzie przestali rozmawiać i patrzyli na nie w taki sposób, jakby spodziewali się jakiejś gwałtownej sprzeczki.

- Nie bądź śmieszna - powiedziała w końcu Kirsty.

- Więc jest gejem? - zapytała Maddie.

Kirsty potrząsnęła głową.

- Jeśli mnie pytasz, to chyba nie jest nikim. Skąd właściwie miałabym wiedzieć? - Skończyła zamazywać drinka i potrząsnęła lodem w szklance, jakby szykowała się do rzutu szczęśliwymi kośćmi. - Widuję się z nim tylko z powodu twego ojca.

- Co? - Maddie nie wiedziała co powiedzieć i chciała wyjaśnić. Kirsty wyglądała jednak tak, jakby żałowała swego wyznania i wstała gwałtownie. - Chodź - rzekła. - Widzę Danny'ego Millsa i jego kumpli. Dołączmy do nich. Wiem, że ci się podoba.

Wspomnienie zaczęło przygasać, gdy podawała Maguire'owi kawę.

- A więc zadzwoni pani do niej w moim imieniu? - spytał błagalnie.

Potrząsnęła głową.

- Nie ma potrzeby, panie Maguire. Znam człowieka, którego pan szuka.



Thelma Dawnton miała właśnie wychodzić do klubu badmintonowego, gdy zadzwonił mężczyzna, mówiąc, że jest z agencji wynajmu i chce zapytać o sąsiedni dom. Spieszyła się, by zdążyć na debla, więc wbrew swoim zwyczajom szybko skończyła rozmowę.

Grała debła mieszanego, razem z Evanem Dewhartem, który wprawdzie był wolny, lecz tak nudny, że nawet Trevor, mąż Thelmy, nie był w stanie czuć o niego zazdrości. Przegrali w ostatnim secie przeciwko młodemu małżeństwu - ona grała w lidze hrabstwa. Po meczu Thelma i Evan kupili coś do picia, a Thelma została dłużej niż zazwyczaj, ciesząc się, że może przebywać w towarzystwie kogoś, kto gra na poziomie hrabstwa.

Gdy wróciła do domu, Trevor siedział przed telewizorem. Kiedy skończył się jego program, wspomniała o wcześniejszym telefonie z agencji wynajmu.

- Czego chciał? - spytał opryskliwie jej mąż.

- Pytał o dom obok. Powiedział, że starali się skontaktować z osobą, która podpisała umowę wynajmu. Chciał wiedzieć, czy ktoś tam teraz mieszka.

- Dlaczego pytał ciebie? Nie mógł spytać bezpośrednio tam?

- Wiem tylko tyle. Gdy powiedziałam, że obok mieszkają trzej Azjaci, brzmiał na zaskoczonego. Wyjaśniłam, że są tu dopiero od kilku tygodni, ale odparł, że w ogóle nie powinno ich być. Mówił bardzo poważnie. Powiedział, że to może być sprawa dla policji, więc żeby nie wspominała o tym żadnemu z nich, dopóki nie znajdzie czasu, aby zawiadomić władze.

Trevor zrobił sceptyczną minę, dodała więc defensywnie:

- To on tak mówił. W każdym razie odparłam, że raczej im nic nie powiem, bo nasze jedyne kontakty to skinienie głową na powitanie. - Zachęcona nietypowym zainteresowaniem ze strony męża, Thelma spytała: - Czy sądzisz, że dzieje się tam coś nietypowego? - Przekrzywiła głowę w stronę sąsiadów. - Czy koło nas mieszkają terroryści albo coś w tym rodzaju?

- Już nie - rzekł Trevor, gryząc ostatni kawałek indyjskiego chleba. - Ci trzej Pakistańczycy wyprowadzili się dziś wieczorem. Wracając do domu, widziałem, że pakują samochód. Gdybym miał wyrazić swoje zdanie, to wyjechali na dobre.

- O jejku - powiedziała Thelma. - Lepiej zadzwonię rano do tego agenta wynajmu i powiem mu, że już ich nie ma.

Trevor parsknął.

- Pewnie będzie ucieszony. Ja jestem.

Thelma nie zdążyła jednak zadzwonić. O wpół do szóstej rano obudził ją odgłos pukania do drzwi. Z początku pomyślała, że to do niej, lecz gdy rozjaśniły się jej myśli i wsłuchała się uważnie ponad lekkim chrapaniem leżącego obok niej Trevora, uświadomiła sobie, że hałasy dochodzą z domku obok. Wstała i wyjrzała przez okno, zaintrygowana, kto może przychodzić o tak wczesnej porze do pustego domu.

Oszło jej to, co zobaczyła.

Przed frontowymi drzwiami domku obok stała grupka mężczyzn. Trzech z nich miało na głowach hełmy i trzymało karabiny podobne do tych, jakie widziała u policjantów na Heathrow. Jeden z nich, ubrany w policyjny mundur, pukał do drzwi, krzycząc:

- Otwierać! - ryknął. - Dom jest otoczony. Liczę do dziesięciu i jeśli nikt nie otworzy drzwi, wchodzimy do środka. Jeden... dwa...

Ze swego dogodnego punktu obserwacyjnego Thelma widziała skrawek ogrodu z tyłu domu i stojących tam trzech innych mężczyzn, trzymających broń w gotowości.

- Trzy... cztery... pięć...

Na ulicy stały trzy policyjne samochody, biała policyjna furgonetka i dwa Range Roversy.

- Sześć... siedem... osiem...

Policja przegrodziła ulicę dwoma pasmami taśmy i Thelma zobaczyła, że przy jednej z nich stał mężczyzna w krótkich spodenkach i koszulce, kłócąc się z dwoma konstablami. Był to Dermot Simpson, który mieszkał trzy domki dalej i teraz znalazł się po złej stronie kordonu. Był zatwardziałym porannym biegaczem i teraz chciał wrócić do domu.

- Dziewięć... dziesięć.

Nastąpiła chwila ciszy, a gdy Thelma spojrzała w dół na drzwi frontowe, ujrzała, że pojawiło się jeszcze dwóch mężczyzn, niosących coś, co wyglądało jak

wielka metalowa szminka. Rozbujali ją między sobą i nagle cisnęli w drzwi. Usłyszała trzask, następnie łupnięcie i mężczyźni zniknęli jej z pola widzenia, wpadając do domu.

- Jezu Chryste! - To Trevor, który podszedł do okna i stał obok niej w piżamie. - Czy nie powiedziałaś im, że wszyscy wyjechali?

- A kiedy? - spytała żałośnie. - Powiedziałeś mi dopiero wczoraj wieczorem. Chciałam zadzwonić dzisiaj po otwarciu agencji.

Trevor parsknął i wskazał na grupę uzbrojonych policjantów stojących na ulicy przed sąsiednim domem.

- Czy oni wyglądają według ciebie jak agenci wynajmu? - Otworzył nagle okno, wychylił się i wrzasnął: - Panie oficerze, ich już nie ma!

Od zwartej grupy oddzielił się mężczyzna z megafonem. Skierował go w stronę Trevora oraz Thelmy i w porannym powietrzu zdumiewająco wyraźnie zagrzmiął jego głos:

- POZOSTAĆ W ŚRODKU! ODSUNĄĆ SIĘ OD OKIEN. POWTARZAM: ODSUNĄĆ SIĘ OD OKIEN.

Cofnęli się natychmiast i złapawszy jakieś ubrania, przeszli do wolnej sypialni leżącej po przeciwnej stronie domu.

- Zostań pod ścianą - rozkazał Trevor, a Thelma skinęła słabo głową. - Mogli zostawić bombę. - Skulili się przy sobie, siedząc oparci plecami o ścianę przez kwadrans, póki znów nie rozległo się stukanie. Tym razem do ich drzwi.

- Lepiej otworzę - powiedział Trevor.

- Musisz? - spytała Thelma, przerażona tym, że mogłaby zostać sama. - A co, jeśli to któryś z sąsiadów? No wiesz, jeden z terrorystów? - Nie miała już żadnych wątpliwości co do tożsamości ich byłych sąsiadów.

- To raczej mało prawdopodobne, czyż nie, Thelmo? - rzekł jej mąż, wstając i idąc do wyjścia. - Przecież na zewnątrz stoi połowa krajowej policji.

- Idę z tobą - oznajmiła Thelma, podnosząc się i mijając męża tak szybko, że jako pierwsza zeszła po schodach i otworzyła drzwi.

Stał tam mężczyzna w skafandrze, a za nim policjant trzymający broń automatyczną.

- Pani Dawnton? - odezwał się człowiek w kurtce. - Rozmawialiśmy wczoraj...

- To pan dzwonił? - Nie wyglądał jak agent wynajmu, zwłaszcza z tym policjantem obok siebie.

Dave przytaknął niecierpliwie. Nie był w nastroju na towarzyskie uprzejmości.

- Powiedziała mi pani, że w sąsiednim domu mieszka trzech Azjatów. - Jego głos niósł w sobie lekką nutę oskarżenia.

- To prawda - powiedziała Thelma.

- Mieszkało, panie oficerze - rzekł Trevor, wciskając się między Thelmę a mężczyznę, choć nie było wiadomo, czy robi to ze staroświeckiej galanterii, czy też z dumy urażonej faktem, iż to nie do niego się zwrócono. - Ale wyjechali zeszłego wieczoru.

- Już po tym, jak rozmawialiśmy - wyjaśniła z niepokojem Thelma. - Widzi pan, zamierzałam zadzwonić rano do agencji...

Dave przerwał jej.

- O której godzinie wyjechali? - spytał Trevora.

- Między wpół do ósmej a za piętnaście ósma.

- Mieli samochód? Trevor przytaknął.

- To chyba był golf. Nie mieli za wiele rzeczy. Parę worków, tyle widziałem.

Do Dave'a podszedł policjant i wyszeptał mu coś do ucha.

- Przepraszam - rzekł Dave. - Chciałbym tu jeszcze wrócić. Może być za pół godziny?

- Nie wiem - odparł Trevor. - Muszę iść do pracy.

- Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby się pan dziś spóźnił - powiedział Dave. - Z chęcią zadzwonię do pańskiego szefa, jeśli pan chce i wyjaśnię, że musieliśmy z panem porozmawiać.

Trevor wyglądał na lekko urażonego tą propozycją.

- Sam mu powiem. Nie musi pan z nim rozmawiać.

- Dobrze więc - rzekł Dave. - Do zobaczenia za jakiś czas.

Minęło niemal dziewięćdziesiąt minut, zanim wrócił. W międzyczasie Dawntonowie obserwowali, jak do środka wchodzi psy - owczarek alzacki i dwa spaniele, machające szaleńczo ogonami. Już poza zasięgiem ich wzroku, na piętrze domku, z wielkim podekscytowaniem zaczęły obwąchiwać wykładzinę w szafie jednej z trzech małych sypialni. Kiedy ubrani na biało technicy śledczy wygrzebali z podniszczonej wykładziny niezwykle małą ilość substancji, jaka wywołała tak gwałtowną reakcję, doszli do wniosku, że w domu przechowywano nawóz. I to niedawno.

Euforii, jaka po tym odkryciu zapanowała w ekipie technicznej, nie podzielał Dave Armstrong, jadący późnym wieczorem do Londynu w niezwykle dla siebie stanie niepokoju. Nie tylko dlatego, iż wiedział teraz, że mógł już działać wraz ze swymi kolegami w przekonaniu, iż trzech poszukiwani przez nich młodzi mężczyźni rzeczywiście byli zamachowcami. Nie było to dobrym znakiem, zwłaszcza, że nie mieli pojęcia, dokąd ci ludzie się udali ani co zamierzają wysadzić.

Bardziej niepokojący był jednak fakt, że wyjechali w pośpiechu - według Trevora Dawntona „wyglądali tak, jakby deptał im po piętach komornik”. Owszem, siostra Raszida powiedziała mu, że szuka go policja, lecz samo to nie spowodowałoby tak panicznej ucieczki, zwłaszcza że siostra nie знаła miejsca jego pobytu. Dave spędził z Dawntonami jeszcze godzinę, wystarczająco długo, by przekonać się, iż było po prostu nie do pomyślenia, by którekolwiek z nich powiadomiło trójkę podejrzanych o jego telefonie z agencji wynajmu.

Chcąc wykluczyć wszelkie ewentualności, Dave zadzwonił również do domu pana Penbury'ego, łapiąc go tuż po spacerze z psem. Penbury potwierdził ze wzburzeniem, że nie kontaktował się z nikim, kto miał cokolwiek do czynienia z domem wynajmowanym na Somerset Drive. To dlatego, jadąc M4 na wschód obok Slough, Dave Armstrong był pewien, że ani agencja wynajmu, ani sąsiedzi nie byli odpowiedzialni za spłoszenie podejrzanych. Dlaczego więc uciekli w ostatniej chwili? Czy był to tylko zbieg okoliczności? Czy ta trójka planowała takie posunięcie, czy przechodzili po prostu co jakiś czas z jednej kryjówki do następnej, i tak aż do momentu zamachu?

Być może, lecz Dave'owi Armstrongowi nie płacono za wiarę w zbiegi okoliczności i uważał, że miał prawo zakładać, iż trzech poszukiwani mężczyźni zostali ostrzeżeni. Jeśli wyłączyć Penbury'ego, Dawntonów oraz siostrę, pozostałe źródła przecieku mogły go jedynie niepokoić. Powodowany troską, zadzwonił i zostawił wiadomość na poczcie głosowej Charlesa Wetherby'ego, prosząc go o spotkanie jak najwcześniej rano.



Dave wcześniej niż zwykle obudził się w swym małym mieszkanku w Balham, aby bez problemu zdążyć na ósmą do Thames House na spotkanie z Wetherbym. Był roztrzęsiony. Podczas ubierania zastanawiał się, czy nie założyć marynarki i krawata, ale uznał, że zamiast zrobić na Wetherbym wrażenie swą powagą, wyglądałby po prostu tak, jakby udawał kogoś innego. Był jednak zdecydowany przekazać mu swoje niepokoje.

Teraz znajdował się już w biurze Wetherby'ego i był podenerwowany. Wetherby miał na sobie jasnoszary letni garnitur i stał przy oknie, obserwując zachowanie czapli brodzącej w przybrzeżnym błocie. Wydawał się tym pochłonięty. Gdy Dave wtajemniczał go w wydarzenia z Wokingham, między innymi w odkryte resztki nawozu, słuchał bez słowa. Kiedy Dave skończył, milczał przez chwilę.

- A więc niemal ich dostaliśmy - powiedział nagle i westchnął posępnie. - Co za pech.

Dave odetchnął głęboko.

- Właśnie w tym rzecz, Charles. Nie jestem przekonany, czy miało to coś wspólnego z pechem.

Wetherby obrócił się do niego.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał ostro Dave'a, patrząc na niego skupionym spojrzeniem, które Dave nazywał „rentgenowskim wzrokiem”. Liz nigdy nie wydawała się przejmować badawczym spojrzeniem Wetherby'ego, lecz Dave uważał je za niepokojące. Czuł się pod nim winny, niczym mały chłopiec przyłapany przez ojca na kłamstwie.

Dave starał się mówić spokojnie.

- Według sąsiadów, podejrzani odjechali bardzo nagle. Wydawali się mocno spieszyć. Zupełnie, jakby zostali ostrzeżeni, że przyjedziemy.

- Chodzi ci o to, że dostali cynk? Kto mógłby to zrobić?

- W tym problem. Jestem przekonany, że nie był to agent, który wynajął dom i bardzo wątpię, by mogli to zrobić sąsiedzi. Kobieta obok powiedziała, że ona i jej mąż w ogóle nie rozmawiali z tymi mężczyznami.

- Kto jeszcze?

- Miejscowy Wydział Specjalny, co nie wydaje się prawdopodobne. - Przerwał, wahając się, czy kontynuować, lecz przypomniał sobie, po co tu był. - I Thames House - dodał cicho.

Wetherby nie spuścił z niego wzroku.

- Ktoś ze Służby? - spytał.

Dave nie był w stanie odgadnąć, jak szef zareagował na tę sugestię.

- Zdaję sobie sprawę, że może to brzmieć dziwacznie - rzekł Dave, starając się jasno dać do zrozumienia, że niechętnie poruszał ten temat - lecz faktem jest, że nasi podejrzani wydawali się wiedzieć, iż przyjeżdżamy, i to dwukrotnie. To za wiele, jak na zbieg okoliczności. W końcu nie istniał żaden dobry powód, dla którego nie mieliby pokazać się w księgarni.

- To mogło być mnóstwo powodów - oznajmił Wetherby. - Mogła ich odstraszyć ilość osób, które zauważyłyby ich ponowną wizytę. Albo mogli też nie zaufać do końca imamowi. Kto wie? Naprawdę nie rozumiem, jaka więź mogłaby istnieć pomiędzy tym, a ich odjazdem z Wokingham.

- Ponieważ w obydwu przypadkach nie zrobili tego, czego można by się po nich spodziewać - powiedział Dave. Wetherby machnął lekceważąco ręką, lecz Dave trzymał się swojego. - Jeśli dla dobra tej dyskusji założysz, że ich nieobecność w księgarni oraz ucieczka z Wokingham były ze sobą powiązane, to pośród wszystkich zaangażowanych w sprawę osób jest tylko jedna grupa, która wiedziała o obu przypadkach. Sąsiedzi byli inni, policja była inna. To tylko my, zaangażowani w sprawę tu, w Thames House, wiedzieliśmy o obu operacjach.

- Ach - rzekł Wetherby, siadając znów za biurkiem. Wyglądał teraz na bardzo skupionego. - To właśnie w tym miejscu się rozmijamy, bo zakładasz, że te dwie sytuacje są ze sobą powiązane. Wydaje mi się bardziej prawdopodobne, że zaniepokoiło ich coś w księgarni. I mogli opuścić Wokingham właśnie w tym momencie, ponieważ od początku to planowali. Jeśli ci podejrzani wiedzą, co robią, a póki, co zrobili tylko jeden błąd, to mają jeszcze jedną kryjówkę, do której mogą się udać. Zapewne więcej niż jedną. Nie byłoby dziwne, gdyby wciąż zmieniali miejsce

pobytu, aż do. dnia akcji. Sądzę, że podróżują bez zbędnych rzeczy, mogą więc szybko wyjeżdżać. Nie oznacza to, by sądzili, iż chcemy ich dopaść.

To, co golącemu się dwie godziny wcześniej w Belham Dave'owi wydawało się niezbitym argumentem, teraz okazało się kruche i niematerialne.

- Charles, nie zamierzam wysuwać formalnych oskarżeń - plątał się. - Chciałem po prostu wyrazić swoje zdanie. Uznałem, że powinieneś wiedzieć.

Wiedzieć co?. Słowa Dave'a wydawały się nieprzekonujące nawet dla niego samego.

- Nie chcę szukać wiatru w polu - powiedział z naciskiem Wetherby. - Odciągnęłoby to tylko naszą uwagę od prawdziwego zadania, którym jest schwytanie tych podejrzanych, zanim cokolwiek zrobią.

Dave skinął niechętnie głową. Wetherby oparł się z powrotem na krzesło, uspokajając się lekko.

- Czy nazwisko James Angleton cokolwiek ci mówi? - spytał.

Gdzieś dzwoniło, ale nie wiadomo, w którym kościele, więc Dave potrząsnął głową.

Wetherby podniósł się i powoli przeszedł z powrotem do okna. Jego głos był teraz spokojniejszy, niemal refleksyjny.

- Angleton był Amerykaninem, starszym oficerem CIA, wieloletnim szefem kontrwywiadu. Bardzo błyskotliwy człowiek, bardzo szanowany. Uwierzył jednak w to, co opowiedział mu szereg zdrajców i stał się przekonany, że KGB spenetrowało zachodni wywiad na najwyższym poziomie. Stało się to jego obsesją, przysłaniającą wszystko inne. Był to klasyczny przykład „bezludzia pełnego luster”¹⁷. Za wszystkim, co widział, coś musiało się kryć. Żadne działanie nie było bezpośrednio, każda decyzja miała za sobą ukryty motyw. Nic nie było tym, czym się wydawało.

Dave wydał z siebie pusty śmiech.

- Tak, wiem. A my mieliśmy Petera Wrighta.

Wetherby podniósł ołówek i stuknął jego końcem w biurko.

- Tak, Peter Wright złapał tego samego wirusa. Wraz ze swymi kumplami całe lata śledził nawet dyrektora generalnego, Rogera Hollisa. Nie mając żadnych niepodważalnych dowodów. Był to czysty nonsens, który zresztą narobił mnóstwo szkód.

¹⁷ „Wilderness of mirrors” to cytat z wiersza T. S. Eliota „Geron-tion”. Wspomniany wyżej James Angleton wykorzystał to sformułowanie, aby scharakteryzować skomplikowane powiązania szpiegowsko-kontrwywiadowcze w zimnowojennym świecie (przyp. tłum.).

Dave czuł się zażenowany, że Wetherby wydawał się umieszczać go w tej samej kategorii, co wprowadzonego w błąd amerykańskiego super-szpiega oraz Petera Wrighta.

- Nie sądzę, bym to ja wpadał w paranoję, Charles - powiedział z irytacją.

- Ja też tak nie sądzę - odparł Wetherby, w roztargnieniu muskając palcem krawat. - Jednak bez jakichkolwiek solidnych faktów nie mogę pozwolić sobie na to, by martwić się twoimi podejrzeniami. Cieszę się, że podzieliłeś się ze mną swoimi troskami, ale potrzebujemy dowodów. - Uśmiechnął się dobrotliwie, co jedynie pogorszyło samopoczucie Dave'a.

A jednak, gdy Dave zasiadł nad kawą w kawiarni na dole, nie czuł się przekonany. Rozumiał, że Wetherby nie chciał podejrzewać nikogo ze Służby o pomoc podejrzanym, lecz zaniepokoiła go jego porywcza reakcja. Zupełnie jakby Wetherby sam wpadł na ten pomysł, po czym odrzucił go. On w ogóle nie zamierzał podążyć tym tropem, pomyślał gorzko Dave. Rozchmurzył się lekko, gdy zdał sobie sprawę, że Wetherby jemu przecież tego nie zakazał.



Liam O'Phelan miał niesłychanie niską tolerancję na dwuznaczności. Z tego powodu słynny był z niecierpliwości względem studentów, którzy wahali się, albo wiedzieli mniej, niż sądzili, teraz zaś niecierpliwił sam siebie. Nie wiedział bowiem, co robić po wizycie „panny Falconer”.

Po części czuł pokusę, by nie budzić uspiomych upiorów, ponieważ wyczuwał, że zakłócanie im snu mogłoby być niebezpieczne. Jeśli człowiek w Londynie uważał, że zostawił to wszystko za sobą, mógłby się nie ucieszyć, gdyby O'Phelan pojawił się ponownie, niczym czarna owca powracająca nagle na łono rodziny.

Któż wie? Mógłby spanikować i wszystko wyśpiewać. O'Phelan zastanawiał się przez moment, czy ktoś mógłby go oskarżyć o werbunek. Następnie przypomniał sobie, że przecież nigdy nie wydawał mu telefonicznie żadnych konkretnych poleceń.

A jednak inna jego część - ta większa, co zaczął dostrzegać, gdy dni przeszły w tydzień, a ten z kolei w dwa - chciała zamieszać w tym wszystkim, choćby dla zaspokojenia własnej ciekawości. Co działo się z jego rekrutem przez te wszystkie lata? Czy bardzo się zmienił? Ożenił się, ustatkował, zrobił co mógł, by zapomnieć, że kiedyś ktoś rządził jego życiem? Czy też płomień wciąż gorzał? Czy rekrut podzielał niesmak O'Phelana wobec stanu rzeczy w Irlandii Północnej, tego plugawego fałszywego pokoju, który nie był niczym innym, jak tylko sprzedaniem się?

Zwyciężyła ciekawość i z energią, jakiej nie odczuwał od lat, zabrał się do działania, czując z jednej strony ekscytację, a z drugiej niepokój. Wymagało to tuzina telefonów, lecz wreszcie zdobył pożądany numer. Był to numer na komórkę. Przy trzech pierwszych próbach rozmowa była odrzucana. Wreszcie znów zadzwonił, na pięć minut przerywając ocenianie egzaminów pierwszego roku. Tym razem rozmówca odpowiedział natychmiast.

Na twarzy O'Phelana pojawił się chytry uśmiech.

- Witam - powiedział. - Wiesz, kto dzwoni?

Po chwili usłyszał coś, co wydawało się go ucieszyć.

- Jesteś cwany, nawet po tych wszystkich latach. A teraz słuchaj, nie niepokoje cię bez powodu, nawet jeśli to tak naprawdę ty jesteś mi winien telefon. To bardzo nieładnie. Przyszła jednak do mnie kobieta i zadawała pytania.

- Uznałem, że może cię to zainteresować. Co takiego? Oczywiście, że mogę. Była po trzydziestce, koło trzydziestu pięciu. Jasnobrazowe włosy, do ramion, zielone oczy, przeciętny wzrost. Schludnie ubrana, w ogóle nie miała biurowego wyglądu. Atrakcyjna w pewien energiczny sposób, dobrze wygadana. Raczej sprytniejsza niż sądziłem na pierwszy rzut oka. Mówiła, że nazywa się Falconer i jest z Ministerstwa Obrony. Zrobiłem, co mogłem, by sądziła, że jej uwierzyłem. Wiemy przecież swoje, prawda?



Wciąż jesteś sceptyczna? - spytał Charles Wetherby, podnosząc wzrok znad menu. Miał na nosie rogowe okulary do czytania, według Liz wyglądał w nich trochę profesorsko, choć w eleganckim szarym garniturze i wypolerowanych butach prezentowałby się w pokoju nauczycielskim dość dziwnie.

- W kwestii kreta? Nie - odparła rzeczowo Liz, uśmiechając się lekko, by dać mu do zrozumienia, że jej stanowisko zmieniło się. - Sądzę, że mimo wszystko możemy mieć problem.

- Najpierw zamówmy - powiedział Wetherby, gestem przywołując kelnerkę. - Potem nikt już nie będzie przeszkadzał i będziesz mogła mi o tym opowiedzieć.

Była bardzo podekscytowana, tak więc z frustracją czekała, aż będzie mogła przekazać mu nowe wieści, lecz była już przyzwyczajona do tego, że w ramach trywialnego życia odbywają się doniosłe wydarzenia. Była świadoma, że ogromne znaczenie mają najbanalniejsze szczegóły: pociąg, na który się spóźniło, przeziębienie dziecka, rozładowany telefon komórkowy. Na ostatnim roku na uczelni, gdy przygotowywała się do egzaminów końcowych z angielskiego, uzależniła się od wierszy Wystana H. Audena i teraz przypomniła sobie jedną ze swych ulubionych linijek, która mówiła o tym, że najbardziej dramatyczne wydarzenie „się zdarza/Gdy ktoś inny je lub otwiera okno lub idzie przed siebie ospale”¹⁸.

Jedli lunch z dala od Thames House i przygodnych obserwatorów, w Cafe Bagatelle, sztywnej restauracji z imponującym szklanym stropem, położonej w zamkniętym i otoczonym rzeźbami ogrodzie budynku Wallace Collection na Manchester Square. Liz poprosiła Wetherby'ego o spotkanie rankiem, zaraz po telefonie otrzymanym z Irlandii. Zaproponował lunch, co wydało się Liz bardzo niezwykle, jako że dotąd siadywali przy jednym stoliku tylko w kantine Thames House, a ostatnim ich wspólnym posiłkiem były kanapki na lotnisku RAF w Norfolk.

¹⁸ W. H. Auden, Musée des Beaux Arts, przekład Jarosław Marek Rymkiewicz (przyp. tłum.).

Wreszcie zjawiała się kelnerka. Zamówili potrawy z ustalonego menu.

- Poproszę kieliszek wina - powiedział Wetherby, a Liz z wdzięcznością poszła w jego ślady. Wydawał się dziś dość zrelaksowany. Choć z natury zachowywał rezerwę, dzięki poczuciu humoru nie był milczkiem, a czasami potrafił wręcz wpaść w niespodziewany potok gadulstwa, w tak entuzjastyczny nastrój, że Liz bywała tym zaskoczona, choć nie przeszkadzało jej to. Zwykle jednak zachowywał się z łagodną i lekko ironiczną rezerwą. Według Liz był miłym facetem w pozytywnym sensie i często zastanawiała się, czy miał podobne zdanie na jej temat.

Rozejrzała się po przestronnej sali jadalnej. Była środa i w restauracji było stosunkowo cicho - paru biznesmenów, dwa lub trzy stoliki z „damami przy lunchu” i jacyś amerykańscy turyści na galeryjkach. Nawet w przypadku większego tłoku okrągłe stoliki i wiklinowe fotele były rozstawione tak daleko od siebie, że można było swobodnie rozmawiać bez ryzyka, że ktoś mógłby podsłuchać. Wetherby wybrał to miejsce głównie z powodu prywatności, jaką zapewniało.

Gdy kelnerka w końcu odeszła, Wetherby rozłożył serwetkę i obrócił się do Liz.

- A więc czego się dowiedziałas?

- Tego ranka miałam telefon od Jamesa Maguire'a.

Wetherby wyglądał na zaskoczonego.

- Sądziłem, że nie chce z nami rozmawiać.

- Ja też - przyznała Liz.

Wetherby popatrzył na nią i uśmiechnął się krzywo.

- Chyba jednak udało ci się do niego dotrzeć, Liz. Dobra robota.

Liz wzruszyła ramionami. Przypomniała sobie napięte, kłótlive spotkanie z Maguirem w Rotterdamie.

- Nie jestem pewna, czy miałam z tym coś wspólnego. Po prostu obudziło się w nim sumienie.

- Pomoże nam?

- Już pomógł. Poszedł zobaczyć się w Dublinie z córką Seana Keaneya. Okazuje się, że jej ojciec robił za mentora jednej z jej bliskich koleżanek z uniwersytetu. Sympatyczki IRA, o nazwisku Kirsty Brien. - Liz przerwała i zniżyła głos, choć przy dwóch sąsiadujących z nimi stolikach nikogo nie było. - Kirsty miała przyjaciela, który został wykładowcą akademickim. Najpierw w Oxfordzie, potem na Królewskim w Belfaście. Co więcej, powiedziała kiedyś Maddie Keaney, że widywała się z tym człowiekiem tylko z powodu Keaneya.

Wetherby uniósł brwi, lecz było to jedyną zewnętrzną oznaką jego zaskoczenia.

- A więc zatoczyłaś krąg - rzekł. - Dobra robota. Byłem pewien, że twoje obawy co do O'Phelana były słuszne, bo nieczęsto się mylisz, ale istniała po prostu możliwość, iż znał kogoś z listy, a nie miało to nic wspólnego z IRA. Powiązanie mogło mieć zupełnie inny charakter.

Złączył dłonie i przyjrzał się im w zadumie.

- Ale teraz, gdy powiązałaś go z Keaneyem, jest znacznie bardziej prawdopodobne, że to on był werbownikiem. - Liz zauważyła jego spinki do mankietów, złote, w kształcie kijów do krykieta. Wetherby kontynuował: - Ale kto to jest? I jaki będzie twój następny krok?

- I tak planowałam kolejną rozmowę z O'Phelanem, lecz chciałam najpierw sprawdzić, co znajdzie Peggy Kinsolving. Tym razem chciałam być uzbrojona.

- No i jesteś - powiedział Wetherby. Liz przytaknęła.

- Wiem. Chyba pojedę tam na początku przyszłego tygodnia. Nie chcę go spłoszyć, więc to nie może wyglądać na zbyt pilne. Wciąż nie możemy mu niczego udowodnić.

- Racja, to wydaje mi się rozsądne.

Przyniesiono przystawki i Liz wgrzyła się w placek z kozim serem.

- Charles, zastanawiałeś się, co zrobisz, jeśli odnajdziemy kreta? Zwłaszcza jeśli nigdy nie został przebudzony?

- Zrobię wszystko, co będzie konieczne, aby wydalić go ze Służby. - Odłożył widelec. - A całą resztę z radością pozostawię prokuratorowi generalnemu. Zakładając oczywiście, że istotnie nigdy nie został przebudzony, Keaney mógł nie powiedzieć prawdy.

Przypominając sobie własne rozmyślenia w hotelu Culloden, Liz naciskała:

- Ale jeśli założyć, że IRA nie przebudziła kreta, ciekawe, jak by się z tym czuli. Chyba byliby mocno zawiedzeni.

Charles milczał, gdy kelnerka sprzątała stół, aby zrobić miejsce na dania główne.

- A więc też o tym myślałaś. Dręczyło mnie to. Zastanawiałem się nad tym, co kiedyś powiedział mi ojciec. Twój był zbyt młody, aby brać udział w wojnie, prawda?

Liz przytaknęła.

- Cóż, mój ojciec został powołany tuż przed lądowaniem w Normandii. Jego regiment był wyznaczony do pierwszej fali desantu, lecz dwa dni przed tym, jak mieli

wypłynąć, zmarła moja babcia i ojcu wydano przepustkę na powrót do domu i uczestnictwo w pogrzebie. Gdy wrócił do służby, z jakiegoś powodu przeniesiono go do ministerstwa obrony w Londynie. Nigdy nie brał udziału w walce.

Kelnerka postawiła przed nimi talerze. Wetherby ciągnął dalej:

- Kiedyś spytałem go o to. Powiedziałem: „Czy nie czułeś ulgi, że nie musiałeś walczyć?”. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Odparł, że to najgorsza rzecz, jaka przydarzyła mu się w życiu.

Popatrzył w zadumie na Liz.

- Pomyśl więc o tym krecie. Ta osoba podjęła doniosłą decyzję o współpracy z IRA, zdołała dostać się do Służby i była gotowa do działania. A tu nagle ktoś w Belfaście wyciąga wtyczkę i znika cały *raison d'être*. Czy jesteś w stanie wyobrazić sobie, co ten człowiek wtedy czuł?

- Czy właśnie to cię niepokoi?

- Tak. - Na twarzy Wetherby'ego typowa aura nieśmiałości została zastąpiona przez wyraźną troskę. - Muszę przyznać, że z początku myślałem, iż musimy znaleźć tego kreta dlatego, że jest wobec nas nielojalny. Nie uważałem jednak za prawdopodobne, by wtyczka IRA mogła wyrządzić nam w obecnej chwili większe straty, więc sprawa mogła nie mieć najwyższego priorytetu. Teraz nie jestem już jednak taki przekonany.

Zawahał się i przez chwilę Liz wydawało się, że chciał powiedzieć coś jeszcze. Kelnerka podeszła jednak, by dolać im wody i moment przeminął.

- W piątek wyjdę wcześniej z pracy - rzekła Liz. - Muszę zobaczyć się z matką.

- Czy wszystko z nią w porządku? - spytał Wetherby. Jego zainteresowanie zabrzmiało szczerze, a przy tym nie było w nim śladu wścibstwa. Liz była mu wdzięczna za taką właśnie, pełną taktu troskę.

- Nie jestem pewna, czy wszystko w porządku - przyznała Liz. - Znaleźli u niej guza i musi pójść do szpitala na biopsję. Chcę tam pojechać i ją zawieźć.

- Oczywiście - powiedział Wetherby. Westchnął w zadumie i pogładził węzeł krawata.

- Jestem przekonana, że wszystko będzie dobrze - rzekła Liz, nakładając maskę odwagi, której wcale nie odczuwała.

Wetherby musiał to wyczuć, ponieważ popatrzył na nią tym skupionym spojrzeniem, które tak dobrze znała. Z początku Liz, podobnie jak Dave, uważała „rentgenowski wzrok” za niepokojący - nie była w stanie stwierdzić, czy wyrażał

rozbawienie, lekkie wątpliwości, czy też może nawet oskarżenie. Zrozumiała jednak z czasem, iż to spojrzenie nie było próbą czytania w myślach, a raczej oznaką koncentracji.

- A tak w ogóle - powiedziała, zanim cisza stała się zbyt krępująca - jak tam twoi chłopcy?

Uśmiechnął się z wyraźną przyjemnością.

- W porządku. Ich życie to krykiet i dziewczyny, w tej właśnie kolejności.

- A Joanne? - spytała z większą ostrożnością. Wetherby wzruszył ramionami.

- Ostatnich kilka miesięcy było trudnych - przyznał. - W zeszłym tygodniu miała transfuzję krwi, z którą lekarz wiązał spore nadzieje. - Wydawało się, jakby obwisła mu twarz. - Nie jestem pewien, czy to był sukces.

Liz nie wiedziała, co powiedzieć. Wetherby zmagał się z chroniczną chorobą żony, odkąd Liz go znała. Starła się nie zagłębiać zbyt w temat, który oznaczyła w myślach etykietką „Żona Wetherby'ego”. Po jego dość wstydliwych reakcjach na pytania o Joanne uznała, że tak właśnie wolał.

- Przykro mi - rzekła szczerze. - Chłopcom musi być bardzo ciężko - dodała.

Skrzywił się lekko, a kelnerka podeszła, by zebrać talerze. Oboje odmówili deseru, a Wetherby poprosił o rachunek. Wyglądał na zadumanego, pomyślała Liz z pewnym smutkiem, gdy siedzieli, czekając na zwrot jego karty kredytowej. Nagle sięgnął przez stolik i ścisnął Liz za rękę.

- Przepraszam, nie chciałem cię obciążać moimi problemami. Wiem, jak bardzo uderzyła cię ta cała sprawa z Marcepanem. To było straszne dla nas wszystkich, ale dla ciebie znacznie bardziej. Uważam, że zachowałeś się wspaniale, ale wiedziałem, że właśnie tak się zachowasz. Mam nadzieję, że z twoją matką będzie dobrze.

Nagle spowaźniał po tym niezwykłym dla siebie pokazie emocji, odsunął fotel i wstał.



Po 11 września zaczęto wymagać identyfikacji nawet na lotach krajowych. W zabezpieczonym szafce w Thames House leżał dodatkowy paszport wystawiony na nazwisko operacyjne, lecz nie chciał, by pojawiło się ono w spisie pasażerów, nie chciał, by stało się obiektem wyrywkowego sprawdzania, które pociągałoby za sobą potrzebę wyjaśnienia. Mogłoby to być fatalne w skutkach.

Miał jednak inny paszport. Również na fałszywe nazwisko, lecz nieznanie jakimkolwiek brytyjskim agendom rządowym. Niełatwo było go zdobyć - wykorzystał czeskiego fałszerza, który wycofał się już z interesów, lecz wcześniej pracował od czasu do czasu dla Mossadu i słono sobie liczył za swoje usługi. Ów paszport stanowił jego polisę ubezpieczeniową i teraz miał dowieść swej wartości.

W końcu był zawodowcem, przybrał więc fałszywą tożsamość, zaraz gdy opuścił dom. Nazywał się Sherwood i był biznesmenem podróżującym w interesach do Irlandii Północnej. Starannie zaplanował napięty harmonogram dnia, rozpoczynający się od wejścia o siódmej rano do odlatującego z Heathrow samolotu, w towarzystwie jednolitej masy typków z korporacji i urzędników służby cywilnej.

Przy odrobinie szczęścia wróci do Londynu o drugiej po południu. Nieobecność w pracy krył za pomocą kilku dni urlopu. Powiedział swej sekretarce, że miał kilka umówionych wizyt u lekarzy i popracuje w domu. Tego rodzaju wytłumaczenie odstraszało skutecznie nawet najbardziej nietaktownych.

Sherwood pomyślał o donie, zresztą myślał o nim praktycznie bez przerwy od tamtej rozmowy telefonicznej. Czy w Belfaście wciąż będzie nazywał się „donem”? Niemal na pewno nie. W końcu do tej pory został już zapewne profesorem. Nie można było wątpić w jego intelekt. Jednakże jego przekonania były zupełnie inną kwestią. To dlatego musiał złożyć tę krótką wizytę.

Cóż za niezwykłym człowiekiem wydawał się don, kiedy pierwszy raz się spotkali - elokwentnym, żarliwym, charyzmatycznym - zwłaszcza dla nieopierzonego

licencjata. Czy don miał „życie osobiste”, tak eufemistycznie określając seks? Być może, choć nigdy nie było to jasne. Była przecież ta dziewczyna, o której tak często mówił, ta podżegaczka z Dublina.

Istniały też inne niejasności. Don spędzał całe dni w samotniczym świecie historii oraz idei, lecz pasjonował go świat akcji. Ekscytował się nawet wtedy, gdy tylko o tym rozmawiał, niczym aktor, który ożywia się jedynie na scenie. Jednak, jak Sherwood wiedział z doświadczenia, don żył w pewnej hipokryzji - jak któryś z tych kanapowych amerykańskich Irlandczyków, z radością posyłający pieniądze swym kuzynom z IRA z zacisza bostońskiego baru, choć don na pewno czułby się urażony tym porównaniem.

Jak dziwnie było myśleć teraz o Ameryce, ponieważ to właśnie Ameryka podsyłała jego żale i doprowadziła go do pierwszego kontaktu z donem.

Pojechał do Stanów podczas roku przerwy, jaki zrobił sobie przed rozpoczęciem nauki na uniwersytecie, udając się tam z Timothyem Waringiem, najlepszym przyjacielem ze szkoły. Zaczęli od Nowego Jorku, który miał być pierwszym przystankiem wielkiej wędrówki autobusem greyhound, tym osławionym środkiem transportu angielskiej młodzieży, pragnącej zwiedzić rozległe Stany Zjednoczone.

Nawet nie wsiadł do autobusu. Dał Timothy'emu umówioną kwotę 200 dolarów oraz zestaw pocztówek zakupiony w sklepie dla turystów na Piątej Alei. Wodospad Niagara, Jezioro Górne, Park Narodowy Glacier, most Golden Gate. Na każdej widniała napisana z góry wiadomość do domu i wszystkie zostały posłuszenie wysłane przez Timothy'ego, który samotnie odwiedził w kolejnych tygodniach te słynne miejsca.

W tym samym czasie - przez trzy tygodnie - Sherwood pozostawał w Nowym Jorku, starając się dowiedzieć ile tylko mógł o ojcu, którego ostatni raz widział przed dziesięciu laty, na sześć miesięcy przed jego nagłą śmiercią.

Dowiedział się więcej, niż się spodziewał, ponieważ dokopał się do najbliższego przyjaciela ojca. Harry Quinn, znajdujący się już na emeryturze dziennikarz New York Daily News, mieszkający teraz na Long Island, z radością spotkał się z synem dawnego kumpla w swym ulubionym wodopoju, Costello's Bar na 44. ulicy.

Usiedli w alkwie, otoczeni przez ostro żłopiących pismaków. Quinn gadał przez jakiś czas o niczym, wysączając po kolei cztery kufle piwa, po czym z zaskakującą trzeźwością wyjaśnił, co naprawdę stało się jego ojcu. Nie był to

gwałtowny atak serca, o którym mówiła matka. Nie, jego ojciec skoczył z mostu na 59. ulicy. Było to samobójstwo spowodowane hańbą.

Hańba - nie dało się innym słowem określić upadku ojca, czy też ogromu potępienia, jakie na niego spadło. Odwiedziwszy archiwum prasowe miejskiej biblioteki publicznej na wschodniej 40. ulicy, jego syn poznał całą nieprzyjemną historię, przytoczoną na żółknących stronach ówczesnych gazet.

Z początku nic nie zapowiadało katastrofy. W serii trzech artykułów w New York Daily News, zapowiadanych wyraźnym nagłówkiem na pierwszych stronach, jego ojciec przytoczył zeznania niejakiego Samuela Lightfoota, byłego członka SAS. W toku swej długiej służby wojskowej zaliczył on cztery obfitujące w wydarzenia pobytu w Irlandii Północnej.

Za Lightfootem, ojciec opisał brutalność i przemoc SAS w Irlandii Północnej, których ogrom zaskoczył nawet najbardziej żarliwych krytyków. W skrócie, według Lightfoota, członkowie SAS mieli strzelać tak, by zabić, mieli to robić z premedytacją i często bez zastanowienia. Opisał misję, w której wraz z dwoma innymi żołnierzami SAS zastrzelił dwóch członków IRA zamierzających podłożyć bombę w restauracji w Lisburn. Mówiono o tym w owym czasie w prasie, lecz przedstawiano to jedynie jako udaną brytyjską operację antyterrorystyczną. Według słów Lightfoota przemilczano wtedy jednak, że ci dwaj mężczyźni próbowali się poddać, lecz mimo to ich sprzątnięto. Obydwaj byli nieuzbrojeni i, w przeciwieństwie do doniesień, nie znaleziono nigdy nawet śladu bomby.

Przy innej okazji, jak twierdził Lightfoot, zastrzelono człowieka idącego nocą przez pole w Armagh, po czym okazało się, iż był to miejscowy rolnik, który postanowił skrócić sobie drogę do domu z pubu i nijak nie był powiązany z IRA. Brytyjskie władze wojskowe nigdy nie przyznały się do zabójstwa i pozostało ono okryte tajemnicą, choć w prasie w Belfaście pojawiły się spekulacje, iż jest to kolejny przypadek w długim szeregu nierozwiązanych mordów na tle narodowościowym.

We wszystkich trzech artykułach przedstawiono mnóstwo dokumentalnych szczegółów, określających daty, miejsca i ludzi zaangażowanych w to, co pewien nowojorski dziennikarz nazwał „BA” - skrót nie od British Airways, lecz od Brytyjskich Aberracji. Czytelnikom wydawało się oczywiste, że jedynie naoczny świadek tych operacji SAS potrafiłby opisać je tak wyraźnie i z podaniem takiej ilości szczegółów.

Skutek można było porównać z wybuchem bomby. Tip O'Neill, przewodniczący Izby Reprezentantów, wielokrotnie atakowany przez swych irlandzkich ziomków w Ameryce za krytyczne podejście do IRA, podpisał się teraz pod rezolucją wzywającą do zaprzestania wszelkiej tajnej działalności brytyjskiej w Irlandii Północnej. Agencje prasowe podchwyciły natychmiast opowieść Lightfoota, doprowadzając do jej przedruku w kilku tysiącach gazet w całym kraju. Nawet dostojny *New York Times*, zwykle z pogardą podchodzący do plebejskiego *Daily News*, docenił wagę artykułów, zaś jeden z jego komentatorów zasugerował, że ich autor powinien w cuglach wygrać nagrodę Pulitzera.

Przez przynajmniej trzy dni jego ojciec cieszył się sukcesem, o jakim nawet nie śniło się większości dziennikarzy. Bez końca gratulowano mu i świętowano, pławił się w triumfie opowieści wyglądającej na jedną z najważniejszych w owym dziesięcioleciu.

I wtedy nastąpiła katastrofa. Cztery dni po opublikowaniu pierwszego artykułu, londyński *Sunday Times* odpalił na pierwszej stronie własną bombę. Sensacje Lightfoota, jak oznajmiono jednoznacznie, były niczym zamek na piasku. Ich źródło, Samuel Lightfoot, był oszustem pierwszej wody i notorycznym kłamcą. Daleko mu było do służby w Irlandii Północnej, jego służba wojskowa składała się z krótkiego członkostwa w niepełnym wymiarze w Armii Terytorialnej, zaś jego jedyny kontakt z SAS polegał na jednokrotnym wyjeździe treningowym na ich poligon ćwiczebny w Herefordshire. Jakby nie dość było hańby, Lightfoot został w latach sześćdziesiątych skazany za oszustwo i spędził trzy lata w więzieniu.

Wynikłe oburzenie wielokrotnie przyćmiło początkową reakcję na artykuły, dotarło do wiadomości wieczornych w telewizji publicznej. W Waszyngtonie Tip O'Neill siedmiokrotnie powiedział natrętnemu dziennikarzowi: „bez komentarza”. Rezolucja Izby Reprezentantów została zaś pospiesznie wycofana. Brytyjski ambasador oznajmił, iż czuje się „usatysfakcjonowany, że prawda wyszła wreszcie na jaw”.

W Nowym Jorku *Daily News* zamieścił na pierwszej stronie bezprecedensowe sprostowanie, opublikował artykuł redakcyjny charakteryzujący się opieszalą skruchą i wyrzucił z pracy jego ojca. O wszystkim tym radośnie doniósł *New York Times*, ze szczególnością, jakiej próżno było szukać we wcześniejszych tekstach na temat oryginalnych artykułów.

Dwa miesiące później śmierć jego ojca zasłużyła sobie na jednocalowy akapit w dziale miejskim tejże gazety. *Daily News* w ogóle tego nie odnotował.

Młody człowiek wrócił do Anglii, gdzie nie powiedział nic na temat swych odkryć ani matce, ani znenawidzonemu ojczymowi. Uznali go po prostu za milczka, który nie chciał rozwodzić się nad swą autobusową wycieczką po Ameryce.

We wnętrzu aż się gotował, odczuwał połączenie oszołomienia i wstydu. Jak jego ojciec mógł się aż tak pomylić? Jak dał się tak ogłupić, tak oczywistemu szarlatanowi, którego prawdziwe nazwisko, jak się okazało, nie brzmiało nawet Lightfoot? Czy oszukany autor tych zmieszanych z błotem artykułów rzeczywiście był człowiekiem z jego wspomnień? Szarmanckim, pewnym siebie, beztroskim człowiekiem, wzbudzającym w swym synu szacunek, podziw i oddanie?

Młodzieniec czuł wtedy jedynie cierpienie i pozostał w tym stanie przez cały pierwszy rok w Oxfordzie, gdzie w obliczu posiadanej teraz wiedzy rozczarowywał go zarówno świat akademicki, jak i towarzyski. Pilnie wypełniał obowiązki studenckie, lecz trzymał się siebie, rozmyślając o tym, co uważał za niemożliwe do odkupienia, wypaczone dziedzictwo. Zwrócił się nawet w stronę religii, zagubił się w czysto konwencjonalnym zachowaniu, imitując osobę, jaką nigdy nie był zapamiętany przez niego ojciec.

To O'Phelan go ocalił, choć nie odczuwał już żadnej wdzięczności wobec nauczyciela, który go zdradził.

Na drugim roku na tańcach u św. Hildy, kobiecym college'u pilnie dbającym o to, by nie wstępował do niego mężczyźni, poznał dziewczynę. Była bardzo lewicowa i zaprosiła go na wykład polityczny, jeden z szeregu odczytów w Old Firehouse. Poszedł tam i niemal zanudził się na śmierć - wykładowca, weteran zamieszek paryskich w 1968 r., smęcił przez niemal godzinę o „bitwie” o Sorbonę oraz o niegodziwościach francuskiej rewolucyjnej policji CRS. Gdy dziewczyna zaprosiła go na kolejny odczyt, już chciał odmówić, lecz zobaczył jego tytuł: „Od Bostonu do Belfastu: brudne sztuczki Brytanii w Północnej Irlandii i za granicą”. Coś w tym stylu. Wykładowca pochodził z jednego z college'ów.

Jego lewicowa przyjaciółka nie zdołała dotrzeć, siedział więc sam w towarzystwie około dwudziestu trockistów i marksistów, podczas gdy szczupły młody człowiek mówił łagodnym głosem (z jedynie lekką domieszką akcentu irlandzkiego) o prawdziwych zamierzeniach Brytyjczyków.

Teza była dość prosta, znana każdemu, kto choć raz posłuchał w telewizji rzecznika IRA: Brytyjczykom daleko było do dążeń pokojowych, pragnęli zachować status quo imperialistycznej okupacji i byli w stanie zrobić wszystko (wszystko, podkreślił wykładowca), aby tak zostało.

Jego słowa wkrótce zaczęły jednak wywierać hipnotyczny wpływ na słuchającego go studenta, ponieważ po tych wstępnych nacjonalistycznych peanach Liam O'Phelan (tak nazywał się mówca) zaczął z wyraźną pasją mówić o nieoficjalnej doktrynie strzelania tak, aby zabić, którą kierowały się według niego oddziały SAS w Irlandii Północnej. Ku oszołomieniu młodzieńca, O'Phelan wspomniał nawet o morderstwie niewinnego rolnika z Armagh, który pojawił się w artykułach jego ojca.

Po wykładzie podszedł do młodego dona, czekając cierpliwie, aż jakiś irlandzki student skończy z nim rozmawiać. Kiedy nadeszła jego kolej, spytał, czy to prawda, że wiele z jego oskarżeń zostało dawno zdyskredytowanych?

- Co pan ma na myśli? - spytał ostro O'Phelan. - Jak to zdyskredytowanych?

No cóż, wyjaśnił, przecież był ten cały skandal w Nowym Jorku, kiedy to dziennikarz wysuwający podobne co on oskarżenia albo wszedł w zмовę z oszustem, albo został przez niego wrobiony? Zarzuty zostały całkowicie sfabrykowane.

O'Phelan popatrzył na niego miazdząco.

- Wy Brytyjczycy - powiedział. - Uwierzycie we wszystko, w co każe wam uwierzyć wasza uległa prasa. To wszystko było zaplanowane. Człowiek o nazwisku Lightfoot, źródło całej opowieści, był wtyczką wywiadu brytyjskiego. Biedny dziennikarz nie miał żadnych szans. Większość tego, co napisał, była całkowicie prawdziwa, lecz ponieważ Lightfoot go wrobił, nikt nie uwierzył nawet w jedno słowo. To było cholernie sprytne ze strony Secret Service - rzekł bez śladu podziwu. Wzruszył ramionami i dodał: - Ale pan mi przecież nie wierzy.

Zaskoczyła go więc chyba twarz studenta, ten bowiem kiwnął potakująco głową i uśmiechnął się lekko - po raz pierwszy od bardzo dawna.

- Och, ależ wierzę panu. Ten biedny dziennikarz był moim ojcem.

I tak rozpoczęła się ich szczególna znajomość. O'Phelan wziął go pod swoje skrzydła, on zaś zadomowił się tam raczej z ochotą, stając się na swój sposób (oczywiście nieoficjalnie, bo wciąż kontynuował swą pracę dyplomową) jego uczniem. Żeby zadowolić nauczyciela, udał nawet zainteresowanie irlandzką historią i irlandzkim nacjonalizmem, odwiedził zarówno Północ, jak i Republikę. Nawet jeśli

O'Phelan kiedykolwiek wątpił w szczeróść jego oddania sprawie, nigdy nie dał tego po sobie poznać, poniewaŹ do tego czasu zainicjowali juŹ swą intrygę. Zresztą kto w IRA martwiłby się o jego motywację, jeśli udało im się umieścić go w samym sercu wroga?

A był to wspólny wróg. Młodzieniec w pełni akceptował stwierdzenie O'Phelana, iż jego ojciec stał się ofiarą spisku. Kim byli spiskowcy? Zapewne konsulát brytyjski w Nowym Jorku i jego pracujący po godzinach „attache kulturalny”, zwyczajowa przykrywka dla rezydenta MI6. Dodać do tego paru zapatrzonych w Anglię amerykańskich urzędników, przekazujących instrukcje przychylnemu dziennikarzowi, i voilà! - czyjeś życie legło w gruzach. Jego ojciec został wylany z pracy, wyzuty z reputacji i środków do życia, musiał obserwować, jak owoce pracy całego życia giną pod ciężarem oczerniającego artykułu na pierwszej stronie brukowca. Owszem, technicznie rzecz biorąc, sam się zabił, ale zgodnie z wszelkimi ludzkimi standardami został zabity. Równie dobrze mogli go zepchnąć z mostu na 59. ulicy, tyle krwi było na ich rękach.

Dzięki O'Phelanowi ujrział wyraźnie zabójców swego ojca - członków angielskiego establishmentu, który rzekomo juŹ nie istniał. Co za nonsens, pomyślał Sherwood, gdy samolot wznosił się na wysokość przelotową. Establishment nie tylko przetrwał, ale wręcz miał się dobrze. Sam był jego częścią.

Przypomniał sobie, że O'Phelan od początku uważał to za zaletę i stopniowo przekonywał go, że nie powinien wstydzić się swej ostentacyjnej angielskości. Powinien ją natomiast wykorzystać do walki, którą obydwaj zgodnie uznali za konieczną.

- Nikt nigdy nie będzie cię podejrzewał - powiedział mu don. - Będą cię uważali za Anglika z krwi i kości. Zaufaj mi, nigdy nie zwracają się przeciwko swoim. Pomyśl o Philbym, uwierzyli mu, gdy powiedział, że nie jest kretem. Albo Blunt. Nawet gdy wiedzieli juŹ, że był szpiegiem, pozwolili mu dalej pracować dla Królowej.

Kiedy samolot wzleciał nad Północną Walię, Sherwood spojrział na Snowdonię. Walijszczy byli pogardzani przez Anglików, pomyślał, a jednak zachowali taką bierność. Parę podpalonych chatek wypoczynkowych, naleganie na dwujęzyczne drogowskazy - z tego, co był w stanie stwierdzić, to tyle w temacie ich wysiłków nacjonalistycznych.

Ale czy Irlandczycy naprawdę byli od nich lepsi? Jego ojciec miał taką nadzieję, podobnie jak jego syn w tych istotnych latach na początku kariery. A jednak ponad osiemdziesiąt lat po Podziale kraj wcale nie był bliŹej zjednoczenia, niŹ w roku 1922.

Co za głupcy, pomyślał gorzko. Chciał im pomóc (podobnie jak jego ojciec, Bóg mu świadkiem), lecz oni wcale nie chcieli pomocy. Zrezygnowali z walki, akurat gdy szykował się do tego, by do nich dołączyć.

Pokusa władzy, O'Phelan miał co do tego rację. Zawsze powtarzał, że Irlandia znajdzie się w największym niebezpieczeństwie wtedy, gdy Anglicy zechcą usiąść do negocjacji.

Nad Morzem Irlandzkim przypominał sobie studenckie wizyty w Irlandii, jak odważył się na przeprawę z Holyhead do Dun Laoghaire w drewnianych łódkach wielkości przerośniętych holowników. Większość pasażerów stanowili hałaśliwi mężczyźni, cieszący się z powrotu do domu, pijący w barze tyle, że musieli wychodzić na pokład i wymiotować za burtę.

Jego samolot lądował w Belfaście w lekkiej mżawce, opadając ciężko, tak że aż prysnęło pod skrzydła. Wsiadł i przeszedł szybko przez terminal, nie nawiązując z nikim kontaktu wzrokowego, trzymając kurczowo cienką aktówkę i przytrzymując kołnierz płaszcza, gdy podchodził do kolejki osób oczekujących na taksówkę. Podobnie jak wielu współpasażerów, zmierzał na spotkanie w Irlandii Północnej.

Taksówka podrzuciła go do centrum miasta, pełnego urzędników skulonych w płaszczach pod padającym deszczem. O tak wczesnej porze dnia Belfast nie różnił się od innych miast - nie sprawdzano bagaży, nie widać było żadnych żołnierzy z karabinami ani śladu pojazdów opancerzonych. Gdy ruszył szybkim marszem w stronę Królewskiego, przyglądał się mijanym ludziom - dobrze ubranym, zamożnym, wyraźnie żyjących chwilą. Czy oni nie rozumieją? - pomyślał gorzko, spoglądając na nich: starszego mężczyznę w nowej płóciennej czapce; parę idącą pod jednym dużym parasolem, modnie ubraną i trzymającą się za ręce; czarnego nastolatka w bluzie z kapturem, poruszającego się urywanym krokiem zgodnie z rytmem swego walkmana.

Ale przecież nigdy nie uważał, że robi to dla nich. Poszedł dalej.

- Jak punktualnie - powiedział z lekkim uśmiechem O'Phelan. Gdy odwrócił się od wejścia, jego gość wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą.

- Usiądź, zaparzę herbatę. A może wolisz kawę? Jest whisky, jeśli chcesz drinka. Nie? Jest dość wcześnie.

O'Phelan był podekscytowany, trudno mu było ustać w miejscu, zaciskał dłonie na oparciu krzesła, po czym puszczał je i cofał się o krok, by przyjrzeć się gościowi.

- Muszę powiedzieć, że nie postarzałeś się zbyt. - Przejechał dłonią po rzednących włosach. - Szkoda, że dla mnie czas nie był taki łaskawy. - Zabrział tak, jakby kpił z samego siebie. - Uznałem, że moglibyśmy pójść gdzieś na lunch. Kawalek stąd jest całkiem niezłe bistro. Czy będzie bezpieczne? Ale najpierw chcę usłyszeć, co porabiałeś przez te wszystkie lata. Opowiedz mi o wszystkim. Och, ale najpierw kawa, czy też może wolisz herbatę?

Wciąż podekscytowany, przeszedł pośpiesznie do małej wnęki w przeciwległym krańcu pokoju, gdzie włączył czajnik i wyciągnął mleko z małej lodówki, następnie cukier z szafki i dwie łyżeczki, oraz oczywiście porcelanowe filiżanki i spodeczki.

- Jaką wolisz, ze śmietanką czy bez? - zawołał przez ramię. Nie było odpowiedzi, co tylko na chwilę zdumiało O'Phelana, ponieważ zaraz zaczął się krztusić i coś zacisnęło mu się na tchawicy. Kiedy woda w czajniku zagotowała się, O'Phelan już nie żył.



Gdy Liz zjawiała się w pracy, od razu udała się do swego biurka w pokoju osób odpowiedzialnych za prowadzenie agentów, aby sprawdzić pocztę. Znalazła wiadomość od Jimmy'ego Fergusa, proszącego, by natychmiast do niego zadzwoniła. Przypomniało jej to, że musi zabukować lot do Belfastu w przyszłym tygodniu, lecz najpierw zatelefonowała do Jimmie'go. Miał głos kogoś przygaszonego, co rzadko mu się zdarzało.

- Mam złe wieści - powiedział.

- O co chodzi?

- Ten cały O'Phelan...

- Tak? - Pewnie nie ma nic na niego w bazie danych, pomyślała. Szkoda.

- Został zamordowany w swoim pokoju w Królewskim.

- Żartujesz - rzekła Liz. - Zamierzałam spotkać się z nim ponownie w przyszłym tygodniu. Co się stało?

- Został znaleziony zeszłego wieczoru, lecz patolog mówi, że zabito go rankiem. Ktoś go udusił. No cóż, nie do końca. Użyto garoty.

- Garoty?

- No wiesz. Zupełnie jak w Ojcu chrzestnym.

- Macie jakiś pomysł, kto albo dlaczego?

- Jeszcze nie. Trzeba zidentyfikować około miliona różnych odcisków, ale sądzę, że wszystkie należą do jego studentów.

Liz pomyślała o aroganckiej, lekko hermafrodytycznej postaci, z którą rozmawiała.

- Mogę zrozumieć, że nie był zbyt popularny, ale zabicie go to lekkie przegięcie. Jakies inne tropy?

- Przeglądamy jego życie osobiste. Nie był żonaty, lecz jak na razie nie pojawiło się nic na polu seksualnym.

- Dlaczego tak długo trwało, zanim został znaleziony? Gdzie byli jego studenci?

- Odwołał dyżur i zajęcia popołudniowe. Jednemu ze studentów powiedział, że przyjeżdża do niego stary przyjaciel. Staramy się zlokalizować owego przyjaciela.

- Informuj mnie o postępach, proszę. Interesujemy się nim.

Nastąpiła długa chwila ciszy, a Liz mogła wyobrazić sobie wielkiego mężczyznę siedzącego przy biurku z kubkiem kawy i zastanawiającego się, co też mogło interesować MI5.

- Oczywiście - powiedział w końcu. - Zajmuje się tym CID¹⁹, ale znam głównego oficera.

Liz odłożyła słuchawkę, a jej myśli zaczęły pędzić jak szalone. Kolejna śmierć na jej warcie. Weź się w garść, powiedziała półgłosem, po czym ujrzała, jak siedzący przy biurku obok Dave Armstrong spogląda na nią.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

Skinęła głową, lecz wiedziała, że było inaczej. Wstała i przeszła korytarzem do sali konferencyjnej, którą wykorzystywała wraz z Peggy. Dziewczyny nie było w środku, a Liz zamknęła drzwi i usiadła, by wszystko sobie przemyśleć.

Czy była za to w jakiś sposób odpowiedzialna? Zastanawiała się, czy coś się jej niechcący nie wymknęło i czy nie naraziła O'Phelana na niebezpieczeństwo. Lepiej powiem Wetherby'emu od razu, pomyślała. W tym samym momencie otworzyły się drzwi i, jak na zawołanie, do środka wszedł Wetherby.

- Pomyślałem, że możesz tu być - rzekł z lekkim uśmiechem, lecz zobaczył wyraz jej twarzy. - Co się stało, Liz?

Odsunął krzesło i usiadł obok niej na stole konferencyjnym.

- Właśnie rozmawiałam z Wydziałem Specjalnym z Belfastu. Liam O'Phelan, ten wykładowca, nie żyje.

Wetherby wyglądał na oszołomionego.

- Czy umówiłaś się z nim na ponowną wizytę?

- Nie. Zamierzałam zadzwonić do niego dziś rano. - Liz potrząsnęła głową. To wszystko wydawało się nierzeczywiste. Musiała sobie powtarzać, że nie musi już bukować lotu do Belfastu.

- Czy ktokolwiek wie, że widziałaś się z nim?

- Tylko Peggy i Jimmy Fergus, zjadłam z nim kolację tego samego wieczoru. Chciałam wiedzieć, czy tamtejszy Wydział Specjalny miał coś na niego w swej bazie

¹⁹ CID (Criminal Investigation Department) - Departament Śledczy, niemundurowe siły policyjne w Wielkiej Brytanii i wielu krajach Wspólnoty Brytyjskiej, zajmujące się poważnymi przestępstwami (przyp. tłum.).

danych. Tutaj ludzie wiedzą, że wyjeżdżałam, ale nie mówiłam dokąd. - Przerwała i zobaczyła, że Wetherby wygląda na zamyślonego, zupełnie jakby znajdował się o milion kilometrów stąd. Dodała z lekką goryczą: - Czuję się tak, jakbym wróciła do punktu wyjścia.

- Wcale nie - rzekł Wetherby. Popatrzył na nią stanowczo, lecz jego ton niósł w sobie otuchę. - Wiesz, że istniała więź pomiędzy O'Phelanem a Keaneyem. I byłaś pewna, że istniała też inna więź pomiędzy O'Phelanem a kimś z twojej listy. Musisz więc po prostu odnaleźć ową więź w jakiś inny sposób. Nie było przecież żadnej gwarancji, że O'Phelan ci pomoże.

- To prawda - przyznała Liz. Wolałaby jednak mieć możliwość, by znów przesłuchać O'Phelana. Owszem, wił się jak piskorz, ale uważała, że za drugim razem wyciągnęłaby więcej z niego, zwłaszcza, że wiedziała już o jego powiązaniach z Seanem Keaneyem.

- Czy dostrzegasz jakiś związek pomiędzy twoją wizytą a jego śmiercią?

Liz potrząsnęła głową.

- Nie. Ale było w nim coś zdecydowanie nieprzyjemnego. Jestem przekonana, że wiedział, iż jestem ze Służby. Zupełnie mi się nie podobał, choć nie ma to już żadnego znaczenia. Z początku sądziłam, że jest mizoginistą, lecz może po prostu nienawidził Anglików.

- To nie jest zbyt rzadka postawa w sześciu hrabstwach - powiedział ironicznie Wetherby. - Jeśli specjalizował się w sprawach irlandzkich, mógł być zdecydowanym nacjonalistą. Co więcej, jego śmierć mogła nie mieć nic wspólnego z twoją wizytą.

Zdała sobie sprawę, że Charles przygląda jej się badawczo.

- Zeszły rok trochę tobą wstrząsnął - powiedział. - Później Marcepan, a teraz jeszcze to. - Wstał, gładząc w zadumie krawat. - Jesteś silną osobą, Liz, i nie martwię się o ciebie. Zakładając oczywiście, że ty nie zaczniesz się martwić o siebie.

- Dobrze - odparła cicho, rozumiejąc, o co mu chodzi. Poczucie winy powodowało pobjażanie sobie, a tego chciała uniknąć, myśląc o Marcepanie. Nie było wykluczone, że gdyby nie pojechała zobaczyć się z Liamem O'Phelanem, nie zostałby zamordowany, lecz rozumując w ten sposób, równie dobrze mogła rzucić pracę. Tak naprawdę żałowała, że nie poleciała zobaczyć się z nim szybciej. Za późno, by się tym martwić, powiedziała sobie.

- Muszę pilnie porozmawiać z Michaeliem Bindingiem. O'Phelan dawał mu referencje, to właśnie dlatego w ogóle poszłam się z nim zobaczyć.

- Michael wziął kilka dni urlopu, Liz. Wróci dopiero w przyszłym tygodniu. Chciałbym go ściągnąć, moglibyśmy wymyślić jakiś pretekst, ale jeśli jest się czym martwić, mogłoby to przedwcześnie uruchomić alarm.

Liz potrząsnęła głową.

- Nie, myślę, że to może poczekać. Pomimo wszystkich moich zastrzeżeń co do O'Phelana, nie sądzę, by zataił cokolwiek o Michaelu Bindingu. Szczerze mówiąc, wyrażał się o nim z pogardą i zupełnie nie wyglądało to na sztuczne zachowanie. Coś innego było niejasne.

- Może powinnaś skoncentrować się na okresie spędzonym przez O'Phelana w Oxfordzie.

Skinęła głową.

- Poproszę Peggy, by znów rzuciła na to okiem. Chcę poszerzyć trochę sieć o rodziny ludzi z naszej listy i sprawdzić, czy nie mają choćby najdalszych powiązań z Irlandią. Mamy już Dobsona i jego kuzyna w Maze. Chcę się przekonać, czy w przypadku kogoś z pozostałych dysponujemy czymś podobnym.



Gdy wezwano na przesłuchanie właściciela księgarni, okazał się on Jamajczykiem, byłym rastafarianinem z kilkoma wyrokami za posiadanie narkotyków i kartoteką wskazującą na to, że babrał się w ciemnych sprawkach niedobitków ruchu „Czarna Potęga Brytanii”.

Teraz był muzułmaninem i do nowej wiary podchodził z gorliwością neofity. Miał także nowe nazwisko - urodzony w Kingston Otis Quarrie posługiwał się teraz egzotycznym pseudonimem Dżamil Abdul-Hakim. Zniknęły dredy i obszerna rastafariańska czapka, teraz o każdej porze roku nosił biały kaftan i sandały. Pod względem intelektualnym zabrnął daleko - gdy Dave Armstrong słuchał sposobu mówienia Abdula-Hakima, było dla niego oczywiste, że mężczyzna przeczytał wiele, a może nawet wszystkie islamistyczne tomy, jakie sprzedawał w swym sklepiku, i z radością rozmawiał o nich z każdym, kto znalazł się pod ręką. Na przykład z Dave'em i wyglądającym na zmieszanego oficera Wydziału Specjalnego.

Dave zdołał wtrącić kilka pytań. Dowiedział się, że Sohail Din był solidnym pracownikiem, o którym Abdul-Hakim wiedział podobno bardzo niewiele. Był punktualny, cichy, pilny. Jako że zgadzało się to z wrażeniami Dave'a, nie było już nic więcej do powiedzenia. Abdul-Hakim wydawał się szczerze żałować śmierci Sohaila i wyglądało na to, iż autentycznie wierzył, że było to morderstwo na tle rasistowskim.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział teraz Dave, przerywając, gdy mężczyzna po raz kolejny zmienił temat, tym razem wypowiadając się na temat prawa muzułmańskich uczennic do noszenia dżelaby. - Ale gdybyśmy mogli wrócić do tego imama, Abu Sajeda. Z tego, co rozumiem, miał się on tutaj spotkać z pewnymi swoimi zwolennikami, lecz spotkanie nigdy nie doszło do skutku.

- Było wiele spotkań, man - rzekł Abdul-Hakim, który pomimo przybrania zupełnie nowej tożsamości nie pozbył się rastafariańskiego akcentu.

- Z tymi ludźmi? - Dave podał mu fotografie Raszida Khana i dwóch pozostałych mężczyzn.

Jamajczyk zerknął na nie od niechcenia i wzruszył ramionami.

- Czy pan wie, kim oni są? - spytał Dave.

- Nie.

- Ale rozpoznaje ich pan, prawda?

- Byli tu, man, pewnie. No i?

- No i - powiedział Dave, czując, że jego cierpliwość wystawiana jest na próbę - spotkali się raz z imamem i mieli spotkać się z nim ponownie. Co się stało? Dlaczego nie przyszli?

- To im trzeba zadać to pytanie - odparł z lekką butą Abdul-Hakim.

- To pana księgarnia.

- Ale to były spotkania imama, man - Abdul-Hakim odpowiedział z uśmiechem i nie dał się dalej pociągnąć za język.

W świeżo odkurzonym salonie swego domu w Wokingham Thelma Dawnton czuła się wyraźnie dotknięta. Trevor nalegał, że będzie obecny, gdy Simon przyjdzie na kolejną pogawędkę. Przystojny był ten młody Simon, nawet jeśli wyglądał lekko niechlujnie w tym swoim skafandrze. Był też przyjazny i lubił badmintona, choć nie miał okazji grywać zbyt często. Thelma nigdy nie pomyślałaby, że mogłaby nie być lojalną żoną (no dobrze, mogła sobie myśleć, ale rzeczywistość była zupełnie inną kwestią), jednak zerkając na Trevora, miała do niego pretensje, że niepotrzebnie zachowywał się jak przyzwoitka.

Mimo to musiała przyznać, że Trevor wiedział o pewnych rzeczach, o których ona nie miała pojęcia. Na przykład o samochodach - Simon wyglądał na mocno nimi zainteresowanego.

Z początku rozmawiali o mężczyznach z sąsiedztwa i Thelma wiedziała, że mogła tu pomóc - na pewno więcej niż Trevor, ponieważ, jak sam przyznał, nie potrafiłby odróżnić Pakistańczyka od Zulusa. Przeszukała pamięć (ignorując Trevorowe uwagi w stylu „nie zmyślaj”) i nawet siebie zaskoczyła wynikami.

Jeden z mężczyzn był niski, niewiele wyższy od karła, jak Thelma pamiętała, i była niemal pewna, że lekko kulał. Być może skręcił kostkę, zasugerowała, a Simon zapisał to w notatniku. Co do pozostałych dwóch, tak naprawdę zapamiętała tylko jednego, ponieważ zawsze się krzywił, zupełnie jakby - rozmyślała o tym od ostatniej rozmowy z Simonem - z jakiegoś powodu był przybity. W końcu (choć postanowiła nie mówić tego Simonowi), czyż kobiece strony w gazecie nie mówiły, że złość i depresja

zwykle były ze sobą powiązane? I czyż nie mówiły, że jeden na czterech Brytyjczyków cierpiał na depresję? A może jeden na dwunastu?

To właśnie w tym momencie Trevor przewrócił oczy-ma, co rozwścieczyło Thelmę i, jak głosiła ta sama gazeta, obniżyło jej samoocenę, choć postanowiła nie okazać tego po sobie. Zamierzała zamienić z mężem słówko na temat tego jego zwyczaju i zrobi to, nie zwlekając.

Tym razem Simon niczego nie zapisał, za to zmienił temat. Na samochody. Powiedziała, że mężczyźni z sąsiedztwa mieli porządne auto i to właśnie wtedy Trevor parsknął, zaś Simon uśmiechnął się - wiedziała, iż mężczyzna robi to wtedy, gdy uważa cię za niemądrą - i skupił uwagę na jej mężu.

- Powiedział pan, że ci mężczyźni jeździli golfem. Czarnym, czy też może granatowym?

- Czarnym - Trevor był nieugięty.

- Czy pamięta pan coś jeszcze na jego temat? Coś dziwnego, coś niezwykłego?

Trevor siedział przez chwilę i myślał.

- Miał rejestrację na T²⁰.

Chciała spytać, co to znaczy, lecz popatrzyła na podekscytowaną twarz Simona i jednak postanowiła nic nie mówić. Mężczyźni, pomyślała z odrazą. Mężczyźni i samochody.

Doris Feldman chciała pomóc, lecz nie wiedziała, w jaki sposób mogłaby to zrobić. Owszem, z powodu bezsenności siadywała wczesnym rankiem w fotelu przy oknie, lecz nigdy nie widziała niczego po drugiej stronie ulicy - przynajmniej aż do nocy, kiedy to pokazali się policjanci. Jak powiedziała młodemu człowiekowi w skafandrze, który siedział u niej, wypijając filiżaneczkę - niemal mógłby być jej wnukiem, pomyślała - nie potrafiła powiedzieć o klientach księgarni nic ponad to, co powiedziała już dotąd.

Młody człowiek skinął głową. I nie wyglądał na zaskoczonego. Niemal od niechcienia podał jej arkusz, na którym skserowano fotografie trzech młodzieńców. Wszyscy trzej wyglądali na Azjatów i gdy mężczyzna w skafandrze spytał ją, czy któregoś rozpoznaje, Doris z początku potrząsnęła głową. Nagle, niczym zapalona żarówka, w jej myślach zapłonęło wspomnienie.

²⁰ Do 2001 r. pierwsza litera brytyjskich numerów rejestracyjnych oznaczała datę pierwszej rejestracji samochodu. „T” odpowiada okresowi od marca do sierpnia 1999 r. (przyp. tłum.).

- Znam go! - zawołała, wskazując na zdjęcie Raszida. - I jego też - wskazała na jedno z pozostałych.

- Jak to? - spytał cierpliwie mężczyzna.

- Ten tutaj - rzekła, wskazując na Raszida - kupował kawałek liny. Chciałam go spytać, jak mocna ma być, a ten drugi wtrącił się: „Zapłać pani i idziemy”, powiedział, zupełnie jakby mnie tam nie było. To było nieuprzejme, jeśli mogę wyrazić swoją opinię. To dlatego go zapamiętałam. Ten drugi wydawał się zdenerwowany. Biedne maleństwo.

Dlaczego ten człowiek wrócił? Powiedział mu już przecież wszystko, co wiedział o wynajmie na 48. Somerset Drive. Czyli niemal nic. A przecież Richard Penbury miał tak wiele do zrobienia - tego popołudnia miał sam obejrzeć trzy nieruchomości i wykonać około miliona pilnych telefonów.

Ale znów przyszedł ten policjant, Simon jakiś tam, znów prosząc go, by spróbował przypomnieć sobie mężczyznę, który wynajął dom na Somerset Drive. Białego mężczyznę, co jak próbował wyjaśnić, stanowiło właśnie problem - Azję łatwo byłoby zapamiętać w tej części miasta. To takie swoiste odwrócenie rasizmu.

- Tamtego dnia widziałem się chyba z dziesięcioma osobami w sprawie nieruchomości - powiedział Penbury. - Proszę to pomnożyć przez pięć dni roboczych, to już daje pięćdziesiąt, a od tamtej pory minęło już około piętnastu tygodni. Chyba dostrzega pan problem.

- Oczywiście, że tak, ale pomocne może okazać się wszystko, co pamięta pan na temat naszego pana Larrabee. Na przykład, czy był wysoki, czy niski? Czy miał zepsute zęby? Być może zapamiętał pan takie szczegóły. Albo czy najpierw zadzwonił?

- Na pewno. Nie jechałby aż z Londynu, gdyby nie miał pewności, że posiadamy coś na wynajem.

- Z Londynu? - spytał szybko Simon. - Skąd pan wie, że przyjechał stamtąd?

- Z powodu jego wniosku. Podał londyński adres - rzekł Penbury, zmęczony zainteresowaniem policjanta. - A nie z powodu czegoś, co zapamiętałem.

Jednak coś do niego wracało. Co to było? Coś, co zobaczył, ale nie twarz. Coś związanego z ręką.

- Wiem - powiedział na głos.

Policjant wyglądał na zaskoczonego.

- Co takiego? - zapytał z nadzieją.

- Miał rękę na temblaku.

- Na temblaku. - Simon nie brzmiał na przekonanego. - Którą rękę?

- Cóż, nie pamiętam, ale zakładam, że lewą. Podpisał przecież papiery, więc jeśli nie był leworęczny...

- Proszę myśleć dalej - rzekł Simon. - Dobrze panu idzie.

Penbury myślał ciężko.

- Proszę się nie spieszyć - powiedział Simon.

Mężczyzna skupiał się mocno, a przez myśli przemykały mu obrazy twarzy i gestów, nawet aktówka. Jednak w przeciągu minuty na jego biurku dwukrotnie zadzwonił głośno telefon, a potem Millie, nowa pracownica, wrzasnęła, gdy rozlała sobie herbatę na bluzkę, i wszystko poszło na marne. Spróbuję ponownie, zapewnił Simona, który wyglądał na rozczarowanego, ale teraz, jeśli nie ma nic przeciwko temu, lepiej zajmie się znów robotą.

Sarah Manpini siedziała sama w pokoju kontrolnym w pobliżu Reading. Było to dla niej wytchnieniem po kolejnej sesji z nocnym patrolem, który nawet po dwóch latach wciąż uważał jej nazwisko za śmieszne.

Już trzecią godzinę analizowała materiał z kamer telewizji przemysłowej - tyle, że przecież nie do końca była to analiza, prawda? Raczej bezmyślne przeglądanie, zupełnie jakby była typowym, rozwalonym na kanapie telewizzem. Różnica polegała na tym, że w zapisie ruchu drogowego na M4 po obu stronach Reading niewiele się działo. Mówiąc ściślej, niewiele się zdarzyło, ponieważ oglądany przez nią materiał miał już tydzień. W przeglądany przez nią okresie, z tego czy innego powodu kamerę uruchomiło dwadzieścia siedem golfów, lecz tylko trzy były czarne albo na tyle ciemne, by za czarne uchodzić.

Dwa z nich jechały na wschód i posłusznie zapisała ich numery rejestracyjne. Trzeci zasuwał na zachód - kamera uruchomiła się z powodu szybkości - lecz na ekranie nie pokazały się jego numery. Odtworzyła ponownie ten fragment taśmy i przyjrzała mu się uważnie. Plastikowe cyfry pokryto farbą odblaskową. Sprytne, pomyślała. To musi być ten samochód. Znała już godzinę, o której golf uruchomił kamerę na zachód od Reading, poprosiła więc o kolejne taśmy. I bingo - trzy godziny później golf opuścił M4 wyjazdem na Newbury. Dzięki drugiej kamerze dowiedziała się tylko tego, że skierował się na północ.



Liz nie była w biurze Toma Dartmoutha od dnia śmierci Marcepana, a wtedy zupełnie się po nim nie rozglądała. Dziś brała udział w kierowanym przez Toma spotkaniu grupy operacyjnej POLOWANIE NA LISA. Pomieszczenie było standardowym pokojem dowódcy grupy, ze stołem konferencyjnym otoczonym sześcioma krzesłami. Było pełne i trzeba było dostawić kolejne krzesła. Pomimo tylu osób w środku wydawało się jednak zaskakująco nagie, niemal wręcz kliniczne, pomyślała Liz. Na biurku Toma nie widać było żadnych bibelotów, które większość osób stawia na nim, by uczynić swe miejsce pracy bardziej osobistym. Żadnych fotografii rodzinnych, żadnych akcesoriów biurowych, żadnych pamiątek przywiezionych z zagranicy. Z tego co widziała, nie było nawet ulubionego kubka. Dość wyblakłe odbitki na ścianach pochodziły z wydanego przez rząd zestawu widoków słynnych budowli.

W pomieszczeniu wyczuwało się aurę niepokoju i przygnębienia. Nie zrobili zbyt wielu postępów w poszukiwaniach grupy z księgarni czy jej celu. Operacja POLOWANIE NA LISA wydawała się wręcz tkwić w miejscu. A czas wyraźnie się kończył.

Spotkaniem, pierwszym, na którym Liz zjawiała się od dwóch tygodni, kierował Tom. Czynił to z wyraźną kompetencją, choć brakowało mu zdolności Wetherby'ego, który potrafił zespolic ludzi w drużynę. Przy Charlesie nawet najmłodszy pracownicy mogli się swobodnie wypowiadać, a poza tym nudziarzom przerywano, zanim, no cóż, zdolali zanudzić. Przy Charlesie, pomyślała Liz, człowiek czuł się jednocześnie kierowany i swobodny, nawet gdy sytuacja wymykała się spod kontroli. Dziś odczuwała jedynie niedającą otuchy nieudolność.

Reggie Purvis złożył raport jako reprezentant A4: nikt znaczący nie odwiedził księgarni ani domu Raszida Khana w Wolverhampton. Obserwacja jego siostry nie dała żadnych interesujących rezultatów.

Michael Binding z A2 wypowiedział się bardziej rozwlekle, lecz w podobnym tonie: nie było żadnych kolejnych telefonów z Amsterdamu do księgarni czy do domu Raszida, żadnych interesujących telefonów do jego siostry i nic istotnego z mikrofonów w księgarni.

Teraz Judith Spratt kończyła swoje sprawozdanie. Tylko ona mogła donieść o czymś pozytywnym.

- Właśnie dowiedziałam się z Centrum Kontrolnego w Reading, że odkryli ciemnego golfa opuszczającego M4 w Newbury w noc wyjazdu mężczyzn z domu w Wokingham. Kierował się na północ. Pracują nad tym teraz. Dave, masz coś więcej o golfie od sąsiadów?

- Rozmawiałem z tym Trevorem - powiedział Dave. - Jest pewien, że miał rejestrację na T. Czarny. Przyda się to do czegoś?

- Tak, dziękuję. Chyba już to mamy - powiedziała.

- Coś jeszcze, Dave? - spytał Tom, brzmiając tak, jakby chciał podkreślić atmosferę.

Dave złożył krótkie sprawozdanie ze swych rozmów z Dżamilem Abdulem-Hakimem i Doris Feldman, po czym opisał rozczarowujące spotkanie z agentem wynajmu nieruchomości z Wokingham. Ten tajemniczy biały mężczyzna wyraźnie był ważny, lecz wszyscy zgodzili się, że temblak nie pomoże w jego identyfikacji. Zapewne został założony na zmyłkę, miał odwracać uwagę od twarzy jego posiadacza. Jeśli tak, to zdecydowanie spełnił swoje zadanie. Gdy Dave przerwał na chwilę, Liz zauważyła, że Michael Binding zbiera swoje papiery, aby wyjść pospiesznie. Judith szukała czegoś w torebce.

- A tego ranka miałem telefon - rzekł Dave. Coś w jego głosie kazało wszystkim zwrócić na niego uwagę. - Gdy rozmawiałem wczoraj z Trevorem, powiedział mi jedynie o samochodzie. Jednak dziś rano zadzwoniła do mnie jego żona, mówiąc, że zapamiętała coś jeszcze.

Znów przerwał, a Liz zastanawiała się, co planował. Widziała Dave'a przed spotkaniem i w żaden sposób nie zasugerował, że znalazł coś ważnego. Po co więc ten dramatyzm? Napawał się uwagą publiczności niczym aktor szykujący się do wykonania kolejnego ukłonu. To było zupełnie nie w stylu Dave'a.

Rozejrzała się po pokoju. Binding, Judith Spratt, Rose Love, Reggie Purvis i jeden z jego asystentów z A4, Tom Dartmouth u szczytu stołu oraz oczywiście sama Liz. Na kim Dave chciał zrobić wrażenie?

- Pani Dawnton mówi, że kilka tygodni temu widziała, jak ktoś odwiedził terrorystów. Był to biały mężczyzna. Przyszedł nocą, ale dobrze mu się przyjrzała, bo fotokomórka uruchomiła światło nad drzwiami Dawntonów. Uważa, że zdołałaby go zidentyfikować, gdyby znów go ujrzała. Jadę więc do niej po południu, aby z nią porozmawiać.

Nikt nie powiedział ani słowa. Zapadła taka cisza, że Liz usłyszała szum jarzeniówki.

- Dobrze - powiedział w końcu Tom. - Informuj nas.



Dlaczego nie zabrałam okularów przeciwsłonecznych? - pomyślała Liz, po czym uświadomiła sobie, że po dwóch dniach nieustannego deszczu perspektywa porządnej pogody wydawała się dość odległa. A jednak, na swój nieśmiały, niepewny sposób zbliżało się lato i gdy wyjeżdżała z Londynu autostradą M3, niebo oczyściło się, a opadające słońce zaświeciło jej prosto w oczy.

Czuła się ponuro. Odważny ton matki przez telefon automatycznie dawał powód do niepokoju, ponieważ Liz wiedziała, że w jej pokoleniu im zacieklej się zaprzeczało, tym poważniejszy musiał być problem. W pracy nie działo się zaś nic takiego, co pomogłoby jej odwrócić uwagę. Morderstwo O'Phelana zupełnie zatrzymało jej śledztwo w sprawie kreta. Nie widziała przed sobą żadnej wyraźnej drogi.

Niemal dwie godziny później, gdy światło zaczęło wreszcie gasnąć, zatrzymała się na chwilę w Stockbridge. Było to ładne miasteczko w hrabstwie Hampshire, o długiej, niezwykle szerokiej głównej ulicy; spoczywające między wyglądającymi jak poduszki wzgórzami w dolinie rzeki Test. Żeby do niego dojechać, należało trochę zboczyć, lecz było ulubionym miejscem postojowym Liz.

Rozprostowała nogi i przez parę minut rozglądała się po wystawach, po czym kupiła w sklepie spożywczym pudełko truflí czekoladowych. Wiedziała, że pomimo protestów matki zjedzą połowę przed pójściem spać. Zatrzymała się, by popatrzeć na pstrąga, pływającego leniwie w głębokiej, małej sadzawce w miejscu, w którym rzeka wypływała spod High Street. Tuż obok znajdował się miejscowy sklep sieci Orvis, ekskluzywny przybytek dla wędkarzy łowiących na muchę, zatłoczony o tej porze roku entuzjastami szykującymi się do wylęgu słynnych jętek.

Jej pierwszy chłopak był zapalonym miłośnikiem wędkowania na muchę i uśmiechnęła się do wspomnień, gdy przypomniła sobie godziny spędzone na nadrzecznych randkach - czytała książkę, podczas gdy Josh delikatnie puszczał muchę

na powierzchnię czystej jak łza wody, albo kłął, gdy zaplątał żyłkę w rosnące z tyłu wierzby. Jej matka uwielbiała Josha i Liz uświadomiła sobie, że dziś zapewne zanudziłby ją na śmierć szybciej, niż działo się to wtedy.

Dlaczego zawsze, gdy jechała na spotkanie z matką myślała o mężczyznach? Zapewne dlatego, że mężczyźni - czy też, aby nie wyrażać tego zbyt abstrakcyjnie - mąż - wydawali się głównym powodem troski matki o córkę.

Liz nie mogła matce zbyt wiele mówić o swej pracy, jednak wiedziała, że nawet gdyby miała zwyczajniejszy fach, matka bardziej byłaby zainteresowana tym, co uważała za ważne pytania: Czy spotykasz się z kimś? Czy chcesz za niego wyjść? Nie chcesz rodziny?

Na razie nic z tego, pomyślała Liz, wiedząc, że te pytania pojawią się zapewne i w ten weekend, zwłaszcza, że matka szła do szpitala. Wyjeżdżając ze Stockbridge, przyznała przed samą sobą, że owszem, na pewno byłoby miło wyjść za mąż. I mieć rodzinę. Ale nie za wszelką cenę. I nie, przynajmniej na jakiś czas, jeśli miałyby to oznaczać rezygnację z pracy, którą kochała.

Pół godziny później Liz dojechała do Bowerbridge i do ośmiokątneho domku w stróżówce, w którym wciąż mieszkała jej matka. Był oddalony od ulicy, stał za murem z rdzawej cegły, biegnącym wokół tego, co dawniej było dużą posiadłością.

Jej ojciec zarządzał tą posiadłością przez ponad trzydzieści lat i Liz dorastała tam. Po jego śmierci matka Liz została w domku i w zeszłym roku wykupiła akt własności - w zasadzie niepotrzebnie, ponieważ dawny właściciel sam nalegał, by mieszkała tam do końca swych dni bez konieczności płacenia czynszu. Jednak za tym zakupem kryła się jej niewypowiedziana nadzieja, że być może kiedyś Liz również się tam wprowadzi. Dołączy do niej w centrum ogrodniczym, spotka mężczyznę, wyjdzie za niego, urodzi dzieci, ustatkuje się. Liz bez przerwy słyszała w myślach ważne pytania matki.

Reszta posiadłości została sprzedana, a „duży dom” - przepiękną georgiańską stertę kremowego kamienia - przerobiono na mieszkania i znajdujące się na parterze biura centrum ogrodniczego, zajmującego teraz dawny ogród kuchenny. Matka Liz pracowała tam na niepełny etat. Nie byłaby sobą, gdyby nie brała na siebie coraz większej ilości obowiązków, tak więc teraz prowadziła cały interes, będąc w wieku, w którym większość osób myślałaby już o emeryturze. Otrząsnąwszy się z katastrofy, jaką była dla niej śmierć męża, rozpoczęła zupełnie nowe życie, które jej się wyraźnie

podobało. Właśnie dlatego poważna choroba wydawała się teraz Liz wyjątkowo okrutnie wymierzonym ciosem.

Liz zaparkowała, wysiadła i stanęła na żwirowym podjeździe, przystosowując oczy do zmroku. W centrum ogrodniczym wciąż paliły się światła, ponieważ wiosną i latem było otwarte do późna. Miała nadzieję, że matka wyszła już z pracy i poczuła ulgę, gdy znalazła ją w kuchni, czekającą, aż zagotuje się woda w czajniku.

- Witaj, kochanie - powiedziała matka. - Nie spodziewałam się ciebie tak szybko.

- Nie było zbyt dużego ruchu - odparła z werwą Liz. Nie chciała mówić matce, że za błogosławieństwem Wetherby'ego zerwała się wcześniej, by dojechać o rozsądnej porze.

- Właśnie myślałam o naszej kolacji - rzekła matka, wskazując na kuchenkę. Na stole stała otwarta puszka, lecz Liz uświadomiła sobie, że to dla Purdeya, długowłosego białego kota, którego matka kupiła przed rokiem i bardzo na niego chuchała.

- Pozwól mi to zrobić - powiedziała Liz. Nietypowo dla siebie, matka nie sprzeciwiła się i usiadła przy kuchennym stole, zaś Liz nakarmiła Purdeya, a potem zrobiła jajecznicę i tosty. Gdy jadły, Liz unikała wszelkich wzmianek o jutrzejszym zabiegu, wyczuwając wolę matki. Rozmawiaj o rzeczach błahych, powiedziała sobie Liz. Po raz pierwszy matka wydawała się jej krucha i delikatna. I bardziej przerażona, niż kiedykolwiek by przyznała. Gdy nadszedł czas, by położyć się spać, Liz zdała sobie sprawę, że nawet nie tknęły trufli.

Następnego dnia po lunchu Liz zabrała matkę do szpitala. Lekarze postanowili zostawić ją na noc.

- Na wszelki wypadek - wyjaśnili, a Liz nie zamierzała się spierać.

Zabieg miał miejsce o trzeciej i odbywał się pod znieczuleniem miejscowym. O czwartej matka znalazła się z powrotem na oddziale, choć była otępiąła po znieczuleniu i po zastrzyku przeciwbólowym, jaki zaordynował jej lekarz. Liz została pół godziny, po czym zostawiła mamę, by mogła odpocząć i wróciła do domu, aby nakarmić Purdeya.

Otwierała właśnie puszkę w kuchni, gdy usłyszała, jak po drugiej stronie domu na żwirze zatrzymuje się samochód. Przeszła do salonu i ujrzała mężczyznę wychodzącego powoli z nisko zawieszzonego, sportowego modelu. Był wysoki,

barczysty i odziany w elegancki codzienny strój - zamszowe buty, kaszmirowy sweter i granatowe sztruksy z wyraźnymi kantami.

Uświadomiła sobie, że to Tom Dartmouth.

Zupełnie zapomniała, że powiedziała mu, iż w ten weekend będzie u matki, oraz o tym, że czystym zbiegiem okoliczności Tom ma przyjechać do mieszkających niedaleko przyjaciół. Dlaczego najpierw nie zadzwonił? - pomyślała ze zdenerwowaniem, aż nazbyt świadoma, że nie wyglądała najlepiej w tenisówkach i szarej koszulce. Następnie zdała sobie sprawę, że zapewne dzwonił, gdy była wraz z matką w szpitalu.

Otworzyła rzadko używane drzwi frontowe i wyszła mu na spotkanie.

- Tom - powiedziała. - Właśnie wróciłam.

- A więc dobrze wymierzyłem - rzekł, idąc przez podjazd. - Co to za hałas? - spytał nagle. Z drugiej strony domu dobiegało ti-czer, ti-czer, ti-czer, przypominające metaliczne odgłosy starej maszyny do pisania.

- Sikorki modre - odpowiedziała. - Zwykle jest ich mnóstwo w naszym ostrokrzewie. - Liz stała przez chwilę, słuchając, póki nie wyczuła zniecierpliwienia Toma i nie przypomniała sobie o dobrych manierach. - Wejdz do środka - rzekła, po czym skierowała go do salonu, w którym było schludniej niż w kuchni. - Podać ci coś? Filiżankę herbaty?

Tom spojrzał demonstracyjnie na zegarek.

- Już po szóstej - oznajmił. - Nie pogardziłbym czymś mocniejszym.

Liz popatrzyła z niepokojem na tacę z alkoholem. Jej matka była beznadziejna, jeśli chodzi o uzupełnianie zapasów.

- Jest jakaś whisky - powiedziała, wskazując na wpół opróżnioną butelkę Famous Grouse. Było też trochę wytrawnego sherry, stwierdziła z ulgą, choć nie była pewna, jak dawno zostało otwarte, a także ulubiony trunek matki - Stones Ginger Wine.

- A gin? - spytał z nadzieją Tom.

- Zaraz zobaczę - powiedziała bez optymizmu.

W spiżarni znalazła antyczną butelkę Gordon's, w której zostało akurat na jeden gin z tonikiem. Miała nadzieję, że Tom nie zamierzał zostać długo. Znalazła też lód, choć nie było cytryny, a także paczkę średnio świeżych paluszków serowych, i zanosła to wszystko na tacy do salonu. Tom stał przy drzwiach balkonowych.

- Piękny ogród - oznajmił. - Czy ktoś go dla niej pielęgnuje?

- A gdzieżby - powiedziała trochę ostro Liz. - Matka nawet mi nie pozwala sobie pomóc.

- Jak ona się czuje? - spytał. - Mówiłaś, że miała pójść na jakieś badania. Kiedy wyjdzie?

- Jutro. Wtedy będziemy wiedzieć.

Tom chyba wyczuł, zresztą słusznie, że nie chciała o tym rozmawiać, ponieważ wskazał na ogród, mówiąc:

- To piękne miejsce. Od dawna tu mieszka?

- Trzydzieści lat - powiedziała Liz, podając mu drinka. Sobie nalała szklanek toniku bez ginu. - Dorastałam tu - dodała. - Mój ojciec opiekował się posiadłością.

Tom podszedł i usiadł w dużym, głębokim fotelu, w którym matka Liz spędzała wieczory, robiąc na drutach, czytając lub oglądając telewizję.

- Zdrówko - powiedział, unosząc szklanekę. Napił się, po czym odstawił naczynie i rozsiadł się wygodniej.

- Zdrówko - odparła z kanapy Liz, zaczynając dostrzegać, jak bardzo jest zmęczona. Połączenie bezustannych myśli o matce i troski o nią okazywało się wyczerpujące.

- Przyjemny kontrast z Thames House - rzekł Tom.

- To miła część Wiltshire - zgodziła się Liz. - Gdzie się zatrzymałeś?

- Moi przyjaciele mieszkają jakieś dziesięć mil na zachód stąd. Kawałek od drogi do Blandford.

- Jak nazywa się ich wioska? Tom wzruszył ramionami.

- Mają gospodarstwo i obawiam się, że nie zwracałem zbytnej uwagi na otoczenie. Chyba mówili, że wioska jest w zasięgu marszu, ale nie zapamiętałem jej nazwy. - Zachichotał. - Cieszyłem się po prostu, że znalazłem się w miejscu, w którym nie dzwoni cały czas telefon.

- Chyba musiałeś mieć niezły kołowrót przez te kilka ostatnich tygodni.

- Można tak powiedzieć - rzekł Tom, wypijając długi łyk ze swej szklanki. - Wciąż mam. Na weekend przekazałem dowodzenie Judith. A co u ciebie?

- Zajęta - odparła.

- Robisz coś dla Wetherby'ego, prawda? - Gdy skinęła jedynie w odpowiedzi, dodał: - Przepraszam, nie chciałem być wścibski.

Wzruszyła ramionami, starając się nie wyglądać na nadętą. Nagle pomyślała, że skoro mieli rozmawiać o pracy, mogła wykorzystać okazję.

- Powiedz mi - rzekła - w końcu byłeś w Oxfordzie. Czy natknąłeś się tam kiedyś na wykładowcę o nazwisku O'Phelan? Irlandczyk.

Tom podniósł szklanę i popatrzył na nią z zainteresowaniem.

- Chodzi ci o tego faceta, który został zamordowany? Zaledwie kilka dni temu. Widziałem w gazetach.

- Ten sam. Miałam się z nim zobaczyć w jednej sprawie. Ale teraz... - Pozwoliła, by wniosek pozostał niewypowiedziany. Postanowiła nie wspominać o wcześniejszej wizycie u O'Phelana, ponieważ nie chciała wpływać na wspomnienia Toma własną opinią na temat tego człowieka.

- Tak się składa, że owszem - powiedział Tom. - Cóż, może nie tyle znałem, co raczej po prostu go kojarzyłem. Postać o nie najlepszej sławie.

- Naprawdę? Czemu?

Tom uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem.

- O'Phelan był kimś, kogo specjaliści od nekrologów nazywają zatwardziałym kawalerem. Każdy ma oczywiście prawo do własnych upodobań, ale on czasami dość drapieźnie podchodził do niektórych studentów. Mój dobry kumpel uczył się u niego i było to dla niego dobre na pierwszym roku, bo O'Phelan zachowywał się tak, jakby mój przyjaciel miał wielkie uzdolnienia akademickie. I nagle pewnego dnia, w środku dyżuru, O'Phelan zamknął drzwi i rzucił się na niego. Mój przyjaciel musiał sobie dosłownie wywalczyć drogę wyjścia. - Tom uśmiechnął się lekko na to wspomnienie. - Na szczęście grał w rugby, nie miał więc zbytnich problemów z uniknięciem jego chwytu. Musiał jednak znaleźć nowego promotora.

- Jak nazywał się ten twój przyjaciel?

Tom wyglądał na zaskoczonego tym pytaniem. Nie miało to oczywiście znaczenia, ale lubiła poznawać nazwiska. Pomagało jej to zapamiętywać czyjeś opowieści.

- Clapton - powiedział powoli. - Philip Clapton. A czemu pytasz?

Liz wzruszyła niewinnie ramionami.

- Nie wiem. Chyba z czystej ciekawości. - Uśmiechnęła się ujmująco. - A tak w ogóle, to pokazałeś zupełnie nową stronę O'Phelana. Słyszałam, że był zagorzałym republikaninem.

Tom popatrzył bez wyrazu na Liz.

- O'Phelan? Zaskakujesz mnie.

- Myślałam, że zawsze miał silne nacjonalistyczne poglądy. Nawet w Oxfordzie.

- Może i miał - rzekł Tom. - Nie natknąłem się nigdy na coś takiego. Co to? - spytał nagle, otrzepując spodnie, od kolan w dół pokryte białymi włosami.

- Przepraszam - powiedziała Liz. - Purdey musiał się o ciebie otrzeć. Lubi mężczyzn.

- Paskudne kocisko - rzekł Tom, wciąż zdejmując sierść z granatowych spodni. Popatrzył pogodnie na Liz. - Słuchaj, mam pomysł. Ostatnią rzeczą, jakiej dziś potrzebujesz, to gotować dla siebie. Może pozwolisz zaprosić się na kolację? W Salisbury jest hotel, który podobno ma bardzo dobrą restaurację. To będzie dla mnie przyjemność.

Wiedziała, że to zaplanował, lecz była to ostatnia rzecz, jakiej pragnęła. W tym momencie nie miała ochoty jeść niczego bardziej skomplikowanego czy większego niż talerz zupy. Nie była w stanie znieść myśli o trzydaniowej kolacji.

- To naprawdę miłe z twojej strony - rzekła - ale będę musiała odmówić.

Tom nie miał zamiaru przyjąć odmowy.

- No chodź - powiedział. - Będzie wesoło. Musisz się zrelaksować. Pomyśleć o czymś innym.

Zmusiła się do uśmiechu, lecz potrząsnęła głową.

- Nie byłabym dobrym towarzyszem. Zresztą muszę być w pobliżu telefonu. Tak na wszelki wypadek.

- Zabierz komórkę - nalegał Tom. - Możemy zadzwonić do szpitala i podać im twój numer.

- Być może innym razem - Liz rzekła z lekką nutą stanowczości w głosie.

Wyglądało na to, że Tom wreszcie zrozumiał aluzję.

- Będę cię trzymał za słowo - powiedział. Zerknął na zegarek. - Robi się późno - oznajmił. - Lepiej już pójdę.

Po tym jak wyszedł, Liz przemyślała sobie ich rozmowę. Lepiej zadzwonię do Jimmy'ego Fergusa, uznała, i wskażę mu odpowiedni kierunek. Choć jeśli tajemnicą stojącą za śmiercią O'Phelana był seks, to dlaczego został zabity w swoim pokoju w college'u, a nie w domu? I dlaczego rano?

Poszła do kuchni, postawiła na kuchence zupę i włożyła kawałek chleba do tosterka. Dorzuci jeszcze do tego kieliszek wina i będzie miło. Szkoda, że Tom był taki natarczywy. Czowała, że zachowała się niewdzięcznie i niegrzecznie, choć przeważała w niej radość z faktu, że została sama i czeka ją spokojny wieczór. Z chęcią zjadłaby z nim kolację, ale w Londynie, pomyślała, a nie tutaj, gdy martwię się o matkę.

Nigdy nie spotykała się z kolegą z pracy, mieszanie spraw zawodowych i przyjemności wydawało się zaproszeniem do kłopotów. Zresztą, umawianie się z mężczyznami spoza Służby wcale nie było łatwiejsze. Albo byli żonaci, pomyślała Liz, albo zbyt wścibscy co do jej pracy - czasem jedno i drugie naraz. Szczególnie ci ciekawscy stanowili problem, ponieważ nigdy nie dawało się zaspokoić ich naturalnego zainteresowania jej pracą - Liz nigdy nie była w stanie odpowiedzieć szczerze na pytanie „Jak minął ci dzień, kochanie?”, chyba, że partner pracowałby w tym samym fachu. Być może tłumaczyło to podejście Służby do tematu wewnętrznych romansów. Nie zachęcano do nich otwarcie, ale nie były też zabronione.

Czy rozwiązaniem była perspektywa randki z Tomem? Przynajmniej mogliby rozmawiać swobodnie -gdyby na kogoś narzekała, od razu wiedziałby, o kim mówiła. Nagle Liz zaśmiała się z samej siebie - pozwoliła ponieść się wyobraźni, rozciągając niepewne zaproszenie na kolację w rozbuchany romans. A jednak intencje Toma wydawały się dość wyraźne, nieprawdaż?

Liz nie była pewna, czy perspektywa Toma Dartmoutha jako zalotnika była kusząca, czy niepokojąca. Na pewno nie wydawał się zbyt przejmować jej sytuacją w ten weekend. Czy naprawdę myślał, że zechce wyjść z nim wieczorem, podczas gdy matka leżała w szpitalu, czekając na wyniki? Tom mógł być najlepszym studentem na roku, pomyślała z pewną cierpkością Liz, lecz okropnie wolno reagował na jej aluzje. I niegrzecznie zachował się w kwestii kota. Roześmiała się na myśl o Purdeyu, zostawiającym sierść na nieskazitelnych spodniach Toma.



Rozmawiałem już z pani matką, zna, więc sytuację - oznajmił lekarz specjalista, siwiejący mężczyzna w okularach leczniczych i o szorstkich manierach. - Jej guz jest złośliwy.

Mam nadzieję, że w jej przypadku byłeś delikatniejszy, pomyślała z furią Liz, choć wiedziała, że bardziej wzburzyły ją wieści, niż sposób ich przekazania.

- I co będzie dalej? - spytała, wiedząc, że nawet gdyby zachowywał się jak lekarz z serialu „Ostry dyżur”, jej matka byłaby w zbyt wielkim szoku, aby to wszystko do niej dotarło.

Liz musiała skoncentrować się z całych sił, gdy lekarz zaczął beznamiętnie mówić o całym programie. Operacja mająca na celu usunięcie guza, chemioterapia, jeśli zostaną odkryte przerzuty, później naświetlanie, być może także leczenie farmakologiczne. A wszystko to, pomyślała z rozpaczą Liz, dla kobiety, która nie chciała połknąć nawet aspiryny.

Gdy lekarz skończył i poszedł zajrzeć do pacjentki, Liz uznała, że zrozumiała wszystko, pomimo uczucia mdłości, które wydawało się pogarszać za każdym razem, gdy przypominała sobie, że nie jest to sen ani serial telewizyjny, lecz naga prawda na temat raka jej matki.



Peggy była w optymistycznym nastroju, gdy wczesnym rankiem w poniedziałek Liz spotkała się z nią na kawie w pokoju konferencyjnym.

- Miałaś porozmawiać z Judith Spratt o jej sytuacji rodzinnej.

- Tak - powiedziała Liz, choć przerażała ją myśl o rozmowie z Judith.

Były w końcu przyjaciółkami i nie chciała wypytywać jej o życie osobiste.

- Chyba dowiedziałam się, dlaczego on już tam nie mieszka. W Google Alert miałam wpisane jego nazwisko i tego ranka dostałam wiadomość. Jest artykuł w dzisiejszym Financial Timesie.

Peggy przesunęła w stronę Liz wycinek z gazety i mówiła dalej, podczas gdy Liz przeglądała szybko tekst.

- Najwyraźniej Urząd Uczciwego Handlu²¹ sprawdza Ravięgo Singha i jego współnika w sprawie wewnętrzne go obrotu udziałami. Ale to nie wszystko. Zawiadomiono Urząd ds. Zwalczania Nadużyć²², ponieważ sądzą, że Ravi i ten drugi gość mogli być zaangażowani w przekręt dotyczący fałszowania tożsamości przy użyciu numerów kart kredytowych innych osób. Liz wskazała na wycinek.

- Tutaj piszą, że niektórzy pokrzywdzeni są Amerykanami, więc sprawą interesuje się FBI. Możliwe, że będą żądać ekstradycji.

Tam będzie im znacznie gorzej. Oddała Peggy wycinek.

- To straszne - oznajmiła.

A w myślach spytała samą siebie, co właściwie miała powiedzieć Judith?

Nie chodziło tylko o to, że były przyjaciółkami. W przeciągu ostatniej dekady, gdy obie przekroczyły trzydziestkę, Judith stała się dla Liz uosobieniem kobiety, która ma wszystko - udaną karierę, szczęśliwe małżeństwo, kochane dziecko. Wszyscy wiedzieli, że ciężko było to wszystko zrównoważyć, jednak Judith wydawała się radzić

²¹ OFT (Office of Fair Trade) - Urząd Uczciwego Handlu, brytyjska instytucja zajmująca się ochroną konsumentów i przestrzeganiem prawa konkurencji (przyp. tłum.).

²² SFO (Serious Fraud Office) - Urząd ds. Zwalczania Nadużyć, brytyjska instytucja odpowiedzialna za badanie i ściganie poważnych nadużyć finansowych (przyp. tłum.).

sobie z tym z taką gracją, że Liz wbrew sobie ją podziwiała. Zwykle trudno by jej było lubić takie ucieleśnienie zalet, jednak Judith robiła wszystko bezbłędnie, nigdy nie uważała, że coś jej się po prostu należy, a poza tym miała diabelskie poczucie humoru.

W ostatnich latach Liz była kilka razy na kolacji w jej domu w Fulham. Były to miłe okazje, nieoficjalne i luźne. Tym, co zawsze uderzało Liz, była spokojna skuteczność, z jaką Judith prowadziła dom. Ravi pomagał, lecz spędzał długie godziny w pracy w City, więc większość obowiązków spadała na Judith. Była to prawdziwa żonglerka: skończyć kolację, podać gościom drinki i jednocześnie utulić córkę, Daisy, która wciąż wychodziła z łóżka, by przychodzić do gości. A Judith nigdy nie dawała się wyprowadzić z równowagi. Gdyby ktoś niespodziewanie odwiedził mieszkanie Liz w Kentish Town, znalazłby tam teraz dwa prześcieradła rozłożone do wyschnięcia na krzesłach w salonie, wraz z trzema parami rajstop i kilkoma sztukami bielizny - wszystko to dzięki temu, że Liz wciąż nie udawało się umówić z mechanikiem, który naprawiłby jej suszarkę bębnową.

Przez cały ranek Judith była nieosiągalna pod telefonem, ale w porze lunchu Liz znalazła ją siedzącą samotnie przy stoliku w dalekim kącie kafeterii w Thames House. Jej mina mówiła wyraźnie, że nie życzy sobie towarzystwa. Liz dołączyła do niej, przesuwając tacę po stole i siadając naprzeciwko niej.

- Widzę, że tobie też nie przypasowała bolońska - powiedziała lekko Liz, wskazując na ich sałatki.

Judith zmusiła się do słabego uśmiechu. Wygląda straszliwie, pomyślała Liz. Judith była zwykle uosobieniem elegancji. W przeciwieństwie do Liz, nigdy nie prezentowała się tak, jakby jej ubrania spędziły noc na krześle. Choć ubierała się konserwatywnie, w staranny sposób dokonywała zakupów odzieżowych, kierując się jakością i stylem. Teraz wyglądała bezbarwnie.

- Szukałam cię - rzekła Liz.

Judith podniosła łagodny, pozbawiony zainteresowania wzrok. Spinała włosy do tyłu, co zwykle podkreślało jej ostre, mocne rysy. Dziś, pomimo grubego makijażu, akcentowały jedynie jej ściągniętą twarz.

- Nic nie mówiłam, bo nie było potrzeby. Wiesz jednak o ponownej weryfikacji, jaką nakazała komisja bezpieczeństwa?

- Tak - odparła Judith.

Liz uznała, że zabrzmiało to dość ostrożnie.

- Cóż, przypadło mi do przeprowadzenia kilka z nich. Miałam pecha i wyciągnęłam najkrótszą słomkę. To dlatego często mnie ostatnio nie było, jeśli zauważyłaś.

Judith nic nie odpowiedziała, czekała jedynie, aż Liz znów zacznie mówić.

- To w dużej mierze robota papierkowa i nie muszę rozmawiać z ludźmi...

- Chyba, że... - rzuciła beznamiętnie Judith.

- Chyba, że... - powiedziała z lekką zawziętością Liz, żałując, że przyjaciółka nie chce jej tego ułatwić -... wystąpi jakaś niezgodność. Coś, co trzeba będzie wyjaśnić.

- I chcesz dowiedzieć się czegoś o Ravim?

Jej głos był płaski, pozbawiony wyrazu. Sprawiał, że Liz czuła się tak, jakby prześladowała przyjaciółkę, lecz wiedziała, że nie ma wyboru.

- Cóż, to jest w papierach. Czy on wciąż z tobą mieszka?

- Nie, odszedł przed Bożym Narodzeniem. - I nie powiedziała nawet słowa, pomyślała Liz. - Ja wciąż tam mieszkam - rzekła defensywnym tonem Judith, dziobiąc widelcem w sałatce.

- Wiem - odparła Liz. - Ale mamy obowiązek informować Wydział B, jeśli zmieniają się okoliczności. Wiesz o tym, Judith - powiedziała najłagodniej, jak umiała.

Po raz pierwszy w głosie Judith pokazało się ożywienie.

- Zmieniają się okoliczności? - spytała z sarkazmem. - Możesz to powtórzyć? Mówisz, że widziałaś papiery. To znaczy, że twoja rozmowa ze mną nie jest zbiegiem okoliczności, prawda?

- Nie - przyznała Liz. - Nie jest. Choć i tak musiałabym z tobą porozmawiać.

- Ile jeszcze osób weryfikujesz?

- Sporo - rzekła Liz. Z chęcią pozwoliła Judith wymigać się od odpowiedzi, bo miała nadzieję, że przejdą wreszcie do rzeczy. - Najpierw robię ludzi z Oxbridge. Kilku było z tobą. - Judith nie odpowiedziała, więc Liz ciągnęła dalej: - Przyjaźniłaś się z kimś z nich?

- Na przykład z kim? - spytała.

- Był tam Patrick Dobson.

- Naprawdę?

Jeden mniej, pomyślała Liz.

- Nieważne. Michael Binding też był w Oxfordzie.

- I nigdy nie przestaje mi tego powtarzać - rzekła kwaśno Judith. Liz wiedziała, że ją również irytowało protekcyjne traktowanie koleżanek przez Bindinga. - Kiedy chce wykazać swą intelektualną wyższość, zawsze mówi - i tu Judith zaczęła naśladować basowy głos Bindinga - „Kiedy byłem w Oxfordzie... „. Zupełnie, jakbym ja sama tam nie była i jakby miało to jakieś znaczenie. Jeśli jego też musisz przesłuchać, proszę cię o przysługę.

- Co takiego?

- Udaj, że sądzisz, iż jego college'em była św. Hilda. To jedyny zupełnie kobiecy college. Będzie zawstydzony.

Liz uśmiechnęła się na myśl o wściekłości Bindinga. Po chwili spytała:

- A co z Tomem Dartmouthem? Był tam w tym samym czasie.

Judith skinęła głową, ale nic nie powiedziała.

- Znałaś go więc? - ponagliła ją Liz.

- Nie. Choć wiedziałam kto to.

- A to czemu?

Judith uśmiechnęła się konspiracyjnie.

- A ty nie znałaś nazwisk najprzystojniejszych chłopaków w college'u?

Liz roześmiała się.

- Na pamięć - odparła, lecz wróciła do pytań: - Ale nie znałaś go?

- Nie - odrzekła po prostu Judith. - Jakkolwiek mocno bym tego chciała. Choć nie mogę powiedzieć, że teraz go tak naprawdę znam. Jest dość tajemniczy. Co zabawne, kilka miesięcy temu widziałam jego żonę.

- Nie są rozwiedzeni?

- Są. - Westchnęła, zapewne porównując to z własnym strzaskanym związkiem.

- Jest Izraelitką i to absolutnie olśniewającą. Jej ojciec był generałem sił powietrznych w wojnie siedmiodniowej.

- Sądziłam, że mieszka w Izraelu.

Judith wzruszyła ramionami.

- Może przyjechała z wizytą. Widziałam ją w dziale jedzeniowym u Harrodsa, jakbyśmy nie mogły na siebie trafić w innym miejscu. Pomachałam jej, ale nie odpowiedziała. Może mnie nie poznała. Spotkałam ją tylko raz czy dwa i to przed laty.

Czas wrócić do rzeczy, pomyślała Liz.

- Rozmawiałaś z Ravim? - spytała z wahaniem.

Judith potrząsnęła głową.

- Od tygodni nie. Teraz porozumiewamy się wyłącznie poprzez prawników. Nie przychodzi nawet po to, by zobaczyć się z Daisy. Było to niesłychanie bolesne, ale po dzisiejszych informacjach zastanawiam się, czy nie próbował po prostu nas oszczędzić.

- A więc dopiero teraz dowiedziałas się o jego problemach? - Dotąd Liz przyjmowała, że to zapewne przez te „problemy” został przez nią wyrzucony z domu.

- Tak - rzekła Judith.

Popatrzyła na Liz, najpierw pytająco, a potem z całkowitym niedowierzaniem.

- Nie sądzisz chyba, że miałam z nimi coś wspólnego?

- Nie sądzę. - Za dobrze znała Judith, by wątpić w jej szczerłość. - Ale jestem pewna, że będą chcieli porozmawiać o tym z tobą.

- Kto, Wydział B?

- Cóż, tak, ale bardziej miałam na myśli tych od nadużyć.

- Chętnie - powiedziała Judith. - Powiem im wszystko, co wiem. A więc zupełnie nic. Zero. Nul. Nic... - Wyglądała tak, jakby znalazła się nagle na skraju historycznego wybuchu, więc Liz wyciągnęła rękę i położyła jej dłoń na przedramieniu.

- Spokojnie - rzekła łagodnym głosem.

Judith natychmiast przestała mówić i kiwała głową, opuszczając brodę. Liz bała się, że Judith zacznie płakać. Było takie ryzyko, lecz przyjaciółka zebrała się w sobie. Odłożyła widelec i popatrzyła na Liz.

- Co się teraz stanie? - spytała. - Dostanę dyscyplinarkę?

- To nie ode mnie zależy - powiedziała Liz, ciesząc się, że właśnie tak jest. - Nie sądzę, by to był wielki problem. W końcu to nie jest tak, jakbyśmy nie mogli się z tobą skontaktować. Przy odrobinie szczęścia umieszczą po prostu notkę w twoich aktach.

- Naganę - rzekła Judith.

- Nie sądzę. To będzie raczej coś w rodzaju klapsa.

Judith uśmiechnęła się lekko.

- Rzecz w tym, Liz, że wiem, jak to wygląda. Ludzie albo będą myśleć: „dlaczego nie została przy mężu, gdy wpadł w kłopoty”, albo też: „nic dziwnego, że go wyrzuciła, ten facet to oszust”.

- Możliwe - powiedziała Liz, nie wiedząc, co Judith stara się przekazać.

- Nie rozumiesz? - po raz pierwszy w głosie Judith pojawiła się pasja. - Ja go nie wyrzuciłam. Zostawił mnie. - Liz starała się nie okazać po sobie zaskoczenia,

podczas gdy Judith zebrała sztucce i położyła je schludnie na talerzu, po czym złożyła chusteczkę. Zupełnie jakby pedantyczna dbałość o błahe szczegóły pozwalała jej odzyskać kontrolę nad emocjami. - Posłuchaj, Liz, moim mężem jest ktoś, kto już mnie nie kocha. A dzisiaj odkryłam, że jest oszustem. Ale wiesz, co w tym wszystkim jest najstraszniejsze?

Załamal jej się głos i tym razem Liz sądziła, że naprawdę się rozklei. Czuła się bezradna, widząc rozpacz przyjaciółki. Jednak Judith znów zdołała zebrać się w sobie.

- To, że nieważne, czy jest oszustem, czy nie, chciałabym, żeby do mnie wrócił. Czy to nie żalosne?



Zamierzał pozbyć się samochodu, a po części chciał także pozbyć się Raszida. Głupek! - Baszir myślał z furją, gdy opuszczali Wokingham i ruszali M4 na zachód. Tak późną nocą droga była niemal pusta, oświetlona sierpowatym księżycem wiszącym niczym brosza na bezchmurnym niebie. Raszid był głupi ponad wszelkie wyobrażenie. Po sposobie, w jaki siedział rozparty w półśnie na siedzeniu pasażera widać było, że był zupełnie nieświadomy, do jakich kłopotów doprowadził. Siedzący z tyłu Khaled również spał.

Pragnienie, by usunąć Raszida minęło, był przecież potrzebny. Jednak gniew pozostał. Nie umniejszała go konieczność ukrywania się i siedzenia cały dzień we wnętrzu. Mieszkali w małym domku na przedmieściach Didcot, w nowo wybudowanych tanich budynkach biegnących po obrzeżu pola golfowego. Podobnie jak wszyscy sąsiedzi, cieszyli się dobrym widokiem na pobliską elektrownię i jej odrażające chłodnie kominowe.

Jednak pomimo ponurego otoczenia, domek był wyposażony w garaż, do którego Baszir wstawił golfa, zamieniając go z białą furgonetką, którą zaparkował na ulicy.

Ale samochód będzie musiał zniknąć. Musieli popracować nad furgonetką i to w garażu, z dala od ciekawskich spojrzeń.

W kolejnych dniach Baszir trzymał się blisko Raszida, nie ufając mu teraz nawet na tyle, by pozwolić na choćby najkrótszy samotny spacer. Jednak konieczność pozostawania przez cały dzień w domu stawała się coraz bardziej uciążliwa dla całej trójki. Nie mieli nic do roboty. Posiłki, modły i Koran, tak wyglądało całe ich życie.

Baszir miał wykonaną w dużej skali mapę sztabową okolicy i całe jedno popołudnie spędził, przeszukując niezamieszkałe tereny na zachód od ich domu. Pewnego wieczoru wyjechał, gdy wciąż było jasno, ponieważ obawiał się, że w ciemnościach nie zdoła znaleźć odpowiedniego miejsca. Wydał Raszidowi i Khaledowi stanowczy zakaz opuszczania domu pod jakimkolwiek pozorem, choć tak naprawdę

chodziło mu tylko o Raszida. Telefon stacjonarny był odłączony, zaś feralną komórkę Raszida zniszczył, zanim jeszcze opuścili Wokingham. Nawet Raszid nie powinien wpaść w kolejne kłopoty, jeśli nigdzie nie pójdzie.

Zaskoczyło go, jak szybko miejski krajobraz Didcot ustąpił miejsca wiejskiej okolicy. Mijał kolejne sady, póki nie zjechał z głównej drogi do Wantage i ruszył na południe w stronę Downs, zatrzymując się od czasu do czasu na mniejszych drózkach, by spojrzeć na mapę. Przejeżdżał właśnie przez wioskę z chatami z cegły i belek, gdy z kościelnego dziedzińca wyłonił się samotny mężczyzna z terierem na smyczy. Baszir poczuł się obserwowany i starał się uspokoić - powtarzał sobie, że w Oxfordshire jest mnóstwo Azjatów.

Skreślił w wyboistą asfaltową drogę, wspinającą się zakosami na szczyt Downs. Przecinała się tutaj z Ridgeway i widział wielu turystów w szortach oraz solidnych butach, idących na zachód w kierunku Bath. Droga rozdzielała się, brukowana odnoga biegła dalej na południe, wspinając się i zjeżdżając po wzgórzach. Na prawo piaszczysta, na w pół zarośnięta dróżka skręcała do małego lasku. Wyraźnie nikt jej nie używał.

Baszir zaczął nią ostrożnie zjeżdżać, słysząc, jak trawa ociera o podwozie furgonetki, a janowce rysują karoserię. Na pierwszej małej polance zatrzymał się i zaparkował pod ogromnym bukiem.

Wysiadł, zamknął samochód i zaczął iść dalej dróżką. Po obu stronach górowały dęby skalne, zasłaniając światło słoneczne i rzucając niesamowite cienie. Baszir widział, że miejsca było ledwie tyle, by mógł tamtędy przejechać samochód. Po dwustu metrach dotarł do zakrętu, a niemal zaraz po nim do małej polanki z płytką sadzawką, gdzie dróżka się kończyła. Woda wyglądała na błotnistą i była pokryta roślinami. Nikt nie chciałby tam pływać.

Baszir wybrał w myślach miejsce obok sadzawki, w którym postawi golfa. Miną dni, może nawet tygodnie, zanim zostanie odkryty, pomyślał, a w stanie, w jakim się znajdzie, nie powie nikomu zbyt wiele. W każdym razie, niedługo nie będzie to już miało żadnego znaczenia. W tym momencie potrzebował jedynie pełnego kanistra benzyny.



Trwała wieczorna potańcówka młodych rolników, lecz Charlie Hancock nie był już młody. Był zbyt stary na tańce. Po skończeniu posiłku spędził większą część wieczoru, wypijając kolejne piwa z innymi starszymi rolnikami w wioskowym barze. Raz zatańczył z obowiązku ze swą żoną Gemmą, a potem pozwolił jej płąsać z przyjaciółkami, podczas gdy sam dyskutował z kumplami o wpływie suchej zimy na zbiory kukurydzy. Teraz żona siedziała w półśnie na siedzeniu pasażera.

O pierwszej nad ranem oboje byli już gotowi do wyjścia i choć był pewien, że tak naprawdę nie powinien prowadzić - nawet najslabszy bitter²³ wpływał przecież na poziom alkoholu - usiadł za kierownicą, ponieważ wzrok Gemmy nie spisywał się już tak dobrze w ciemnościach. Trzymając się bocznych dróg, przejechał przez wioskę East Ginge oraz feudalne ziemie posiadłości Lockinge, po czym uspokoił się, wspinając na Downs, ponieważ o tej porze nie miał zbyt wielu szans, by kogokolwiek tu spotkać, nie mówiąc już o Pandzie z policjantami pragnącymi podsunąć alkomat rolnikowi o brzuchu pełnym piwa.

Poczuł się trochę gorzej i dość mocno pilił go pęcherz, tak więc choć wiedział, że ma już mniej niż dziesięć minut drogi do swego gospodarstwa, zatrzymał się na szczycie Causewell Hill, gdzie zaczynała się ślepa dróżka do Sadržawki Simtera. Gemma poruszyła się lekko, gdy wysiadł, odetchnął świeżym powietrzem i podniósł wzrok, by podziwiać Oriona na bezchmurnym niebie, zajmując się swoimi sprawami. Na dróżce ujrzał głębokie i świeże ślady opon, lecz nie przejąłby się tym - ta odizolowana ścieżynka była rajem dla kochanków - gdyby nie pociągnął nosem i nie poczuł silnego zapachu dymu. Znów powąchał, tym razem ostrożniej, i zapach stał się silniejszy. Coś się paliło.

²³ Bitter - często spotykany na Wyspach Brytyjskich gatunek piwa górnej fermentacji, zwykle beczkowego (przyp. tłum.).

Charlie nie mógł tego tak zostawić, nie było mowy. Nie była to pora wypalania ściernisk - nie w czerwcu i nie w środku nocy - zaś ogień był najgorszym koszmarem rolnika. Nie był pewien, na czyjej ziemi stoi, ponieważ Simter sprzedał ją ostatnio komuś obcemu, lecz zakładał, że ten ktoś zechce wiedzieć, iż pali mu się pole, albo co gorsze, zdecydowanie gorsze, jeśli z jakiegoś powodu zapłonęła szopa lub budynek gospodarczy.

Wrócił do samochodu i ruszył w dół ścieżki. Gemma, rozbudzona kołysaniem na nierównym podłożu, spytała go, co robi, lecz zanim zdążył odpowiedzieć, przejechali zakręt i przed sobą, tuż obok Sadržawki Simtera, ujrzeli płonący samochód. Musiał palić się już od jakiegoś czasu, bo została z niego tylko skorupa. Płomienie przygasły, choć wciąż wyskakiwały krótkimi, nieregularnymi jęzorami w chłodne nocne powietrze, rzucając jasnokarmelowy blask na powierzchnię sadzawki.

Zatrzymał się i wysiadł, by zobaczyć, czy ktoś jest w samochodzie, jednak wciąż było tak gorąco, że nie był w stanie podejść wystarczająco blisko, aby się upewnić.

- Złodzieje samochodów - powiedział do Gemmy, gdy wrócił za kierownicę. - Cholerne dzieciaki.

- Nie lepiej, żebyś zadzwonił na policję? - spytała sennie.

Westchnął. Obawiał się trochę dzwonić po tym, jak pił. Krążyło tak wiele strasznych historii o dobrych Samarytanach załatwionych na amen - jak ten kierownik pola golfowego, który zadzwonił na policję, gdy ktoś mu się tam włamał, przyjechał o trzeciej nad ranem, ponieważ go poproszono, a później zbadano go alkomatem i aresztowano.

Charlie wiedział jednak, co powinien zrobić. W końcu w samochodzie mogły być ciała. Poza tym ewentualny właściciel tej ziemi chciałby pewnie wiedzieć, że ktoś zostawił mu na środku dróżki, a następnie spalił samochód, skradziony najprawdopodobniej w Wantage lub Swindon.

Użył telefonu komórkowego Gemmy, aby zadzwonić pod 999, podał swoje nazwisko i powiedział, co widział. Gdy spytali go o markę samochodu, powiedział, by poczekał chwilkę, podszedł i sprawdził, po czym poinformował ich, że według niego to golf - czarny, choć mógł to być efekt ognia. Z rejestracją na T, dodał, ponieważ tablice nie spaliły się jeszcze.

Na szczęście po zapisaniu jego nazwiska i adresu dyspozytor powiedział mu, że może wrócić do domu, co też uczynił, jadąc wyjątkowo ostrożnie. Charlie i Gemma już niemal spali, gdy samochód patrolowy dotarł do Sadržawki Simtera. Rzadko się tak

zdarzało w przypadku skradzionych i porzuconych samochodów, ale gdy pozostający na warcie oficer dowiedział się, że chodzi o golfa z rejestracją na T, z Wantage przysłano wóz straży pożarnej.



Choć Liam O'Phelan wyrażał się pogardliwie o swym byłym uczniu, Liz nigdy nie uznałaby Michaela Bindinga za głupca. Sprzeciwiała się jego manierom, nie jego umysłowi. Najczęściej przychodziły jej na myśl słowa „protekcjonalny” i „nieprzyjazny”, choć tego poranka, gdy zagniewany Binding siedział po przeciwnej stronie stołu konferencyjnego, uznała, że bardziej pasowałoby „wrogi”. Była wdzięczna Peggy Kinsolving za obecność, choć nie mogła winić swej asystentki za to, że trzymała spuszczoną głowę i koncentrowała się na notatkach.

Binding był wysokim mężczyzną, ubranym dziś we flanelową koszulę w kratę, ciemnoszare flanelowe spodnie i niezgrabne brązowe buty do golfa. Siedział niewygodnie na krawędzi metalowego krzesła. Liz zaczęła od tego, co stało się już standardowym wytłumaczeniem wykonywanej przez nią pracy i wyjaśnieniem powodu, dla którego musiała się z nim widzieć. Ale Binding nie miał zamiaru tego zaakceptować.

- To dla mnie nowość - powiedział. - Kiedy pojawiły się te nowe wytyczne? I dlaczego nam nie powiedziano?

Liz starała się zabrzmieć nonszalancko:

- Musiałbyś zapytać Wydział B o szczegóły.

- Ach, rozumiem - rzekł Binding, drapiąc się po nadgarstku karłowatymi, poobgryzаныmi paznokciami drugiej dłoni. - Ty tylko wykonujesz rozkazy.

Uznała, że odpowiadając cierpliwością na jego chamstwo, będzie go tylko zachęcać.

- To prawda - warknęła - jak my wszyscy. - Binding otworzył szeroko błękitne oczy. Liz widziała, że nie spodobało mu się to wyzwanie. Ciągnęła dalej: - A jeden z tych rozkazów mówił, że jeśli ktoś będzie mi robił przeszkody, mam to natychmiast zgłosić. - Zauważyła, że Peggy jeszcze bardziej zapadła się w swym krześle. - Wybór należy do ciebie - oznajmiła Liz. Popatrzyła beznamiętnie na ścianę za Bindingiem, by

pokazać, jak był męczący. - Możemy wciągnąć sprawę na wyższy poziom, albo możesz odpowiedzieć mi na pytania. W każdym razie i tak wylądujesz tutaj, robiąc to samo. No więc jak będzie?

Binding oparł brodę na dłoni i wpatrywał się butnie w Liz, zastanawiając się. Westchnąwszy głośno dla wywarcia dramatycznego efektu, rzekł w końcu:

- No dobrze. O co chcesz mnie zapytać?

- Chcę porozmawiać z tobą o Liamie O'Phelanie.

- O nieżyjącym Liamie O'Phelanie? Dlaczego, do diabła, chciałabyś o nim rozmawiać?

- Napisał ci referencje, gdy ubiegałeś się o wstąpienie do Służby.

Binding wydawał się tym zaskoczony.

- Co w nich było?

- Muszę przyznać, że nie były zbyt pochlebne. Na szczęście dla ciebie, pozostałe referencje były przychylniejsze. Pojechałam zobaczyć się z nim w zeszłym tygodniu, tuż przed tym, jak został zamordowany.

Binding zmarszczył brwi i zmrużył oczy.

- Co o mnie mówił, gdy się z nim widziałaś?

- Mówił, że nie zgadzaliście się co do twojego tematu.

Binding roześmiał się głośno.

- Żeby tylko. - Potrząsnął lekceważąco głową. - Zupełnie nie o to chodziło. Ale o co ci chodzi, Liz? Poróżniłem się z moim promotorem piętnaście lat temu, więc dlatego postanowiłem go udusić? - W jego tonie pojawiła się zjadliwość. Podniósł demonstracyjnie dłonie, by ocenić, jak spisałyby się przy zabójstwie. - Czy jestem podejrzany? - spytał.

- Nie przyszłoby mi to do głowy, choć najwyraźniej jest to sprawa policji. Jak na razie uważają, że O'Phelan zapewne poderwał kogoś, kto okazał się paskudny.

- Poderwał? Do seksu? - Binding wyglądał na przerażonego.

- Tak. Był samotny. Uważa się, że był gejem. A nie był? - dodała od niechcenia.

- Zdecydowanie nie - stanowczo rzekł Binding.

Co? - pomyślała Liz. Jeśli Binding twierdził, że O'Phelan był heteroseksualistą, musiała zobaczyć jakieś dowody.

- Miał więc dużo dziewczyn?

- Tego nie powiedziałem - zripostował Binding. - Słuchaj, co mówię.

Liz zacisnęła zęby, po czym rzekła spokojnie:

- Słucham. Ale nie jestem pewna, czy pojmuję, co chcesz powiedzieć.

Binding znów westchnął, a Liz postanowiła, że nie dopuści, by ją rozzłościł. Boże, jak ja współczuję jego żonie, pomyślała. Zastanawiam się, czy ona mu na to pozwala. Zapewne nie, i to właśnie dlatego tak się zachowuje w pracy.

Nagle Binding powiedział z przerysowaną cierpliwością:

- O'Phelan nie był homoseksualistą.

- Skąd to wiesz? - spytała wyzywająco Liz.

- Ponieważ przez jakiś czas znałem go dość dobrze. - I nagle, jakby zmęczony tymi potyczkami, Binding usiadł wygodnie na krześle i zaczął mówić.

Tamtej wiosny, w pewne sobotnie popołudnie w ostatnim trymestrze, na gruntach college'u św. Antoniego w północnym Oxfordzie odbywało się przyjęcie. Zaprosił go tam jego promotor O'Phelan, który tam pracował, choć sam Binding uczęszczał do college'u Oriel.

Wcześniejszą część popołudnia Binding spędził na rzece - do wyścigów ósemek został już tylko miesiąc i na poważnie zabrał się za treningi. Wahał się, czy iść taki kawał drogi do leżącego na drugim końcu miasta św. Antoniego, zapewne tylko po to, by wypić darmowy kieliszek sikacza i zjeść parę serowych zakąsek. Uznał jednak, że tak będzie rozsądniej - jego promotor wyraźnie go zaprosił.

O'Phelan był młody, niewiele starszy niż sam Binding. Był Irlandczykiem i przebywał w Oxfordzie zaledwie od paru lat. Miał stanowisko młodszego asystenta, co zwykle nie pozwalałoby mu promować magistrantów, jednak zrobił już doktorat, a poza tym był uważany za błyskotliwego. Z tym Binding nie zamierzał dyskutować - przez pierwsze dwa trymestry uważał O'Phelana za najbardziej inspirującego nauczyciela, jakiego spotkał.

Nie oznaczało to, że zawsze się z nim zgadzał, zwłaszcza nie w temacie Irlandii, ponieważ nawet w zmienionej już atmosferze wczesnych lat dziewięćdziesiątych O'Phelan wciąż postrzegał brytyjską obecność na północy jako okupację. W ich wymianach poglądów nie brakowało jednak humoru i O'Phelan nie obrażał się. Wydawał się wręcz lubić ich słowne potyczki.

Binding był przekonany, że zasłużył sobie na szacunek O'Phelana swoją pracą, poświęconą wyjątkowej pasji jego nauczyciela: Charlesowi Parnellowi. O'Phelan bardzo entuzjastycznie podszedł do szkicu rozdziału jego pracy i zaczął namawiać go

do zrobienia doktoratu, zamiast skromniejszego stopnia podyplomowego. Po raz pierwszy Binding zaczął sądzić, że miał szanse na karierę akademicką.

- Musisz sobie uświadomić - powiedział do Liz - że nie pochodzę z wykształconej rodziny. Żadne z moich rodziców nie poszło na uniwersytet. Gdybym stał się donem, spełniłoby się marzenie, o którym nigdy nawet poważnie nie myślałem. - Liz rozumiała.

Tego ranka przejrzała na nowo jego akta. Musiał co chwilę zdobywać stypendia, póki nie dostał się na szczyt, jakim był Oxford. Tam zaś don powiedział mu, że to, co niewyobrażalne, znajduje się tak naprawdę w zasięgu jego ręki.

- W każdym razie, - ciągnął Binding, - tego ranka spieszył wzdłuż Bandury Road, dopiero co zamieniwszy przepocony strój wioślarski na sweter, nie zdając sobie sprawy, że następna godzina miała zupełnie odmienić jego życie.

Przyjęcie było dość duże - zaproszono wszystkich magistrantów i nauczycieli - a ponieważ było ciepło jak na koniec kwietnia, odbywało się na gruntach college'u, na trawniku przy głównym budynku. Nic wymyślnego, żadnych dużych namiotów - jedynie kilka stołów na kozłach, na których ustawiono butelki wina, puszki piwa i plastikowe kubki. Nie znał wielu osób, lecz dostrzegłszy w tłumie O'Phelana z kubkiem wina w ręku zaczął przedzierać się w jego stronę, by się z nim przywitać.

Nagle zauważył dziewczynę, której nigdy wcześniej nie widział. Była wysoka, miała blond włosy i olśniewającą, piękną jak u baśniowej istoty twarz. Ubrana była w różową spódniczkę o długości ledwie przekraczającej granice przyzwoitości i wydawała się bardzo pewna siebie - oraz swego wyglądu. Wpadłszy na znajomego magistranta o nazwisku Fergusson, Binding spytał go o dziewczynę i dowiedział się, że przyjechała do O'Phelana z Dublina. - Dość żwawa - dodał Fergusson, zaś obserwujący ją Binding od razu wiedział, o co mu chodziło. Dziewczyna rozmawiała bowiem z innym znanym Bindingowi studentem, przystojnym sportowcem, i wyraźnie z nim flirtowała - głaskała go po rękę, nawiązywała kontakt wzrokowy i dotykowy, który zdecydowanie wykraczał poza flirt i prowadził do krainy poważnych zamiarów.

Właśnie wtedy ujrzał reakcję O'Phelana. Stał kawałek dalej na zboczu trawnika, rozmawiając z Wardenem i jego gadatliwą żoną. Jednak co kilka sekund O'Phelan spoglądał na dziewczynę tak, jakby przyciągał go do niej magnes. Jak opętany patrzył na uwodzenie studenta. Fergusson także zauważył reakcję O'Phelana, ponieważ stwierdził cierpko:

- Liam nie wygląda na zbyt zadowolonego.

Możliwy był tylko jeden wniosek: O'Phelan zwariował na punkcie tej dziewczyny. Zaś Binding, zawstydzony wyraźną zazdrością nauczyciela, postanowił spróbować zrobić mu przysługę.

- No dobrze - przyznał się Liz. - Zapewne się podlizywałem. Ale byłem wtedy młody i chciałem wspiąć się wyżej.

Podszedł więc do dziewczyny i przedstawił się, ignorując wyraźną irytację zdenerwowanego sportsmena. Była już trochę podchmielona, więc z chęcią skierowała uwagę na Bindanga i nie minęło kilka sekund, jak zaczęła flirtować również z nim. Miała pełne życia, zielone oczy oraz kuszący uśmiech i gdyby była gościem kogoś innego niż O'Phelan, Binding odpowiedziałby na zaloty.

Nie ukrywała, że jest Irlandką i wydawała się bawić niezwykle angielskością imprezy, drażniła się wręcz z nim na ten temat.

- Pamiętasz jej imię? - przerwała mu Liz.

Binding potrząsnął głową.

- Można by tak pomyśleć, zważywszy na to, co się stało. Ale musiało wylecieć mi z głowy, zaraz gdy je podała. Cóż, wypilem parę drinków - dodał przepaszająco.

Stał tam więc z drugim kubkiem wina, coraz bardziej zaznajamiając się z dziewczyną - w pewnym momencie zapytała nawet, czy daleko stąd do jego pokoju - i niespokojnie zastanawiając się, jak najlepiej przenieść jej wyraźne zainteresowanie jego osobą na O'Phelana, i wtedy popełnił błąd.

Również zaczął się z nią drażnić, zakładając, że skoro ona to robiła, przyjmie to dobrze. Mogła sobie wygłaszać frazesy na temat konieczności zjednoczenia Irlandii, powiedział jej, ale na pewno ostatnią rzeczą, jakiej chciałaby wraz ze swymi rodakami, było odzyskanie brzemienia, jakim było sześć hrabstw Ulsteru. Czy to nie ironia, kontynuował, czując wpływ wina i coraz bardziej się rozkręcając, że tak wielu członków IRA, zaprzysięgłych wrogów państwa brytyjskiego, tak naprawdę z niego żyło? Nie mogli oderwać się od Brytanii, ponieważ paśli się z brytyjskiego koryta.

- Może nie wyraziłem tego aż w taki sposób - powiedział teraz Binding, spoglądając na Peggy Kinsolving tak, jakby dopiero teraz ją zauważył - lecz na pewno niewiele łagodniej.

Efekt był taki, jakby zapalka otarła się o draskę.

Dziewczyna stawała się coraz bardziej spięta i słuchała go z niedowierzaniem, którego nie dostrzegał, póki nie było już za późno - a wtedy ono przeszło już w furję.

Podniosła głos i rozpoczęła tyradę, nie mówiła już lekkim tonem, a jej wielkie zielone oczy zmrużyły się do wąskich szparek. Jej celem byli Anglicy: ich elitaryzm, ich rasizm, nawet sposób, w jaki edukowali swą młodzież, na przykładzie ohydneho człowieka, z którym rozmawiała. A konkretnie jego.

Binding był całkowicie zszokowany jej reakcją na to, co w zamierzeniu było przecież dowcipem, i próbował ją uspokoić. Nie chciała go jednak słuchać i dalej go znieważała. Zaczął odczuwać lekką panikę, bał się, że robią scenę i rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu pomocy, lecz nikt nie przyszedł mu na ratunek - O'Phelan wciąż nie mógł się uwolnić od Wardena i jego żony, a sportowiec uciekł w tym samym momencie, w którym dziewczyna zaatakowała Bindinga.

I wtedy coś w nim pękło. Starał się ją ułagodzić, starał się przeprosić, lecz i on wyszedł w końcu z siebie. Na pewno powiedział coś obraźliwego.

- Na pewno - rzekła Liz na tym etapie jego opowieści, ponieważ jakiś czas temu sama doświadczyła cholerycznej strony Bindinga. - Czy przypominasz sobie, co powiedziałeś?

Binding popatrzył ponuro na dzielący ich stół.

- Powiedziałem: „Nie powinnaś może wrócić na swoje torfowisko?”. Nie jestem z tego dumny - przyznał. - Ale zostałem sprowokowany.

Rozwścieczona dziewczyna podniosła nagle kubek i cisnęła mu go w twarz. Następnie wypadła z przyjęcia, a za nią wyszedł wyraźnie poruszony O'Phelan. Binding stał tam przerażony, a czerwone wino spływało mu na sweter.

Następnego dnia Binding napisał do dona, aby go przeprosić, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Kilka dni później na portierni Oriela O'Phelan zostawił wiadomość odwołującą ich następne spotkanie. Dziesięć dni później również je odwołał. Jako że Bindingowi kończył się termin, jaki miał na oddanie kolejnego rozdziału pracy, złożył go u O'Phelana, aby otrzymać formalne zaliczenie. Zaległa złowróźbna cisza. Przerwała ją zwiędła wiadomość:

Drogi Bindingu,

Piszę do Ciebie, aby poinformować Cię, iż opuszczam Oxford, aby od kolejnego trymestru objąć posadę na Królewskim Uniwersytecie w Belfaście. Obawiam się więc, że nie będę mógł już dłużej promować Twojej pracy, choć po

przeczytaniu przedłożonego mi rozdziału w żadnym razie nie mogę doradzić Wydziałowi, aby wyraził Ci zgodę na kontynuację.

Z poważaniem, L. K. O'Phelan

- Nigdy już go nie widziałem ani nie otrzymałem od niego żadnej wiadomości - potrząsając głową, powiedział Binding. - Zresztą o to nie zabiegałem. Z początku miałem za dużo na głowie, starając się utrzymać na studiach. Na wydziale nie podeszli do mnie zbyt przychylnie. O'Phelan napisał do nich, że na pierwszym roku zawałem wymóg złożenia odpowiedniej ilości rozdziałów. W ostatniej chwili znalazłem we własnym college'u kogoś, kto zechciał mnie przygarnąć, ale wiedział znacznie mniej na temat mojego tematu niż ja.

- Pozbawiło mnie to skutecznie szans na karierę akademicką, trzeba mieć solidne plecy, aby otrzymać posadę uniwersytecką. Zrobiłem więc studia podyplomowe i zacząłem rozglądać się za inną pracą. Gdy złożyłem podanie tutaj, nie wpisałem oczywiście O'Phelana jako referenta. Ale sądzę, że go wygrzebano. Po tym, co musiał o mnie powiedzieć, jestem zaskoczony, że mnie przyjęto.

- Nie było tak źle - rzekła Liz. Dlaczego O'Phelan najpierw pobudził aspiracje Bindinga, a potem starał się je zniszczyć? A może nie? Jakie były właściwie zamiary O'Phelana?

- W każdym razie - powiedział Binding, wyglądając tak, jakby dokończenie opowieści sprawiło mu ulgę - przykro mi było słyszeć, że został zabity, ale nie spodziewajcie się ode mnie długiego okresu żałoby. A dlaczego umarł? Mogę tylko powiedzieć, że nie był gejem. Ani trochę. - Potrząsnął niedowierzająco głową. - I pomyśleć, że rozmawiając z tą głupią dziewczyną, tak naprawdę próbowałem mu pomóc. - Roześmiał się z nieukrywaną goryczą. - Nic dziwnego, że powiadają, iż żaden dobry uczynek nie uchodzi na sucho.

Skończył i przez kilka chwil siedział tam w milczeniu wraz z Liz i Peggy. Jedynym odgłosem w pokoju było lekkie skrobanie ołówka Peggy.

Liz miała tylko jedno pytanie:

- Jak nazywał się ten student, z którym dziewczyna rozmawiała, zanim się wtrąciłeś?

Binding popatrzył na nią z lekkim uśmiechem. Częściowo wróciła mu arogancja.

- To chyba najdziwniejsza rozmowa weryfikacyjna w historii. Mówiłaś, że będziesz mnie sprawdzać, a rozmawialiśmy wyłącznie o O'Phelanie. Liz, powiedz szczerze, do czego dążysz? - Podniósł dłoń, jakby nie chciał dopuścić żadnej odpowiedzi. - Wiem, wiem. To ty tu zadajesz pytania, dziękuję bardzo. A gość nazywał się Clapton. Zapamiętałem go z powodu Erica Claptona, ta jego piosenka „Layla” była jedną z moich ulubionych.

- Grał w rugby?

- A skąd ty to, u diabła, wiesz? - spytał z nieudawanym zaskoczeniem Binding.

Jednak Liz nie słuchała już niczego poza własnymi galopującymi myślami. Starła się pogodzić ze sobą trzy zupełnie sprzeczne historie. Jeśli mi się to uda, pomyślała, dowiem się, kim jest kret.



Judith Spratt poszła na chorobowe, więc tym razem to Rose Love przyszła do Dave'a. Coś się w niej zmieniło, pomyślał, coś, czego nie potrafił określić. Przede wszystkim wyglądała starzej, miała na sobie eleganckie spodnie i karmazynową bluzkę. Spięła też włosy do tyłu. Postanowił, że nie da jej zapomnieć o umówionej kolacji, przekładanej od odkrycia schronienia w Wokingham.

- Mamy numer podwozia od policji z Wantage - oznajmiła. - Skontaktowałam się już z producentem z Niemiec i obiecali odezwać się do mnie dzisiaj.

- Powiedzą ci, do którego dealera wysłali samochód. Ale to było dawno temu.

- Wiem. Reszta będzie należeć do DVLA²⁴.

- Jak długo? - spytał niecierpliwie.

- Masz kawałek sznurka? - spytała ze śmiechem, a on uświadomił sobie, co najbardziej się w niej zmieniło. Była bardziej pewna siebie. Zniknęła nieśmiała dziewczyna sprzed miesiąca.

- A co z naszą randką? - zapytał.

- Jestem zbyt zajęta - powiedziała, lecz za sztywną pozą kryła się wesołość.

- Czyżby?

Pokiwała głową z mądrą miną.

- Zresztą ty też.

Uśmiechnęła się jednak na tyle przebiegle, by wciąż miał nadzieję.

²⁴ DVLA (Driver and Vehicle Licensing Agency) - brytyjska instytucja odpowiedzialna za utrzymywanie bazy danych kierowców i pojazdów (przyp. tłum.).



Nie była w stanie określić dlaczego, ale wydawało jej się, że ktoś tam jest. Czy w bramie, czy w cieniu, czy też za samochodem - gdzieś tam.

Peggy poczuła to po raz pierwszy zaraz po opuszczeniu Thames House, kiedy ruszyła wzdłuż rzeki w stronę stacji metra. Stała tuż obok Tate, bo wydawało jej się, że coś wypadło jej z torebki, i ciemna postać znajdująca się jakieś pięćdziesiąt metrów z tyłu zupełnie nie zwróciła jej uwagi, gdyby również się gwałtownie nie zatrzymała. Był to mężczyzna - w jakiś sposób była tego pewna - choć gdy spojrzała na niego z oddali, zniknął.

Nie wpadaj w paranoję, powiedziała sobie Peggy, lecz żałowała, że nie przeszła kursu kontrobservacji. Strzępki posiadanych przez nią wiadomości sprawiały, że jawiła się jej ona niczym czarna magia - na pewno nie była przeznaczona dla amatorów. Spotykała się z Dave'em Armstrongiem na lunchach oraz na okazyjnych przerwach na kawę i opowiadał jej o operacji obserwacyjnej, w którą zaangażowanych było ponad trzydzieści osób. I nikogo nie zauważono.

Nie była przekonana, czy sama zdołałaby zauważyć ogon, lecz przecież nie była agentką operacyjną - do jej zadań należało wyszukiwanie i analiza danych. Gdy wstąpiła do MI6, powiedziano jej, że po kilku latach może zostać wysłana za granicę. Między innymi właśnie dlatego się zdecydowała. Przed wyjazdem pójdzie na odpowiednie kursy, zdobędzie wyszkolenie operacyjne. Mówili, że na małej placówce zagranicznej wszyscy muszą się angażować. Badacze, sekretarki, nawet żony otrzymywały zadania uzupełniania skrzynek kontaktowych, obsługi bezpiecznych domów, a czasami spotkania się z agentami. Nie mogła się tego doczekać, ale wciąż była to perspektywa kilku lat.

A póki co, pracując u boku Liz Carlyle w MI5, Peggy poznała napięcie, które wszystkich przyciągało. Podobało jej się zaangażowanie, świadomość tego, że każdy ma na swój własny sposób jakąś rolę do odegrania w tym, co się dzieje. Nie czuła się jednak przygotowana do prawdziwej pracy operacyjnej.

Gdy uczucie śledzenia nie chciało jej opuścić, postanowiła wystawić je na próbę. Skręciwszy w prawo w Vauxhall Bridge Road, zatrzymała się pod szerokim portykiem jednego ze stiukowych pałacików z okresu regencji, dawno temu podzielonego na biura, i tam czekała. Obserwowała ulicę przez kilka minut zza kolumny, lecz nikt nie wyłonił się zza rogu.

Przestań fantazjować, powiedziała sobie, czując ulgę, że się pomyliła i wstyd, że dała się ponieść. Weszła na stację metra Pimlico, praktycznie pustą późnym rankiem, i zjechała ruchomymi schodami. Nikt nie jechał ani za nią, ani w przeciwną stronę, pod górę. Gdy czekała na przyjazd pociągu linii Victoria, poza nią na peronie znajdowały się tylko dwie osoby - młoda czarna kobieta siedząca na ławce w jednej z wnęk, a kawałek dalej starszy mężczyzna, opierający się na lasce.

Na stacji Victoria przesiadła się na Circle Line, kierując się na pierwsze miejsce spotkania. Nie powinno to długo zająć, pomyślała Peggy. To raczej drugiego spotkania, w Kilburn, wyczekiwała z pewnym podekscytowaniem.

Zagłębiła się w dalszą irlandzką rodzinę Patricka Dobsona i odkryła boczną gałąź, która przed trzydziestu laty przeniosła się do Londynu. Chciała dowiedzieć się, czy ci kuzyni znają Dobsona - gwałtownie zaprzeczył, by utrzymywał jakikolwiek kontakt z irlandzką częścią rodziny. Peggy podawała się za studentkę socjologii na UCL²⁵, piszącą rozprawę o Irlandczykach w Londynie. Uważała tę tematykę za tak interesującą, że nie będzie jej trudno wcielić się w rolę. Gdy pociąg zatrzymał się na South Kensington, otworzyła aktówkę i wyciągnęła stworzone przez siebie drzewo genealogiczne, lecz pomyślała, że lepiej przejrzy notatki do pierwszego spotkania, nawet jeśli nie miało trwać długo.

Sprawa powinna być rutynowa. Szła na polecenie Liz. Podobno niedawno widziano w Londynie żonę Toma Dartmoutha, co było niezwykle, jako że ta kobieta mieszkała podobno w Hajfie. „Pewnie zajrzała tylko z wizytą”, powiedziała Liz, „lecz sprawdź to, proszę”.

Peggy nie miała zbyt wiele do przeczytania na fiszce:

Margarita Levy, ur. 1967 w Tel Awiwie, córka generała-majora Ariela Levy i Jessiki Finegold. Wykształcenie w Konserwatorium Telawiwskim i w Juilliard School

²⁵ UCL (University College London) - najstarszy, wielowydziałowy college Uniwersytetu Londyńskiego (przyp. tłum.).

(NY). Członkini Telawiwskiej Orkiestry Symfonicznej 1991-95. Mąż Thomas Dartmouth 1995, rozw. 2001. Dzieci brak.

Niełatwo było ją zlokalizować. Pod adresem w Hajfie, zajmowanym teraz przez przesiedlonych osadników z Gazy, których angielski ciężko jej było zrozumieć przez telefon, nikt nie znał ani nie przejmował się osobą, która mieszkała tam przed nimi. Telawiwska Orkiestra Symfoniczna początkowo zaprzeczała, by Margarita kiedykolwiek u nich grała, kiedy zaś przyznali w końcu, że owszem, nie byli w stanie podać żadnego adresu korespondencyjnego.

Ostatecznie bardziej owocna okazała się uciążliwa wędrówka po internetowych stronach muzycznych. Najpierw niedbała wzmianka na blogu studenta muzyki, później rzut oka do książki telefonicznej i Peggy zdołała wreszcie odnaleźć Margaritę Levy, udzielającą prywatnych lekcji gry na skrzypcach. Choć ani w Hajfie, ani nawet nigdzie w Izraelu.

Mieszkanie znajdowało się w wiktoriańskim pałacu o przecznicę od Kensington High Street. Otworzywszy drzwi, Margarita Levy uśmiechnęła się nieśmiało do Peggy i podała jej dłoń. Była wysoką, olśniewającą kobietą o bujnych czarnych włosach, spiętych schludnie z tyłu.

- Proszę wejść - powiedziała, wskazując na salon. - Proszę usiąść wygodnie. Zaraz do pani przyjdę. - Zniknęła w innym pokoju, z którego dobiegał dźwięk głosów.

Peggy weszła i stanęła na środku pokoju, obok delikatnie wyglądającego fotela w stylu empire, pokrytego wytartym jedwabiem. Salon był wygodnie umeblowany, stała w nim nosząca ślady użytkowania sofa, pokryta jasnożółtym obiciem i poduszkami, oraz krzesła, pokryte spłowiałym perkalem, zaś wieloczęściowe okna miały rozsunięte zasłony. Z boku, na dwóch antycznych stolikach stał szereg bibelotów i marmurowych jajek, na ścianach wisiały małe olejne obrazy, głównie krajobrazy, zaś nad kominkiem duży portret, przedstawiający zapewne Margaritę jako nastolatkę. Ogólnie wyglądało to, uznała Peggy, jak salon eleganckiej, kulturalnej kobiety pochodzącej z porządnej rodziny, lecz teraz posiadającej więcej gustu niż pieniędzy.

Otworzyły się drzwi do drugiego pokoju i wyszła przez nie nadąsana dziewczynka z kucykami, w wieku około dwunastu lat, trzymająca futerał na skrzypce.

Zignorowała Peggy i skierowała się prosto do głównych drzwi, które zatrzasnęła za sobą. Margarita weszła do salonu, obróciła się do Peggy i uniosła brwi.

- Nie wiem, dlaczego niektórzy z nich zawracają sobie w ogóle głowę. Jeśli tak bardzo nienawidzi się skrzypiec, nie można dobrze grać. - Miała leciutki akcent. - Obwiniam rodziców. Jeśli zmusza się dziecko, co ono zrobi? Będzie się buntować.

Odziana była z prostotą i elegancją w czarną sukienkę bez rękawów i naszyjnik z pozbawionego ozdób złota. Peggy zauważyła, że nie nosiła obrączki ślubnej.

- Zaparzę herbatę - oznajmiła. - Napije się pani?

- Dziękuję bardzo - odrzekła Peggy. - Nie zajmę pani dużo czasu.

Gdy Margarita przeszła do znajdującej się obok kuchni, Peggy podążyła za nią do progu. Kuchnia była malutka, a naprzeciwko niej, obok pokoju, w którym skrzypaczka dawała lekcje, Peggy zauważyła małą sypialnię. Wyglądało to na całe mieszkanie, co w pewien sposób wyjaśniało, jak nauczycielka gry na skrzypcach była w stanie utrzymać się w Kensington.

Gdy woda w czajniku zagotowała się, Margarita wyciągnęła filiżankę z chińskiej porcelany i spodeczek.

- Jak dawno temu wróciła pani do Anglii? - spytała Peggy.

- Wróciłam? - zapytała Margarita. Napelniała właśnie dzbanuszek na mleko. - Co pani chce przez to powiedzieć?

Peggy wyteżyła myśli. Czy popełniła błąd? Zanim wyszła rano, po raz następnym przeczytała akta Toma. Nie, była pewna tego, co mówiła.

- W dokumentach mieliśmy, że mieszka pani w Izraelu. Nie w Londynie. To dlatego tu jestem.

- Nie mieszkam w Izraelu od ponad dziesięciu lat. Odkąd poślubiłam Toma. Czy jest pani pewna, że nie chce filiżanki herbaty?

- Tak naprawdę - powiedziała Peggy, zaintrygowana rozbieżnościami pomiędzy aktami Toma a faktami - to chętnie.

Margarita ustawiła wszystko na tacy i zaniósła do salonu, gdzie Peggy usiadła ostrożnie na empirczym fotelu. Margarita nalala herbatę, po czym, upiwszy ze swojej filiżanki, usiadła na sofie i popatrzyła na Peggy. Zawahała się przez chwilę.

- Proszę mi powiedzieć, czy z Tomem wszystko w porządku?

- Z tego co wiem, to tak.

Wyglądała tak, jakby tylko trochę ją to uspokoiło.

- Martwiłam się, gdy powiedziała pani, że chce się ze mną zobaczyć. Pakistan jest teraz taki niebezpieczny. Pomyślałam, że być może coś mu się stało.

Peggy uświadomiła sobie, że ta kobieta nie wie, iż Tom wrócił do Londynu. Rozwód musiał być burzliwy, pomyślała.

- Kiedy ostatni raz rozmawiała pani z Tomem?

Margarita skrzywiła się i potrząsnęła głową.

- Jeszcze zanim wyjechał do Pakistanu. - Po chwili dodała jednak: - Ale *widziałam* go, jakieś dwa-trzy lata temu na koncercie. Uznałam, że przyjechał na urlop. Nie rozmawialiśmy jednak. Ktoś z nim był. - Uśmiechnęła się ponuro i wzruszyła ramionami. - Pomachałam mu więc tylko podczas antraktu.

Nie był burzliwy, zdała sobie sprawę Peggy. Przyszła tutaj, spodziewając się czegokolwiek - złości, goryczy, triumfu, a nawet zupełnej obojętności. Ale nie takiego smutnego zaskoczenia.

- Pobraliście się w Izraelu, prawda? - spytała Peggy.

- Nie. Pobraliśmy się tutaj i od tego czasu tu mieszkaliśmy.

- To musiała być dla pani spora zmiana. Porzucić w ten sposób całą rodzinę i przyjaciół.

- Oczywiście - powiedziała krótko Margarita.

- Tutaj była przynajmniej rodzina Toma.

Margarita potrząsnęła głową.

- Nie do końca. Jego matka zmarła, zanim poznałam 'w ogóle Toma. A jego ojczyma spotkałam tylko raz, gdy po raz pierwszy przyjechaliśmy do Anglii. Był bardzo przyjazny, ale Tom nie chciał mieć z nim nic wspólnego.

- Czy Tom był blisko ze swym biologicznym ojcem? Margarita znów potrząsnęła głową.

- On również zmarł, gdy Tom był zaledwie chłopcem. Wychował go ojczym i Tom przyjął jego nazwisko. Gardził tym, wiem to, ale zrobił to po namowach matki. I to prawda, że Tom idealizował swego ojca, choć nie znał go zupełnie jako dorosły człowiek.

- Tak często bywa, nieprawdaż? - spytała Peggy, starając się zawrzeć w głosie sympatię. - Jeśli rodzic umiera, zanim dziecko dorośnie, może nie podchodzić do niego obiektywnie.

- Chodzi pani o to, że może nie dostrzegać, iż to kolos na glinianych nogach? - rzekła Margarita, wyglądając na rozbawioną tym francuskim powiedzeniem.

- Tak. Choć jestem pewna, że biologiczny ojciec Toma mógł być godny podziwu.

- Ja nie - odparła z pewną cierpkością Margarita.

- Naprawdę? - powiedziała neutralnie Peggy, pragnąc, by kobieta pociągnęła temat.

Margarita bezcelowo zamieszała herbatę łyżeczką.

- Na pewno wie pani, że się zabił.

- Tak, owszem - skłamała Peggy, starając się ukryć zaskoczenie. - Ile lat miał wtedy Tom?

- Nie mógł mieć więcej niż siedem lub osiem. Biedactwo - dodała. - Dowiedział się dopiero, gdy był już niemal dorosły. Tyle wiem - rzekła, jakby w przypadku jej byłego męża fakty mogły nie mieć większego potwierdzenia w rzeczywistości.

- Dlaczego się zabił? Był w depresji? - drażyla Peggy.

- Sporo namieszał, więc to możliwe.

- Czy to było w Londynie? - zapytała Peggy, sądząc, że powinno się jej udać szybko ustalić szczegóły. Nazwisko prawdziwego ojca powinno znajdować się na formularzu aplikacyjnym Toma.

- W Londynie? Nie. Pojechał do Nowego Jorku. Był tam dziennikarzem. Nie pamiętam dokładnie, ale chyba wpadł w kłopoty, pisząc o Irlandii. Tom nie mówił o tym. Wspomniał o tym tylko raz, gdy zaczynaliśmy się widywać.

Wyglądało na to, że razem ze wspomnieniem ogarnia ją melancholia. Popatrzyła na Peggy.

- Czy to nie dziwne - rzekła - że czasami z biegiem lat ludzie mówią mniej, zamiast więcej? - Peggy była zaskoczona, że kobieta nie spodziewała się odpowiedzi. Margarita sięgnęła po dzbanek. - Jeszcze filiżankę?

Tym razem, gdy Peggy odmówiła, nie zmieniła już zdania.

Kiedy opuściła mieszkanie, zadzwoniła do krewnych Dobsona w Kilburn i przełożyła wizytę. Musiała natychmiast zobaczyć się z Liz Carlyle. Dowiedzieć się, że Tom wprowadził Służbę w błąd w sprawie miejsca zamieszkania swej żony - to jedno. Można by się spierać, że Judith Spratt zrobiła to samo. Zupełnie czym innym było po raz pierwszy odkryć ewentualną więź pomiędzy Tomem a Liamem O'Phelanem.

To amerykański łącznik, pomyślała Peggy, zastanawiając się nad wykładem, jaki don wygłosił tamtego wieczoru w Old Fire Station. „Od Bostonu do Belfastu: brudna wojna Brytanii w Północnej Irlandii i za granicą”.

Opuściła pałacyk i doszła szybko do Kensington High Street. Skręciwszy do metra zauważyła z zaskoczeniem, że peron wschodni jest wyjątkowo zatłoczony jak na tę porę dnia. Stłumiony głos oznajmił przez głośnik, że z powodu wypadku na stacji Paddington pociągi Circle Line będą kursować z opóźnieniem. Na tablicy informacyjnej zobaczyła, że następny jest oczekiwany dopiero za dwanaście minut. Czekwała niecierpliwie, a kolejni pasażerowie wypełniali peron.

Tablica zasygnalizowała wreszcie jedną minutę do odjazdu pociągu i Peggy skierowała się do krawędzi peronu, zdecydowana wsiąść, jako że następnego składu jeszcze nawet nie ogłoszono. Przedzierając się stopniowo przez tłum, znalazła się blisko żółtej linii. Za blisko, uznała, i próbowała cofnąć się o krok, lecz tłum był po prostu zbyt gęsty, by mogła się poruszyć.

Dzięki Bogu, że już jedzie metro, pomyślała, gdy na tablicy wyświetliło się: „NADJEŹDŹA NASTĘPNY POCIĄG”. Znów próbowała się cofnąć, ponieważ zobaczyła żółte światelko w tunelu, lecz wyglądało na to, że nie ma za nią pustej przestrzeni. W lewo nie pozwalał jej się przesunąć robotnik trzymający skrzynkę z narzędziami, z prawej zaś stała krzepka kobieta, przyciskająca do piersi dwie torby z zakupami z M&S.

Nagle, gdy pociąg wyłaniał się już z tunelu, Peggy poczuła nacisk w okolicach krzyża, z początku lekki, potem coraz bardziej natarczywy i napierający. Jej stopy zaczęły przesuwać się w stronę krawędzi i instynktownie próbowała zaprzeć się piętami. „Przestań!” - krzyknęła, lecz jej głos utonął w odgłosach pędzącego składu. Poczula, jak jej stopy znów się przesuwają, są już daleko poza żółtą linią, nieuchronnie zbliżają się do krawędzi peronu. Ogarnęła ją panika i nagle wrzasnęła instynktownie, głosem równie wysokim jak świst lokomotywy. A potem wszystko stało się czarne.

Mężczyzna miał chyba na sobie mundur i czuła na twarzy coś mokrego oraz chłodnego. Mgiełka w jej oczach rozplynęła się nagle i z niezwykłą jasnością ujrzała przed sobą pracownika stacji, wyciągającego rękę, by mokrą chusteczką przetrzeć jej policzki. Siedziała na plastikowym krześle w pomieszczeniu wyglądającym na schowek na miotły pod schodami do metra.

- Co się stało? - spytała, choć była raczej przekonana, że żyje. Uznała, że gdyby znajdowała się w zaświatach, wyglądałoby to inaczej.

- Zemdląca pani. - Mężczyzna przestał ją cucić. - Był spory ścisk. - Wstał i popatrzył na nią z troską. - Proszę oddychać głęboko.

- Nie pamiętam - powiedziała Peggy, czując się zdezorientowana. Następnie przypomniała sobie stały nacisk na plecy, stanowczy napór przesuwający ją w stronę...

- Miała pani szczęście, że stojąca obok kobieta zobaczyła, jak pani upada - powiedział zawiadowca. - Mówiła, że wyglądało to tak, jakby miała pani wpaść prosto pod pociąg. Zdążyła jednak panią złapać, a stojący tam również robotnik pomógł panią wciągnąć. Jediną ofiarą była para spodni, którą kupiła właśnie mężowi.

- Przykro mi - rzekła Peggy, starając się pozbierać. - Czy zostawiła nazwisko?

- Nie, gdy się pojawiłem, wsiadła do następnego składu. Mówiła, że już jest spóźniona.

Peggy nagle przypomniała sobie, że też się spieszy. Wstała dość niepewnie, lecz zawroty głowy minęły szybko. Mężczyzna popatrzył na nią z niepokojem.

- Jest pani pewna, że może pani jechać?

- Już wszystko w porządku - oznajmiła, po czym uśmiechnęła się do niego. - Jestem panu wdzięczna za pomoc.

Wyszedł z pomieszczenia na peron i spojrzął na tablicę.

- Ma pani szczęście. Następny skład przyjedzie za dwie minuty.

- Dziękuję panu - powiedziała Peggy, lecz kierowała się już do schodów ruchomych. Uznała, że w tych okolicznościach zasłużyła sobie na taksówkę, ale na pewno nie wliczy jej sobie w koszt. Nikt poza Liz nie dowie się, że poddała się panice.



Westminster Green, splachetek trawy naprzeciwko parlamentu, jest ulubionym miejscem dziennikarzy telewizyjnych do przeprowadzania wywiadów z parlamentarzystami. Przy deszczowej pogodzie mikrofony oraz kamery chronione są parasolami. Dziś, w czerwcowym słońcu, mały tłumek zebrał się, by obserwować, jak polityczny korespondent BBC rozmawia z członkiem gabinetu.

Z miejsca, w którym siedziała na ławce w Victoria Tower Gardens, Liz nie słyszała rozmowy, choć rozpoznawała obu uczestników i zgadywała, że tematem wywiadu była ustawa o walce z terroryzmem, jaką rząd starał się przepchnąć przez parlament przy sprzeciwie opozycji. Podobnie jak większość jej kolegów, Liz miała własny pogląd na propozycje rządu, choć w większości wołała go nie ujawniać, zdając sobie sprawę, że i tak nie zmieniliby to natury jej pracy.

Liz czekała na Charlesa Wetherby'ego. Gdy zadzwoniła, prosząc go o pilną rozmowę, ku jej zaskoczeniu nalegał, by spotkali się poza Thames House. Zrobiła sobie dziesięciominutowy spacer do małego parku i teraz cieszyła się ciepłym popołudniem, starając się złapać trochę promieni słonecznych na twarz. Jeśli jej wnioski były słuszne, przez jakiś czas nie będzie widywała zbyt wiele słońca ani świata zewnętrznego.

Gdy kwadrans później Wetherby dołączył do niej na ławce, Liz, nie tracąc czasu, przekazała mu opis rozmowy Peggy z byłą żoną Toma Dartmoutha. Następnie podsumowała swoje ostatnie rozmowy, przedstawiając wynikające z nich sprzeczności, które uważała już za rozwiązane. Dzięki połączeniu intuicji, logiki i porannych odkryć Peggy, Liz doszła do wniosków.

- Przelećmy to jeszcze raz - powiedział Wetherby, a Liz wiedziała, że nie wątpił w jej analizę, lecz chciał się upewnić, iż jej wnioski nie wyłaniają się z jakichś niedopatrzeń albo przeinaczeń, które mogłyby zmylić i jego.

- Uważasz, że to O'Phelan zwerbował kreta, na polecenie Seana Keaneya. Wytłumacz dlaczego.

Liz zastanawiała się uważnie przez chwilę.

- Ponieważ - rzekła, starając się mówić równie wyraźnie, jak myślała - O'Phelan był w Oxfordzie, wyrażał silne nacjonalistyczne poglądy i miał powiązania z tą całą Kirsty, która jak sama przyznała, zaprzyjaźniła się z O'Phelanem na polecenie Keaneya.

Mężczyzna w ubraniu w prążki minął ich ławkę i skinął Wetherby'emu głową. Pomimo świecącego jasno słońca, miał przy sobie ciasno zwinięty parasol. Wetherby odpowiedział mu skinieniem i uśmiechnął się do Liz.

- Ministerstwo Skarbu. Jeden z bardziej staroświeckich sług Jej Królewskiej Mości. Brakuje mu tylko melonika. - Wrócił do tematu: - W każdym razie, zgódźmy się na chwilę, że to O'Phelan był werbownikiem. Skąd wiemy, że nie zwerbował Michaela Bindinga?

- Nie mamy pewności, ale nie wydaje się to prawdopodobne. Nie ma żadnych wątpliwości, że ci dwaj poróżnili się ze sobą. Referencje O'Phelana miały przeszkodzić Bindingowi w dostaniu się do Służby.

Wetherby przytaknął.

- Widziałem w aktach. Binding miał szczęście, że został przyjęty po takim liście.

Po drugiej stronie ulicy minister podniósł dłoń, domagając się kolejnego ujęcia. Liz ciągnęła dalej:

- Owszem, różnią się ich wytłumaczenia, dlaczego się poróżnili: O'Phelan mówił, że to dlatego, iż praca Bindinga była kiepskiej jakości, zaś Binding powiedział, że to z powodu zatargu z Kirsty na przyjęciu.

- A komu wierzysz?

- Bindingowi - odparła bez wahania Liz.

Wetherby uśmiechnął się ironicznie. Znał opinię Liz na temat protekcjonalnego kolegi.

- A dlaczego? - spytał, nie po to, by się sprzeciwić, lecz by spróbować poznać jej sposób rozumowania. Liz pomyślała, że Wetherby byłby doskonałym nauczycielem - niestrudzenie dążył do klarowności.

- Nie sądzę, by Binding był złym studentem. Uzyskał najlepszy wynik w Manchesterze i zbyt mocno pracował, aby dostać się do Oxfordu, by po prostu dać za wygraną, gdy już się tam znalazł. W każdym razie opowieść Bindinga portretuje

wprawdzie O'Phelana jako mściwego i złośliwego, lecz i samego Bindinga nie stawia w zbyt dobrym świetle.

- Chodzi ci o tę uwagę o powrocie na torfowisko? - Gdy Liz przytaknęła, Wetherby spytał: - Jeśli wykluczyłaś Bindinga jako naszego kreta, dlaczego doprowadziło cię to do Toma?

- Nie doprowadziło, póki nie dodał czegoś od siebie, a mianowicie opinii na temat O'Phelana, która nie pasowała do niczego, co opowiedzieli mi inni. Tom twierdził, że O'Phelan zachowywał się w stosunku do swych męskich studentów jak seksualny drapieżca, a jednak nie potwierdzają tego Binding i Maguire, ani też policyjne śledztwo w sprawie jego morderstwa. Tak naprawdę student, na którego według Toma rzucił się O'Phelan, był tym samym grającym w rugby osiłkiem, który według Bindinga próbował podrywać Kirsty na przyjęciu u św. Antoniego.

- Ale jeśli Tom jest kretem, dlaczego miałby wymyślić tę historię o O'Phelanie?

Po raz pierwszy Liz poczuła lekki chłód, ich rozmowa przeszła od motywu do zbrodni.

- Aby odwrócić uwagę od prawdziwego powodu, dla którego O'Phelan został zabity. A było nim zamknięcie mu ust. - Liz nie musiała czekać na następne pytanie. - I owszem, oznacza to według mnie, iż to Tom zamordował O'Phelana. Podobnie jak sądzę, że to Tom jest kretem. Jest też coś innego - dodała jakby po namyśle. - Tom powiedział mi, że jego ojciec zginął w wypadku samochodowym, ale Margarita mówiła Peggy, że popełnił samobójstwo w Nowym Jorku.

Wetherby spoglądał na drugą stronę ulicy, niekończący się wywiad telewizyjny musiał rozproszyć jego uwagę. Było to do niego niepodobne.

- Charles? - rzekła pytająco. Nie odpowiedział. Liz ciągnęła dalej: - Problem w tym, że niczego nie możemy dowieść. Jeśli Tom został zwerbowany przez O'Phelana dla IRA, nigdy nie został przebudzony. Nigdy się do tego nie przyzna. A więc jeśli nie zdołamy powiązać go z morderstwem O'Phelana, nie wiem, o co moglibyśmy go oskarżyć.

Charles wciąż wydawał się nie słuchać. Co go dręczyło? - pomyślała Liz. Czy Joanne znów chorowała? A może któryś z chłopców? Z lekkim zniecierpliwieniem powiedziała:

- Musimy coś zrobić, Charles, nie sądzisz? Wiem, że to może nie wydawać się pilne, ale...

Wetherby przerwał jej, mówiąc łagodnie:

- To jest pilne, Liz. Właśnie to mnie dręczy. - Westchnął i złączył dłonie, pochylając się, by usiąść na skraju ławki. - Nie mówiłem ci wcześniej, ponieważ to nie było związane z twoim śledztwem. I nie chciałem przechodzić do wniosków, które mogłyby wpłynąć na twoje rozumowanie. Kiedy jednak terroryści wymknęli się w Wokingham Dave'owi Armstrongowi, przyszedł się ze mną zobaczyć. Nie jest to powszechna wiedza, ponieważ utrzymaliśmy to w tajemnicy, ale terroryści opuścili dom po tym, jak Dave poprosił, by wszedł tam Wydział Specjalny. Wiemy, o której dokładnie zniknęli, ponieważ jeden z sąsiadów widział, jak odjeżdżali w pośpiechu.

- Dave uznał wtedy, że musiał nastąpić przeciek. Odwrót terrorystów był zbyt pospieszny i zbyt dobrze umiejscowiony w czasie. Jeszcze dwanaście godzin i byśmy ich mieli. Przeciek mógł pochodzić skądkolwiek - od miejscowej policji czy od agenta, który wynajął dom. Tyle że Dave sądzi, iż podobnie stało się w księgarni Marcepana, gdy ci trzej mężczyźni nie przyszli. Wtedy też ktoś dał im cynk.

Wetherby westchnął, jakby wiedział, że musi dokończyć swą argumentację, lecz tego nie chciał.

- Jedyne osoby, które wiedziały o obydwu operacjach, znajdowały się w Thames House. Jeśli był przeciek, a sądzę, że były dwa, musimy brać pod uwagę, że wyszły one ze Służby.

- Chcesz powiedzieć, że jest inny kret? - spytała Liz. Nic dziwnego, że Charles wygląda na zmartwionego, pomyślała. W porównaniu z tym bezpośrednim zagrożeniem, informator IRA, który nigdy nie zabrał się do roboty, musi wydawać się małym piwem.

Chciała to powiedzieć, gdy Wetherby zapytał:

- Czy słyszałaś kiedyś opowieść o człowieku, który boi się latać, bo sądzi, że w samolocie jest bomba?

- Nie - odparła Liz, myśląc, że to niepodobne do Wetherby'ego. Miał dobre, ironiczne poczucie humoru, ale nie opowiadał dowcipów, zwłaszcza w tak napiętych sytuacjach, jak teraz.

Pogładził węzeł krawata i znów oparł się.

- Jest tak bardzo wystraszony, że nie chce nigdzie polecieć, więc jeden z jego przyjaciół stara się pomóc. Mówi mu, że szansa, iż w jego samolocie jest bomba, wynosi najwyżej jeden na kilka milionów. Mężczyzna nie jest jednak usatysfakcjonowany, nawet to wydaje się zbyt wysokim prawdopodobieństwem, aby mógł się uspokoić. Wtedy jego przyjaciel mówi, że szansa na to, iż w tym samym

samolocie znajdą się dwie bomby, wynosi mniej niż jeden na miliard. Oczywistym rozwiązaniem dla tego człowieka jest więc zdecydować się na lot i zabrać bombę.

Liz roześmiała się, lecz Wetherby zrobił poważną minę.

- Mam nadzieję, że dostrzegasz, o co mi chodzi - powiedział. Szansa na to, że w MI5 są dwa krety, jest mniej więcej taka sama, jak na dwie bomby w jednym samolocie.

Liz poczuła nagły niepokój.

- Chcesz powiedzieć, że jeśli Tom jest kretem IRA, to również on dał cynk terrorystom?

- Tak, właśnie to chcę powiedzieć. Nie wiem tylko dlaczego. Jest jeszcze coś, co powinienem ci powiedzieć - rzekł Charles. - Byłaś chyba na ostatnim spotkaniu operacyjnym POLOWANIA NA LISA. Może pamiętasz, jak Dave powiedział, że ta cała Dawnton, kobieta mieszkająca obok domu, w którym przebywali podejrzani, mówiła mu o białym mężczyźnie, który ich odwiedził. Dave powiedział, że widziała tego mężczyznę wyraźnie i zdołałaby go zidentyfikować. To nieprawda. Dave wymyślił to, by sprawdzić, czy ktoś się spłoszy. I owszem. Po spotkaniu Tom poszedł do Dave'a, aby dowiedzieć się więcej. Był wyraźnie zmartwiony.

- Zastanawiałam się, o co Dave'owi chodziło, gdy to mówił.

Liz zadzwoniła komórką i kobieta spojrzała na numer na wyświetlaczu.

- Wybacz, Charles, ale to Peggy. Lepiej odbiorę. - Nacisnęła zielony guzik i cicho powiedziała: - Cześć.

- Nie mogę go znaleźć - oznajmiła od razu Peggy. - Nie ma go w budynku i nie było go od rana. Nikt nie wie, gdzie jest. Dave Armstrong próbował dzwonić na komórkę, ale nie było odpowiedzi.

- Zaczekaj chwilkę - rzekła Liz i obróciła się do Wetherby'ego. - Posłałam Peggy, by poszukała Toma, ale nie można go nigdzie znaleźć. I nikt o nim nie słyszał. - Było to bardzo dziwne. Podstawową zasadą, zwłaszcza w przypadku starszych oficerów, była możliwość kontaktu w nagłych przypadkach. Można było wybaczyć godzinę, może dwie poza zasięgiem - awaria telefonu komórkowego, ważna sprawa rodzinna. Ale nie osiem godzin w środku kluczowego śledztwa. Nieobecny bez usprawiedliwienia, pomyślała Liz.

- Rozumiem - powiedział ponuro Wetherby. - Poproś proszę Peggy, aby znalazła Dave'a Armstronga i przekazała mu, aby spotkał się ze mną w moim biurze za piętnaście minut.

Kiedy się rozłączyła, Wetherby wstał z ławki.

- Lepiej już wróć - oznajmił, po czym dodał swobodnie: - A może pójdziesz ze mną? Jeśli Tom dał nogę, to już nieistotne, że ktoś może zobaczyć, jak rozmawiamy.

- Gdy Peggy poszła rano zobaczyć się z byłą żoną Toma, była przekonana, że ktoś ją śledzi - rzekła Liz. - A później sądziła, że ktoś próbował zepchnąć ją z peronu na High Street Ken, akurat gdy zbliżał się pociąg. Wydaje mi się to mało prawdopodobne i sama Peggy przyznaje, że może się mylić, ale uznałam, że lepiej dmuchać na zimne. Specjalnie wysłałam ją, aby znalazła Toma, aby uświadomił sobie, że opowiedziała mi już o spotkaniu. W ten sposób, jeśli zastanawiał się nad uciszeniem jej, wiedziałby, że już za późno.

- Dobrze zrobiłaś, starając się ją chronić - powiedział Wetherby - choć jestem pewien, że słusznie oceniasz, iż Peggy tylko to sobie wyobraziła. Jest młoda i niedoświadczona. Mimo to dla własnego spokoju nie powinna wracać dziś do domu. Mogłaby zostać z tobą? Powiem Dave'owi, żeby zaczął szukać Toma, choć nie chcę, by rozniosły się wieści. Gdyby przypadkiem Tom wrócił z wyjaśnieniem nieobecności, nie chcę go zaalarmować, dopóki wszystkiego nie ustalimy. Ale według mnie zniknął.

Przytaknęła. Wetherby skinął jej ze znużeniem i popatrzył na polityka, którego wciąż wypytywano.

- Musimy ustalić, jaki będzie następny ruch Toma. Mam straszliwe przeczucie, że nie mamy wiele czasu. Znamy naturę jego powiązań z IRA, ale nie wiemy, jak związał się z terrorystami.

- Czy to mogło się zacząć w Pakistanie?

- Możliwe - powiedział w zadumie Wetherby. - Chyba powinnaś pójść porozmawiać z Geoffreyem Fane'em. Zadzwoń do niego zaraz, jak wrócimy.

- Lepiej rozmawiam też z byłą żoną. Jest jedynym łącznikiem z rodziną Toma, jakim dysponujemy.

Przeszli przez ulicę i minęli splachetek trawy, na którym wywiad dobiegł wreszcie końca i minister kierował się wraz z kilkoma ochroniarzami do dużego jaguara. Wciąż stojący na trawie telewizyjny kamerzysta potrząsnął głową i popatrzył na dziennikarza:

- Sześć ujęć! - krzyknął ze wzburzeniem. - Na jakieś dwanaście sekund materiału. A ludzie mówią, że politycy są zbyt *elokwentni*.



Robi wrażenie, pomyślała Liz, wchodząc do gabinetu Geoffreya Fane'a. Był doskonale umiejscowiony w górnej części postmodernistycznego kolosa na południowym brzegu, w którym mieściła się kwatera główna MI6. Fane znajdował się o jedno piętro nad gabinetem C, szefa Służby.

Rozmawiał przez telefon, lecz gdy w przedsionku zobaczył Liz, zamachał jej ręką, by weszła. Usiadła w wyściełanym skórą fotelu przed jego staromodnym biurkiem. Rozmawiał z Ameryką Południową. Wzrok Liz przykuły oprawione zestawy much na pstrągi, zawieszane na ścianie, i wstała, by się im przyjrzeć. Wiedziała, że Fane był miłośnikiem wędkowania z muchą i przypomniała sobie, jak Charles mówił, że kiedyś został przez niego zaproszony na wędkowanie w jednym z lepszych miejsc - w Kennet lub w Test.

Przez cały ten czas powtarzała sobie w myślach, co ma mu powiedzieć. Będzie zaskoczony, pomyślała, choć mogę się założyć, że nie okaże tego po sobie.

- Wybacz mi, proszę - rzekł Fane, odkładając telefon i wstając, by podać jej dłoń. - Nasz człowiek w Bogocie jest dość gadatliwy.

Miał na sobie granatowy garnitur w prążki, dobrze podkreślający jego wzrost, a także krawat Honorowej Kompanii Artyleryjskiej. Dzięki wysokim kościom policzkowym i orlemu nosowi był dość przystojny, choć, jak Liz już wiedziała, niełatwo było go polubić. Mówił w rzeczowy i często zabawny sposób, podobnie jak Wetherby wyrażał się w lekko ironicznym, lecz często i pochwalnym tonie, lecz w przeciwieństwie do Wetherby'ego, jego ironia potrafiła przejść nagle w zjadliwy dowcip. Dla Geoffreya Fane'a sprawy zawodowe zawsze były osobistymi. Musiał wygrywać i Liz wiedziała, że potrafił nagle, kapryśnie odwrócić się od kogoś. Przy ich kilku poprzednich spotkaniach Liz nigdy nie potrafiła mu całkowicie zaufać.

Znów usiedli i Fane popatrzył przez okno.

- Obawiam się, że nadciąga deszcz.

W oddali Liz widziała biurowce na Victoria Street oraz grubą pierzynę pędzących szybko chmur. Okna na Vauxhall Cross były pokryte potrójną warstwą zabezpieczającą przed ostrzałem moździerzowym i lekko zabarwiały świat zewnętrzny na szaro-zielono, sprawiając, że nawet w słoneczny dzień wydawał się ponury. Postanowiła przejść od razu do rzeczy:

- Chciałam się z tobą zobaczyć w tej irlandzkiej sprawie.

- Ach tak, wyjątkowe dziedzictwo Seana Keaneya. Proszę mi powiedzieć, jak się sprawuje Peggy Kinsolving?

Nie o tym Liz chciała rozmawiać.

- Jest dobra - powiedziała szybko. - Pomogła nam dokonać ważnego odkrycia.

Fane uniósł brwi.

- Odkrycia?

- Tak. Doszliśmy do wniosku, że rzeczywiście istnieje kret.

- Naprawdę? Podłożony przez IRA? - Fane brzmiał tak, jakby nie dowierzał.

- Pierwotnie - rzekła Liz. - Ale sądzimy, że nie poprzestał na tym.

Fane poprawił starannie obydwie mankiety, a Liz powstrzymała uśmiech. Pomimo całej swej patrycjuszowskiej aury, miał showmańskie odruchy dandysa. Wetherby miał dokładnie taki sam zwyczaj, lecz w jego przypadku czuło się, że robi to z potrzeby utrzymania ubioru w porządku. Fane natomiast, uznała, chciał po prostu pochwalić się spinkami.

- Chcesz powiedzieć, że opuścił Służbę? Czy wiecie, kto to był?

- Nie. Nie chcę powiedzieć, że opuścił Służbę. Wciąż tu jest. Uważamy, że to Tom Dartmouth.

- Tom Dartmouth? - Fane nie mógł ukryć swego zaskoczenia. - Czy Charlie podziela ten pogląd? - spytał z wyraźnym sceptycyzmem.

- Podziela - powiedziała chłodno.

Nie zamierzała dać się styranizować Fane'owi.

- Jesteście tego pewni?

- Jak na razie dowody są całkowicie poszlakowe. Fane usiadł prosto. Wyglądał na gotowego, by rzucić jej wyzwanie, dodała więc szybko:

- I póki co chyba tak zostanie, ponieważ Tom zniknął.

- Zniknął? - spytał Fane, wyglądając tak, jakby uszła z niego nagle cała agresja.

- Oczywiście chcieliśmy was jak najszybciej powiadomić - rzekła Liz. - Głównie dlatego, że Tom był oddelegowany do Szóstki. Przyszłam tu jednak również po to, by

dowiedzieć się więcej na temat okresu spędzonego przez niego w Pakistanie. Obawiamy się, że mógł nie poprzestać na IRA i że może pomagać małej grupce islamskich terrorystów, którą staramy się zlokalizować. To ta grupa, o której wiesz z Komitetu ds. Walki z Terroryzmem. Grupa z księgarni. Operacja POLOWANIE NA LISA. Uważamy za możliwe, iż pierwszy jego kontakt z nimi miał miejsce w Pakistanie.

- Tak, oczywiście, że wiem o POLOWANIU NA LISA, ale co to ma wspólnego z IRA? - zapytał Fane. - Muszę ci powiedzieć, Elizabeth, że to wszystko wydaje się zupełnie niejasne. - Gdy Liz wyjaśniła mu swoją teorię, mina Fane'a przeszła ze sceptycyzmu w powagę. - Cóż, tak się składa, że szef naszej placówki w Islamabadzie w tym tygodniu jest tutaj z nami. Miał pójść do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ale całkiem możliwe, że już wrócił.

Kilka telefonów później do gabinetu Fane'a wszedł Miles Pennington, dyrektor placówki MI6 w Pakistanie. Dobiał do pięćdziesiątki, miał rzednące włosy i rubaszne maniery. Według Fane'a był „starym fachowcem od Azji” - sześć lat w Pakistanie, zadania w Afganistanie oraz w Bangladeszu - a dzięki silnej opaleniznie i lekkiemu garniturowi khaki zdecydowanie było to po nim widać. Podał Liz pewną, suchą dłoń, po czym usiadł i słuchał Fane'a, wyjaśniającego, dlaczego potrzebują jego pomocy. Liz przerwała, by poprosić go o podpis na liście osób wtajemniczonych w polowanie na kreta.

- Twój podpis już mam, Geoffrey - powiedziała. Lista osób wtajemniczonych, sporządzana w przypadku najtajniejszych operacji, nie tylko oznaczała, iż o sprawie można było rozmawiać wyłącznie ze znajdującymi się na niej osobami, lecz stanowiła także pełen spis wszystkich, którzy wiedzieli o sprawie, w razie gdyby przydarzył się przeciek. Gdy popatrzył na listę, którą podała mu Liz i ujrzał, jak niewiele nazwisk się na niej znajduje - Liz, Peggy, Charles Wetherby i Geoffrey Fane, C z MI6 i dyrektor generalny z MI5, jak również minister spraw wewnętrznych i kilka innych osób, których nie rozpoznał, Pennington zbladł. Taka lista oznaczała naprawdę ważną operację.

- Chcemy porozmawiać o Tomie Dartmouthcie - rzekł Fane, którego opuściła już wszelka flegma. - Elizabeth wyjaśni ci, czego szukamy.

Liz i Fane uzgodnili, że Miles Pennington nie musiał wiedzieć o powiązaniach z IRA, skupiła się więc wyłącznie na bezpośrednim problemie.

- Pilnie staramy się zlokalizować trzech podejrzanych terrorystów przebywających tu, na terenie Zjednoczonego Królestwa. Wszyscy są Brytyjczykami, lecz pochodzenia azjatyckiego. Jednego zidentyfikowaliśmy i jest z pakistańskiej rodziny mieszkającej w Midlands. Pozostali dwaj są nam nieznani.

Przerwała, świadoma, że Pennington musi zastanawiać się, co to ma wspólnego z Tomem Dartmouthem, którego znał jedynie jako młodszego kolegę, oddelegowanego z MI5. Odetchnąwszy głęboko, Liz powiedziała:

- Mamy powód, by sądzić, że Tom Dartmouth jest w kontakcie z terrorystami i może im nawet aktywnie pomagać. - Zignorowała oszołomioną minę Penningtona. - Niestety zapadł się pod ziemię. Staramy się więc zrozumieć, co się za tym wszystkim kryje.

Pennington zdołał skinąć z wahaniem głową, lecz wyraźnie wciąż starał się to wszystko ogarnąć.

- Czy mógłby pan przekazać mi swoją opinię na temat Toma? Jeden z naszych problemów pol

- Nie bardzo - lekko przeciągając wyrazy, powiedział Pennington. - Nie był zbyt wylewny. - Liz widziała, jak bardzo starał się przypomnieć sobie cechy kolegi, który nigdy nie odgrywał głównej roli. - Nie był tajemniczy czy coś takiego. Nawet, gdy mogę spojrzeć wstecz - dodał, zerkając na listę osób wtajemniczonych - jestem w stanie tak powiedzieć.

Westchnął głęboko, na wpeł z żalem, na wpeł ze zrezygnowaniem.

- Chyba najlepszym słowem, by go opisać, jest słowo „odizolowany”. Nie tak bardzo, by ktoś zauważył, bo jak mówię, całkiem nieźle się dopasował. Kiedy jednak się nad tym zastanawiam, mogę powiedzieć, że nie dzielił się wszystkim.

- Mógłby mi pan opowiedzieć o jego pracy?

Wyglądało na to, że Pennington poczuł ulgę, przechodząc na mniej psychologiczny grunt.

- Tak naprawdę robił sporo różnych rzeczy, ale raczej dość bezpośrednich. Pilnie obserwował medresy, sprawdzając, które są, że tak powiem, koszerne, a które nie. Szczególne baczenie miał na te, które próbowały werbować przyjeżdżających na nauki młodych Brytyjczyków azjatyckiego pochodzenia. W przeciwieństwie do tego, co mówią gazety, wielu z tych przyjeżdżających ze Zjednoczonego Królestwa studentów radykalizowało się dopiero po przyjeździe do Pakistanu. Z początku mieli godne szacunku motywy religijne, a potem dostawali się pod wpływ ekstremistycznych imamów.

Pennington podrapał się leniwie po brodzie, znów czując się swobodniej.

- Przez większość czasu robił za łącznika z wywiadem pakistańskim.

- Jak Tom składał panu raporty?

- Bezpośrednio - powiedział z przekonaniem Pennington. - Rozmawialiśmy niemal codziennie, chyba, że któryś z nas był w podróży, a raz na dwa tygodnie pojawiał się na spotkaniach naszej placówki. Zawsze składał coś na piśmie, podsumowanie tego, co robił.

- Czy widział pan jego sprawozdania dla MI5?

Pennington wyglądał na zaskoczonego.

- Nie wszystkie z nich osobiście, ale musiały być duplikatami tego, co dawał nam, plus wszystko to, co uznawał za interesujące dla was. Te, które widziałem, były zwykle poświęcone obserwowanym przez niego ludziom. - Przerwał i zerknął na Fane'a, który przez cały ten czas spoglądał przez okno. - I oczywiście jego własne działania.

- Co takiego? - spytała Liz.

- Częścią jego zadań były próby zwerbowania dla nas osób, które zostały już wcześniej zwербowane przez ekstremistów lub które wydawały się kandydatami do werbunku - wyjaśnił Pennington.

- Miał jakieś sukcesy?

- W ostatecznym rozrachunku nie. Ale przez jakiś czas pracował nad jednym chłopakiem, kimś, kto przyjechał na sześć miesięcy.

- Pamięta pan jego nazwisko?

- Nie - odparł Pennington. - Ale będzie w aktach.

W Islamabadzie, pomyślała Liz, tracąc otuchę. Pennington skierował swój wzrok na Fane'a:

- Masz tutaj kopię, prawda?

- Tak - rzekł Fane, zadowolony, że może konstruktywnie włączyć się do rozmowy. - Dasz mi chwilę, Elizabeth? Zaraz to dla ciebie wykopię.

Liz przeszła przez most i wróciła do Thames House. Trzeba było to przyznać Tomowi, rozmyślała z niechętnym podziwem, czekając na windę, że doskonale wszystko rozegrał, wtapiając się niczym kameleon w swe środowisko, tak że nawet jego szef nie był w stanie przypomnieć sobie choć jednej charakteryzującej go cechy.

- Jest Judith? - Liz spytała Rose Love, która była właśnie w połowie kubka z kawą i ciastka czekoladowego.

- Poszła do domu, Liz. Nie czuła się zbyt dobrze.

Cholera, pomyślała Liz. Potrzebowała szybko pomocy. Wróciła z Vauxhall Cross z trzema nazwiskami, z wszystkimi kontaktował się Tom Dartmouth. Należał do nich wspomniany przez Penningtona chłopak, którego prawdziwe nazwisko - starannie zapisane przez Liz na kopii raportu Toma - brzmiało Baszir Siddiqui.

- Mogę jakoś pomóc? - zapytała Rose.

Liz popatrzyła na nią szacującym wzrokiem. Wydawała się miłą dziewczyną, bardzo ładną, lecz lekko nieśmiałą i niezbyt pewną siebie. Liz wahała się, czy skorzystać z jej pomocy. Nie było żadnej potrzeby, aby Rose podpisywała listę osób wtajemniczonych, ale Liz nie chciała, by zaczęły krążyć plotki o tym, że wyciągała akta kolegi. Nie widziała jednak żadnej alternatywy, w końcu Judith mogła wrócić dopiero za parę dni.

- Mogłabyś sprawdzić dla mnie te nazwiska? Sądzę, że znajdziesz coś na ich temat w sprawozdaniach pakistańskiej placówki Szóstki. Zapewne przysłane przez Toma Dartmoutha w czasie, gdy był tam oddelegowany. Raportów będzie sporo, lecz te nazwiska zostały zapewne wciągnięte do indeksu. Toma akurat nie ma, więc nie mogę poprosić jego.

- Dobra - powiedziała wesoło Rose.

Liz wróciła do swego biurka, martwiąc się, ile czasu zajmie Rose przejrzanie sprawozdań. Odpowiedziała na kilka e-maili, zabrała się za robotę papierkową, po czym przeszła do sali konferencyjnej, którą wykorzystywała wraz z Peggy, zamierzając znów przejrzeć akta osobowe Toma. Z zaskoczeniem zobaczyła tam Rose Love, która gawędziła z Peggy.

- Właśnie miałam cię szukać - rzekła Rose. - Mam informacje, o które prosiłaś.

- Naprawdę? Szybko...

- Poszukałam tylko nazwisk. Dwa z nich są w sprawozdaniach, lecz trzeciego nie ma. Przeszukałam je też pod kątem odmiennych wariantów pisowni. Nic z tego. - Podała Liz kartkę. Brakowało nazwiska Baszir Siddiqui. Tom zwerbował go w Pakistanie i chronił w prosty sposób: nie wymieniał jego nazwiska w sprawozdaniach do MI5.

- Dziękuję, Rose. Teraz muszę jeszcze wymyślić, jak go odnaleźć.

Rose wyglądała na zaskoczoną.

- Och, tym też się zajęłam. - Widząc zdumienie Liz, zawstydziała się okazaną przez siebie inicjatywą. - Pomyślałam, że będziesz tego chciała.

- Bo tak jest - odparła Liz.

- Poszukałam jego nazwiska na liście zamieszkałych w Wielkiej Brytanii Azjatów, którzy wyjeżdżali na dłużej do Pakistanu. Nie trzeba było wiele czasu, żeby go znaleźć - dodała z dumą.

- Czy wiesz, skąd pochodzi? - naciskała Liz.

- Bądź cierpliwa, powiedziała sobie. Rose zaoszczędziła ci kilku dni pracy.

- Tak. Z Midlands.

- Wolverhampton?

- Skąd wiesz? - zapytała Rose.



Eddie Morgan nie chciał wylecieć z pracy, lecz jako że byłby to już czwarty raz w przeciągu pięciu lat, był przyzwyczajony.

- Każdy może sprzedawać - lubił głosić jego szef, Jack Symonson. Następnie, zerkając sarkastycznie na Eddiego, dodawał: - No, prawie każdy.

Eddie wiedział, że jego żona Gloria będzie wściekła, ale powinna już zrozumieć, że zawsze można było znaleźć inną pracę, inną posadę w elastycznych ramach rynku używanych samochodów. Wynagrodzenie i tak w większym stopniu szło na poczet podatków niż płacy, tak więc wzięcie kogoś nowego nie było obarczone zbytnim ryzykiem - zwłaszcza gdy, jak Eddie, pracował już w tym fachu od niemal dwudziestu lat.

Znał się na samochodach, nie to było problemem. Gdyby mu dać używanego rovera ze 125 000 km na liczniku, wystarczyłoby mu zerknąć, a już byłby w stanie określić, ile samochód jeszcze wytrzyma i za ile da się go sprzedać. Nie dysponował jednak - nie było sensu oszukiwać samego siebie - umiejętnością dobicia targu. Klienci lubili go (nawet szef to przyznawał) i potrafił mówić płynnie o wszystkim, co miało cztery koła. Kiedy jednak dochodziło co do czego... nie potrafił skończyć.

Dlaczego nie potrafię? - pytał sam siebie już po raz trzeci w tym tygodniu, gdy świeżo rozwiedziona i szukająca czegoś sportowego blondynka w szortach powiedziała „zastanowię się” i opuściła podwórze, marnując czterdzieści minut jego czasu. Eddie stał oparty o pięcioletniego rovera i płał się w słońcu.

Ktoś zagwizdał. Obrócił się i ujrzał jak Gillian, recepcjonistka, macha do niego z pomieszczenia ekspozycyjnego.

- Szef chce się z tobą widzieć, Eddie.

No i masz, pomyślał Eddie, wchodząc do środka i poprawiając krawat, jak ktoś, kto doprowadza się do porządku w drodze przed pluton egzekucyjny.

Gdy zapukał i wszedł do biura Symonsona, z zaskoczeniem zauważył innego człowieka.

- Wejdz, Eddie. To jest Simon Willis z DVLA. Chce spytać cię o samochód. - Willis był młody i ubrany w nieformalny sposób, miał na sobie skafander i bawełniane luźne spodnie. Wyglądał jednak przyjaźnie i uśmiechnął się do Eddiego, gdy ten usiadł.

Co tu robi DVLA? - zastanawiał się Eddie, bardziej z ciekawości niż ze zdenerwowania. A może ten facet był glina? Niezależnie od swych wad, Eddie zawsze uczciwie załatwiał interesy, co było pewną rzadkością na rynku używanych samochodów.

- Szukam golfa z rejestracją na T - powiedział Willis. - Nasze zapiski mówią, że sprzedano go tutaj jakieś dwa miesiące temu.

- Ja go sprzedałem?

Willis popatrzył na Symonsona, który zaśmiał się drwiąco.

- Cuda się zdarzają, Eddie.

O jakie śmieszne, pomyślał kwaśno Eddie, lecz uśmiechnął się nieszczerze, po czym spojrział znów na Willisa, zaś Symonson dalej cieszył się z własnego dowcipu.

- Samochód został kupiony przez człowieka o nazwisku Siddiqui. Tu jest jego zdjęcie.

Willis wyciągnął fotografię i podał ją Eddiemu. Było to powiększone paszportowe ujęcie młodego Azjata o ciemnych smutnych oczach i mizernej koziej bródce.

- Pamięta go pan? - zapytał Willis.

- No pewnie - odparł Eddie. Jak mógłby go zapomnieć? Była to jego pierwsza sprzedaż od niemal dwóch tygodni. Symonson zaczął już wtedy wydawać z siebie pomruki niezadowolenia, które w ostatnich dniach osiągnęły crescendo.

Lecz pewnego poranka zjawił się młody Azjata, który zaczął się rozglądać, szorstko odrzucając oferty pomocy od dwóch innych sprzedawców. Eddie podszedł więc do niego z wahaniem, jednak mężczyzna pozwolił mu się przeprowadzić wokół zgromadzonych na dziedzińcu samochodów, obok peugeotów, fordów i dwóch używanych mini, jakie mieli na składzie, kiedy nagle Azjata zatrzymał się przed czarnym golfem ze 100 000 km na liczniku. Rozsądna okazja, choć przydałoby się go przemalować.

Eddie zaczął gadkę, ale Azjata - co niezwykle, ponieważ Eddie zawsze uważał tych ludzi za grzecznych przerwał mu szybko: „Oszczędź mi tych bzdur”, powiedział. „Ile za niego chcecie?”

- Tak, to ten - Eddie rzekł teraz do Willisa. - Troszkę się potargowaliśmy, ale ostatecznie wydawał się zadowolony. - Chciał dać Symonsonowi odczucie, że dobrze poradził sobie z transakcją, lecz szef zachował obojętny wyraz twarzy. - A co? Jest jakiś problem? - zapytał Eddie.

- Nie z samochodem - powiedział Willis.

Eddie popatrzył na niego uważnie. Eddie wystarczająco naoglądał się przez lata policjantów, by wiedzieć, że czegokolwiek Willis by nie mówił, nie był zwykłym gliniarzem.

- Jeśli miał problem z furgonetką, to jego niedopatrzenie - rzekł Eddie. - Ostrzegłem go, że jest niepewna.

W pokoju zapadła cisza. Willis wydawał się to przetrawiać. W końcu spytał cicho:

- Z jaką furgonetką?

- Tą, którą kupił dwa dni później. Gdy zobaczyłem, że wchodzi, uznałem, że ma jakiś problem z golfem. A może po prostu zmienił zdanie, ludzie często robią tak zaraz po zakupie samochodu. Ale nie, on chciał dokupić furgonetkę. A więc mu ją sprzedałem.

- Jakiej marki?

- To chyba był Ford. Będzie w rachunkach. - Wskazał na Symonsona. - Ale była sześćioletnia, pamiętam. Oczywiście biała. Chciał wejść na tył, by sprawdzić, jak jest duża. Wziąłem za nią trzy i pół. Ostrzegłem go o skrzyni biegów, ale chyba się nie przejął.

- Mówił, po co mu potrzebna?

- Nie. - Za drugim razem młodzieniec o nazwisku Siddiqui był jeszcze bardziej małomówny niż poprzednio, więc Eddie nawet nie próbował wypytywać.

- Mówił, dokąd będzie chciał pojechać?

Eddie potrząsnął głową.

- W ogóle niewiele mówił. Żadnej luźnej gadki. W rachunkach będzie nazwisko i adres, ale płacił gotówką, w obu przypadkach.

Willis skinął głową, ale Eddie widział, że nie był zadowolony.

- Jeśli przypomni się panu jeszcze coś na temat tego mężczyzny - powiedział Willis - proszę do mnie zadzwonić. - Wyjął portfel i wyciągnął z niego wizytówkę, po czym podał ją Eddiemu. - To bezpośredni do mnie. Proszę dzwonić o dowolnej porze.

- Dobrze - rzekł Eddie, spoglądając na wizytówkę. A niech mnie, pomyślał, on rzeczywiście jest z DVLA. -Czy to wszystko? - spytał, przenosząc wzrok z Symonsona na Willisa.

- Tak - odparł Willis. - Dziękuję panu za pomoc.

Gdy Eddie wstał, Symonson odezwał się do niego:

- Będziesz później w pobliżu, Eddie? Muszę z tobą porozmawiać.

A gdzie niby mam być? - pomyślał kwaśno Eddie. W Honolulu? Na Szeszelach?

- Tak, Jack - powiedział, dobrze wiedząc, o czym będą rozmawiać. - Będę tu.



Liz była zaskoczona, gdy dowiedziała się, że Tom mieszkał w Fulham. Sądziła, że jego mieszkanie znajduje się w północnym Londynie, niedaleko od jej, własnego w Kentish Town. Tak naprawdę nie powiedział tego tamtego wieczoru, gdy ją podwoził, lecz na pewno pozwolił jej sądzić, że nie zbacza przez nią z drogi.

Liz przeszła dwie czy trzy przecznice od stacji metra do miejsca zamieszkania Toma: cichego i zielonego zakątka, w którym stały jednolite, zbudowane z czerwonej cegły bliźniaki z ery edwardowskiej, w większości podzielone na mieszkania.

Gdy podeszła do frontowych drzwi, z zaparkowanej kawałek dalej furgonetki, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wyłoniło się dwóch oficerów A2. Liz rozpoznała wysoką i barczystą sylwetkę Berniego, sympatycznego byłego sierżanta wojskowego, z którym pracowała już wcześniej. Towarzyszył mu Dom, jego cichszy pomocnik, niski i żylasty mężczyzna, utrzymujący się w formie dzięki bieganiu w maratonach. Specjalnością Dorna były zamki, miał ich spory zbiór w Thames House.

Uwielbiał je, badał je, trząśł się nad nimi niczym filatelista nad kolekcją znaczków.

Póki co zdolności Dorna nie były jednak potrzebne, ponieważ drzwi frontowe do domu były otwarte i wychodziła z nich właśnie sprzątaczką, która myła kafelki w korytarzu. Nie zwróciła na nich uwagi, gdy minęli ją i weszli po schodach na pierwsze piętro, gdzie mieszkał Tom. Bernie zapukał mocno do drzwi. Dzięki A4 obserwującym mieszkanie z zewnątrz, byli przekonani, że Toma nie było w środku, lecz nikt nie chciał niespodzianek.

Odczekali pełną minutę, a potem Dom zabrał się do pracy. Pierwszy z zamków otworzył w piętnaście sekund, po czym zaczął zmagać się z chubbem w górnym rogu drzwi.

- Cholernik został specjalnie przerobiony - powiedział. Minęły jeszcze trzy minuty, po czym Dom stęknął, pchnął i drzwi otworzyły się.

Liz nie wiedziała, czego się spodziewać i jej pierwszym wrażeniem była niezwykła schludność, niemal niemiecka czystość. A także światło, przesączające się przez frontowe okna do salonu, podkreślające drewnianą podłogę, która została nawoskowana i wypolerowana na wysoki połysk. Ściany były białe, co wzmagało wrażenie przestrzeni, a meble nowoczesne, wyglądające na nowe: krzesła w duńskim stylu i długa, nieskazitelnie biała sofa. Na ścianach wisiało kilka nijakich odbitek w chłodnych, metalowych ramach.

- Miłe miejsce - powiedział z uznaniem Bernie. - Ma tyle pieniędzy?

Liz wzruszyła ramionami. Zapewne ojczym Toma zostawił mu coś w testamencie. Mieszkanie było raczej wygodne niż sztywne, lecz leżało w drogiej części miasta. Trudno było stwierdzić, jak Tom mógłby żyć tutaj ze swego wynagrodzenia w MI5, zwłaszcza, że zapewne dawał coś Margaricie.

Podążyła za Bernim i Domem do pozostałych pomieszczeń: kuchni wnekowej i jadalni, oraz dwóch położonych z tyłu sypialni. Tom spał w tej większej, a druga była wyraźnie wykorzystywana, jako gabinet - było tam małe biurko w rogu oraz szafa na akta.

- Wiesz może, czy zawsze był taki porządny, czy też posprzątał, zanim dał dyla?

- spytał Bernie.

Liz przejechała palcem po blacie biurka i podniósłszy go do góry, nie znalazła śladu kurzu.

- Chyba zawsze tak tu jest.

- Zajmie to nam koło godzinki - powiedział Bernie. Wraz z Domem zostawili Liz w salonie, a sami zabrali się do pracy, szukając kryjówek: od prostych (podnieśli pokrywę zbiornika w ubikacji) do skomplikowanych (sprawdzili podłogi i opukali ścianki działowe oraz stropy w poszukiwaniu ukrytych wnek). Było to wstępne przeszukanie. Później, jeśli zajdzie taka potrzeba, całe mieszkanie zostanie rozłożone na czynniki pierwsze.

Liz skupiła się na tym, co było widoczne, mając nadzieję, że powie jej coś nowego o człowieku, którego jeszcze nie знаła. Nie mogła jednak liczyć na zbyt wiele, powiedziała sobie. Mieszkanie miało w sobie równie wiele osobowości, co pokój hotelowy.

Najpierw poszła sprawdzić sypialnię Toma. Na drążku w szafie wisiało kilka garniturów i kurtek. W komodzie z szufladami znalazła bokserki, skarpetki i tuzin

starannie złożonych bawełnianych koszulek, które zostały wyprane i uprasowane przez firmę usługową.

A więc dobrze się ubiera, pomyślała Liz. To już wiem. Spojrzała na wysoki dębowy regał z książkami, stojący pod jedną ze ścian. Czy książki są kluczem do umysłu człowieka, czy też do jego serca? Ciężko było stwierdzić. Znajdowała się tam mieszanina lekkiej prozy i cięższych rzeczy - historii i polityki. Tom wyraźnie lubił thrillery, miał słabość do dzieł Fredericka Forsytha. Wydawało się słuszne, pomyślała Liz, że samotny wilk Tom posiadał w biblioteczkę Dzień szakala.

Wśród pozostałych książek znajdowały się trzy wyglądające na nudne tomy na temat przyszłości Unii Europejskiej. Niemal dwie półki poświęcone były terroryzmowi, a kilka niedawnych książek Al-Kaidzie. I co z tego? - pomyślała Liz. Sama też mam kilka takich. Mam też egzemplarz Mein Kampf, ale to nie czyni ze mnie sympatyczki nazizmu. Były to po prostu narzędzia jego fachu.

Zauważyła, że niewiele było książek na temat Irlandii. *Poezje zebrane* Williama Butlera Yeatsa oraz podniszczony *Przewodnik po Irlandii* Shella. Nic politycznego, nic na temat niedawnej historii IRA.

I wtedy to zobaczyła. Na koniec jednej z półek wepchnięto cienką niebieską książeczkę: *Parnell a angielski establishment*. Nie musiała jej otwierać, by poznać nazwisko autora. Liam O'Phelan, Uniwersytet Królewski w Belfaście.

Liz robiła się coraz bardziej sfrustrowana nieobecnością w mieszkaniu czegokolwiek osobistego - korespondencji, pamiątek, fotografii. Nie było nawet żadnego chodnika czy wazy wskazujących na fakt, że Tom spędził dopiero co cztery lata w Pakistanie. Podobnie jak jego gabinet, mieszkanie było zupełnie bezosobowe. Celowo, pomyślała Liz. Wydawało się prawdopodobne, że Tom przeprowadził własną wersję rewizji, podobnie jak robili to właśnie Bernie i Dom. Przejrzał mieszkanie i pozbył się wszystkiego, co mogło rzucać światło na fakty z jego przeszłości, co mogłoby wskazywać, jakim był człowiekiem - i co zamierzał zrobić. Choć zapomniał o książce O'Phelana.

W gabinecie Liz z zaskoczeniem odkryła, że szafka na akta nie jest zamknięta, ale była już mniej zdziwiona, gdy przejrzała jej zawartość. W górnej szufladzie znajdowały się rachunki, starannie ułożone według dostawców usług i kart kredytowych. W drugiej leżały zeznania podatkowe oraz bogata korespondencja z Urzędem Skarbowym na temat małżeńskiej ulgi podatkowej w roku, w którym Tom się rozwiódł. Trzecią szufladę wypełniały wyciągi bankowe, zaś najniższa była pusta.

Gdy wyciągnęła kupkę wyciągów z kart kredytowych, zauważyła, że na wierzchu leżał najświeższy. Wszystko wydawało się dość jasne, dopóki nie dotarła do ostatniej pozycji na stronie. Hotel Szczęśliwy Bażant, Salisbury: £212. 83. Spoglądając na tę pozycję, z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że data odpowiadała weekendowi, w który miała miejsce biopsja jej matki i w który Tom odwiedził ją w Bowerbridge. A więc mimo wszystko zjadł kolację w Salisbury, pomyślała, przypominając sobie jego zaproszenie. Ale £212. 83 za kolację? Musiał urządzić spore przyjęcie. Nie. Raczej tam nocował.

To tyle w temacie przyjaciół z farmą przy drodze do Blandford, pomyślała Liz. Nic dziwnego, że tak niejasno wyrażał się o jej położeniu - farma zapewne nigdy nie istniała, podobnie jak i przyjaciele. Tom przez cały czas pozostawał w Szczęśliwym Bażancie. Dlaczego? Co tam robił?

Widział się ze mną, pomyślała Liz. Znalazł się w pobliżu, odwiedził ją, a potem, po długiej kolacji przy świecach w restauracji Złotego Bażanta, padłoby pytanie „A może?”. Co według niego miała zrobić? Paść mu w ramiona, a potem na pierzaste poduszki w jego łóżku?

Tak musiał wyglądać plan, pomyślała Liz, plan mający na celu odciążenie jej z badanego przez nią tropu. Miał nadzieję, że wzbudzając namiętność, zdoła odwrócić jej uwagę. Tak właśnie musiał myśleć. Zarozumiały gnojek, pomyślała Liz. Dzięki Bogu, że odmówiłam. Teraz lepiej pójdę porozmawiać z kobietą, która nie odmówiła.



B było bardzo kulturalnie. Filiżanki delft i małe wiedeńskie ciasteczka na porcelanowym talerzyku, mocna kawa, nalewana z pewną środkowoeuropejską kurtuazją, zaś w tle grająca cicho muzyka klasyczna. Wszystko było tak dystyngowane, że Liz chciało się krzyknąć.

Czas wydawał się stać w miejscu, jednak ukradkowe spojrzenie na stojący na kominku zegar z połączanego brązu powiedziało Liz, że jest tam dokładnie od jedenastu minut.

- Och jej, zapomniałam o radiu. Nie przeszkadza pani hałas?

- Ani trochę. To Bruckner, prawda? Margarita wyglądała na zadowoloną.

- Musi pani lubić muzykę - powiedziała. - Gra pani?

Liz wzruszyła samokrytycznie ramionami.

- Na pianinie. Nie byłam zbyt dobra. - Zdała egzamin po ósmej klasie i szło jej całkiem nieźle, lecz później porzuciła nawyk grania. W Bowerbridge było pianino, lecz nawet podczas niedawnej rekonwalescencji matki Liz nie tknęła klawiatury.

- Podejrzewam, że mogłybyśmy cały dzień rozmawiać o muzyce - rzekła Margarita, trzymając oburącz filiżankę - ale nie po to pani tu przyszła.

- Obawiam się, że nie.

Margarita spojrzała na nią pytająco.

- Chodzi znowu o Toma, prawda? Ta młoda kobieta, która przyszła do mnie wcześniej, mówiła, że to tylko formalność. Ale chyba nie, prawda? Nie, skoro pani też przyszła.

- Owszem, nie.

- Czy ma kłopoty?

- Tak mi się wydaje. Czy miała pani jakieś wieści od niego?

- Nie. Mówiłam już tamtej kobiecie, że nie rozmawiałam z Tomem, odkąd wyjechał do Lahore. Co zrobił?

- Przede wszystkim zniknął. Nie możemy go nigdzie znaleźć. Sądzymy, że może pomagać pewnym ludziom. Ludziom, którzy chcą wyrządzić szkody.

- Jakiego rodzaju szkody?

- Tego właśnie nie wiemy i dlatego musimy go znaleźć. Byłam w jego mieszkaniu, ale nie znalazłam wielu wskazówek.

- Nigdy nie lubił przedmiotów. Nazywał je gratami - powiedziała z lekkim uśmiechem Margarita. Wskazała na otaczający je pokój, pełen mebli, obrazów i bibelotów. - Jak pani widzi, trochę się różniliśmy.

- Czy to stanowiło problem?

- Nie - trochę ostro odparła Margarita. - Doszliśmy do porozumienia. - Uśmiechnęła się. - Mogłam trzymać swoje rzeczy w niektórych miejscach, pozostałe były całkowicie wykluczone.

- Negocjacje? - spytała Liz.

- Nie całkiem - westchnęła Margarita. - Raczej kapitulacja z mojej strony. Zwykle tak bywało. Na przykład pobraliśmy się tutaj, choć oboje moi rodzice żyli i mieszkali w Izraelu. Chcieli, aby wesele odbyło się tam. Ale Tom nalegał.

Margarita wstała i podeszła do jednego ze stojących z boku stolików, pełnego oprawionych fotografii. Większość z nich przedstawiała jej rodzinę z Izraela - na jednej był starszy mężczyzna w mundurze, uśmiechający się i mrużący oczy w słońcu - lecz bardziej z tyłu znajdowało się zdjęcie w srebrnej oprawce, które podała Liz.

- Obawiam się, że to mój ślubny album.

Fotografia została wykonana przed Urzędem Stanu Cywilnego Marylebone, Liz rozpoznała go ze zdjęć znanych osób w prasie. Tom i Margarita stali ręką w rękę na schodach, zwrócenii w stronę aparatu. Z miejsca uderzała różnica w ich wyrazach twarzy: ubrana w jedwabny żakiet koloru kości słoniowej Margarita promieniała, wyraźnie było po niej widać szczęście; z drugiej strony Tom, odziany z ciemny garnitur z goździkiem w butonierce, wpatrywał się beznamiętnie w jakiś punkt za fotografem. Wygląda tak, jakby go właśnie skazano na sześć miesięcy, pomyślała Liz, oddając zdjęcie.

- Wygląda pani na bardzo zadowoloną - powiedziała dyplomatycznie. - Kto był drużbą?

- Nie było go - rzekła Margarita i te słowa mówiły same za siebie. Dodała cierpko: - Jedynym świadkiem był nasz kierowca. On też wziął fotografię.

- Nie było tam pani rodziców?

- Nie. Tom jasno dał do zrozumienia, że ich nie chce. Oczywiście moja matka była bardzo wzburzona.

Margarita nie usiadła z powrotem, podeszła do okna i spoglądała na rozciągające się po przeciwnej stronie ulicy dachy. Miała na sobie szary wełniany sweter, który podkreślał jej pełną figurę. Była wysoka, uświadomiła sobie Liz, i musiała robić spore zamieszanie w orkiestrowym światku. I nie przestała być piękna, pomyślała Liz, to raczej piękno było teraz przesłonięte przez dręczący ją smutek.

- A więc Tom nie dogadywał się z pani rodzicami?

- Spotkał ich tylko kilka razy, ale wszystko było w porządku. Martwiłam się, ponieważ sądziłam, że skoro jest arabistą, mój ojciec może go wziąć za antysemitę. Rozumie pani, ojciec stracił podczas wojny całą rodzinę w Polsce i był wyczulony na takie kwestie.

- Czy miał rację na temat Toma? Czy jest antysemitą?

Margarita zastanawiała się przez chwilę.

- Często o tym myślałam. Na pewno Tom nie miał zbyt wiele czasu na Izrael. Powiedział mi kiedyś, że deklaracja Balfoura była źródłem wszelkiego dzisiejszego zła. Jednak sama sympatyzowałam z Palestyńczykami. W przeciwieństwie do tego, co można przeczytać, wielu Izraelitów tak robi. Nie spieraliśmy się więc o politykę. Nie stanowiło to problemu.

- A co stanowiło problem? - spytała śmiało Liz.

Takie osobiste sondowanie było trochę ryzykowne.

Margarita obróciła głowę i spojrzała na Liz, która nagle zaczęła się martwić, że nacisnęła zbyt mocno i zbyt wcześnie. Jednak skrzypaczka odpowiedziała na jej pytanie:

- Nigdy mnie nie kochał - rzekła bez śladu uzalania się nad sobą. Liz nie chciała nawet myśleć, ile bólu musiała ścierpieć Margarita, zanim była w stanie mówić o tym tak beznamiętnie.

- Na początku był czarujący. Zrelaksowany, zabawny, ironiczny. Ale teraz zdaję sobie sprawę, że nigdy nie chodziło tak naprawdę o mnie. Czy to ma sens?

Popatrzyła tak błagalnie na Liz, że ta poczuła się zmuszona skinąć z sympatią głową. W przerwanych zalotach, jakie Tom kierował w jej stronę, Liz wyczuła coś z tej mieszanki uroku i niezwykłego skupienia na własnej osobie. Dzięki Bogu, że zachowałam dystans, pomyślała.

Starając się zachować samokontrolę, Margarita powiedziała:

- Przez jakiś czas myślałam, że mnie kochał. - Po chwili dodała ze smutkiem: - Pewnie dlatego, że tak bardzo tego pragnęłam. Ale nie kochał.

Wskazała na stojącą na stoliku fotografię ślubną i milczała. Liz była przekonana, że Margarita nigdy dotąd nie rozmawiała o tym w ten sposób, nawet z najbliższymi przyjaciółmi, jeśli w ogóle takowych miała. Wydawała się zbyt dumna, zbyt poważna, by się do tego przyznawać. Paradoksalnie, dopiero dzięki komuś obcemu zdołała się otworzyć.

Margarita potrząsnęła z żalem głową.

- Jeśli chce pani wiedzieć, co poszło nie tak w naszym małżeństwie, muszę powiedzieć, że nic się tak naprawdę nie zmieniło. Myślałam, że owszem, Tom w pewnym stopniu jest zimny jak ryba, ale musi coś czuć, inaczej dlaczego chciałby się ze mną ożenić? Ale później zaczęło mi się wydawać, jakby mnie wybrał, a potem postanowił zrezygnować z tego wyboru. To tak, jakby zwracać do sklepu sukienkę, która nie pasuje. - Napiętym, zbolalym z emocji głosem dodała: - Nigdy nie było w tym miłości.

- A czy w ogóle kogokolwiek kochał?

- Swego ojca - odparła bez wahania. - Chodzi mi oczywiście o jego prawdziwego ojca. I to tylko dlatego, że nigdy go tak naprawdę nie znał.

- Czy Tom mówił o swoim ojcu? - w tle słychać teraz było „Śmierć i dziewczynę” Schuberta, z melancholijnie i powoli grającą wiolonczelą.

- Niemal nigdy. A gdy mówił, nie było to o jego ojcu, co raczej o ludziach, którzy go zniszczyli. Właśnie tego słowa Tom zawsze używał: „Zniszczyli”.

- Kim byli ci ludzie?

Margarita uśmiechnęła się gorzko.

- Może pani pytać. Ja też pytałam, ale mi nie odpowiadał.

- Wie pani, w pracy Tom był zupełnie pozbawiony emocji, bardzo się kontrolował - rzekła Liz. - Większość z nas jest taka, tak trzeba w naszym fachu. Emocje po prostu przeszkadzają. Ale musiał podchodzić z uczuciem do czegoś.

- Ma pani na myśli coś innego niż jego ojciec? - odparła Margarita, odwracając się od Liz i spoglądając na fotografię na stoliku.

- Nie miałam na myśli tego, co tak bardzo kochał, a raczej to, czego nie kochał. Czy coś wzbudzało w nim gniew?

- Nigdy nie okazywał gniewu - powiedziała rzeczowo Margarita, dodając z żalem: - Byłoby lepiej, gdyby okazywał.

Margarita znów usiadła.

- Nienawidził szkoły - rzekła - ale czyż nie każdy tak ma? - Zaśmiała się lekko. - To wydaje się wyjątkowo angielską chorobą, te całe szkoły z internatami. A jego zmuszono, by chodził do Oundle.

- Oundle?

- Stara szkoła jego ojczyma. Wiem, że nią gardził.

Liz jakoś wątpiła, by Tom zamierzał wysadzić kaplicę w Oundle, gdziekolwiek mogło się ono znajdować.

- Zastanawiam się... - zaczęła mówić, lecz Margarita przerwała jej.

- Najdziwniejsze jest to, że można by się po nim spodziewać, iż pokochał Oxford.

- A nie? - spytała Liz.

- Wręcz przeciwnie. Wciąż prosiłam go, by mnie oprowadził. Chciałam zobaczyć wraz z nim jego stary college, miejsca, w których bywał. Odmówił jednak. Musiałam pojechać sama.

- Czy wyjaśnił dlaczego?

- Nie całkiem. To było tak: podjął decyzję i tak musiało być. Nigdy nie odczuwał potrzeby, by coś wyjaśniać. Próbowałam się z nim drażnić. Mówiłam: „A co, jeśli nasze dzieci zechcą pójść tam na studia?”. To było wtedy, gdy wciąż jeszcze myślałam, że będziemy mieć rodzinę.

- Co Tom powiedział?

- Powiedział, że imperium brytyjskie zostało zbudowane na władzy i hipokryzji, a Oxford wciąż leżał na takich fundamentach. Sądziłam, że żartuje. Wtedy powiedział, że woli nie mieć dzieci, niż posłać je do Oxfordu.

- Być może mówił tak dla efektu?

Margarita popatrzyła uważnie na Liz, zaś Liz wyczuła, że chciała zakończyć rozmowę. Być może żałowała swojej szczerości i wkrótce jej otwartość mogła przejść w oburzenie. Nie miała już tak łagodnego głosu.

- Tom niczego nie mówił dla efektu. Był bardzo dosłowny, jak Amerykanie. Potrafił być zimny jak lód, nawet na początku. Pod koniec był już jak lodówka.

Liz uznała, że dowiedziała się już wystarczająco wiele z tej rozmowy. Nadszedł czas, by wyjść.

- Bardzo pani dziękuję za kawę i za rozmowę - powiedziała, wstając. - Bardzo mi pani pomogła. - Ruszyła w stronę drzwi, lecz zatrzymała się, by zadać ostatnie

pytanie: - Proszę mi powiedzieć, gdyby miała pani zgadywać, dokąd Tom mógłby się udać, gdzie by to było?

Margarita zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym wzruszyła ze znużeniem ramionami.

- Któż wie? Nie miał żadnego najważniejszego miejsca, nawet w sercu. To właśnie próbowałam pani powiedzieć.

Czy dowiedziała się czegoś o Tomie? - zastanawiała się Liz, wychodząc z pałacyku i idąc w stronę metra na High Street Ken. Popołudnie robiło się parne - w powietrzu wisiało duszne, wilgotne gorąco, zapowiedź burzy.

Zgodnie z doświadczeniem Liz, ludzie których ściagała, kierowali się często motywami, jakie innym wydawałyby się niemal błahe, niemal banalne, w porównaniu z ekstremalnymi czynami, do jakich dążyli. Pieniądze, seks, narkotyki, oddanie sprawie, nawet religia - jakże mogły usprawiedliwiać akty przemocy, do jakich niektórych doprowadzały?

Ale w przypadku Toma miała do czynienia z czymś innym. Wydawał się człowiekiem pozbawionym motywacji. Człowiekiem, który nie potrafił pokochać niczego ani nikogo. Jak inaczej określić rekruta IRA, który wydawał się stracić zainteresowanie Irlandią? Rekruta IRA, werbującego w Pakistanie brytyjskich muzułmanów do popełnienia nie wiadomo, jakich okrucieństw wobec własnego kraju? Tom wydawał się wymykać wszelkim psychologicznym kwalifikacjom.

O co w tym wszystkim chodzi? - zastanawiała się. Wyglądało na to, że ściagała maszynę do produkcji lodu. Ale Tom musiał niegdyś odczuwać silne emocje. Dlaczego przyjął propozycję O'Phelana? Mógłby to zrobić tylko ktoś, kto fanatycznie wierzył w walkę o zjednoczoną Irlandię. Ale czy naprawdę tak silnie to odczuwał? Nie był Irlandczykiem.

Zastanawiając się nad wszystkim, czego dowiedziała się o Tomie, wracała wciąż do pytania, jakie zadała Margaricie: „Czy w ogóle kogokolwiek kochał?”. A odpowiedź brzmiała: „Swego ojca. Chodzi mi oczywiście o jego prawdziwego ojca”. Jak jednak jego miłość do ojca, pismaka okrytego hańbą, który zabił się ponad trzydzieści lat temu, mogła teraz stanowić motyw?

Nagle Liz pomyślała, że spogląda na to wszystko tylko z jednego końca. A co, jeśli zamiast kochać, Tom nienawidził, naprawdę nienawidził - czy to mogło być motywem do tego, co robił teraz?

Kogo obwiniał za upadek ojca? Przypomniała sobie szczegóły ze sprawozdania Peggy. Ojciec Toma twierdził tak wiele lat temu, że jest niewinny, oddalał zarzuty, że dopuścił się fałszerstwa, mówił, że padł ofiarą skomplikowanego spisku. Według niego, mityczny członek SAS - źródło jego rewelacji - był wtyczką, zawieszoną na przynętę przed jego nosem przez... przez kogo?

Przez Brytyjczyków, oczywiście, przez jakąś niesprecyzowaną sitwę z wojska i Secret Service, z dorzuconym dla dobrego rachunku konsulem brytyjskim w Nowym Jorku. Ojciec Toma winił za swój upadek „Brytyjczyków”.

Liz stała nieruchomo na chodniku przy stacji metra High Street Kensington, a ludzie z zakupami zwinnie mijali jej zamyśloną sylwetkę. Czy to był więc obiekt nienawiści Toma? Brytyjczycy, jego własny naród? Co on takiego powiedział Margaricie? Kraj „zbudowany na władzy i hipokryzji”? I mówił poważnie. Śmiertelnie poważnie.

Jaka ja byłam głupia, pomyślała Liz. Uparcie starała się znaleźć punkty zaczepienia Toma w nadziei, że doprowadzi ją to do miejsca, do którego się uda, gdy wszystko inne zawiedzie.

Nie próbuj go tam odszukać, pomyślała, ta droga prowadzi donikąd. Można podążać tylko jedną drogą, powiedziała sobie. Podążać szlakiem nienawiści.



Peggy Kinsolving powiększyła mapę Home Countics i położyła przed nimi na stole w sali konferencyjnej. Wetherby spojrział już na nią dwukrotnie, a teraz podszedł i usiadł. Nie sprawiał wrażenia, jakby chciał wyjść. Liz mogła stwierdzić, że starał się wyglądać optymistycznie, ale wyczuwała jego zatroskanie, ponieważ je podzielała.

Cieszyła się jednak, że tu był, ponieważ przez całe popołudnie w jej myślach formowała się koncepcja - być może sięgająca za daleko, jednak nie chciała jej opuścić. Liczyła na to, że Wetherby zdecyduje, czy pomysł jest głupi, czy też obiecujący.

Na zewnątrz długa spirala czarnych chmur przesuwała się z zachodu i zrywał się wiatr, szarpiąc liśćmi na rosnących po drugiej stronie ulicy platanach. Liz pomyślała przez chwilę o centrum ogrodowym w Bowerbridge. Właśnie takiej pogody matka nienawidziła, z powodu szkód, jakie mogła wyrządzić młodym roślinom. Liz poczuła się winna, ponieważ zeszłego wieczoru nie zadzwoniła do niej. Operacja miała być za dziesięć dni i Liz starała się codziennie kontaktować z matką.

Popatrzyła przez stół na Dave'a Armstronga, który wrócił z Wolverhampton i składał sprawozdanie z tego, czego się tam dowiedział.

- Baszir kupił tę furgonetkę kilka dni po zakupie golfa. Jedyne problemy polegają na tym, że na drogach jest ich pewnie ze dwieście tysięcy. To jak emblemat zawodowy: nie możesz nazywać się budowlańcem, jeśli nie masz białej furgonetki.

- A co z numerami rejestracyjnymi?

- Natychmiast puściłem je w obieg. W całym Zjednoczonym Królestwie jest osiem tysięcy kamer rozpoznających numery, więc jeśli jeżdżą z tymi rejestracjami, w pewnym momencie kamery to wychwycą. Jestem jednak pewien, że je zmienili - tak zrobili w golfie. Dość sprytnie zachowali początkowe T, ponieważ pasowało do rocznika samochodu, jednak zmienili numer.

- Zapewne i tak trzymają furgonetkę w zamknięciu, póki nie będą jej potrzebować - powiedział zmęczonym i cichym głosem Wetherby. - Oznacza to, że jeśli nie mają innego samochodu, pozostają zapewne w mieście, w jakimś miejscu, w którym dysponują transportem publicznym na wypadek, gdyby musieli dokądś pojechać.

Liz popatrzyła na ikсы zaznaczone na mapie długopisem.

- Londyn - oznajmiła, po czym wskazała kawałek dalej na zachód - potem Wokingham. - Przesunęła rękę do góry, na północny zachód, i dźgnęła kolejne miejsce. - A ostatnio w Downs, w okolicach Ridgeway.

- Co tam jest w pobliżu? - spytał Wetherby. - Wantage?

Liz potrząsnęła głową.

- Nie sądzę, by to mógł być cel. To miasto kupieckie. Żadnych instalacji wojskowych. A Peggy sprawdziła, czy nie ma tam żadnych wydarzeń publicznych.

- Co sobota jest targ na rynku - rzekła Peggy - ale niewiele więcej.

- To nie wydaje się zbyt prawdopodobne - powiedział Wetherby. Wskazał na mapę. - A co z Newbury?

- W ten weekend jest wiejski jarmark - odparła Peggy, a Wetherby uśmiechnął się, lecz potrząsnął głową.

- Swindon? - zapytał Dave. - Siedziba W. H. Smitha i National Trust. - Tym razem Wetherby nawet nie wysilił się na uśmiech.

- A może Didcot? - spytała Peggy, która omówiła już wszystkie te miasteczka z Liz, zanim przyszli obydwaj mężczyźni. Wskazała punkt na mapie oddalony o kilka kilometrów na wschód od miejsca porzucenia samochodu. - To większe miasteczko, niż sądziłam. Populacja wynosi dwadzieścia pięć tysięcy i szybko rośnie. Jest tam wystarczająco wielu Azjatów, by nasi podejrzani mogli się wtopić. A co najważniejsze, jest tam elektrownia.

- Nuklearna? - zapytał Dave.

- Nie, węglowa, choć ludzie często sądzą, że jest nuklearna, bo leży w pobliżu Harwell. Te chłodnie kominowe mogłyby być niezłym celem. - Zerknęła do notatek. - Główny komin ma 198 metrów wysokości, a pozostałe mają po 99 metrów. Widać je z wielu kilometrów. W plebiscycie na Najbardziej Kłujący Oczy Widok w Wielkiej Brytanii czytelnicy *Country Life* dali im trzecie miejsce.

- Już mi się zaczyna podobać to miejsce - zakpił Dave, który jako stary labourzysta nie czytywał *Country Life*.

- Czekajcie - powiedział Charles. - Jeśli tam są, czy nie powinniśmy martwić się o Aldermaston? Tam produkuje się bomby nuklearne.

- Ale nie da się tam zbliżyć - rzekł Dave. - To chyba najlepiej chronione miejsce w całej Brytanii. Zresztą, skąd mieliby wiedzieć, co atakować, jeśli nie mają informacji z wewnątrz? Nie ma powodu sądzić, by Tom miał tam jakieś kontakty.

- Lepiej zawiadomić ochronę - powiedział bez entuzjazmu Wetherby. - A ty jak sądzisz, Liz? - Wydawał się wyczuwać jej sceptycyzm.

- Sądzę, że pozostają w Didcot. To takie anonimowe miejsce, tak naprawdę jedynie bardziej rozrośnięty węzeł kolejowy. Znacznie dla nich lepsze niż wieś. Jako Azjaci za bardzo by się wyróżniali. Ale naprawdę nie uważam, by elektrownia w Didcot albo Aldermaston mogły być celem. Dlaczego Tom miałby dążyć do zniszczenia elektrowni albo fabryki bomb nuklearnych? Nie ma w tym żadnej wartości symbolicznej. Zresztą wymagałoby to szerzej zakrojonej operacji, niż on wydaje się prowadzić.

- Wszystko w porządku - odezwał się Wetherby - ale czy symbolika jest ważna dla terrorystów? Na pewno chodzi im o maksymalny efekt.

- Ale symbolika jest ważna dla Toma. Jeśli robi coś tak szalonego, musi mieć to jakiś sens.

- A więc jesteś przekonana, że Tom dowodzi tymi ludźmi, a nie tylko im pomaga?

- Tak - rzekła stanowczo Liz, zastanawiając się nad tym, czego dowiedziała się o nim przez ostatnie dwa dni. - Tom lubi kontrolować sytuację, nawet jeśli robi to zza kulis. Potwierdzają to słowa Margarity Levy. Jest to jakiegoś rodzaju misja, a on nią dowodzi. W jego umyśle ma to sens.

- Czy sądzisz, że współpracuje z Al-Kaidą? - zapytał Dave.

- Nie. Uważam, że z własnej inicjatywy zwerbował Baszira w Pakistanie. Miał do niego zupełnie swobodny dostęp, powinien go zwerbować dla Szóstki.

Wetherby postukał końcem ołówka o stół.

- No dobrze, jeśli nie Didcot albo Aldermaston, to gdzie? - W jego głosie słyhać było zniecierpliwienie. - Musimy podjąć jakieś decyzje. Które cele mamy osłaniać? Mam przeczucie, że nie zostało nam wiele czasu - dodał. - Wpadają w panikę, wystarczy spojrzeć na samochód. Spalenie go sugeruje mi, że są już blisko tego, co zamierzają zrobić.

Popatrzył na Liz tak, jakby w jakiś sposób mogła mu odpowiedzieć i wyglądał na wdzięcznego, gdy się odezwała:

- Sądzę, że to Oxford - rzekła.

- Oxford? Dlaczego Oxford? Masz jakiś konkretny powód?

- Żaden szczególny - przyznała. - Ale to wyszło od czegoś, co powiedziała Margarita. Mówiła, że nienawidził Oxfordu, to miejsce wzbudzało w nim prawdziwą odrazę.

- Cóż, jeśli Oxford, to co jest celem? - spytał Wetherby. - Jego college? Jakaś osoba albo wydarzenie?

- Nie wiemy. Peggy starała się dowiedzieć, czy dzieje się tam coś specjalnego.

- I znów spróbuję - powiedziała Peggy. - Nie informowałam jeszcze policji, ponieważ nie mamy pewności. Kontaktowałam się z sekretarką w rektoracie, ale nie było jej całe popołudnie. - Wstała i pospiesznie opuściła pomieszczenie.

Siedzieli przez minutę w milczeniu. Wetherby stukał palcami o blat, pogrążony w myślach, zaś Dave pochylił się na krześle i spoglądał w podłogę.

Nagle Wetherby popatrzył na Liz.

- Wiem, że ludzie bywali nieszczęśliwi w Oxfordzie - rzekł. - Ale nie nienawidzili go z pasją.

- Nie sądzę, by chodziło o miejsce. Raczej o to, co ono dla niego symbolizuje. W jakiś sposób stało się dla niego ucieleśnieniem establishmentu.

- Czy to był wpływ O'Phelana?

Liz odchyliła się na krześle.

- Zapewne w jakimś stopniu. Gdy widziałam się z nim w Belfaście, O'Phelan z pewnością nie wyrażał się pozytywnie o spędzonym tam okresie. Ale sądzę, że tak naprawdę jest to związane z własnymi odczuciami Toma. Odkąd zabił się jego ojciec, nosi w sobie głęboką nienawiść do Anglii. Z pewnością uważa, że jego ojciec został wrobiony przez wywiad, rząd i establishment, cokolwiek miałby on znaczyć w obecnych czasach.

- A został? - zapytał Dave.

- Nie. W Irlandii Północnej działy się wtedy różne dziwne rzeczy, ale nie wierzę w tę historię. Sądzę, że jego ojciec stał się po prostu ofiarą oszusta chcącego zrobić pieniądze na sensacyjnej opowieści, która nie okazała się prawdziwa. Jest to tragedia w tym sensie, że jego ojciec nie uważał, by pisał antybrytyjską propagandę. Tak naprawdę sądził, że pisze prawdę.

- Ale dlaczego Tom nie próbuje wysadzić Thames House? Albo Vauxhall Cross?
- spytał Dave.

- Wie, jak trudne by to było. Nawet nie warto próbować.

- Nie, to nie tak - powiedział dobitnie Wetherby. Pociągnął mocno za krawat. -
Jeśli chce symbolicznie uderzyć w establishment, a także wyrządzić wiele szkód, to my
jesteśmy kiepskim celem.

- A więc zamiast tego wysadzi Wysoki Stół²⁶ - rzekł Dave, a Liz wyraźnie
słyszała jego sceptycyzm. Nie mogło to jednak zmienić jej zdania. Kierowała się teraz
instynktem i była coraz bardziej przekonana, że to Oxford stanie się celem Toma, lecz
jednocześnie czuła straszliwy niepokój, że tak naprawdę nie może mieć pewności i nie
jest w stanie konkretniej określić celu. Wszystkie te college'e, pomyślała, te biblioteki,
kaplice, hole i muzea. To może stać się wszędzie.

Peggy wróciła do sali z poszarzałą twarzą.

- Co się stało? - spytała Liz.

- Nie byłam w stanie skontaktować się z sekretarką z rektoratu, ponieważ jest
niezwykle zajęta przygotowaniami do Encaenii.

- Mój Boże! - krzyknął Wetherby. - To musi być to.

- Co to jest Encaenia? - spytał Dave.

- To ceremonia odbywająca się w Oxfordzie podczas letniego trymestru -
spokojnie wyjaśnił Wetherby. - Ma miejsce w Sheldonian. Jest to wyjątkowa
uroczystość, podczas której rozdaje się stopnie honorowe.

- Studentom? - zapytał Dave. Wetherby potrząsnął głową.

- Nie, nie. Luminarzom. Zwykle jest tam jeden czy dwóch zagranicznych
dygnitarzy. W zeszłym roku był to chyba prezydent Chirac. Czasami zdobywca
nagrody Nobla. Słynni pisarze. Tacy właśnie ludzie.

- To nie będzie tylko Encaenia - wtrąciła Peggy. - Mianują też nowego
kanclerza.

- Lorda Racktona? - zapytał Wetherby, a Peggy przytaknęła.

Usta Dave'a wykrzywiły się w grymasie. Rackton był przez wiele lat jednym z
liderów torysów i często określano go jako najlepszego premiera, jakiego kraj nigdy
nie miał.

Peggy spoglądała w notatki.

²⁶ W Oxfordzie oraz Cambridge, a także w innych tradycyjnych instytucjach akademickich, Wysoki Stół (High Table) jest podwyższeniem na końcu sali jadalnej, wykorzystywanym przez starszych wykładowców i ich gości (przyp. tłum.).

- Ceremonia mianowania kanclerza odbędzie się o jedenastej trzydzieści w Sheldonian. Później, o dwunastej trzydzieści, rozpocznie się Encaenia. W międzyczasie laureaci stopni honorowych oraz władze uniwersytetu spotykają się w jednym z pobliskich college'ów na balu dobroczynnym imienia lorda Crewe'a.

- Czyli? - spytała Liz.

Peggy zacytowała głośno:

- „Brzoskwinie, truskawki i szampan”. Bufet opłacony jest z dziedzictwa osiemnastowiecznego lorda Crewe'a.

Dave uniósł brew, spoglądając na Liz. Peggy ciągnęła dalej:

- Po mianowaniu, lord Rackton dołączy do nich i wszyscy pomaszerują w procesji do Sheldonian. W tym roku bal dobroczynny odbywa się w Lincoln College, więc będą musieli tylko przejść za róg.

- Spore wydarzenie - powiedział Wetherby. - Swoista pokazówka dla uniwersytetu. Bardzo barwne: ważni ludzie pokazujący się publicznie, łatwy dostęp do nich. - Po chwili dokończył cicho: - Obawiam się, że to ma sens.

Nikt nie musiał pytać, o jakie „to” mu chodziło. Niepokój wynikający z nieznamości celu Toma został szybko zastąpiony napięciem niepewności, czy uda się go powstrzymać.

- Kiedy jest ta Encaenia? - Dave spytał Peggy.

Proszę, modliła się Liz, aby to było za kilka tygodni. Czekwała z kiepsko ukrywanym zniecierpliwieniem, gdy Peggy szukała w notatkach.

- Ceremonia odbywa się zawsze w środę dziewiątego tygodnia - oznajmiła w końcu.

- Ale która to środa? - spytał przez zaciśnięte zęby Dave.

Siedział już zupełnie prosto.

Peggy popatrzyła na niego wielkimi oczyma.

- Oczywiście jutro. To dlatego sekretarka była dziś taka zajęta.

Pomieszczenie wypełniło się niskim grzmiotem, zupełnie jakby nad ich głowami przelatywał samolot, a okna zatrzęśły się lekko. Stojąca obok Liz Peggy zadrżała wyraźnie.

- Wszystko w porządku - powiedział Dave. - To tylko piorun.



W pobliżu starego pola golfowego w Witney, miasteczku targowym na zachód od Oxfordu, Tom znalazł mały i zapuszczony, choć niepozabawiony śladów dawnej elegancji hotelik. Zapłacił z góry za tydzień, meldując się pod nazwiskiem Sherwood. Wykorzystał to samo nazwisko, aby wynająć samochód i kupić bilet na samolot.

Gdy żył jako Sherwood, ciężko mu było tworzyć dla siebie przeszłość, tak bardzo był pochłonięty teraźniejszością. Z biegiem czasu zdoła wypełnić puste miejsca w sposób wystarczający, by zadowolić nawet najbardziej wścibskich, lecz teraz czuł, że znajdował się w wyjątkowo egzystencjalnym punkcie życia.

Gdy dojechał ostrożnie na rogatki Burford, poruszając się bocznymi drogami, na których nie zainstalowano kamer, zadzwonił do Baszira. Tom doszedł do wniosku, że było to bezpieczne - jedynie telefon Raszida mógł im zaszkodzić, a i to tylko z powodu głupoty chłopaka. Wybranie go było wielkim błędem, nawet jeśli przyprowadził ze sobą Khaleda Hassana, który był twardy jak skała.

Teraz on i Baszir po raz setny powtórzyli plany i zsynchronizowali zegarki, a następnie Tom rozłączył się. Głos Baszira brzmiał spokojnie, lecz był przecież ulepiony z innej gliny i odznaczał się większym oddaniem sprawie niż Raszid, który na szczęście miał do odegrania jedynie drugorzędną rolę. Jak dotąd, Raszid okazał się jedyną pomyłką. Jednak i tak było już za późno, by coś z nim zrobić.

Tom po części czuł z tego powodu ulgę, ponieważ nie ucieszyło go zabójstwo dawnego nauczyciela - O'Phelana ani zlecenie zabójstwa Marcepana. Nie odczuwał żadnej winy - te morderstwa były konieczne, a jeśli cokolwiek do nich doprowadziło, była to nadgorliwość jego kolegów z MI5, szczególnie Liz Carlyle. Toma nie dręczyło to, że Baszir i Khaled chcieli umrzeć. Nie interesowała go ich motywacja. Posłużą jego celom. Po to byli.

Nadszedł już środowy poranek. D-Day, powiedział sobie w myślach Tom, pakując się, rozbawiony angielskim brzmieniem tej nazwy. Później pojedzie do

Bristolu, gdzie zarezerwował sobie na noc kolejny pokój hotelowy. Wczesnym rankiem miał odlot do Shannon, potem zaś do Nowego Jorku, dzięki uprzejmości - co pasowało do całej sytuacji - Aer Lingus. Będzie już wtedy mocno poszukiwany, unikał więc Heathrow, gdzie mógłby łatwiej zostać rozpoznany. Jako Sherwood będzie dość bezpieczny przy irlandzkiej kontroli paszportowej, a już zupełnie bezkarny - w Nowym Jorku. Tam zdecyduje, jak będzie wyglądać drugi etap jego długoterminowej kampanii. Długoterminowej, ponieważ zamierzał na długo pozostać cierniem w boku prześladowców swego ojca.

Wychodząc, wyjaśnił kobiecie z recepcji, że wybiera się do West Country i zabiera torbę, w razie gdyby musiał zostać na noc. Nie chciał, by pomyślała, że nagle wyjeżdża na dobre. Później będzie zaskoczona, pomyślał. Podobnie jak wszyscy inni. W tym Baszir.



Bardzo wczesnym rankiem Liz pojechała do Oxfordu z Wetherbym. Nie spała prawie przez całą noc, rozmyślając o nadciągającym dniu. W końcu udało jej się zasnąć, ale pozostały już tylko dwa dni do przesilenia letniego i szybko obudziło ją wlewające się przez okno sypialni światło świtu.

Gdy przejechali przez wapienny wyłom w Stokenchurch i otworzyła się przed nimi dolina Tamizy, Wetherby przerwał ciszę, żeby powiedzieć:

- Wciąż mam lekką nadzieję, że się mylimy.
- Wiem - powiedziała Liz.
- Z drugiej strony, jeśli się mylimy, to uderzenie może się zdarzyć gdzieś indziej.

Opuścili M40 zjazdem na Oxford, a potem musieli zatrzymać się na kilka minut przed rondem na wschodnich rogatkach miasta. Gdy stanęli w korku, Wetherby znów się odezwał:

- Dokąd według ciebie udał się Tom?
- Bóg jeden wie - rzekła Liz. - Nawet Margarita nie miała na to żadnego pomysłu.
- Sądziś, że spotkał się z terrorystami?
- Mógł być z nimi w kontakcie, ale nie, nie sądzę, by ryzykował spotkanie. A co, ty tak myślisz?

- Nie, ale nie sądzę też, by opuścił kraj. Przynajmniej jeszcze nie. Chce dopilnować dzieła. Dzieła! - powiedział z nietypową dla siebie pogardą. Zjechał z ronda i wyprzedził wlekącą się ciężarówkę, po czym zwinnie wślizgnął się na drogę do Headington. Na chodniku dzieci szły do szkoły, maluchy były odprowadzane przez matki, a starsze bawiły się w berka. Dzień wydawał się taki zwyczajny, pomyślała Liz.

Zatrzymali się na światłach w Headington.

- Czy sądzisz, że teraz już go rozumiesz? - spytał Wetherby.

Liz obserwowała, jak Jack Russell terrier gryzie swą smycz, podczas gdy jego właścicielka stoi pogrążona w rozmowie z potężną kobietą w letniej sukience.

- Zważywszy na to, co musiał czuć po śmierci ojca, chyba rozumiem, że mógł odpowiedzieć na ofertę IRA, zwłaszcza gdy skontaktował się z nim ktoś tak charyzmatyczny, jak O'Phelan - odparła. - Nie rozumiem jednak, jak mógł to zamienić na zupełnie innych terrorystów i zupełnie inną sprawę. Szczególnie, że nie sądzę, by Tom odczuwał zbyt dużą sympatię wobec islamu.

- Czy on w ogóle w coś wierzy?

- Nie w sensie religii. To dlatego nie rozumiem, co chce dzisiaj osiągnąć, oczywiście przy założeniu, że mamy rację. Stary torys staje się kanclerzem, peruwiański ambasador otrzymuje tytuł. Jaki sens ma zabicie ich?

- Nie zapominaj, że zamordował O'Phelana - powiedział Wetherby. Mijali teraz Oxford Brookes University, nowego lokatora szarej posiadłości, w której mieszkał przez tak wiele lat Robert Maxwell. - I doprowadził do śmierci Marcepana, nawet, jeśli sam go nie zabił.

- Stali mu na drodze.

- Na drodze do czego?

Liz wzruszyła ramionami, myśląc o zamachowcach.

- Zapewne do tego, co planuje. Musi to mieć dla Toma niezwykle znaczenie. Ale że chce zabić dziś tych wszystkich niewinnych ludzi... po prostu nie mogę sobie tego wyobrazić.

- Ani ja - rzekł Wetherby. - To wydaje się pozbawione sensu.



Konstabl Winston mierzył metr dziewięćdziesiąt trzy na boso, a przynajmniej trzy centymetry więcej, gdy zakładał regulaminowe czarne buty. Wyróżniał się i uważał to za swój atrybut - zwłaszcza podczas zgromadzeń publicznych, gdzie stawał się punktem orientacyjnym dla zagubionych w tłumie kolegów, niczym boja wspomagająca pilotów w nawigacji.

Zwykle lubił pracować przy wydarzeniach publicznych. Tego ranka konstabl Winston nie cieszył się jednak, że jest na służbie. Zwykle miał wolne środy i odprowadzał dzieci do szkoły. Chciał się opierać, gdy zeszłej nocy dyżurny sierżant zwrócił się do niego przy schodzeniu ze służby, ale z tonu sierżanta mógł wywnioskować, że chodzi o coś ważnego, tak więc mimo wszystko nie protestował. Odprawa zmiany o 6.45 nie wyjaśniła jednak wyczerpująco powodu tego pospiechu. „Zostaliśmy ostrzeżeni o ewentualności incydentu podczas dzisiejszych uroczystości uniwersyteckich”, obwieścił sierżant. „Poinformujemy was, gdy dostępnych będzie więcej informacji”.

Co, u diabła, miało to znaczyć? - zastanawiał się konstabl Winston, wchodząc na mającą kształt złotej rybki Broad Street, zupełnie spokojną o tak wczesnej godzinie. Z tego krańca ulica z jednej strony graniczyła z szeregiem sklepików w pastelowych kolorach, a wiktoriańskimi budynkami Balliol College o dwuspadowych dachach z drugiej. Przy Sheldonian zwięzała się do wąskiej uliczki. Wewnątrz odbędzie się skomplikowana uroczystość Encaenii, podczas gdy na zewnątrz ulica wypełni się zwyczajowym tłumem przyjezdnych gapiów i obojętnych miejscowych. Teraz jednak, gdy słońce starało się wyrzeć po nocy zasnutę wilgotnymi chmurami, Broad była praktycznie pozbawiona przechodniów i samochodów.

Co takiego miało się dzisiaj zdarzyć, znów zastanawiał się konstabl Winston, dochodząc do rogu Turl. Stał tam na chwilę, podziwiając wciąż mglisty widok na osobliwą uliczkę, z przypominającą włoskiego loda iglicą biblioteki Lincoln College, wystającą znad muru college'u. Był na służbie, gdy przed niemal dekadą prezydent

Clinton otrzymał swój honorowy dyplom i dobrze pamiętał kamienną niewzruszoność ludzi z Secret Service, którzy nalegali, by w takim dniu sprawdzać nawet takich policjantów, jak on. To zrozumiałe, przecież każdy prezydent mógł stać się celem zabójstwa. I było to jeszcze przed 11 września. Czy więc dziś przyjedzie tu ktoś równie ważny? Wątpił w to, usłyszałby o tym już dawno temu, zresztą wtedy dodatkowa zmiana nie wiązałaby się z tak niejasnym ostrzeżeniem.

Szedł dalej i minął „rzymskich cesarzy”, szereg ustawionych na kamiennych piedestałach popiersi o ponurych twarzach, biegnących wzdłuż żelaznej barierki przed Sheldonian. Zauważywszy przed sobą zaparkowaną na podwójnej żółtej linii furgonetkę, przyspieszył trochę kroku, gotów dać prztyczka w ucho znajdującym się w niej osobom. Z tylnej części furgonetki wyłoniło się nagle dwóch mężczyzn, każdy z psem tropiącym na smyczy.

Gdy się zbliżył, mężczyzna z psem skinął mu głową.

- Czy to stanowi jakiś problem? - spytał, wskazując na podwójną żółtą linię.

- Nie o tak wczesnej porze - odparł Winston. - Co się stało?

- Nic nie rozumiem - rzekł mężczyzna. - Przyjechałem tu aż z Reading. Można by sądzić, że lepiej się przygotowują.

I choć konstabl Winston sam był zaskoczony tym ogłoszonym w ostatniej chwili alarmem, wiara we własną służbę kazała mu obwieścić z pewnością, której nie czuł:

- To ci z Organizacji Wyzwolenia Zwierząt. Bardzo nieprzewidywalni.

Właśnie wtedy pojawił się inny policjant, młody rekrut nazwiskiem Jacobs, idący szybko w ich stronę.

- Tu jesteś, Sidney - powiedział rażno do konstabla Winstona, który nie lubił, gdy ktoś tak młody zwracał się do niego po imieniu. Cwaniaczek, pomyślał, gdy Jacobs podawał mu kartkę A4 z odbitymi powiększeniami twarzy. Widać na nich było trzech młodych i wyglądających zupełnie niewinnie Azjatów. Winston przyjrzał się twarzom, zapamiętując je i myśląc: nie wyglądają mi na miłośników zwierząt.



Odziewiątej piętnaście Liz słuchała uważnie rozpoczynającej się odprawy. Siedziała na jednym z niewygodnych plastikowych krzeseł ustawionych w szeregu w Pokoju Operacyjnym kwatery głównej policji okręgu Thames Valley w St Aldates, naprzeciwko rozciągniętego na przeciwległej ścianie ekranu projekcyjnego. Z boku pomieszczenia wisiały na wspornikach monitory telewizyjne.

Obok Liz z jednej strony siedział Dave Armstrong, który przyjechał tu zeszłej nocy i wyglądał na spiętego oraz zmęczonego. Po drugiej stronie byli Wetherby i komendant główny policji, przypominający jastrzębia człowiek o nazwisku Ferris. Kawalek dalej w rzędzie siedzieli inni starsi oficerowie policji, w tym szef Wydziału Specjalnego, trzymający plastikowy kubek z kawą.

Zwracał się do nich dowodzący operacją zastępca komendanta głównego, Colin Matheson, trzymający długi drewniany wskaźnik rozmiarów kija bilardowego. Był szczupłym mężczyzną pod czterdziestkę, o czarnych jak atrament włosach i tendencji do ironizowania. Miał żwawe i profesjonalne maniery, lecz w pomieszczeniu panowało namacalne napięcie i nic, co by powiedział, nie mogło go złagodzić.

Matheson uniósł wskaźnik, by dać sygnał komuś z tyłu sali i na ekranie pojawiła się natychmiast mapa centrum miasta.

- Z tego, co nam powiedziano - oznajmił, spoglądając na Wetherby'ego i przesuwając wskaźnik wzdłuż Broad Street aż do Sheldonian - to jest punkt kluczowy.

- Tak uważamy - powiedział Wetherby. - Odbędzie się tam najpierw mianowanie kanclerza, a potem Encaenia.

- Czy celem będzie kanclerz?

- Ciężko jest przewidzieć cel. To są islamscy ekstremiści, którzy pragną wyrządzić jak najwięcej szkód w jak najbardziej widoczny sposób. Sądzę, że nie zdecydowaliby się na pojedyncze zabójstwo.

Komendant główny Ferris obrócił się do Wetherby'ego.

- Wiemy, czy są uzbrojeni? Wetherby potrząsnął głową.

- Nie, nie wiemy. Uważam, że raczej nie mają broni, ale nie możemy tego wykluczyć. Wiemy natomiast, że dysponują materiałami wybuchowymi. W kryjówce, z której korzystali w Wokingham odkryliśmy ślady nawozu. Zważywszy na ten fakt, na ich powiązania oraz na historię najnowszą tego kraju, wszystko wskazuje na to, że spróbują coś wysadzić, zabijając przy tym jak najwięcej ludzi. Zwłaszcza, jeśli będą to „ważni” ludzie - dodał Wetherby, wyraźnie dając swym tonem do zrozumienia, iż uważa taki podział za absurdalny. - Tak będzie nawet według nich lepiej.

- Atak na którąś uroczystość nosi większe znamiona prawdopodobieństwa?

- Powiedziałbym, że Encaenia jest bardziej prawdopodobna niż mianowanie. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ci ludzie z radością zabiliby kanclerza, ale z ich punktu widzenia będzie znacznie lepiej, jeśli przy okazji zabiją też mnóstwo innych dygnitarzy.

- Czy orientujecie się, w jaki sposób to zrobią? - spytał komendant główny, nie potrafiąc zamaskować swego niepokoju.

- Sądzę, że są dwie możliwości - rzekł Wetherby. - Może być to samobójczy zamach bombowy, w którym przynajmniej jeden z nich będzie musiał zbliżyć się do procesji, mając na sobie jakieś urządzenie. Mogą też wykorzystać pojazd, co uważamy za bardziej prawdopodobne. Wiemy, że mają białą furgonetkę, transita, i że nabywca był jednym z trzech podejrzanych. Szczególnie interesowała go pojemność furgonetki. - Popatrzył na Mathesona. - Wydział Specjalny ma wszystkie szczegóły, w tym oryginalne numery rejestracyjne, choć jestem pewien, że je zmienili.

Matheson skinął głową i wskazał na wyłączone póki co monitory na ścianie.

- Instalujemy właśnie tymczasowy osprzęt, by najlepiej jak się uda objąć teren. Używamy nieruchomych kamer, by nikt ich nie wyśledził, gdy będą się obracać. Spodziewamy się, że zaczną działać w przeciągu pół godziny.

- Z Reading przyjechały psy tropiące i sprawdzają budynek pod kątem materiałów wybuchowych. Są tam teraz ich opiekunowie. Zajmie to jakiś czas, mówiłem im, żeby byli wyjątkowo staranni. Oprócz tego są jeszcze podziemne tunele biegnące obok Sheldonian od strony Biblioteki Bodleian. Jeździ tamtędy stara kolejka, pokonująca trasę od New Bodleian po drugiej stronie ulicy aż do Starej Biblioteki, a potem do Radcliffe Camera. - Prześledził trasę kolejki na ekranie projekcyjnym za pomocą wskaźnika.

- Jak wiele osób wie, że są tam tory? - spytała Liz.

Matheson wzruszył ramionami.

- Większość osób przechodzących przez dziedziniec nie ma pojęcia, że pod nimi rozciąga się podziemny świat. Z drugiej strony, chyba każda rozgrywająca się w Oxfordzie tajemnicza opowieść, od inspektora Morse'a po Michaela Innesa, ma swój podziemny finał pod Bodleian. Jeśli to właśnie planują, powstrzymamy ich.

- Wątpię, by coś takiego planowali - rzekł Wetherby, potrząsając głową. - Z tego, co pan mówi, jest to zbyt oczywiste, lecz cieszę się, że to sprawdzacie.

Odezwał się szef oxfordzkiego Wydziału Specjalnego:

- Były małe problemy z fotografiami, które przysłaliście, ale zrobiliśmy już kopie. Są przekazywane wszystkim naszym ludziom na terenie.

Podał jedną z kopii Wetherby'emu, który przyjrzał się jej, a potem przekazał dalej do Dave'a i Liz. Raszyd wyglądał strasznie młodo, pomyślała Liz. Równie młodo jak Marcepan.

- Została wezwana każda zbrojna jednostka szybkiego reagowania w okręgu Thames Valley - rzekł siedzący obok Wetherby'ego Ferris. - Zaś wzdłuż trasy znajdują się uzbrojeni oficerowie.

- Rozlokujemy też wysoko czterech strzelców wyborowych z karabinami snajperskimi - powiedział Matheson, umieszczając końcówkę wskaźnika bezpośrednio na Sheldonian. - Jeden tutaj, w kopule.

Liz przypomniała sobie oszałamiający widok z góry, zapamiętany z turystycznej wizyty z Peggy.

- Kolejny tutaj - oznajmił, wskazując na Bodleian -by osłaniał dziedziniec pomiędzy budynkiem Clarendon a Sheldonian. Dwóch zaś na Broad Street, jeden obrócony na wschód, na szczycie sklepu muzycznego Blackwell's. Drugi będzie patrzył na zachód z tego samego miejsca. W gapiów wmiesza się tuzin oficerów Wydziału Specjalnego w cywilnych ubraniach. Wszyscy z nich będą uzbrojeni.

- Szukamy wszystkich furgonetek znajdujących się w centrum miasta - ciągnął dalej. - Przekazaliśmy tę informację wszystkim policjantom pilnującym ruchu, ulice patroluje też dodatkowa zmiana oficerów mundurowych. Białe furgonetki spotyka się dość często, poza tym mogli oczywiście przemalować ją na inny kolor. Robimy jednak wszystko, co w naszej mocy.

Gdy skończył wymieniać środki prewencyjne, w pomieszczeniu zaległa cisza. Nikt nie wydawał się skłonny ją przerwać.

- A więc - skonkludował wreszcie z ponurą miną Matheson - miejmy wszyscy nadzieję, że jesteśmy w pełni przygotowani.

- I że wały przeciwpowodziowe nie puszczą - dodał pod nosem Dave Armstrong.



Obudzili się wcześnie, zjedli proste śniadanie i zmówili modły. Raszid obserwował uważnie Baszira i Khaleda. Podziwiał ich za to, co zamierzali zrobić, i trochę żałował, że tego dnia nie stanie się również męczennikiem w wojnie z wrogami islamu.

Do mnie należy trudniejsza część, pomyślał. Nie otrzymam jeszcze nagrody. Brał jednak otuchę z faktu, że i tak będzie walczyć za islam. Wiedział, co musiał zrobić i gdzie udać się później. Powiedziano mu, że ktoś się z nim skontaktuje i zabierze do Pakistanu, by mógł dołączyć do imama w jego medresie, a potem naprawdę stawić czoła śmierci w innej operacji. Chciałby móc zajrzeć wcześniej do domu, zobaczyć się z rodzicami i siostrą Jasmimą, ale wiedział, że nie było to możliwe. Szukała go policja.

Gdy wszyscy trzej wcisnęli się na przednie siedzenie furgonetki, Baszir niechętnie dał Raszidowi nową komórkę na kartę. Kupił ją w Didcot, po tym jak odbył półtorakilometrowy spacer do nowego centrum handlowego przy głównej drodze, kawałek za stacją kolejową.

- Masz jej użyć raz i tylko raz - poinformował niższego, młodszego mężczyznę. - Żeby zadzwonić do mnie, tak jak zaplanowaliśmy.

Baszir przyjrzał się uważnie mapie i jechał do Oxfordu bocznymi drogami, wystrzegając się A34, ponieważ łatwo było ją zablokować. Minął pola rozciągające się między Abingdon a Oxfordem, a potem zjechał z Cum-nor Hill i dotarł do miasta od zachodu. Przedostał się przez skomplikowany system jednokierunkowych uliczek i zaparkował w centralnej części Jericho, będącego niegdyś siedzibą drukarni wydawnictwa uniwersyteckiego. Tamtejsze małe ceglane domy służyły teraz dobrze sytuowanym młodym rodzinom.

Nagle powróciły wspomnienia miejsca, gdzie się to wszystko zaczęło, wiele tysięcy kilometrów stąd. Na targu w Lahore poznał Anglika - wystawił on głowę z mijanego przez Baszira sklepu i spytał od niechcienia: „Czy mówisz w urdu? Mógłbyś mi pomóc w przetłumaczeniu?”. Baszir płynnie posługiwał się urdu, jego rodzice

mówili w nim w domu w Wolverhampton, i pomógł mężczyźnie wytargować zakup setki ozdobnych chodników z Kaszmiru.

Później poszli razem na kawę i Anglik wyjaśnił, że pracuje dla firmy importowo-eksportowej z Dubaju (co tłumaczyło rozmiary zamówienia) i przyjechał do Lahore na trzy miesiące, aby dokonać zakupów. Zadanie utrudniała mu nieznajomość języka i chciałby spytać Baszira, czy może zechciałby mu pomagać? Otrzyma oczywiście zapłatę, wymieniona kwota sprawiła, że Baszir aż zamrugał. Chłopak poczuł się mile połączony i zaintrygowany, tak więc zgodził się, choć z lekką ostrożnością.

Z zewnątrz ich relacje wyglądały na ściśle zawodowe. Jednak gdy codziennie kończyli targować się na targu i szli do kafejki, aby odpocząć, tematyka ich rozmów sięgała od polityki do religii. Anglik był przyjazny, towarzyski i wygadany, wręcz niedyskretny.

Baszir nie był naiwny, zresztą od pierwszego dnia, jaki spędził w medresie ostrzegano go, by wystrzegał się zachodnich agentów wywiadu. Nieraz przez myśl przemknęło mu, że ten mężczyzna nie jest tym, za kogo się podaje. W rozmowach Anglik nigdy nie był jednak wścibski ani natrętny. To raczej on wyjaśniał Baszirowi swoje poglądy.

Wydawały się one dziwnie niezachodnie, ponieważ wykazywał wielką wiedzę na temat islamu, zwłaszcza Bliskiego Wschodu. Był także zaciekle antyamerykański, z lekceważeniem zbywał 11 września, uważając go za konsekwencję wcześniejszych działań Amerykanów.

Imam zachęcał Baszira, aby wziął udział w obozie treningowym, aby wyszkolił się i dołączył do swych muzułmańskich braci walczących w Afganistanie, a może nawet w Iraku. Jednak Baszir opierał się. Dlaczego? Sam nie był pewien, dopóki pewnego dnia podczas jednego z ich spotkań Anglik nie zaszczerpił mu w głowie nowej idei. Gdyby był w wieku Baszira, marzył Anglik, chwyciłby za broń przeciwko światowi Zachodu. Choć nie w Afganistanie czy Iraku, dodał w zadumie. Dlaczego ginąć anonimowo na obcej ziemi, kiedy można skuteczniej przenieść walkę do własnej ojczyzny? Walka tutaj z siłami Zachodu była bezcelowa. Co się stanie, jeśli armie Stanów Zjednoczonych i Zjednoczonego Królestwa stracą nawet kilku żołnierzy? Toczyli swą wojnę na odległych ziemiach, o których ich obywatele nie mają żadnego pojęcia. Tak naprawdę potęgi obawiały się wyłącznie walki prowadzonej na ich terytorium.

Anglik powiedział to wszystko w szeregu przypadkowych uwag, ale pomogły one wykrystalizować się własnym opiniom Baszira i utwierdzić go w przekonaniu, że nie chce walczyć u boku rekrutów Al-Kaidy. A może udać się na ten trening, pomyślał, lecz potem przenieść wojnę do ojczyzny?

Co mógł jednak działać sam? Na następnym spotkaniu dość lekkomyślnie powiedział to Anglikowi. I właśnie wtedy osiągnęli pamiętne porozumienie, ponieważ Anglik zaoferował mu swą pomoc.

Z początku Baszir podchodził podejrzliwie do tej propozycji. Zakładał, że Anglik chce go wprowadzić w pułapkę, wystawić go, doprowadzić do pojmania i uwięzienia. Być może zdradził to po sobie, ponieważ Anglik sam mu się zwierzył. Powiedział, że rozumie, iż Baszir może mu nie ufać i ma po temu powody, ponieważ biznes importowo-eksportowy nie był jego jedynym zawodowym zajęciem. Tak, miał powiązania ze służbami wywiadowczymi - lepiej tego nie uściślać, oznajmił. Miał też jednak własne plany, które współgrały z pragnieniem Baszira, by zaatakować świat Zachodu.

Czy Baszir mógł mu zaufać, skoro dysponował tą wiedzą? - zapytał retorycznie Anglik. Cóż, czemu nie? Gdyby chciał go wprowadzić w pułapkę, czy naprawdę zachęcałby go, by działał z własnej inicjatywy? Czy nie próbowałby go przekonać, aby dołączył do istniejących komórek, monitorowanych przez władze? A później do szerszych kół, aby pokrzyżować im plany?

Reszta była... historią, która się właśnie tworzyła, rozmyślał teraz Baszir. W meczecie w Wolverhampton poznał Raszida oraz Khaleda i dostrzegł, że pragną toczyć dżihad, lecz potrzebują też przewodnictwa. Byli młodzi i łatwo poddawali się wpływowi. Anglik zgodził się dołączyć ich do sprawy właśnie z powodu tych cech, a także, jak wyjaśnił Baszirowi, ponieważ obydwaj mieli czyste karty w instytucjach pilnujących bezpieczeństwa.

Być może był to błąd, ponieważ Raszid okazał się bardzo nerwowy i skłonny do niewłaściwych zachowań, lecz przynajmniej łatwo go było odizolować - choć jego holenderskie powiązania były raczej źródłem zmartwień, niż oznaką doświadczenia, jaką wydawały się wcześniej. Jednak dziś Raszid nie będzie miał zbyt wiele do zrobienia - musi wykonać tylko jeden telefon. Uda się więc chyba zachować jego nerwy na wodzy.

Było wpół do dwunastej.

W przeciwieństwie do Baszira, Tom nie potrzebował w Oxfordzie środka lokomocji i wynajęty samochód z torbą w bagażniku zostawił na parkingu na północnym skraju miasta. Pierwszy etap dobiegł niemal końca.

Wsiadł w autobus podmiejski, jak niemal każda osoba dojeżdżająca w dzień powszedni na zakupy, i wysiadł naprzeciwko przychodni Radcliffe, będącej niegdyś szpitalem miejskim. Dzień stał się niezwykle piękny, słońce świeciło z pełną siłą, lecz dzięki wietrzykowi nie było zbyt gorąco. Gdy szedł w kierunku centrum miasta, widział zaparkowane na St Giles autobusy turystyczne. Czy tak bywało też za jego studenckich lat? Zapewne, lecz wtedy ich nie zauważał.

Poza tym wszystko wydawało się zaskakująco takie same. Po co jednak cokolwiek miałyby się zmienić? Mogłoby się tak stać jedynie dzięki wpływowi z zewnątrz, ponieważ ci, którzy dysponowali odpowiednią władzą, by wymusić zmiany, po prostu nie pozwoliliby na nie. Dlaczego? Ponieważ stali po tej samej stronie. Oxford, Cambridge, Ministerstwo Spraw Zagranicznych i służby wywiadowcze, czarne serce establishmentu, który zniszczył jego ojca. Przeniknął do nich, aby im odpłacić. Wreszcie mógł wprowadzić w życie swe plany. Wkrótce zniknie im już z twarzy ten gładki uśmiezek, powiedział sobie.

Skręciwszy w Broad, wszedł do księgarni Blackwell's. Tam udał się na pierwsze piętro do kawiarni, zamówił podwójne espresso i usiadł z nim przy oknie. Miejsce w pierwszym rzędzie, pomyślał, spoglądając ponad ulicą na Sheldonian, obrócone ku niemu zaokrągloną ścianą. Jego żółte kamienne mury zwieńczone były pomalowaną na biało drewnianą kopułą.

Na środku Broad nie było zaparkowanych samochodów, ulica została odgrodzona. Zastanowiło go to, lecz tylko na chwilę, ponieważ miało to sens - samochody przeszkadzałyby w przemarszu procesji idącej po drugiej stronie od Turl.

Przeglądał dzisiejsze wydanie Guardian, lecz regularnie spoglądał na ulicę. Studenci, a czasami i nauczyciele schodzili po schodach leżącego naprzeciwko budynku Clarendon, opuściwszy właśnie Bodleian, niosąc aktówki, plecaki i naręcza książek. Przed Muzeum Historii Nauki pozwolono się na chwilę zatrzymać ostatniemu autobusowi turystycznemu, jego otwarte górne piętro wypełniało się stopniowo turystami z aparatami fotograficznymi. Na rogu Turl zobaczył mundurowego policjanta, dającego wskazówki kobiecie o orientalnej urodzie. Policjant wyglądał na niezmaczenie spokojnego. To dobrze, pomyślał Tom.

Było dokładnie południe. Skończył kawę i wstał, po czym przeszedł powoli ku tylnej części piętra, gdzie zajrzał do działu literatury, a następnie zszedł po schodach na dół. Gdyby został przy oknie dwie minuty dłużej, zobaczyłby, że do policjanta dołączyło czterech kolegów, z których dwóch miało na sobie kamizelki kuloodporne i trzymało karabiny Heckler & Koch.

Na parterze trzymał się z dala od głównej kasy, za którą stało dwóch pracowników, i w tylnej części sklepu przeglądał książki dla dzieci. Jakaś matka starała się utrzymać na oku wałęsającego się brzdąca, kupując jednocześnie egzemplarz Czarnoksiężnika z Oz.

Spojrzał na zegarek i punktualnie pięć po dwunastej przeszedł przez piętro do nierzucającej się w oczy wnęki, w której znajdowała się jedyna w sklepie winda. Nacisnął guzik i czekał cierpliwie. Dał sobie margines sześćdziesięciu sekund, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Jeśli będzie trzeba, mógł zawsze wyjść na zewnątrz.

Drzwi windy otworzyły się powoli i wyłoniła się z nich kobieta o lasce. Uśmiechnął się do niej przyjaźnie, po czym wszedł do środka i szybko wybrał najwyższe piętro, żeby nikt nie dołączył do niego w windzie. Wjeżdżając na górę, uruchomił w komórce wybrany już numer. Sygnał sieci był silny. Na trzecim piętrze stanowczo przycisnął palcem guzik Zamknięcie Drzwi - nie chciał, by ktoś mu przeszkodził. Następnie powiedział:

- Słuchaj uważnie. Nie powtórzę tej wiadomości...

Nadszedł czas, by ruszać. Baszir uruchomił silnik i podjechał do Walton Street, gdzie minął imponującą fasadę Wydawnictwa Uniwersytetu Oxfordzkiego. Na światłach skręcił w lewo i przejechał dwieście metrów, po czym włączył kierunkowskaz i zjechał na lewo na podwójną żółtą linię przed Ashmolean Museum. Raszid przygotował się do wyjścia.

- Po drugiej stronie jest policjant kierujący ruchem - skłamał Baszir, by uniknąć długiego pożegnania. Sięgnął przez siedzącego pośrodku Khaleda i wyciągnął rękę.

Raszid potrząsnął nią nerwowo.

- Niech Allah będzie z tobą - powiedział niepewnie. Pożegnał się też z Khaledem i wypowiedział to samo błogosławieństwo.

Baszir po raz ostatni powtórzył ponurym głosem instrukcje:

- Nie spiesz się, idąc tam. Cokolwiek będziesz robić, nie spiesz się, bo ściągniesz na siebie uwagę. Będę się spodziewał twojego telefonu, powinien nastąpić za dwadzieścia minut. Ale nie zapomnij: dzwoń dopiero, kiedy procesja pojawi się w twoim polu widzenia. - Popatrzył uroczyście na Raszida. - Niech Allah będzie z tobą - rzekł i gestem wskazał mu, by wysiadł z furgonetki.

Nie było czasu do stracenia. Baszir skręcił w lewo w szeroką ulicę St Giles, zauważając po drugiej stronie policjanta. Pojechał ze średnią prędkością w stronę północnego Oxfordu, lecz zaraz zawrócił w kierunku centrum. Jakies pół mili na północ od Sheldonian wjechał w cichą boczną uliczkę obok czerwonych ceglanych murów Keble College, gotyckiego triumfu wiktoriańskiej ambicji. Zaparkował tam furgonetkę i siedzieli wraz z Khaledem w milczeniu, czekając na telefon od Raszida.

Czy się denerwuję? - spytał sam siebie Baszir. Nie bardzo. Anglik ostrzegł go, że może się tak zdarzyć, zaproponował mu nawet tabletki, lecz on odmówił. Wraz ze zbliżaniem się tej chwili czuł wręcz, jak powoli ogarnia go fala spokoju.

Obrócił się i sięgnął ostrożnie na tył furgonetki, póki nie trafił dłonią na zwój liny. Pociągał ją delikatnie, póki wolny koniec nie znalazł się koło niego na przednim siedzeniu, po czym położył go ostrożnie po stronie Khaleda. Lina była niemal naprężona. Za dziesięć minut Khaled wykona jedno krótkie pociągnięcie i pół sekundy później znajdą się wraz z Baszirem w przyszłości.



Liz wpatrywała się intensywnie w monitory wychodzące na Broad Street. Ledwo zauważyła, że Dave postawił przed nią plastikowy kubek kawy ze śmietanką.

- Sześć saszetek cukru, prawda? - droczył się, zauważając jej zaaferowanie, ona zaś uśmiechnęła się lekko i wróciła do obserwacji. Kilka minut temu „mianowany” już kanclerz opuścił Sheldonian i szedł teraz przez dziedziniec Bodleian do Lincoln College, cały czas pozostając pod uważnym spojrzeniem strzelca wyborowego na dachu biblioteki oraz kilku ubranych po cywilnemu policjantów na ziemi.

Nagle do pokoju wpadła zarumieniona młoda policjantka. Widząc grupkę skupioną przed monitorami, zatrzymała się, świadoma ich zaciekawionych spojrzeń.

- Proszę pana - powiedziała bez tchu, wydając się zwracać zarówno do Mathesona, jak i do komendanta głównego - właśnie mieliśmy telefon ostrzegawczy. Podobno na Broad Street ma się przydarzyć poważny incydent.

- Jak dokładnie brzmiały słowa? - zapytał stanowczo Wetherby.

- Mogę panu odtworzyć - rzekła policjantka. Podeszła do konsoli w tylnej części pomieszczenia, nacisnęła guzik i w głośnikach rozległy się szmery oraz trzaski nagranej rozmowy.

- Wydział Specjalny - oznajmił kobiecie głos.

- Słuchaj uważnie. Nie powtórzę tej wiadomości. Za piętnaście minut pośrodku procesji na Broad Street wybuchnie bomba. Wypatrujcie młodego Pakistańczyka. Musicie działać szybko. - Telefon się rozłączył.

Liz i Wetherby popatrzyli na siebie z napięciem.

- To nie dowcip, prawda? - odezwał się komendant główny.

- Nie - powiedział Wetherby. - To nie dowcip. Rozpoznamy głos.

- Dlaczego Tom dzwonił? - spytał z zaskoczeniem Dave.

- I co z pozostałymi terrorystami? - Liz odezwała się do Wetherby'ego, na jej twarzy malował się niepokój.

Wetherby potrząsnął głową. Wyglądał na zdezorientowanego.

- Nawet jeśli Tom wie, co robi, ja na pewno nie.

Zaledwie dwie czy trzy minuty temu radio konstabla Winstona wytrzeszczało z siebie pilną wiadomość i teraz znajdował się on już przed podwójnymi bramami dziedzińca Trinity, pomagając kierować ruch pieszy w przeciwną stronę. Nawet w dzień powszedni było tu sporo przechodniów, a dziś ich liczba zwiększyła się o gości pragnących ujrzeć paradną procesję Encaenii i niedających się namówić do rozejścia, pomimo nacisków policjantów starających się kierować ich z dala od Sheldonian. Wyjątkowo uparcie zachowywała się ekipa miejscowej telewizji ITN, ponieważ jeśli nudny przebieg kolejnej Encaenii został zakłócony przez „incydent”, pragnęli pozostać na miejscu, by to sfilmować.

Teraz konstabl Winston otoczony był przez japońskich turystów, niezważających zbyt na jego polecenia i wykonujących sobie nawzajem zdjęcia przed Trinity. Chcieli, by konstabl Winston również znalazł się w kadrze, co jeszcze bardziej utrudniało mu zadanie. Właśnie robił co mógł, by skierować w inną stronę pewną młodą dziewczynę, która zupełnie nie rozumiała angielskiego, lecz za to żywiołowo szturchała go w łokieć, kiedy ją dostrzegł.

Trzymał się z tyłu małej grupki włoskich nastolatków, którzy również ignorowali zakaz przechodzenia na dalszy odcinek ulicy. Niski mężczyzna mógłby nie zostać zauważony, gdyby nie wyróżniał się tak ubiorem od przeciętnego studenta - zamiast koszulki miał na sobie zwyczajną koszulę, w dłoni zaś trzymał dość niepewnie telefon komórkowy. Przeczucie konstabla Winstona, że ten mężczyzna jest jakiś inny, nabrało jeszcze większej mocy, gdy oderwał się on od grupy, cofając pod położone jakieś pięć metrów dalej bramy college'u i wyglądając w stronę Turl. Czeka na coś, pomyślał Winston, obserwując bacznie chłopaka, gdy ten poruszał palcami po telefonie.

Gdy konstabl Winston musiał szybko zareagować, nie miał z tym problemu. Niski mężczyzna uniósł właśnie do ucha telefon, gdy długa ręka Winstona wyciągnęła mu go z dłoni.

- Bardzo pana przepraszam - powiedział stanowczo - czy mógłbym spojrzeć na pański telefon?

Spoglądając na niego, Azjata wydawał się jak skamieniały.

- Oczywiście - odparł nerwowo, uśmiechając się słabo i puszczając telefon.

Nagle obrócił się i zaczął biec Broad Street w kierunku handlowego centrum miasta.

Konstabl Winston biegł za nim, trzymając telefon i krzycząc:

- Zatrzymać go!

Gdy Raszid wbiegł na róg dziedzińca kościelnego przy Magdalen Street, został nagle rzucony na ścianę Balliol i przyciśnięty tam silnymi dłońmi innego mundurowego policjanta. Mamy go! - pomyślał Winston. Poczucie ulgi lekko przygasło, gdy ujrzał, że aresztowania dokonał ten młody cwaniak, konstabl Jacobs.



Gdzie on był? Dlaczego Raszid nie dzwonił? Baszir sprzeciwił się instrukcjom Anglika i zadzwonił na komórkę Raszida, lecz odkrył, że jest wyłączona. Niech to! Zerknął na zegarek - procesja mogła już w każdej chwili dotrzeć do Broad Street. Co powiedział Anglik? „Gdyby były jakieś przeszkody w komunikacji, po prostu jedźcie. Cokolwiek się stanie, nie możecie się spóźnić. Bo wtedy będzie za późno”.

Poczeka jeszcze trzydzieści sekund, uznał, spoglądając na zegarek cyfrowy. Obok niego Khaled poruszył się nagle i pokazał przez szybę. Spojrzawszy w kierunku końca ulicy, gdzie w tle widać było zielone trawniki Parku Uniwersyteckiego, Baszir zobaczył ich.

Jeden był mundurowy, dwóch w cywilnych ubraniach, szli pospiesznie ulicą i chodnikami, sprawdzając każdy zaparkowany samochód, po czym ruszając szybko dalej. Zbliżali się do nich.

Proszę, zadzwoń, zadzwoń, Raszidzie, niemal modlił się Baszir. Zobaczył, że jeden z mężczyzn w cywilnych ubraniach pokazuje w kierunku jego krańca ulicy i wtedy Baszir uświadomił sobie, że wskazuje na niego.

Mundurowy policjant podniósł wzrok i zaczął biec, jedną ręką przytrzymując hełm, a w drugiej ściskając radio, do którego coś krzyczał. Za nim biegło dwóch w cywilnych ubraniach, wszyscy trzej, jak najszybciej mogli pędzili środkiem ulicy.

Nie mógł już dłużej czekać. Przekręcił kluczyk i furgonetka ożyła. Zwiększył obroty i ruszył gwałtownie, zamierzając przyspieszyć w kierunku Parks Road, gdzie skręci w kilometrową ulicę, która doprowadzi ich do celu. Widząc, że odpalił silnik, mundurowy skręcił na chodnik, a jeden z mężczyzn po cywilu wyciągnął zza marynarki broń i przykucnął z tyłu zaparkowanego samochodu.

Wtedy Baszir ujrzał duży furgon - taki, jakim dowozi się policjantów na mecze piłki nożnej - który zatrzymał się w poprzek przeciwległego krańca ulicy, blokując mu wyjazd. Zahamował ostro akurat w odpowiednim momencie, by skręcić w małą

uliczkę okrążającą od tyłu Keble College. Pędząc wzdłuż nowoczesnej przybudówki na zapleczu college'u, z lekkim piskiem opon wykonał zwrot o dziewięćdziesiąt stopni w lewo. Zaklął jednak głośno, gdy zobaczył, że inny policyjny furgon podjeżdża, by zablokować i tę boczną uliczkę. Nie było innego wyboru, Baszir wdepnął gaz do podłogi, jadąc prosto na samochód policyjny, i tuż przed nim gwałtownie skręcił kierownicą w prawo. Przednia opona uderzyła w krawężnik i furgonetka wystrzeliła w powietrze, o kilka centymetrów mijając przechodzącą dziewczynę. Wrzasnęła, i jej krzyk wypełnił powietrze niczym syrena, stopniowo zamierając, gdy furgonetka wylądowała ciężko na Parks Road.

Baszir odzyskał kontrolę nad kierownicą i przyspieszył, jadąc wysadzaną drzewami ulicą w kierunku procesji Encaenii. Musiała już dotrzeć do Broad, powiedział sobie. Nie można się spóźnić, nie można się spóźnić. Ulica była wolna od ruchu, lecz gdy prędkościomierz dotarł do stu kilometrów na godzinę zmusił się, by zwolnić. Martwił się, że nie uda mu się zakreślić. Raz i drugi dotknął lekko hamulca, był gotowy. Kątem oka zobaczył, że Khaled ściska mocno wolny koniec liny.

Światła przed nimi zmieniły się na pomarańczowe, ale zignorował to, mając nadzieję, że nikt nie wyskoczy z Broad Street. Za to po lewej stronie z Holywell Street wyłonił się jadący na rowerze student. Stało się zupełnie jak na filmie, znikąd pojawił się policjant i skoczył na studenta, rzucając go wraz z rowerem na ziemię.

Zanim Baszir zdążył to ogarnąć, był już na skrzyżowaniu, skręcając ostro w prawo. Otarł się o krawężnik przed dolnymi stopniami schodów Clarendon i starał się nakierować furgonetkę na procesję, która powinna iść prosto na niego. Zamierzał przejechać wzdłuż chodnika, a wtedy Khaled miał pociągnąć za linę. Eksplozja zabije wszystkich w promieniu stu metrów. Tak właśnie powiedział Anglik. Stu metrów.

Jednak Broad była zupełnie *pusta*. Nie było nikogo ani na chodniku, ani na ulicy. Żadnej procesji, żadnych przechodniów, nawet żadnego studenta na rowerze. Zupełnie jakby miasto wymarło.

Baszir zaczął panikować i wtedy poczuł silne uderzenie w przednią lewą oponę. W co wjechał? Niemal w tym samym momencie usłyszał donośny odgłos kolejnej pękającej opony. Nagle stracił kontrolę nad kierownicą.

Furgonetka zboczyła ostro w lewo, ślizgała się po łuku, kierując się prosto na murek przed Sheldonian. Baszirowi błysnęła myśl, że Khaled nie musiał pociągnąć za sznur. Sama siła uderzenia uruchomił detonatory, pomyślał.



Liz przykucnęła wraz z Charlesem Wetherbym za jednym z samochodów policyjnych, kryjąc się zaraz po tym, gdy zobaczyła, jak strzelec wyborowy przestrzelił pierwszą oponę. Czekwała na eksplozję, zakrywając uszy dłońmi.

Obok niej Wetherby spontanicznym gestem objął ją za ramiona, by ją ochronić.

Rozległ się ostry zgrzyt metalu wpadającego na coś nieruchomego, a potem stłumione stuknięcie, wydające się po części dźwiękiem, po części wibracją.

I zapadła cisza. Liz zaczęła podnosić głowę, lecz Wetherby pchnął ją z powrotem w dół.

- Zaczekaj - powiedział. - Na wszelki wypadek. - Nie nastąpił jednak wybuch, a gdy nacisk ręki zelżał, Liz wyjrzała ostrożnie zza maski samochodu policyjnego.

Furgonetka uderzyła w ścianę oporową i została ciśnięta w górę. Leżała teraz przy wysokiej żelaznej balustradzie, obrócona do góry, a jej przednie koła obracały się w powietrzu.

Matheson wyszedł zza osłony samochodu i zaczął wykrzykiwać rozkazy. Z tyłu, od strony Debenhams, pojawił się wóz straży pożarnej. Wyminąwszy słupki odgradzające ten koniec Broad, potoczył się ciężko po chodniku wzdłuż sklepów, przeciskając się powoli przez wąską szczelinę, zanim znów mógł przyspieszyć i wyjąć syreną, podjechać w kierunku furgonetki.

Gdy podjechał, z wnętrza i bram wyłonili się ukryci tam policjanci, podchodząc do zniszczonego pojazdu. Pierwszy dotarł tam ubrany po cywilnemu oficer Wydziału Specjalnego. Wyciągnął rękę i bezskutecznie szarpnął za drzwi od strony kierowcy. Odważny, pomyślała Liz, bo przecież wciąż istniało niebezpieczeństwo wybuchu baku.

Wyszła zza samochodu i wraz z Wetherbym zaczęli ostrożnie podchodzić do furgonetki. Dołączył do nich Dave Armstrong, z wrażenia pozbawiony tchu.

- O co w tym chodziło? - spytał.

Ani Liz, ani Wetherby mu nie odpowiedzieli.

Gdy szli wzdłuż Broad, strażacy zaczęli oblewać furgonetkę potężnymi strumieniami piany.

- Nie rozumiem, po co Tom dzwonił - powiedziała Liz.

- Cóż, nie ostrzegł nas o furgonetce - odparł ostro Dave.

Wetherby wzruszył ramionami.

- Być może uznał, że nie musi.

Liz popatrzyła na niego pytająco, lecz w tym momencie podszedł do nich Matheson.

- W furgonetce byli dwaj mężczyźni. Obaj nie żyją - obwieścił.

- Zabici w wyniku uderzenia? - spytał Wetherby. Matheson przytaknął.

- Z tyłu furgonetki znajdowała się bomba wykonana na bazie nawozu, ale nie odpaliła. Jest za wcześnie, by to stwierdzić na pewno, ale wygląda na to, że nie zadziałały detonatory.

- Nie jestem pewien, czy miały zadziałać - rzekł powoli Wetherby.

Liz znów na niego spojrzała. Wetherby miał tajemniczy wyraz twarzy.

- Sądysz, że wiedzieli, iż nie będzie eksplozji? - zapytała.

- Nie, ale sądzę, że Tom wiedział - powiedział Wetherby. - Sama mówiłaś, że nie możesz zrozumieć, dlaczego chciał zabić tak wiele niewinnych osób. Chciał, by furgonetka się przedostała, lecz wiedział, że nie wybuchnie.

- Dlaczego miałby to zrobić? - spytała Liz. - Jaki by to miało sens?

Wetherby wzruszył ramionami.

- Być może chciał zademonstrować, że da się coś takiego zrobić. Ukazać, jakie ryzyko może wyniknąć z naszej niekompetencji. - Pokazał na ulicę, gdzie Liz ujrzała zbliżającą się ekipę telewizyjną. - Owszem, to ekipa miejscowa, ale możesz być pewna, że wieczorem ich materiał trafi do wiadomości krajowych. Nikt z nas nie będzie dobrze wyglądać.

- A więc tego chciał? - zapytała Liz. - Zniszczyć reputację Służby?

- Coś w tym stylu.

- Czekajcie - wtrącił się Dave. - Nie obchodziło go, że ci dwaj faceci zginą, prawda? - spytał niecierpliwie, wskazując na zniszczoną furgonetkę.

- Oczywiście, że nie - odparł Wetherby. Roześmiał się smutno. - Nie bronię Toma. Mówię tylko, że według mnie jego cel był bardziej subtelny, niż uważamy. I dzięki Bogu. - Rozejrzał się po Broad, pełnej stojących policjantów. Strażacy wciąż

pokrywali furgonetkę pianą. - Pomyślcie, jak wiele osób mogło zginąć. Gdyby Tom nie zadzwonił, to miejsce byłoby pełne ludzi...

Stali na środku Broad, zaledwie kilka metrów od furgonetki. Liz rozejrzała się, wciąż nie mogąc uwierzyć, że nie nastąpiła eksplozja i nie było żadnych ofiar poza kierowcą i pasażerem. Nagle zauważyła, że wzdłuż wysokiego ogrodzenia biegnącego ponad ścianą, w którą uderzyła furgonetka stoją dwa puste postumenty - spadły z nich głowy „rzymskich cesarzy”. Wyglądało to surrealistycznie.

Wetherby wskazał na potrzaskane skorupy zaścielające Broad i powiedział cierpko:

- Coś mi się wydaje, że to nie jedyne głowy, jakie spadną.



Policjant kazał wszystkim odsunąć się od okien, choć Tom wiedział, że nie było to konieczne. Zostali zaprowadzeni do rozległego pomieszczenia na dole i musieli tam pozostać przez niemal pół godziny. Co jakiś czas spoglądał na zegarek i po ośmiu minutach uśmiechnął się mimo woli, odliczanie wreszcie dobiegło końca. Trzy lata, powiedział sobie, planowałem to przez trzy lata -i nareszcie nadeszła ta chwila.

Roznosiła go radość. Wiedział, że na ulicy policja wpadnie w oszołomienie po odkryciu, że rozbita furgonetka zawierała bombę, która nie wybuchła. Detonatory, które dał Baszirowi, były bezużyteczne. Nie zapaliłyby nawet papierosa, pomyślał Tom, nie mówiąc już o bombie.

Kiedy z szybkością błyskawicy rozniosą się wieści, jak blisko było do katastrofy, początkową reakcją będzie ulga, choć Tom był pewien, że Encaenia nigdy już nie przejdzie publicznie po Oxfordzie. Jednak w Thames House reakcja będzie zupełnie inna. Uznał, że siedzący tam ludzie dostaną zbiorowego ataku serca.

Nie będą mieli pojęcia, gdzie go szukać, i nie będą dysponować żadnymi tropami, by go odnaleźć. Będą robić pod siebie ze strachu, że znów uderzy - i słusznie. Oxford był tylko początkiem i nie widział powodu, dla którego jeszcze długo nie miałby wyprzedzać swych byłych kolegów o krok. Spojrzał na zegarek. Za trzy godziny znajdzie się w pokoju hotelowym na obrzeżach Bristolu. Za niewiele ponad dobę jego samolot będzie się szykował do lądowania na JFK.

Na krótką metę dał również MI5 sporo do myślenia. Ich wstyd, że było tak blisko katastrofy, szybko ustąpi miejsca niespokojnym autopsjom, wewnętrznym śledztwom, natarciu mediów, pytań w House, wzajemnemu obwinianiu się, niepodlegającej dyskusji skazie na reputacji służb wywiadowczych. „Dlaczego nie udało im się powstrzymać zamachowców?” „A co, gdyby detonatory zadziałały?” A przecież nie mają jeszcze nawet pojęcia, że przez niemal piętnaście lat w ich szeregach znajdował się kret. Kret, którego nie potrafili złapać.

Policjant wypuścił ich wreszcie i wszyscy zaczęli tłoczyć się na schodach prowadzących bezpośrednio na Broad. Tom trzymał się trochę z tyłu, dla bezpieczeństwa, i teraz tego nie żałował. Sześć metrów przed wyjściem wyjrzał na ulicę z najwyższego stopnia i ujrzał stojącą na środku jezdni znajomą sylwetkę Liz Carlyle, rozmawiającą z Charlesem Wetherbym.

Z początku nie wierzył własnym oczom. Jak zdołali tu do niego dotrzeć? Skąd znali jego cel? Nie miało to sensu, był przecież taki ostrożny.

Czy zdołali przeciągnąć na swoją stronę jednego z zamachowców? Nie, ponieważ tylko Baszir znał dokładny cel - Khaled wolał nie wiedzieć, a Raszid był zbyt słaby, by on lub Baszir mogli mu zaufać. Baszir nigdy nie zdradziłby sprawy, za którą z taką ochotą pragnął umrzeć. Gdyby zaś któryś z nich zaczął mówić - założył, że zostali pojmani przed paroma minutami - nie wiedzieli nic, co pozwoliłoby policji albo byłym kolegom Toma go znaleźć.

Kto więc mógł go zdradzić? Czy O'Phelan puścił farbę, zanim Tom dopadł go w Belfaście? Wydawało się to niepojęte - przecież wykładowca zadzwonił do Toma, by ostrzec go, że Liz widziała się z nim i zadawała wścibskie pytania.

Wyglądało na to, że nie ma oczywistej odpowiedzi na pytanie, co poszło nie tak, lecz nie miał teraz czasu, by się nad tym zastanawiać. Odwrócił się, odsunął od drzwi i wszedł w głąb budynku. Jedna ze sprzedawczyń Blackwella dotknęła jego ramienia - wprowadzała ich po schodach jak owczarek szkocki prowadzący owce - on zaś błysnął do niej czarującym uśmiechem, który nauczył się wykorzystywać jako broń.

- Coś zostawiłem - wyjaśnił.

Odpowiedziała uśmiechem i puściła go. Cierpliwości, powiedział sobie. Nie panikuj. Musisz się stąd jednak szybko wydostać. To w końcu dopiero pierwszy etap. Nie mógł dać się teraz zatrzymać.



W kopule Sheldonian wciąż przebywał strzelec wyborowy. Obróciwszy się, Liz zauważyła na dachu sklepu muzycznego Blackwell's kolejnego snajpera, trzymającego swój karabin.

W otaczającej ją scenerii było coś niepokojącego. Popatrzyła na Charlesa i jakby znikąd w jej głowie pojawiła się nagle myśl.

- Sądzę, że Tom tu jest - powiedziała. - Chciałby to wszystko zobaczyć.

Wetherby był zaskoczony.

- Naprawdę? - spytał z powątpiewaniem. Wydawał się zastanawiać przez chwilę. - A może masz rację... Według niego wciąż jesteśmy w Londynie, zastanawiając się, gdzie zniknął.

Znów podszedł do nich Matheson.

- U Blackwella wciąż mamy jeszcze około trzydziestu osób, są na dole w sali Norrington. Umieściliśmy ich tam dla ich własnego bezpieczeństwa. Zamierzam ich wypuścić, chyba że macie jakieś obiekcje.

- Nie, w porządku - powiedział Wetherby.

Matheson ruszył w stronę sklepu, gdy Liz zawołała za nim:

- Przepraszam! Czy moglibyśmy sprawdzić wszystkich wychodzących?

Popatrzył na nią z zaskoczeniem, po czym obrócił się do Wetherby'ego, który skinął potwierdzająco głową i rzekł:

- Jeśli wypuścicie ich wszystkich przez te same drzwi, rzucimy na nich szybko okiem.

Podeszli i stanęli u krańca sklepu od strony Trinity College, gdzie od zaplecza małego pomieszczenia na parterze stroma klatka schodowa wiodła w dół do przypominającej jaskinię sali Norrington. Matheson i wysoki policjant stali wraz z nimi na zewnątrz, gdy ze środka wychodzili klienci. Większość wyglądała obojętnie, lecz paru było zirytowanych.

Nikogo nie rozpoznawali.

- Muszę dowiedzieć się, co zrobili ze świadkiem, którego aresztowano - oznajmił Wetherby. Obrócił się jeszcze do Dave'a i Liz. - Zerknijcie jeszcze do środka, by się upewnić.

- Czy może pan zostawić kogoś tu z przodu? - Liz poprosiła Mathesona.

- Dobrze - odparł z wahaniem, wyraźnie uważając, że mógłby lepiej wykorzystać swych ludzi.

Dave potrząsnął głową.

- Wiem, że wielkie umysły myślą podobnie - powiedział, wskazując najpierw na oddalającą się sylwetkę Wetherby'ego, a potem na Liz - ale jeśli Tom był nawet gdzieś tutaj, już dawno zniknął. Jeśli był zaś w księgarni, czy nie wyszedłby po prostu tylnymi drzwiami?

- Nie - odezwał się z północnym akcentem głos należący do przysadzistego mężczyzny w kraciastej kurtce. - Pracuję u Blackwella - rzekł. - Gdy policja powiedziała, że wszyscy mają zejść na dół, zamknąłem tylne wyjście służbowe. Raczej po to, by nikt nie wszedł, niż by przeszkodzić komuś w wyjściu. Ale jedno pociąga za sobą drugie.

- Chodź - Liz powiedziała do Dave'a. - Sprawdzenie tego nic nas nie kosztuje. - Wzruszył ramionami i razem weszli głównym wejściem do sklepu. Stali przez chwilę na parterze, spoglądając na stoliki zastawione świeżo wydanymi książkami. - Jest znacznie większy niż wygląda z zewnątrz - Dave stwierdził bez entuzjazmu.

- Rozdzielmy się - rzekła Liz. - Ty zacznij na dole. Ja pójdę na najwyższe piętro i będę się posuwać w dół. Spotkamy się pośrodku.

- Dobra - powiedział Dave. - Uważaj na siebie - dodał, ale Liz wspinała się już po schodach.

Pierwsze piętro było dziwnie puste. Kafejka była opuszczona, choć na stolikach wciąż stały kubki z kawą i na wpół zjedzone ciastka - najwyraźniej ludzie zostali stąd pospiesznie wyprowadzeni. Popatrzyła w stronę drugiego, wyłożonego książkami krańca piętra, również pustego. Efekt był niepokojący - Liz czuła się, jakby przebywała w muzeum po godzinach otwarcia. Z ulicy dobiegały ledwo słyszalne dźwięki, lecz tutaj panowała wyłącznie przytłaczająca cisza - nie licząc odgłosów jej kroków, stukających po drewnianych schodach.

Przeszła na drugie piętro i wspinała się dalej - zamierzała dokładniej sprawdzić niższe kondygnacje w drodze na dół. Gdy dotarła na najwyższe piętro, znalazła po lewej stronie wahadłowe drzwi z symbolem toalet. Liz weszła ostrożnie do środka, po

czym otworzyła drzwi do damskiej. Obydwie kabiny miały otwarte drzwi i w środku nikogo nie było.

Z lekkim wahaniem weszła do męskiej toalety. Pojedyncza kabina była pusta, lecz zobaczyła, że dolna część okna jest otwarta. Nachyliła się i wyjrzała. W oddali majaczył rozległy frontowy dziedziniec Trinity. Wystawiła głowę i bezpośrednio pod sobą ujrzała małe, wewnętrzne podwórko. Od okna do znajdującego się w dole bruku było ponad piętnaście metrów. Tom by tego nie przeżył, pomyślała Liz.

Gdy wróciła do głównego korytarza, usłyszała dźwięk - przeciągły, niski szmer, zupełnie jakby coś ciągnięto po podłodze. Czy to było na dole? Stała nieruchomo, słuchając uważnie, lecz odgłos nie powtórzył się.

Pełna podejrzeń wyjrzała ostrożnie za róg do długiego, jasnego pomieszczenia pełnego używanych książek. Czuć było tu lekki zapach starej skóry i kurzu. Na końcu sali znajdowały się drzwi z napisem „Tylko dla personelu” i Liz już chciała do nich podejść, gdy w rogu zobaczyła okno. Było szeroko otwarte.

Podbiegła tam i wyjrzała. Bezpośrednio pod nią znajdował się niski dach nowoczesnej przybudówki do college'u, przylegający do sklepu.

Łatwa droga ucieczki, pomyślała Liz.

I wtedy go zobaczyła.

Opierał się o pochyle dachówki i trzymał ramy drewnianego, wprawionego w dach świetlika. Był to Tom.

Próbował otworzyć świetlik i Liz zdała sobie sprawę, że jeśli mu się uda, zeskoczy do środka i zniknie w budynku. Owszem, ludzie Mathesona mogą go tam znaleźć, ale Liz już wyobrażała sobie pełne kryjówek wnętrze i nie postawiłaby na to, że poszukiwania zakończą się sukcesem.

Miała w torebce telefon komórkowy - mogła zadzwonić i sprawić, by budynek został otoczony przez policję. Ale do kogo? Dave był na dole, a Charles w St Aldates sprawdzał co się dzieje z ocalałym terrorystą. Poza tym, zanim dostałaby się do środka, Tom mógłby uciec.

- Tom! - krzyknęła, wychylając się przez okno. Jej głos odbił się echem od rozciągającego się w dole małego dziedzińca.

Zatrzymał się, lecz tylko na chwilę. Nie odwrócił się, lecz postanowił dać za wygraną ze świetlikiem i zaczął przesuwać się wzdłuż dachu.

Kierował się w stronę szeregu starszych budynków. Tam będzie mógł ruszyć z większą szybkością po dwuspadowych dachach, sięgających aż do ogrodów na zapleczu college'u.

- Tom! - zawołała znowu. - To nie ma sensu. Równie dobrze możesz wrócić tutaj. Czekają na ciebie.

Tym razem zareagował. Podciągnął się na skraj dachu. Przykucnąwszy tam, wyglądał niemal jak chłopiec, jak nieopierzony studenciak, któremu zamknięto na noc bramę i musi szukać innej drogi. Obrócił się powoli i jego wzrok błędził przez chwilę, zanim nie natrafił na okno, w którym stała Liz.

W jego stanowczym spojrzeniu nie było śladu wesołości. Wzrok miał twardy jak stal, a na twarzy widać było determinację.

- Tom - powiedziała znów Liz, tym razem łagodnie, starając się utrzymać kontrolę nad głosem. Zanim jednak zdążyła coś dodać, potrząsnął energicznie głową.

A potem, ześlizgnąwszy się zwinnie na drugą stronę dwuspadowego dachu, zniknął z jej pola widzenia.

Liz przez moment stała oszołomiona, czekając, aż Tom pojawi się z powrotem. Kiedy uświadomiła sobie, że tak się nie stanie, natychmiast zareagowała, biegnąc w kierunku klatki schodowej. Była w połowie drogi, gdy wpadła na wspinającego się Dave'a Armstronga.

- Szybko - powiedziała, chwytając go za ramię i obracając. - Jest na dachu sąsiedniego budynku. Szybko!

Gdy wybiegli ze sklepu na Broad, mrużąc oczy w jasno świecącym słońcu, zobaczyli Mathesona, który stał przy ambulansie i rozmawiał z dwoma mundurowymi policjantami.

- Jest w budynku obok! - krzyknął do niego Dave, po czym pobiegł wraz z Liz w kierunku wejścia do Trinity. Mała brama przy stróżówce była otwarta. Ze środka wyszedł portier, próbując ich zatrzymać.

- Policja! - wrzasnął Dave. - Z drogi! - Liz ominęła mężczyznę i schyliwszy się pod gałęziami ogromnego cedru, pobiegła przez dziedziniec. Trawnik i ścieżki były puste, zastanawiała się więc, czy college został ewakuowany wraz z resztą ulicy. To ułatwi Tomowi ucieczkę, pomyślała, rozglądając się po dachach w poszukiwaniu jakichś jego śladów.

- Wezmę drugi kraniec! - krzyknął Dave.

Liz przesuwiała się w stronę dziedzińca rozciągającego się pod oknem Blackwella. Gdy przeszła pod sklepionym łukiem, zwolniła, zadzierając głowę do góry i spoglądając na dach, na którym ostatnio widziała Toma. Nic nie było widać, tedy nie wrócił.

Usłyszała za sobą kroki i zamarła.

- W porządku - powiedział głos, a gdy obróciła się, zauważyła Mathesona wraz z młodym policjantem. - Moi ludzie przeszukują college - oznajmił.

- Potrzebujemy też ludzi na dachach - rzekła Liz, wskazując w górę. Nagle znieruchomiła, nasłuchując uważnie. - Co to za odgłos?

- Jaki odgłos?

Usłyszała go ponownie. Za drugim łukiem, prowadzącym do wnęki w ścianie college'u. Zbolały skowyt brzmiał niemal zwierzęco.

Przebiegła szybko pod łukiem i znalazła się w długiej, zewnętrznej galerii, otoczonej z trzech stron budynkami college'u. Na przeciwległym krańcu widziała kwitnące krzewy dużego ogrodu. Nikogo nie było w polu widzenia. Co więc usłyszała?

I nagle po lewej stronie ujrzała dziewczynę - wyglądała na nastolatkę. Stała przy wejściu na klatkę schodową, zanosząc się płaczem. Za nią, niemal w rogu, leżał na ziemi człowiek. Leżał na plecach i nie poruszał się.

Liz podeszła szybko do dziewczyny.

- Już dobrze - powiedziała łagodnie, a Matheson zbliżył się do mężczyzny i klęknął przy nim.

Dziewczyna przestała płakać i obróciła w stronę Liz młodą, wystraszoną twarz. Z przeciwległego krańca galerii dobiegł ją krzyk, a gdy podniosła wzrok, ujrzała biegnącego w ich stronę Dave'a.

- Co się stało? - zapytał gwałtownie Dave, spoglądając najpierw na dziewczynę, a potem na ciało w rogu. Matheson trzymał leżącego mężczyznę za nadgarstek, sprawdzając puls. Wstał, popatrzył na Liz i pokręcił głową.

- Musiał spać - powiedziała cicho Liz.

Podniosła wzrok, wskazując na rozciągający się nad nimi dach.

- Chyba, że skoczył - rzekł Dave.

Powstrzymując łkanie, dziewczyna odezwała się po raz pierwszy:

- Nie - powiedziała, ocierając łzy. - Nie skoczył.

- Widziałś to? - spytała Liz.

Dziewczyna skinęła głową.

- Spałam - wyjaśniła. - Obudziłam się i zdałam sobie sprawę, że jestem spóźniona na seminarium. Gdy wyszłam, zobaczyłam... - zawahała się - jak ten mężczyzna idzie po dachu. Uznałam to za dziwne, bo wydawał się za stary, żeby tam być. - Zaśmiała się nerwowo i Liz otoczyła ją ramieniem. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowali, było to, żeby wpadła w histerię.

- Musiał się chyba poślizgnąć i zaczął zsuwać się z dachu. Próbował chwycić się dachówek, ale nie udało mu się. Po prostu ześlizgiwał się, dopóki... nie spadł. - I znów zaczęła płakać.

Liz popatrzyła ponad nią na leżącą na ziemi sylwetkę. Wypuściwszy dziewczynę, podeszła i stanęła obok Mathesona, po czym spojrzała na mężczyznę. Odkąd ujrzała ciało, wiedziała, że to Tom.

Po części wyglądał tak jak zawsze, elegancki i przystojny w swym granatowym garniturze, zupełnie tak, jakby za chwilę miał wstać i znów stać się dawnym sobą. Ale którym sobą? - pomyślała z goryczą Liz. Mężczyzną, którego wydawało jej się, że zaczęła poznawać? Tym wielkim mężczyzną, wysokim i smukłym, pewnym siebie, lecz o swobodnych manierach, łagodnym głose, posiadającym wielką wiedzę, czarującym - przynajmniej wtedy, gdy tego chciał?

Czy też tym drugim, tajemniczym kimś, kogo nigdy nie poznała? Człowiekiem opętanym przez wewnętrzne demony, których istnienia nigdy sobie nie wyobrażała?

Rozdarta pomiędzy łzami smutku a łzami wściekłości, Liz zamknęła oczy i nie uroniła ani jednych, ani drugich. Obróciwszy się gwałtownie na pięcie, podeszła z powrotem do płaczącej dziewczyny. Ją mogła pocieszyć. Dla Toma nic już nie dało się zrobić.



Wprzeciwieństwie do porannej podróży, powrót do Londynu wydawał się trwać wieki. Gdy opuszczali Oxford, od południa nadeszły nisko pędzące chmury, zasłaniając słońce i okrywając niebo mglistą szarością. Zaczął padać deszcz, najpierw zaciekłymi krótkimi strumieniami, a następnie miarową, monotonną mżawką. M40 wkrótce zapchała się niekończącym się strumieniem powolnych ciężarówek i ostrożnych samochodów.

Otepieni tym, co się stało i niepewni, czy cieszyć się, że zapobiegli katastrofie, czy też martwić, jak niewiele do niej brakowało, Liz i Charles z początku niemal się do siebie nie odzywali. Następnie, jakby za obopólną zgodą, niemal pod przymusem, rozmawiali o wszystkim. Wszystkim, poza wydarzeniami dnia. O ulubionych miejscach wakacyjnych, ulubionych restauracjach, ulubionych zakątkach kraju, nawet o *Kodzie Leonarda da Vinci*, którego żadne z nich nie przeczytało. Rozmowy osobiste, lecz nie intymne. Nie wspominali o żonie Wetherby'ego, Joanne, zaś Liz nie mówiła, kto towarzyszył jej podczas tych wakacji. Niemal maniakalnie nie chcieli dopuścić do siebie nieprawdopodobnego wydarzenia, którego dopiero, co doświadczyli. Bronili się także przed pytaniami, jakie na pewno padną, przed nieuniknionym rozliczeniem.

Jednak oboje byli realistami i ta strategia uchylania się nie mogła trwać wiecznie. Gdy zjechali do wielkiej niecki High Wycombe, Wetherby westchnął, przerywając opowieść o wyjątkowo szczęśliwych wakacjach spędzonych na żaglowaniu wokół The Needles.

- Skąd wiedziałaś, że Tom tam będzie? - spytał.

- Nie mogę powiedzieć, że wiedziałam - odparła Liz. - To było tylko przecucie.

Wetherby parsknął krótko.

- Muszę stwierdzić, że twoje przecucia są lepsze niż większość racjonalnych analiz, jakie otrzymuję.

Był to komplement, lecz Liz nie mogła nic poradzić na wrażenie, że szczęście odegrało tu równie wielką rolę, jak zdolność przewidywania. A co, gdyby Tom się nie ześlizgnął? Czują w kościach, że uciekłby.

Wetherby wydawał się czytać w jej myślach.

- Dokąd według ciebie zamierzał udać się Tom?

Liz wpatrywała się w pole golfowe na wyżłobionym zboczku wzgórza i zastanawiała się nad tym. Zapewne Tom opuściłby kraj i uciekł za granicę. Ale dokąd? Nie wiedzieli o żadnej grupie czy miejscu, do których mógłby się zwrócić. W Irlandii Północnej zostałyby odnalezione w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin, zresztą nastawiona od niedawna na pokój IRA nie chciałaby go mieć w swoim pobliżu.

- Tom płynnie mówił po arabsku - powiedziała w końcu - więc zapewne próbowałby dostać się do jednego z państw Bliskiego Wschodu, tam zaś dzięki nowej tożsamości rozpocząłby jakieś nowe życie.

- Ryzykowałby, że mógłby zostać zauważony. Ludzie Zachodu w świecie arabskim to niewielka grupa.

- Być może pojechałby do Nowego Jorku - rzekła Liz. - No wiesz, śladami ojca. Sądzę, że na pewno chciał zrobić coś jeszcze.

- W tym samym stylu? - spytał łagodnie Wetherby.

- Któż wie? Ale pewnie dążyłby do zemsty na jakiejś innej instytucji. Na przykład na gazecie, która wywaliła jego ojca. A później zapewne znów spróbowałby z nami.

- Nieważne, jaką tożsamość by przybrał, musiałby stale pozostawać w ruchu.

- To prawda - rzekła Liz. - Ale być może by mu to pasowało.

Zbliżali się do styku z M25 i pojawiły się drogowskazy na Heathrow, co w jakiś sposób wydawało się pasować do planów Toma.

- Ale dlaczego w ogóle uciekł? - zapytała retorycznie. - Chodzi mi o to, że gdyby został, co właściwie mogłoby mu się stać? A konkretniej, co byśmy na niego mieli? Śmierć O'Phelana nie została wyjaśniona: żadnych świadków, żadnych odcisków, żadnych śladów pobytu Toma w Belfaście. Tak samo z Marcepanem. Technicy kryminalistyczni nie znaleźli zupełnie nic, co wskazywałoby na zabójcę.

Wetherby uśmiechnął się smutno.

- Dostrzegam twój tok rozumowania, ale sądzę, że coś ci umyka. Tom uciekł, bo chciał, żebyśmy wiedzieli.

- Ale dlaczego? Jaką to robi różnicę?

- Dla Toma - powiedział cierpliwie Wetherby - jest to ogromna różnica. Tomowi chodziło o to, aby nas upokorzyć. Chciał sprawować nad nami kontrolę. Chciał, abyśmy czuli się bezsilni i mali. Wręcz bezradni.

- Tacy, jak jego ojciec - mruknęła Liz.

- Tak sędzę - rzekł Wetherby. - Ale chcę powiedzieć, że Tom nie kierował się polityczną motywacją. Gdyby tak było, detonatory zadziałałyby.

- A on by nie zadzwonił.

- Owszem. Nie chciał zabijać dziesiątek ludzi. Chciał nam tylko uświadomić, że mógłby to zrobić. I zapewne uświadamiałby to nam raz za razem, każdorazowo zabijając jedną czy dwie osoby, które weszłyby mu w drogę, jak Marcepan. Ironia polega na tym, że zapewne w ostatecznym rozrachunku zabiłby równie wiele osób, ile mógłby dzisiaj za pomocą bomby. - Wetherby potrząsnął głową w pełnym przerażenia zdumieniu.

- A więc po prostu był szalony? - spytała Liz.

- Teraz się już nigdy nie dowiemy - odparł Wetherby. - Wiemy natomiast, że nie był tym, za kogo go uważaliśmy.



Spotkanie dobiegało końca, ale długi ponury proces dopiero się rozpoczynał. W prasie pojawiły się sensacyjne nagłówki na temat nieudanego zamachu bombowego w Oxfordzie. „DZIESIĘĆ SEKUND OD ŚMIERCI”, obwieszczał *Daily Mail*, a podzielona pierwsza strona ukazywała na jednej połowie zmiażdżoną furgonetkę, na drugiej zaś nowego kanclerza w akademickiej szacie, z wyrazem szoku na twarzy. „TO NIEWYPAŁ”, głosił *Sun*, któremu udało się sfotografować Raszida Khana, prowadzonego z głową okrytą kocem do policyjnej furgonetki przy komisariacie St Aldates. *Express* zamieścił zdjęcie kanclerskiej procesji, wraz ze wszystkimi pedlami, stewardami, dzwonami i całą resztą. Liz zauważyła, że fotografia musiała zostać wykonana przed laty - ukazywała orszak dygnitarzy na Broad, do której przecież nie dotarł, zaś na jej czele szedł nie nowy kanclerz, a jego poprzednik. Gazety wielkoformatowe wypowiadały się w ostrożniejszym tonie. Sprawozdanie z *The Timesa* - „SPISEK ZAMACHOWCÓW UDAREMNIONY W OXFORDZIE” - miało podobną wymowę, co w innych dziennikach z górnej półki, raczej podkreślało fakt, że wykryto intrygę, niż to, jak niewiele brakowało do jej urzeczywistnienia. *Guardian* zamieścił podobny materiał wraz z artykułem autorstwa architekta, opisującego uszkodzenia, jakich zaznało historyczne ogrodzenie na Broad.

Wszędzie wspomniano oczywiście o śmierci kierowcy furgonetki i jego pasażera, a także o śmierci oficera Służby Bezpieczeństwa - choć nigdzie nie zaspokojono w wystarczającym stopniu ciekawości czytelników pragnących dowiedzieć się czegoś więcej o tym nieszczęśliwym wypadku. Każdy wydawca w przeciągu kilku godzin otrzymał na swoje biurko komunikat prasowy, tak więc, nie licząc wzmianki o śmierci Toma, opisywanej nieodmiennie jako „tragiczny wypadek”, nie pojawiło się nic na jego temat.

Jakkolwiek by nie opisywano wydarzeń, fakty były niezaprzeczalne: dwóch terrorystów było o włos od wysadzenia w powietrze symbolu jednej z najstarszych

brytyjskich instytucji, wraz z gronem dygnitarzy. Jeśli nawet część gazet uznawało zasługi służb bezpieczeństwa w udaremnieniu zamachu, pozostałe krytykowały je bezpośrednio za to, że niemal do niego doszło. Wszystkie zgadzały się, że ledwo uniknięto nieszczęścia.

Na szczęście dla Liz i jej kolegów, zainteresowanie mediów okazało się krótkotrwałe - wkrótce zajęły się wyjątkowo strasznym zamachem w Bagdadzie oraz kolejnym sporem pomiędzy premierem a ministrem skarbu. Materiały na temat Spisku Oxfordzkiego (jak zaczęto go nazywać) już po dwóch dniach przeniosły się na kolejne strony, ewentualnie do kolumny komentarzy, i choć całe wydarzenie miano jeszcze bez końca przywoływać w przyszłości jako przykład ogromnych zagrożeń, przed jakimi stał teraz kraj, jego wartość informacyjna zmniejszała się z każdym mijającym dniem.

Zupełnie inaczej przedstawiał się wpływ Spisku Oxfordzkiego na MI5 oraz MI6. Dopiero zaczynano analizować to, co się stało, i dlaczego do tego doszło. To początkowe spotkanie miało być pierwszym z wielu. Różne sekcje już zaczynały oszacowywać swe straty i miały spotykać się regularnie, by dzielić się sprawozdaniami.

Gdy ludzie zebrali swe dokumenty i zaczęli opuszczać pomieszczenie, Dave Armstrong zwrócił na siebie uwagę Liz.

- Masz chwilkę na kawę? - spytał.

- Może później - odparła, bo coś kazało jej zostać.

Gdy sala opróżniła się, znalazła się sama przy stole wraz z Wetherbym, który wyglądał na zmęczonego i przygaszonego, pomimo tego, że zawsze niechętnie okazywał swe uczucia. Zdołał uśmiechnąć się smutno do Liz.

- Zdarzało mi się już prowadzić weselsze spotkania.

- Przynajmniej wszyscy wiedzą, co mają zrobić.

- Tak. Równie ważne jest prześledzić wszystkie wydarzenia jeszcze raz, od końca. Wszystko. Aż do zwerbowania Toma - powiedział Wetherby, unosząc dłoń w geście mającym docenić wszystkie szczegóły, przez które właśnie przebrnęli. - Musimy zrozumieć, dlaczego nie wychwyciliśmy, że coś jest z nim nie tak. Dlaczego nic nie zauważyliśmy. Będzie śledztwo - rzekł zrezygnowanym tonem. - Raczej nie publiczne, choć będą na to naciski, ale na pewno szeroko zakrojone wewnętrznie. Minister spraw wewnętrznych mówi, że chce zatrudnić sędziego, który je poprowadzi. Miał już czelność powiedzieć: „Quis custodiet ipsos custodes?”. Można by pomyśleć, że wysili

się na coś oryginalniejszego. - Wetherby potrząsnął z niedowierzaniem głową. Liz niewiele już pamiętała z wyuczonej w szkole łaciny, lecz tę sentencję знаła bardzo dobrze: „Któż pilnować będzie samych strażników?”. - Muszę stwierdzić, że dyrektor generalny bardzo dobrze się spisał na spotkaniu - dodał Wetherby.

- A co z Szóstką? - zapytała Liz. - Co mówi Geoffrey Fane?

- Rozmawiałem z nim. Wyraził stosowne oburzenie zdradą Toma. Choć przemycił też drobną sugestię, że postąpiliśmy dość lekkomyślnie, oddelegowując zdrajcę do MI6. Jednak z drugiej strony, jeśli Tom skontaktował się z zamachowcem w Pakistanie, stało się to w chwili, gdy pozostawał pod ich kontrolą. Dałem mu do zrozumienia, że być może powinni przyjrzeć się własnym zabezpieczeniom.

Liz przytaknęła, pamiętając początkowe niedowierzanie Fane'a, gdy ujawniła, że to Tom jest kretem.

- Czy Peggy wróci od razu do Vauxhall Hall? - spytała.

- Na razie nie. Poprosiłem Fane'a, by pozwolił jej zostać jeszcze chwilę, żeby pomogła w oszacowaniu szkód.

- Tak naprawdę chciałam z tobą o niej porozmawiać. Wspominała, że chciałaby tu zostać. Wygląda na to, że spodobało jej się w MI5.

Wetherby uniósł brwi.

- To by naprawdę pomogło uregulować sytuację z Fane'em. - Przerwał i zerknął niespokojnie na zegarek, po czym uspokoił się. Miał jeszcze czas, a Liz wyczuwała, że naprawdę chciał porozmawiać. - Mniej więcej w połowie spotkania zacząłem odczuwać coś dziwnego. Jakby czegoś brakowało. Znasz to uczucie, gdy zostawiasz w domu zegarek albo zapominasz portfela? Nie wiesz, czego ci brakuje, ale wiesz, że nie ma czegoś, co być powinno. - Wetherby popatrzył na Liz. Nagle wyzbył się wszelkich niejasności i stężyły mu rysy. - I wtedy zdałem sobie sprawę, że nie brakuje czegoś. Brakowało osoby.

- Toma.

- Właśnie - powiedział, skupiając na niej wzrok.

To była prawda, uświadomiła sobie Liz. Jeszcze kilka minut temu wokół stołu siedziało wiele osób. Wyglądający na skwaszonego Michael Binding, wraz z kilkoma swymi ludźmi z A2. Zarumieniony i podenerwowany Patrick Dobson. Reggie Purvis i jego zastępca z A4. Wciąż wyglądająca na wstrząśniętą, lecz przynajmniej obecna Judith Spratt. Liz, Dave, Charles... wszyscy zwyczajowi uczestnicy. Poza jednym.

- Nie wrócił na długo, ale wydawał się do nas bardzo pasować - powiedział Wetherby.

- To właśnie dlatego tak ciężko było go złapać. Idealnie się dopasował.

- To była część planu - rzekł Wetherby, opierając dłoń na brodzie i wyglądając na zamyślonego. - A jednak -dodał smutno - po części wciąż uważam, że niektóre jego działania były naprawdę szczerze. Dobrze wykonywał swą pracę, uważam, że naprawdę ją lubił. Ale, jak się okazało, oprócz niej wykonywał też zupełnie inną. Od samego początku nie był tak naprawdę z nami. Jednak wydaje mi się, że jego nienawiść była obrócona nie przeciwko oficerom, lecz przeciwko samej Służbie. Jakoś trudno jest mi odczuwać to osobiście. A tobie?

Liz pomyślała o weekendzie, kiedy to Tom „przebywał w pobliżu” domu jej matki. Nie opowiedziała Wetherby'emu o zalotach Toma, lecz czy miała co do nich słusznosc? Może jedynie sobie wyobrażała, że w jego zaproszeniu chodziło o coś więcej? W końcu miała to być tylko kolacja. Czy na jej osąd nie wpływała jakaś wewnętrzna próżność, której nie była świadoma? Przypomniała sobie jednak rachunek hotelowy i kłamstwa Toma o przyjaciółach na wsi. Nie, nic sobie nie wyobrażała. Naprawdę próbował wykorzystać ją do własnych, wypaczonych celów.

- Nie, Charles - powiedziała. - Ja odczuwam to osobiście. Nigdy nie był lojalny ani wobec Służby, ani wobec nas. Wykorzystywał nas jako środek mający mu pomóc w osiągnięciu celu. Był lojalny jedynie wobec własnego wypaczonego poczucia misji. Chciał zniszczyć wszystko to, na co pracujemy. Na odludziu pełnym luster był odwrócony w niewłaściwą stronę.

- Oczywiście masz rację - Charles stwierdził z uśmiechem. - Nie ma sensu oddzielać Służby od jej oficerów. Co takiego powiedział E. M. Forster? „Gdybym miał wybierać pomiędzy zdradą mojego kraju a zdradą przyjaciela, to mam nadzieję, że miałbym w sobie dość odwagi, by zdradzić przyjaciela”. Ja zawsze uważałem, że naszym obowiązkiem jest coś zupełnie przeciwnego.

- Ja też - rzekła krótko Liz.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Następnie Wetherby zapytał cicho:

- A co z twoją matką?

To miły człowiek, pomyślała Liz. Przecież teraz, powiedzmy to sobie szczerze, jego kariera wisi na włosku, ta niedoszła katastrofa może ją zniszczyć, a on pamięta o mojej matce.

- Chyba dobrze - odparła z wdzięcznością. - Przeszła operację i wygląda na to, że wszystko poszło w porządku.

- To dobrze - rzekł Wetherby, by dodać jej otuchy.

- Tak, uważają, że wycięli wszystko - kontynuowała Liz. Z jakiegoś powodu pomyślała o Tomie i szkodach, jakie wyrządził. - Przynajmniej tak się wydaje, choć nigdy nie można mieć pewności.

KONIEC

Wydanie I

Copyright © 2008 by Stella Rimington

Copyright © for the Polish edition by Red Horse sp. z o.o., 2008

Copyright © for the Polish translation by Piotr Kucharski, 2008

Tytuł oryginału

Secret Asset

Opracowanie graficzne i projekt okładki

Magdalena Zawadzka

Redakcja

Grzegorz Kondrasiuk

Korekta

Magdalena Grela

Marcin Adamiuk

Skład

Konrad Kućmiński

ISBN 978-83-60504-89-5

Wydawca



Red Horse sp. z o.o.

www.redhorse.pl

e-mail: biuro@redhorse.pl

Druk i oprawa

Abedik

www.abedik.com.pl